

## PIRAT

*On myśli za dużo.*

*Tacy ludzie są niebezpieczni.*

*Szekspir, Juliusz Cezar*

## PROLOG

*Rok 1818 Londyńskie doki*

Owego wieczoru "Pod Zielonym Wężem" panował spokój. Choć rozsypująca się knajpa znana była z podłego dżinu i jeszcze gorszego towarzystwa, które się w niej zbierało, po zmroku prawie zawsze panował tłok. Klientele stanowili wykolejeńcy, jakich z rzadka tylko spotkać można było poza murami Newgate, a tacy nie przywiązują żadnej wagi do jakości spożywanego trunków. Jednak tego wieczoru było tam niewiele osób.

Jedynie w rogu popijało pięciu mężczyzn, nachylonych ku sobie i rozmawiających szeptem. Od czasu do czasu któryś z nich, podchmielony, wybuchał zduszonym chichotem, ale trzeźwiał spojrzawszy na twarze kompanów. Ich miny świadczyły, że nie jest im do śmiechu.

W miarę upływu czasu coraz częściej zerkali nerwowo na drzwi, jak gdyby oczekiwali, że niebawem zjawi się diabeł we własnej osobie. Kiedy jednak nikt nie przychodził, stawali się jeszcze bardziej nerwowi i jak gdyby chcąc zagłuszyć niepokój, wychylali duszkiem dżin, ocierali usta rękawem i zamawiali następną kolejkę.

Całą tawemę wypełniał strach. Nie tylko malował się na twarzach mężczyzn, nie tylko pobrzmiwał w przejmującym dreszczem dzwonieniu cynowych kufli, ale unosił się w powietrzu jak odór nie mytych ciał czy zdeptanej słomy pokrywającej podłogę. Nawet szczury zdawały się wyczuwać, że coś wisi w powietrzu. W regularnych odstępach czasu wysuwały się ze swych dziur, aby sprawdzić: skąd taka cisza. Stawały na tylnych łapkach, węszyły, a potem rozważnie cofały się do swych kryjówek.

- A co będzie, Murdoch, jak nam nie uwierzy? Jak nas wszystkich rozwali? Ja wiem, że robimy to dla złota, ale mówią, że dla "Vashona zabić faceta, 'to jak splunąć powiedział głośno starszy mężczyzna. - Przeżył już kopę lat, ale nie wiem, czy dziś pójdę ...

- A co z tym smokiem? - spytał inny. - Podobno daje mu tajemniczą siłę. Słyszałem o tym piracie historii, które przestraszyłyby najodważniejszego.

- Durnie z nas! On nie potrzebuje naszych informacji. Poderznął więcej gardeł, niż potrafię zliczyć - ośmielony dżinem, walnął pięścią w stół trzeci.

- Nie potrafisz zliczyć? Nie potrafisz zliczyć? - odezwał się wreszcie ich przywódca, Murdoch, niechlujnie wyglądający mężczyzna około pięćdziesiątki, podniósł się. - Głupie kundły! Nie potraficie zliczyć do trzech! - spojrzał z odrazą na swych kompanów i ze złością oznajmił: - Nie potrzebuję tchórzy! Kto się boi zostać, niech się stąd zabiera! Ale niech nie myśli, że dostanie swoją dołą! Podniósł stół do góry i walnął nim o podłogę. Posypało się szkło, a blat pękł na połowę.

Po tym gwałtownym wybuchu wszyscy umilkli. Ruszył w ich stronę rozwścieczony szynkarz, ale kiedy Murdoch spojrzał na niego, zatrzymał się.

- Jak chcesz doczekać jutra, to lepiej trzymaj się z daleka - powiedział Murdoch rozchylając kurtkę. Za

pasem błysnął pistolet.

Szynkarz nie czekał na dalsze argumenty, tylko wycofał się chyłkiem.

- A teraz - powiedział Murdoch, odwracając się do swoich ludzi - kto zostaje, a kto wychodzi?

- Można stąd wyjść tylko z nożem Vashona w brzuchu. - Jeden z mężczyzn podniósł głowę. Gapił się bezmyślnie

wyblakłymi oczami gdzieś za plecy Murdocha. Wykrzywił usta w szaleńczym grymasie, a potem zaczął się śmiać. No więc chyba zostajemy.

- W porządku - powiedział Murdoch siadając na ławie.

Popatrzył uważnie na śmiejącego się kompana, a potem odrzucił kopniakiem rozbitą butelkę po dzinie. Miał właśnie posłać kogoś po następną, kiedy padł na niego jakiś cień. Spojrzał w górę.

- V ... Vashon - wykrztusił, podrywając się na równe nogi. Reszta zrobiła to samo. Z otwartymi ustami wpatrywali się w demona, który stał przed nimi. Zaskoczył ich i jeśli przedtem, czekając na niego, bali się, to teraz byli przerażeni.

Kuląc się, patrzyli, jak zbliża się do nich. Choć ubiór Vashona - granatowy frak i jasne spodnie ze skóry kozłowej - był drogi i w dobrym guście, jasne było, że człowiek ten nie należy do dobrego towarzystwa. Przewyższał ich wszystkich przynajmniej o głowę. Jednakże to nie jego wzrost ani atletyczna postura sprawiały, że wszystkim przeszły ciarki po plecach. Przyczyną tego był wyraz jego twarzy.

Twarz Vashona była przystojna, niezwykle przystojna, ale twarda i bezlitosna jak twarz Spartanina. W oczach zdawał się mieć wypisaną pogardę dla świata, który uważał za odrażający. W tym swoim świecie, w tym ohydny miejscu, gdzie nie znano piękna ni pokoju, on wydawał się mieć wielką moc niszczenia. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że człowiek ten przeprowadzi wszystko, bez względu na to, jak brutalnie czy okrutnie będzie musiał się zachowywać. W jego oczach zdawała się tkwić przeszłość, tak jak pistolet za pasem. Trudno było nie rozszerzyć tego porównania i nie zastanowić się, czy ten człowiek nie jest równie szybki i niebezpieczny jak pistolet.

- Vashon - rzekł drżącym głosem Murdoch - bardzo dziękuję, że przyszedłeś. Nie wiedziałem, czy przyjdiesz ... - Przyszliśmy. No więc mów, co masz do powiedzenia. Słyszając liczbę mnogą, Murdoch spojrział w stronę drzwi.

Stał tam krępy pirat. Wyglądał na dwa razy starszego od Vashona, ale choć miał siwe włosy i był otyły, nie było wątpliwości, że potrafi skorzystać z pistoletu, który trzymał wycelowany w głowę Murdocha.

Murdoch z powrotem obrócił wzrok na Vashona.

- N ... napijesz się z nami, szefie ... ? - wykrztusił.

- Mów, co wiesz. Natychmiast.

Na te słowa wszyscy, oprócz Vashona i stojącego za nim człowieka z pistoletem, wstrzymali oddech. Nawet szalenie o bładniebieskich oczach przestał się uśmiechać. Było oczywiste, że nie opłaca się wystawiać Vashona na próbę.

Murdoch przełknął ślinę i zebrał się na odwagę. W jego głosie pojawił się błagalny ton:

- Nie chcę cię urazić, Vashon, nawet by mi to nie przyszło do głowy, ale to kosztuje.

- Ja ocenię, czy to, co masz mi do powiedzenia jest warte zapłaty. - Vashon splótł ręce na piersi i oparł się o ścianę. Spoglądał na Murdocha i jego kompanów tak, jakby patrzył na sforę kundli. Jego wzrok zupełnie dobił Murdocha.

- No to powiem - zgodził się pospiesznie Murdoch. - Nie ma sprawy. Wiem, że zapłacisz. Jesteś równy gość. Podziwiam cię. Ufam ci. ..

- No dalej, mów-rzekł Vashon, wyraźnie zdegustowany łaszeniem się Murdocha.

- Oczywiście, oczywiście, szefie! - zaskomlał Murdoch. - Nie mogę się doczekać, kiedy ci powiem, bo z tego, co wiem, jest to dla ciebie więcej warte niż całe twoje złoto.

- Na tej kartce wspomniałeś coś o Gwieździe Aranu. Co wiesz o tym szmaragdzie?

- Wiem, gdzie jest.

Vashon zeszywniał. Wbił palące spojrzenie w Murdocha. Powiedział ze śmiertelnym spokojem:

- Jeśli wiesz, gdzie jest Gwiazda, to czemu jej sam nie szukasz?

- Baaa, to nie takie proste ...

Vashon nagle wyprostował się i skinął na swego towarzysza:

- Izaak, idziemy.

- Zaczekaj! - krzyknął Murdoch i skoczył za nim. - W porządku! Nie wiem, gdzie jest ten kamień! Ale wiem, gdzie szuka go wicehrabia Blackwell i jak bardzo nienawidzisz wicehrabiego.

Vashon odwrócił się i chwycił Murdocha za kurtkę. Gest ten wystarczył, by dwóch z ludzi Murdocha rzuciło się w popłochu w stronę drzwi. Oczami niemal wychodzącymi z orbit Murdoch zobaczył, jak część jego ochrony wymyka się w ciemność nocy.

- Wiem wszystko oJ osiach u Peterboroughu - mówił spokojnie Vashon, przyciskając go cały czas do ściany i wiem, gdzie szuka kamienia. Ale Gwiazdy nie ma w Irlandii. Tak więc i on, i ty tracicie czas. - Puścił go. Murdoch osunął się na podłogę jak szmaciana kukła.

Vashon odwrócił się, aby odejść, a z nim odchodziła nadzieja Murdocha na złoto. Zdesperowany, pozbierał się z podłogi i złapał pirata za rękaw.

- Ale Blackwell szuka teraz gdzie indziej! Szuka tej dziewczyny, a tylko ja wiem, gdzie ona jest!

- Na to stwierdzenie Vashon zatrzymał się. Odwrócił się wolno.

- Wiesz, gdzie ona jest?

- Wicehrabia dostał wiadomość, że dziewczyna może być w Londynie. No więc szuka jej wszędzie. Mówi wszystkim o niej i o medalionie, który ona nosi. Brightson, ten tutaj - Murdoch wskazał na jednego ze swych kompanów, którzy pozostali w knajpie - zobaczył dziewczynę z takim medalionem i poszedł za

nią. Chcieliśmy powiedzieć o tym Blackwellowi, ale pomyśleliśmy, że nienawidzisz go tak bardzo, że chyba zapłacisz za to więcej.

Vashon zmrugał oczy.

- Co wicehrabia planuje zrobić z tą dziewczyną. .. jeśli ją znajdzie? Jak sobie przypominam, miała dopiero cztery lata, kiedy zmarł jej ojciec. Co ona' może pamiętać o Gwieździe?

Wyglądający jak gdyby przed chwilą uniknął egzekucji, Murdoch nerwowo podciągnął spodnie i powiedział:

- Nie wiem, szefie, co ona pamięta, ale wiem, że Blackwell chce ją znaleźć. A kiedy ją znajdzie, chce ją porwać. Na pewno wiesz, że on nie ma oporów przed torturowaniem, żeby dostać to, czego chce. Zapytaj starego Danny'ego. On pracował dla niego - Murdoch wskazał na człowieka o wyblakłych niebieskich oczach, który uśmiechał się do nich dziko i zaraz zainteresował się swoim kciukiem.

- Ma zamiar ją porwać? - zdziwił się Vashon.

- No, jakja to widzę, jeśli raz dostanie ją w swoje szpony, to nikt więcej nie będzie miał już z niej pożytku. Na pewno.

- Gdzie jest ta dziewczyna?

- W Londynie.

Złowrogi pirat zamyślił się chwilę. Wyglądał tak, jakby nie całkiem wierzył Murdochowi. Wyraz jego twarzy spowodował, że Murdoch o mało nie uciekł do kąta.

- Mów dalej.

Na obliczu Murdocha odmalowała się wielka ulga.

- No właśnie! Kiedy zdobyliśmy tę informację, wiedziałem, że cię to zainteresuje! I stary Peterborough może iść do diabła. Tak powiedziałem! - Pragnąc zadowolić Vashona, a jeszcze bardziej ratować swoją skórę, Murdoch wytarł rękawem kurtki ławkę. - Może usiądziesz, szefie? Nie ma potrzeby ...

- Powiedziałem: "Mów dalej" .

Murdoch zbladł i spojrzał na potężną, nieustępliwą postać pirata. Nie potrafił dość szybko dobrać słów.

- Ona jest w przytułku, tu, w Londynie ... słyszałem, że tam się wychowała.

- Co jeszcze?

- Nooo ... - Murdoch zawahał się. Widać było, że choć bardzo ceni swoje życie, to jeszcze bardziej ceni złoto. Przywołując resztki odwagi, wykrztusił: - Nie ... nie chcę o tym mówić, szefie, ale j ... jest jeszcze drobny szczegół. .. pieniądze ...

- Mów dalej, powiedziałem.

Murdoch spojrzał z obawą na Vashona. - Ten przytułek nazywa się "Dom Phippsa-Bluefielda dla Małych Włóczęgów". To j-est między dokami a Goodman's Fields w Whitechapel. Teraz ona tam pracuje, pomagając innym biednym chłopakom i dziewczynom, ale podobno szuka nowej posady. Właściciel niedawno zmarł... czy coś w tym rodzaju.

- Masz jej nazwisko?

Murdoch skinął głową.

- No więc jak ono brzmi? Podaj mi jej nazwisko i będę wiedział, czy znalazłeś właściwą dziewczynę.

Mając nadzieję, że zakończy ten wieczór w gronie żywych, a może nawet trochę bogatszy, Murdoch wyszeptał:

- Nie mogę sobie przypomnieć, szefie, ale może ociupinka złota mogłaby ...

Bez ostrzeżenia Vashon złapał Murdocha za brudny kołnierz kurtki. Jego kompani wstrzymali oddech z przerażenia, patrząc jak pirat podnosi go na wysokość swoich oczu. Kiedy Murdoch zaczął kwiczeć jak zarzynana świnia, Vashon rzekł:

- Powiedz mi, jak się ona nazywa, osłe, bo inaczej gorzko pożałujesz, żeś mnie tu ściągnął.

- Aurora! Aurora Daynel - wybełkotał Murdoch. Vashon puścił go. Murdoch stanął na podłodze, chwiejąc się, kaszląc i pocierając szyję. Pirat przez chwilę biernie mu się przyglądał. Potem sięgnął za poję płaszcza i oczy Murdocha rozszerzyły się ze strachu. Jego ludzie zaczęli się chować po kątach, ale Vashon wyciągnął tylko sakiewkę pełną monet.

- Dobra odpowiedź, durniu.

Z cynicznym uśmiechem Vashon rzucił sakiewkę na podłogę obok Murdocha. Potem, ku uldze wszystkich, rzekł:

- A teraz powiedzcie więcej ...

### *"Dom Phippsa-Bluefelda dla Małych Włóczęgów"*

Aurora wytarła plamkę sadzy z okna swej mansardy i spojrzała na dachy Londynu. Pora była wyjeżdżać, ale choć tęskniła do tej chwili przez ponad rok, teraz, gdy nadeszła, czuła się przybita.

- Wolałabym, żebyś nie wyjeżdżała - odezwał się za nią cichy głos dziewczęcy.

Aurora odwróciła się i uśmiechnęła lekko do dziewczyny. - Gdybym nie wyjechała, Faith, nie dostałabyś mojego pokoju.

Faith rozejrzała się po małym pokoiku. Podłoga, choć goła, była zamieciona i wywoskowana, ściany białe po ostatnim malowaniu. Koce nieco zniszczone i połatane, ale łóżko świeżo pościelone. Aurora wiedziała, że dziewczynie podoba się tu.

- Och, nie chcę, żebyś wyjechała ... ale bardzo się cieszę, że będę miała swój własny pokój! - wykrzyknęła Faith.

Aurora roześmiała się.

- Doskonale cię rozumiem. Pamiętam, jakim pałacem wydał mi się ten pokój w porównaniu z sypialnią dla dzieci na dole.

- Ajaki teraz będziesz miała pokój?

Na to pytanie Aurora nie była przygotowana.

- Na ... naprawdę nie wiem - zdołała odpowiedzieć. Myślę, że będzie taki sam jak ten.

- Tyle tylko, że nie będzie to pokój w ubogim, starym sierocińcu, prawda? Będzie w wielkim dworze. Szybko zapomnisz o nas.

Aurora dostrzegła wyrzut w spojrzeniu Faith. Szybko podeszła do niej i wzięła jej dłonie w swoje.

- Muszę jechać, Faith. Wiesz, że muszę.

Po policzku Faith spłynęła łza. Otarła ją ze złością.

~ Dlaczego pani Bluefield musiała umrzeć na suchoty?

Teraz przyszedł tu John Phipps i w ciągu roku wszystko zniszczył.

Twarz Aurory posmutniała. Objęły się i Faith zaczęła szlochać na jej ramieniu. Kiedy wypłakała się, Aurora odsunęła się i powiedziała:

- Wiesz, Faith, że John dobrze zajmie się domem. To porządny człowiek. Tylko że ja ... hmm, nie potrafię przebywać z nim pod jednym dachem.

- To wariat.

- Nie, nie! - zawołała Aurora.

- Tak - powtórzyła z uporem Faith. - Twój wyjazd doprowadza go do szału. Miota się cały czas od chwili, kiedy powiedziałas mu, że wyjeżdżasz.

Aurora unikała jej wzroku. Chciała zaprzeczyć Faith, ale było to trudne: Z wyglądu i zachowania John był statecznym młodym człowiekiem, zdecydowanym ulepszyć dom, który odziedziczył, ale zdarzało się ... zdarzało się, że wydawał się

trochę nie zrównoważony. I, niestety, ona zawsze bardziej przyciągała jego uwagę niż inne dziewczęta w Domu, więc też chyba lepiej dostrzegała jego dziwne zachowanie.

Wzięła głęboki oddech i w końcu spojrzała na Faith.

- On nikomu nie zrobi krzywdy. Wiesz o tym, Faith. Gdybym kiedykolwiek pomyślała, że może zrobić coś złego, to nigdy bym was nie opuściła. John po prostu nie lubi, kiedy mówi mu się: "Nie", ale gdy wyjadę, poprowadzi Dom przyzwoicie. Obiecuję ci to.

- Wiem. Ale wolałabym, żebyś nie wyjeżdżała. Ja się go boję.

- Nie ma żadnego powodu do obaw!

- On robi dziwne rzeczy. Szczególnie, jeśli ma to jakiś związek z tobą.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Aurora, choć nie była pewna, czy rzeczywiście chce poznać odpowiedź.

- Choćby wczoraj widziałam, jak patrzył na makatkę, którą zrobiłaś dla pani Bluefield, kiedy byłaś jeszcze dzieckiem. Szkoda, Auroro, bo to była piękna makatka. Wykonanie jej musiało ci zająć parę miesięcy.

- A co się z nią stało? - wyszeptala Aurora.

- Już po niej. John Phipps stał w jadalni i przyglądał się jej. Potem widziałam, jak spokojnie zdjął ją ze ściany i wrzucił do kominka, jakby to było byle co. Och, Auroro, zrobił to tak na zimno!

Aurora odwróciła się oburzona. Zrobienie makatki zajęło jej prawie piętnaście miesięcy. Nawet teraz, po tylu latach, pamięta, jak pracowicie wykonywała każdy ścieg. Pamięta też, jak bardzo ucieszyła się z niej pani Bluefield. Na dole wyhaftowała motto pani Bluefield: Trud *wieńczy szaleństwa dnia*. Teraz pomyślała, że powinno ono brzmieć: *Szaleństwo wieńczy trudy dnia*. - Auroro, musisz wyjechać?

Aurora spojrzała na Faith z zakłopotaniem.

- Chyba sama widzisz, że muszę. On nie da mi spokoju, a ja nie mogę wyjść za niego. Wiem, że prawdopodobnie nigdy już nie spotkam takiego kandydata na męża, ale wszystko jest nie tak i wolę umrzeć jako stara panna niż zostać jego żoną. Nienawidzisz mnie za to?

Faith smutno pokręciła głową. Objęły się raz jeszcze.

Kiedy Aurora wyzwoliła się z jej uścisku, podniosła wiklinowy kosz, w którym był cały jej majątek i podeszła do drzwi. Jednak zanim wyszła, zdjęła z toaletkijedyną leżącą na niej książkę i wcisnęła ją w ręce Faith.

- *Baśnie* Perraulta? - szepnęła Faith, podniósłszy na Aurorę zaczerwienione od płaczu oczy. - Chyba nie chcesz zostawić tu tej książki? Dostałaś ją od pani Bluefield.

Po raz pierwszy Aurora straciła panowanie nad swymi uczuciami. Z trudem udało się jej powstrzymać drżenie głosu.

- Dzieci tak bardzo lubią te opowiadania. Raz w tygodniu schodziłam po kryjomu do ich sypialni i czytałam im. Gdyby John to odkrył, miałby mi to za złe, ale do tej pory i dzieciom, i mnie udawało się zachować tajemnicę. Myślę, że i tobie się uda. Wiesz, że wieczorami jest całkowicie pochłonięty swymi modlitwami.

- Będę im to czytała raz w tygodniu, Auroro. Znajdę sposób, obiecuję - powiedziała Faith równie drżącym głosem jak Aurora.

- A więc niechaj cię Bóg ma w opiece, Faith. I... i mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy. - Mówiąc to, Aurora nie mogła już dłużej powstrzymać się od płaczu. Przycisnęła koszyk do piersi i łkając zbiegła z poddasza.

## BOHATERKA

*Każdy, kto rzuca wyzwanie światu,  
wcześniej czy później odczuwa tego skutki*

*Lady Elizabeth Melbourne*

### *Queenhithe Dock*

Jej przygoda zaczęła się.

Biorąc głęboki oddech, Aurora z trudem kryła niepokój. Patrzyła ponad głównym pokładem "Morskiego Śmiałka" na Tamizę. W samo południe statek stał nadal na kotwicy w Queenhithe Dock, ale za kilka godzin miał wypłynąć w morze.

Swoim zwyczajem nerwowo obracała w palcach medalion wiszący na szyi. Medalion był podniszczony i porysowany, ale niezwykle. Przedstawiał małą jaszczurkę, której złoty tułów wysadzany był błyszczącymi kawałkami szmaragdu. Oczy jaszczurki zrobione były z rubinów, podbrzusze z brylantów. Medalion otwierał się, lecz zamek był ukryty i tylko ona wiedziała, jak to zrobić. Większość ludzi widzących go nie zdawała sobie nawet sprawy, że to medalion i uważała go za zwykły wisior. Jednak wewnątrz jej ojciec umieścił, jako jedyny dar dla swej córki, ostatni wiersz jej ulubionej rymowanki.

Obracając medalion w palcach stwierdziła, że brak w nim kolejnego kawałka szmaragdu. Strata ta zmartwiła ją, ale przyrzekła sobie nie popadać w smutny nastrój. Wypłakała się podczas rozstania z Faith i Domem. Teraz dość już łez. Teraz jest poszukiwaczką przygód, wolną i beztroską. Niedługo zacznie podróż, a za parę tygodni zobaczy egzotyczne miejsca, o których dotąd tylko marzyła. Zostawi za sobą Londyn i zacznie zupełnie nowe życie.

Z zarumienionymi z podniecenia policzkami spojrzała na rzekę. Tamiza zapraszała ją w szeroki świat. Zazwyczaj leniwie płynąca, teraz zmarszczona wiatrem, słała figlarne fale, jak gdyby przemawiając do niej. Biły one o boki statku w tym samym rytmie, co jej serce.

Jakby nie dowierzając szczęśliwemu losowi, sięgnęła nagle do swej brązowej, jedwabnej torebki, by wyjąć list. Przez chwilę nie mogła go znaleźć i jej gładkie czoło lekko się zmarszczyło. Wszystko to wydawało się jej od początku snem. Czyżby zaraz miała się obudzić? Palcami dotknęła welinowego papieru. List nadal tkwił w torebce. Nadal więc wszystko było przed nią.

Z uczuciem ulgi wyjęła go i miała zamiar przeczytać raz jeszcze, kiedy rozległ się głośny kobiecy głos:

- Kobieta! Dzięki Bogu! Nie wiem, jak zniósłabym tę podróż bez towarzystwa innej kobiety!

Aurora podniosła głowę i otworzyła szeroko oczy. Na pokład wchodziła pulchna, dobrze ubrana matrona. Na głowie miała ogromny kapelusz z czarnej satyny, a w ręku również czarny parasol w kształcie pagody. Już na pierwszy rzut oka było widać, że nosi żałobę, ale jej suknia była w najlepszym gatunku. Kosztowna,

czarna tafta głośno szeleściła, kiedy matrona szła do Aurory, aby się przywitać.

- Pozwól, że się przedstawię, kochanie - powiedziała matrona, trzymając nad głową parasol. - Jestem Stefanowa Lindstrom. Zdamy się zaprzyjaźnić w drodze na Bermudy. Wiem o tym, bo to moja szósta podróż.

- Szósta! - powiedziała zdumiona Aurora. pierwsza.

- Zniesiesz ją dobrze. Znam wszystkie lekarstwa na chorobę morską i słyszałam, że "Morski Śmiałek" jest najlepszym żaglowcem. Prawdę mówiąc, kapitan Corbeil powiedział mi, że będzie płynął z nami właściciel statku, przypuszczam więc, że dołoży wszelkich starań, by rejs przebiegał gładko. Jak się nazywasz, kochanie?

Ostatnie pytanie pani Lindstrom zaskoczyło ją i minęła chwila, nim zdołała odpowiedzieć.

- Dayne, panna Aurora Dayne - powiedziała z wahaniem.

- Cudownie, po prostu cudownie. Ajesteś z ... ? Aurora znów nie odpowiedziała od razu.

- Z Przytułku Phippsa-Bluefield dla Małych Włóczęgów - powiedziała w końcu.

- Ach! Sierota! Jakie to romantyczne! - klasnęła w dłonie pani Lindstrom.

Aurora spojrzała na nią zdziwiona. Nie wiedziała, jak ma to rozumieć. Sieroctwo nie miało w sobie nic romantycznego. Pani Bluefield, święta kobieta, zadbała o jej wykształcenie i utrzymanie. Poza tym jednakże życie w przytułku było szare, tak szare, jak sukienki, które nosiły jego mieszkanki. Ta pani Lindstrom plotła bez sensu.

- Teraz nie jestem już sierotą - powiedziała. - To znaczy wychowałam się w sierocińcu, ale kiedy dorosłam, zostałam tam nauczycielką.

- I na pewno dobrą.

Pani Lindstrom uśmiechnęła się szeroko i Aurora natychmiast poczuła do niej sympatię. Była to kobieta może trochę zbyt ciekawska i z pewnością miała skłonność do teatralnych zachowań, ale mimo to spodobała się Aurorze. Fakt, że Aurora była ubogą sierotą, zdawał się nie mieć dla pani Lindstrom żadnego znaczenia, a było to niezwykle u osoby najwyraźniej bardzo bogatej.

- A więc, co cię sprowadza na "Morskiego Śmiałka", panno Dayne? - spytała matrona. Wydawała się aż kipieć od nadmiaru pytań. - Nie płyniesz przypadkiem do narzeczonego w SL George? Mogę się tylko domyślać, że z tą smukłą figurą i wspaniałym kolorem włosów czeka cię jakaś cudowna przygoda. Och, jak bardzo chciałabym być znowu młoda! Czego mogłabym wtedy dokonać!

Kiedy pani Lindstrom zaczęła rozwodzić się nad swą utraconą młodością, zażenowana Aurora odgarnęła z czoła kosmyk włosów, który wymknął się spod wyblakłego, brązowego czepek. Nigdy nie przyszło jej nawet na myśl, że może mieć "wspaniały" kolor włosów. Nie były ani tak ogniste, aby można je nazwać rudymi, ani tak jasne, by uchodziła za blondynkę. Miały dokładnie pośredni odcień. Szczerze mówiąc, jej samej spłowiwały, rudy kolor wydawał się nijaki. Zupełnie jak jej życie.

Marszcząc lekko czoło na wspomnienie tego, przypomniała sobie nawet, jak kiedyś John Phipps stwierdził, że jej włosy są "należycie skromne". Nie przeszkodziło to jednak, by zakochał się w tych "należycie skromnych" włosach, pomyślała ponuro. To właśnie przed tym uciekała. Gdy pani Bluefield ponad rok temu zmarła na suchoty, szary cień Johna Phippsa wisiał nad jej życiem jak całun. Chociaż знаła go od pierwszego dnia pobytu w sierocińcu, po odejściu pani Bluefield zmienił się. Jego zaloty stały się natarczywe, a obecność nie do zniesienia.

Jej błękitne oczy pociemniały pod wpływem nagłego poczucia winy. Mimo tego, co zrobił z jej makatką, John Phipps nie był odrażającym mężczyzną. Przeciwnie, ze swą fałszywą pobożnością wielu ludziom wydawał się dobrym człowiekiem. Aż za dobrym, pomyślała, pamiętając, jak nazwał ją niewdzięcznicą, kiedy odrzuciła jego propozycję małżeństwa. Może kiedyś pożałuje tego, ale wydawało się to mało prawdopodobne. Może istotnie włosy miała "należycie skromne", ale serce z pewnością nie. I nigdy nie mogłaby mu go oddać.



Pamiętała jeszcze wydarzenie, które dobitnie ukazało, że zupełnie nie pasują do siebie. Jako zagorzały ewangelik, John Phipps stwierdził, że prowadzenie sierocińca zgodnie z filozofią pani Bluefield, a więc kierowanie się tylko życzliwością, zupełnie nie wystarcza. Był przekonany, że wiara chrześcijańska pozwala niższym warstwom społeczeństwa pogodzić się z ich nędznym losem. Ponieważ z pewnością nie było niższej warstwy społecznej niż sieroty, czuł się zobowiązany do przekazywania im nauk Williama Wilberforce'a. Pewnego razu, kiedy był tak pochłonięty swą ewangeliczną misją, złapał Aurorę na czytaniu dzieciom *Kopciuszka* i przy wszystkich wezwał ją, aby przemyślała swe postępowanie, nazywając ową bajkę, szczególnie naganną, ponieważ uczucia, które odmalowuje, należą do najgorszych, jakie mogą zakraść się do ludzkiego serca".

Wkrótce potem oświadczył się jej. Zaoferował z dumą "skromne, ciche, bierne życie w wierze, miłości bliźniego i trzeźwości". Potem, jako prezent ślubny, dał jej *Kawalera szukającego żony* Hanny More, mając najwyraźniej nadzieję, że uleczy ją to z miłości do "niezwykłego występku i niewierności" w literaturze.

Nie mogło nic z tego wyjść i teraz, z perspektywy czasu, Aurora zrozumiała, dlaczego pani Bluefield zawsze namawiała ją, aby poszukała sobie pracy gdzie indziej i wyprowadziła się z sierocińca. Nie posłuchała jej, gdyż czuła, że ma do spłacenia dług wdzięczności wobec tego zakładu. Pracowałaby tam przez całe życie, choćby tylko po to, by odplacić pani Bluefield zaję dobroć. Jednak jej opiekunki nie było już wśród żywych, a myśl o spędzeniu życia 'u boku Johna Phippsa była nie do zniesienia. zaczęła się więc starać o uzyskanie pracy gdzie indziej, ale bezskutecznie. I wtedy zdarzył się cud, o który się modliła. Otrzymała list, który teraz znajdował się w jej torebce. Wyglądało to zupełnie tak, jak gdyby osoba, która go napisała, znała jej położenie i wspańiałomyślnie proponowała ucieczkę.

- A więc płyniesz do St. George czy do którejś z sąsiednich plantacji?

Wytrącona z rozmyślań Aurora spojrzała na panią Lindstrom

- A, już wiem - ciągnęła starsza dama. - Płyniesz do Clairdon, żeby wyjść za któregoś z chłopaków Sinclairów! A nawiasem mówiąc, ilu to już synów ma lord Sinclair? Ostatnim razem wyszło mi, że ośmiu. Dorodni młodzieńcy, jeśli dobrze pamiętam ... Prawdę mówiąc, nie mogłaś trafić lepiej, moje dziecko.

Aurora przyłożyła dłoń do ust, aby ukryć uśmiech. Pani Lindstrom z pewnością miała bujną wyobraźnię! Kiedy cofnęła dłoń, powiedziała:

- Chyba trafię jeszcze lepiej, pani Lindstrom, bo nie płynę do St. George, żeby spotkać się z narzeczonym, a już na pewno z żadnym z chłopaków Sinclairów. Prawdę mówiąc, w ogóle nie płynę do St. George, ale do Kingston na Jamajce.

- Do Kingston! Dobry Boże, nie wiedziałam, że ten statek płynie na Jamajkę.

- Tak, do Kingston. Mam być damą do towarzystwa lady Perkins na plantacji Roselawn. Sądząc z jej listu, jest chyba w podeszłym wieku ... Przy okazji, nie słyszała pani przypadkiem o Roselawn? - Aurora spojrzała na nią z nadzieją. Zawsze uważała się za osobę nie pozbawioną hartu ducha, ale podróż z jedynego miejsca, jakie znała, na tropikalną wyspę, o której nie miała zielonego pojęcia, mimo wszystko odbierała jej odwagę.

- St. George leży dość daleko od Jamajki, kochanie, ale niech no pomyślę ... - Pani Lindstrom potrząsnęła głową. Nie, nie mogę sobie przypomnieć żadnego Roselawn, a muszę powiedzieć, iż szczyć się tym, że wiem, kto jest kim ... ale Roselawn i lady Perkins ... nie, po prostu nie przypominam sobie.

- Rozumiem - Aurora starała się ukryć rozczarowanie.

- A jak dowiedziałaś się o tej posiadzie? - pani Lindstrom spojrzała na nią z ciekawością.

- Hmm - Aurora popatrzyła na mętne wody Tamizy właściwie było to dla mnie zaskoczeniem. List od lady Perkins przyszedł zaledwie tydzień temu. Dowiedziałam się z niego, że jeśli chcę przyjąć posadę li niej, to mam się tu stawić dzisiaj gotowa do podróży.

- Co za niezwykła odwaga wypuszczać się samej tak daleko! Ale myślę, moja droga, że w sierocińcu traktowano cię okropnie.

- Och nie! Przeciwnie! - Nagle oczy Aurory zaszkliły się.

Dom Phippsa-Bluefielda był wprawdzie sierocińcem, ale pani Bluefield uczyniła z niego cudowne miejsce. Jak daleko sięgała pamięcią, ta dobra kobieta była dla niej matką, przyjaciółką, nauczycielką. A

teraz zrywała ostatnie łączące z nią ogniwo. Mimo kłopotów z Johnem Phippssem, było to bolesne.

- No już dobrze, już dobrze, kochanie - pani Lindstrom patrzyła na nią z zakłopotaną miną. Poglądziła ją po dłoni i powiedziała: - Musieli być dobrzy dla ciebie, skoro tak ci ich brakuje.

- Tak, tak - słowa te wyrwały się Aurorze, zanim zdołała się powstrzymać. Z jakiegoś powodu zaczęła odczuwać ogromną tęsknotę za Domem.

- No, ale teraz, panno Dayne, zobaczysz za to świat ... no, przynajmniej pół świata!

- Tak - próbowała się uśmiechnąć.

- I kto wie, jaki romans może ci się przytrafić po drodze!

Aurora zarumieniała się. To było właśnie to, czego pragnęła, ale teraz, kiedy przygoda taka stała się realna, zaczęła się zastanawiać, czy potrafi stawić jej czoło. Może rzeczywiście była tak "należycie skromna", jak określił ją John Phipps.

- Obawiam się, że rozczaruję panią - powiedziała. - Moje życie jest raczej bezbarwne i myślę, że nie zmieni go nawet podróż na Jamajkę.

- Kiedy jest się tak młodą i piękną jak ty, kochanie, nie sposób przewidzieć, jakie czekają przygody.

Aurora roześmiała się mimo woli.

- No tak, można przynajmniej mieć nadzieję, prawda?

- Trzeba! - Roześmiała się z kolei pani Lindstrom. Nagle rozłożyła parasolkę i bez dalszych ceregieli powiedziała:

- Chodźmy, panno Dayne. Choć mój mąż nie żyje już od dziesięciu lat, nadal noszę po nim żalobę, ale nie mogę przebywać na słońcu w tej czerni. A więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym, abyśmy trochę odpoczęły w mojej kabinie. Powiem służącej, żeby zrobiła nam trochę czekolady i możemy razem poczekać na podniesienie kotwicy.

- Ależ ... ależ ... to byłoby cudownie - powiedziała Aurora, ale pani Lindstrom poszła już przodem. Koniec jej parasolki wyznaczał drogę niczym dziób statku.

Kabina pani Lindstrom na międzypokładzie była imponująca. Komoda wykonana była z mahoni i ozdobiona na rogach brązowym ornamentem, ale niewątpliwie od początku zaprojektowana jako wyposażenie statku. Gałki i uchwyty wpuszczono w drewno, żeby w wypadku utraty równowagi - osoba znajdująca się w kabinie nie wpadła na nie. Niebieski dywan eksminsterski rozjaśniał wnętrze, a przez otwarte iluminatory wpadał przyjemny wietrzyk z Tamizy. Po ich przybyciu pokojówka pani Lindstrom zakrzętnęła się i postawiła na stoliku filiżanki z czekoladą. Stolik był również wykonany dla statku, gdyż jego blat otaczała niska barierka.

- A więc, panno Dayne - powiedziała pani Lindstrom czy twoja kabina spełnia twoje oczekiwania?

- Tak, tak, moja kabina jest urocza. - Aurora nie wspomniała, że nawet ta mała i raczej skromna kabina jest dużo większa i bardziej elegancka niż jej pokój na poddaszu sierocińca. Wypiła łyk czekolady i dodała: - Jestem przekonana, że podróż tym wspaniałym statkiem dużo kosztuje. Aż trudno mi uwierzyć, że moja nowa chlebobawczyni okazała taką hojność i wykupiła mi na nim miejsce.

- Tak, to rzeczywiście niezwykle, tym bardziej że będzie płynął z nami właściciel statku, a to podwaja cenę. Mniej miejsca, rozumiesz, a poza tym bardziej się starają.

- Zna pani właściciela? - spytała Aurora.

Pani Lindstrom pokręciła głową. Jej srebrne, francuskie loki wydobywające się spod kapelusza zadygotały jak sprężynki.

- Nie, wiem tylko, że jest niezwykle bogaty. "Morski Śmiałek" to jeden z jego pięćdziesięciu statków. Ma równieźogromną plantację trzciny cukrowej na jakiejś wyspie na Morzu Karaibskim. Zdaje się, że na St. Kitts, a może na Nevis.

- Wygląda na to, że jest dość tajemniczą osobą - zauważyła Aurora, bawiąc się wstążkami czepka. Bardzo chciała go zdjąć, ale była .pewna, że niedługo wypłyną i będzie musiała wrócić do swojej kabiny.

- Muszę przyznać, że to naprawdę tajemnicza, romantyczna - jak słyszałam - postać. Widzisz, moja droga - pani Lindstrom nachyliła się ku niej, jakby chciała podzielić się jakąś nie przyzwoitą plotką - jest jeszcze inny powód, dla którego rejs "Morskim Śmiałkiem" jest taki drogi. Ten statek nigdy nie został zaatakowany przez piratów. Najwidoczniej właściciel cieszy się taką reputacją, że nawet największy łotr woli go nie niepokoić.

- Naprawdę? - spytała Aurora ściszym głosem.

- Tak. Słyszałam o tym od mojego zięcia, a on wie wszystko. Absolutnie wszystko. Dlatego umieścił mnie na tym statku. Uważał, że na nim będę najbardziej bezpieczna.

- A więc wraca pani do domu? Ma pani dom w st. George? - Aurora niespokojnie obracała w palcach medalion. Chciała zmienić temat. Ta podróż od początku wydawała się jej zbyt piękna, by mogła być prawdziwa, więc nie chciała, by cokolwiek zepsuło to wrażenie. Z jakiegoś powodu rozmowa o właścicielu statku źle wpływała na jej samopoczucie.

- Tak! Nie było mnie w domu przez pół roku i chociaż kocham wnuki, to nie mogę się doczekać, kiedy spotkam się z przyjaciółkami. Jest nas w mieście taka grupka pań ... Och, jaka szkoda, że płyniesz na Jamajkę! Pani Ransom ma córkę mniej więcej w twoim wieku... ile masz lat, kochanie? Dziewiętnaście?

Zawahała się. Nigdy nie lubiła tego pytania.

- Tak, dziewiętnaście - rzuciła trochę zbyt pospiesznie.

- Znakomicie. Julia Ransom ma teraz dwadzieścia. Byłybyście najlepszymi przyjaciółkami!

Aurorę raz jeszcze zaskoczyła bezpośredniość pani Lindstrom. Ta kobieta zupełnie naturalnie zaliczała ją do swej warstwy społecznej. Zupełnie jakby zapomniała, z kim rozmawia. Aurora rzadko miewała kontakty z klasami wyższymi, ale od czasu do czasu jakiś bogaty wuj czy kuzyn umieszczał osieroconych, a nie chcianych małoletnich krewnych w przytułku. Opiekunowie ci zawsze dawali jasno do zrozumienia, że między nimi a nią i panią Bluefield istnieje przepaść. Zupełnie inaczej zachowywała się ta nadzwyczajna pani Lindstrom.

- Jeszcze czekolady, panno Dayne? - pani Lindstrom wskazała ręką na dzbanek.

Aurora potrząsnęła głową.

- Proszę mi mówić Aurora, dobrze? - uśmiechnęła się do wdowy. Czowała taką ulgę, że ją spotkała. Podróż na pewno nie będzie taka straszna, dopóki pani Lindstrom znajduje się na pokładzie.

- Wiedziałam, że się bardzo zaprzyjaźnimy. - Starsza pani wydawała się zachwycona jej propozycją. Pogładziła ją po rękę. - A ty musisz mi mówić Flossie. Tak nazywał mnie mąż.

- Musiał cię bardzo kochać.

Pani Lindstrom uśmiechnęła się smutno na wspomnienie przeszłości, ale zaraz jej oblicze rozpogodziło się.

- No, Auroro, kapitan Corbeil z pewnością gotów jest już do wypłynięcia, może więc pójdziemy zobaczyć, co się dzieje na górze?

Aurora skinęła głową i sięgnęła po rękawiczki.

- Na pewno coś się dzieje. Musimy być już parę godzin spóźnieni.

- Pójdziemy sprawdzić, czy pojawił się już ten tajemniczy właściciel? - pani Lindstrom szelmowsko mrugnęła okiem. - Och, mam nadzieję, że będzie jadł z nami, a nie w swojej kabinie. Inaczej podróż będzie okropnie nudna.

Poprawiła kapelusz i ujęła swą podobną do pagody parasolkę. Przyglądając się jej, Aurora stwierdziła, że z całą pewnością nie spotkała kobiety podobnej do Flossie Lindstromo. Kiedy matrona wypłynęła ze swej kajuty niczym potężny czarny statek, Aurora nie mogła oprzeć się uczuciu podziwu. Po prostu nie wyobrażała sobie, żeby można się nudzić mając ją koło siebie.

Słońce skryło się za Tower, ale "Morski Śmiałek" nadal stał na kotwicy. Aurora patrzyła z pokładu na rozbłyskujące nad dokami ognie sztuczne, zwiastujące noc świętojańską. Pani Lindstrom już dawno poszła do swej kajuty, natomiast Aurora samotnie spacerowała po pokładzie, przekonana, że nie wypłyną przed świtem, ale niecierpliwie czekała na coś ...

Kiedy tak spoglądała za burłę, londyński, przesiąknięty sadzą mrok zaczęły rozpraszać małe, pomarańczowe ogniska rozpalone na ulicach. Słyszała radosne okrzyki. Zarówno arcybiskup Canterbury, jak i arcybiskup Yorku próbowali wytłumaczyć swojej trzódce, że to, co obchodzą, • to święto Jana Chrzciciela. Pouczali, że właściwym miejscem dla wiernych jest tej nocy kościół.

Aurora uśmiechnęła się. Na nic zdały się te pouczenia. Ludzie dalej palili ogniska na ulicach, świętując letnie przesilenie dnia i nocy. Nawet w tej chwili widziała londyńczyków tańczących na wąskich brukowanych kocimi łbami uliczkach pogańskie tańce wokół ognisk.

Oparła łokcie o balustradę. Tego wieczoru wydawało się, że do Anglii nigdy nie wkroczyła cywilizacja. Ogniska były ogniami palonymi przed wieloma wiekami przed druidycznymi bogami, tańce były echem pogańskich obrzędów. Na dziedzińcach kościelnych siano konopie, a niezamężne dziewczęta wieszały w tę noc w pończochach poduszeczki do igieł, mając nadzieję, że w ten sposób dowiedzą się czegoś o swych przyszłych mężach. Poddając się ogólnemu nastrojowi, Aurora zaczęła się zastanawiać, czy zabrała ze sobą poduszczkę do igieł, a potem roześmiała się ze swoich przesądów.

Z doków dochodziły coraz częściej odgłosy wystrzeliwania rakiet. Chłopcy wrzeszczeli, rżęły spłoszone konie. Zgiełk odwrócił jej uwagę od tego, co się działo w pobliżu, więc dopiero po chwili dojrzała wozy przed trapelem prowadzącym na statek. Właśnie je rozładowywano.

Najpierw pomyślała, że w końcu przybył właściciel okrętu, ale wydawało się nieprawdopodobne, by tak ważna osoba przyjechała zwykłym wozem. Na pokład główny wszedł kapitan Corbeil i doglądał załadunku. Widziała, jak wciągano na górę kosztowne perskie dywany i malowane stoły z rzeźbionymi nogami. W pewnym momencie czterech ludzi wniosło na pokład czarną, wyściełaną kanapę o złożonych nogach w kształcie delfinów. Nawet dla Aurory było jasne, że te wszystkie meble są najświetniejszymi okazami obowiązującej mody. Domyślała się, że wszystkie przeznaczone są do jednej, bardzo dużej kabiny. Oczywiście kabiny właściciela.

Aurora skierowała wzrok na mężczyznę niosącego dzban z brązu i ujrzała za nim kapitana stojącego z założonymi rękami obok balustrady. Z dołu dobiegało stukanie młotków i szmer głosów. To robotnicy przybijali w kabinie meble do podłogi, aby nie przesuwali się podczas podróży przez ocean. Razem z odgłosami zabaw z doków dźwięki te tworzyły ogłuszającą kakofonię. W tym hałasie nie było mowy o wypoczynku w kabinie, więc pozostała w cieniu masztów. Ale i tam dostrzegł ją kapitan.

Siwowłosa, o potężnej klatce piersiowej, przez cały dzień był wzorem dżentelmena. Dbał o to, aby ani jej, ani pani Lindstrom niczego nie zabrakło. Był uprzejmy, żartował. Teraz jednak, zaskoczony jej widokiem, wyglądał inaczej. Zupełnie jakby przeszkadzała mu jakoś, jakby zmartwienia, które potrafił ukryć w krzątaniu w pełnym blasku dnia, trudno mu było schować w cieniu nocy'.

Stała cicho, jak przestraszony zając, podczas gdy on przyglądał się jej znoszonemu płaszczowi. Każda łatka, każde przetarte miejsce jej ubioru zdawały się zawstydzająco go. Zastanawiała się, czy lituje się nad nią. Może w jakiś sposób odkrył, że nie to jest powodem. Jego spojrzenie było zbyt zatroskane i za bardzo posępne, aby można to było tak łatwo wyjaśnić.

Być może sprawiły to głośne wybuchy ogni sztucznych w dokach albo nawet robotnicy hałasujący pod pokładem, ale nagle poczuła, że ma mocno napięte nerwy. Z wysiłkiem oderwała wzrok od zmartwionej twarzy kapitana i odwróciła się ku barierce. Wiedziała, że to, co dostrzegła w oczach kapitana było tworem jej wyobraźni, pomyłką. Na pewno znajdowała się pod wpływem romantycznych rojeń pani Lindstrom.

Spojrzała na Tamizę i zdziwiła się, jak bardzo zmieniła się jej perspektywa. W świetle dziennym rzeka wydawała się błyszczącymi wrotami do przygody. Teraz bardziej przypominała czarny, bezdenny Styks, wijący się i ginący w ponurej mgłę. Zrobiło się jej nagle zimno, więc owinąwszy się płaszczem stanęła tyłem do wiatru.

- Panno Dayne, jestem zaskoczony, że spotykam tu panią o tak późnej porze.

Obróciła się szybko i stwierdziła, że stoi przy niej kapitan Corbeil. Z jego twarzy zniknął wyraz zatroskania, a w brzozy oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- N ... nie jestem śpiąca - zająknęła się jak dziecko. Zła na siebie, że wykazała taki brak opanowania, wzięła głęboki oddech i powiedziała: - Proszę mi wybaczyć, panie kapitanie. Denerwuję się przed tą podróżą, a to opóźnienie rozstroiło mnie jeszcze bardziej. Prawdę mówiąc, skłonna jestem uważać, że w tym stanie ducha zaczynam mieć przywidzenia.

Uśmiechnęła się niepewnie. I tak już czuła się głupio. Kapitan na pewno nie strzegł żadnych mrocznych tajemnic. Był opiekuńczy i rycerski, i troszczył się o jej wygodę. Powinna być zadowolona, że jest w takich dobrych rękach, a nie podejrzliwa. Zduszony śmiech, wydobywający się z jego piersi przekonał ją o tym jeszcze bardziej. W końcu roześmiał się głośno i powiedział:

- Jestem pewien, że pomyliła się pani. Co mogła pani zobaczyć? Czy jest pani niezadowolona ze statku?

- Nie, nie! Ten statek jest wspaniały - uśmiechnęła się nieśmiało. Co ją napadło, żeby podejrzewać, że kryje się za tym coś złego?

- W każdym razie przepraszam za opóźnienie. To nasza wina, ale obiecuję, że wypłyniemy najdalej za godzinę.

- W nocy? - spytała. - Czy to nie jest niezwykła pora na wyjście w mprze?

Kapitan oparł dłoń na balustradzie. Spojrzała na nią i po raz pierwszy zauważyła, że brak mu trzech palców. Blizny były wyraźne, zaczęła się więc zastanawiać, jak to się stało, że przedtem uszły jej uwagi. Nie chcąc, żeby spostrzegł, że przygląda się jego dłoni, szybko podniosła wzrok, ale uśmiechnął się.

- Znam Tamizę, moja panno. Niebawem będziemy w Kanale.

- Czy to znaczy, że nie będziemy czekać na właściciela? - spytała, starając się nie patrzeć na jego rękę. Wydało się jej, że to pytanie go zmieszało, ale szybko ukrył zaskoczenie pod maską jowialności.

- O nie. Będzie tu, panno Dayne. Mogę to zagwarantować. - Niespodzianie przeprosił ją, mówiąc, że musi zejść pod pokład i sprawdzić swoich ludzi.

Została sama, ale tylko na chwilę, gdyż zaraz pojawiła się pani Lindstrom. Była w luksusowym płaszczu z czarnej

wełny, który niezbyt dokładnie zakrywał niebieski broka-

towy szlafrok. Kapelusz miała przekrzywiony i wyglądała tak, jakby została zbudzona z głębokiego snu i nie zdążyła doprowadzić się do porządku.

- A, tu jesteś, kochanie! - zawołała i pomachała ręką. . Słyszysz ten hałas? O północy t

- Tak rzeczywiście jest głośno - przyznała podchodząc do niej. Miała właśnie coś powiedzieć, kiedy w dokach wybuchło nowe zamieszanie. Kapitan wyszedł na pokład, jakby oczekiwał tego, i skierował się do trapu. Zaciekawione. Aurora i pani Lindstrom.. podeszły do balustrady

i spojrzały w dół.

Aurora nigdy jeszcze nie widziała takiego przepychu. Na nabrzeżu stał lakierowany na czarno powóz, zaprzężony w osiem lśniących, czarnych ogierów. Jego obecność usuwała w cień wszystko inne. Aurorze zdawało się, że przycichły nawet dochodzące z Queenhithe odgłosy zabaw i ustało stukanie ryłotków pod jej stopami. Metalowe części upręży zrobione były ze złota, a wzdłuż krawędzi powozu biegła złota bordiura, ale na drzwiczkach nie było herbu, który pozwalałby zidentyfikować jego właściciela.

"Złowieszczy" - tylko tym słowem można było określić pojazd, ale i ono stało się zbyt słabe, kiedy przyszło do opisanego mężczyzny, który wyłonił się z jego wnętrza.

- O Boże ... - wykrztusiła pani Lindstrom, nie posiadając się z wrażenia. Aurora poczuła, że starsza dama chwytając ją za ramię i choć chciała dodać jej otuchy, nie mogła znaleźć tej odwagi, którą - jak zawsze sądziła - posiadała. Chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Palrzyłajak zaczarowana na mężczyznę, który podeszedł do trapu.

Był wysoki - parę cali wyższy od kapitana, który też nie należał do ułomków - ale otaczająca go aura ledwie wstrzymywanej gwałtowności i przemocy sprawiała, że zdawał się przytłaczać całe otoczenie. Na głowie miał modny czarny kapelusz, na ramionach płaszcz z nie mniej niż dziewięcioma pelerynkami. Pod nim Aurora dostrzegła białą batystową koszulę i spodnie z najprzedniejszego czarnego materiału. Sądząc z jego ubioru, można było powiedzieć, że prowadzi życie w granicach wyznaczonych przez społeczeństwo, ale kiedy Aurora przyjrzała mu się bliżej, poczuła, że nie uznaje on prawie żadnych granic.

Prawdę rzekłszy, gardził elegancją, a wskazywała na to nie tylko szorstkość jego manier. Włosy miał długie prawie do łopatek, związane na karku w warkoczyk, według mody, która przeminęła prawie przed ćwierćwieczem. W lewym uchu nosił srebrny kolczyk, który nadawał mu niewypowiedziane niegodziwy wygląd, tak więc kiedy zebrało się razem wszystkie te szczegóły, można go było określić tylko w jeden sposób.

- To pirat! - szepnęła pani Lindstrom, ściskając kurczowo ramię Aurory. Aurora chciała ją uspokoić, ale nie mogła zaprzeczyć jej słowom, tym bardziej, że pomyślała dokładnie to samo.

Stojąc w cieniu nadbudówki, patrzyły, jak człowiek ten wchodzi na pokład "Morskiego Śmiałka". Kapitan Corbeil powitał go, a ze sposobu, w jaki to zrobił, widać było, że obaj dobrze się znają. Stało się jasne, że ten przerażający mężczyzna był oczekiwanym właścicielem statku.

Przez jedną, przelotną chwilę Aurora miała wrażenie, że przypisują temu człowiekowi zbyt wiele niegodziwych cech. Ale akurat wtedy, jak gdyby po to, by ją wskazać, kapitan Corbeil spojrzał w jej stronę.

Za jego spojrzeniem podążył wzrok właściciela statku. Choć stał niżej, na głównym pokładzie, promieniująca od niego siła przykuła Aurorę do miejsca. Zmusił ją, niczym czarami, by spojrzała mu w oczy. Przeżyła wstrząs - jego oczy były zadziwiająco piękne, a jednocześnie zimne. Zerknął na nią tylko, ale jego spojrzenie było tak przenikliwe, że wydawało się, iż zagląda jej aż w duszę. Miał taką władzę nad nią, że nawet kiedy minął ten krótki moment i odwrócił się, nie mogła oderwać od niego wzroku. Nie mogła też uciec od lęku, który zaczął ją przenikać aż do szpiku kości.

\_ Ach, jakie to podniecające! Jakie straszne! - usłyszała szept pani Lindstrom. - Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się coś takiego! Auroro, to pirat! Pirat! O, teraz na pewno czeka nas przygoda!

Aurora spojrzała na nią. Stwierdziła z konsternacją, że przyciska się tak samo kurczowo do ramienia pani Lindstrom, jak pani Lindstrom do niej. Spojrzawszy w dół, zobaczyła, że właściciel statku znika pod pokładem. Nie miała żadnego racjonalnego powodu, aby myśleć o nim źle, ale czuła, że dzieje się coś niedobrego. I choć wydawało się to szalone, nie mogła się pozbyć przerażającego wrażenia, że dotyczy to jej osoby.

W przyprawie paniki puściła ranną pani Lindstrom i podeszła do t'apu. Chciała za wszelką cenę opuścić ten statek, nawet gdyby miało oznaczać to, że wróci pokornie do sierocińca. Jednak w tej samej chwili usłyszała klekotanie kabestanów i plusk wody spływającej z podnoszonej kotwicy. Ku swemu wielkiemu przerażeniu stwierdziła, że trap wciągnięto i nie ma. pod nią nic oprócz czarnych połyskujących wód Tamizy. Przeważona, odwróciła się do pani Lindstrom. Twarz wdowy była odbiciem jej własnej twarzy. Zdesperowana Aurora rozejrzała się błędnym okiem po pokładzie, ale nie było już odwrotu.

Jej przygoda zaczęła się.

\*\*\*

- Mamy ją.

Mówiąc to, Vashon zdjął kapelusz i rzucił go na sofę o nogach w kształcie delfinów. Wysunął kopnięciem krzesło spod stołu, obrócił je i usiadł, zakładając ręce za jego oparcie.

- Uważam, że to naprawdę miła dziewczyna, Vashon. Mam nadzieję, że będziesz się z nią obchodził ostrożnie. Nic nie zyskamy, jeśli ją teraz przestraszysz. - Izaak Corbeil zdjął swą bogato złożoną kapitańską czapkę i potarł dłonią łysiejącą głowę.

- Jak mogę ją przestraszyć? - Vashon uśmiechnął się lekko, co zdarzało mu się bardzo rzadko. Jego zęby zaśliznęły złowieszczą bielą na tle świeżego zarostu i przez krótką chwilę wydawał się prawie szczęśliwy.

Kapitan westchnął.

- Dobry Boże, czy przypadkiem nie popełniliśmy czegoś strasznego? Chodzi mi o to, że ta dziewczyna nie jest jakąś dziwką z La Torne, żeby można ją było zabrać nie mówiąc nawet "za pozwoleniem".

- Nie gadaj bzdur. To najlepsza rzecz, jaka jej się kiedykolwiek przytrafiła. - Vashon pozwolił sobie na niewesoły uśmiech. - Lepiej jej tutaj niż w tym rozsypującym się przytułku.

- Być może, ale kiedy cię zobaczyła, jej twarz straciła ten ładny brzoskwiniowy kolor.

- Pozbiera się - Vashon skrzywił sarkastycznie usta. Być może nie doceniamy jej umiejętności radzenia sobie. W końcu spojrzała na mnie tylko raz i już chciała wyskoczyć za burtę. A więc jest w każdym razie kobietą czynu.

Izaak zachichotał i potrząsnął głową. - Myślę, że jest.

- A poza tym, jeśli niepokoisz się o moje postępowanie, to zapewniam cię, że nie mam zwyczaju zabawiać się z cnotliwymi dziewczynami prosto z sierocińca.

Na to zapewnienie kapitan spoważniał.

- Tym niemniej, Vashon, jeśli nie dasz się zwieść temu jej bojaźliwemu zachowaniu i znoszonemu ubraniu oraz popatrzysz uważniej, to możesz wpaść sam nie wiedząc kiedy. Ja wpadłem. Aurora Dayne to nie to samo, co ta kobieta o kOńskiej twarzy, którą dziś wzięliśmy na pokład.

Vashon obrzucił go zmęczonym spojrzeniem.

- A dlaczego miałbym patrzeć na nią uważnie? To szara myszka. Nawet u wróbla widziałem ładniejsze piórka.

- Tak, ale gdy przyjrzy się tej twarzy, to nie dostrzegasz potem jej nędznego ubrania. Już zdążyła zwrócić na siebie uwagę załogi. Po południu wiatr zdmuchnął jej czepek. Ta czereda zupełnie oniemiała, kiedy odwróciła się do nich i uśmiechnęła, zanim nałożyła go na powrót.

Oczy Vashona nagle rozbłysły.

- Ona jest naszą jedyną nadzieją na znalezienie Gwiazdy Aranu. A więc myślę, że dopilnujesz, żeby jej nie

niepokoiłi. W przeciwnym razie ja dopilnuję, żeby nie powtórzyli tego ... nigdy.

- Człowieku - roześmiał się Izaak. - To naprawdę nie będzie konieczne. Potrzebujemy przecież ludzi, żeby mieć załogę.

Vashon spojrział na niego ponuro. Potem wrócił mu humor. Uśmiechnął się cierpko kącikiem ust.

- Ale jedncf muszę przyznać. Myślałem, że stare panny, które prowadzą sierocińce są pomarszczonymi wiedźmami o cienkich wargach i jeszcze cieńszych figurach. Dlaczego nasza panna Dayne nie pasuje do tego opisu?

- Może z tego samego powodu, z jakiego - jak sądzi większość - piraci są obleśnymi bezzębnymi łotrami, pływającym pod czarną banderą z trupa czaszką, a nie pod flagą brytyjską. - Zadowolony z siebie Izaak splótł ręce na piersi.

Tym razem Vashon roześmiał się na dobre.

- Pijesz do mnie?

- Ado kogo?

- No to będę musiał założyć opaskę na oko. To przynajmniej przyprawi tę starą wdowę o dreszcze.

- Obawiam się, że ona już i tak spodziewa się czegoś takiego. Będziesz musiał pomyśleć o czymś lepszym.

Roześmiali się obaj.

W końcu kapitan spojrział z podziwem na Vashona.

- Muszę przyznać, że nie spodziewałem się, aby twój fortel się udał. Nie przypuszczałem, że panna Dayne będzie taka chętna do wyjazdu z Anglii. Obawiałem się, że będziemy musieli wkraść się w środku nocy do sierocińca, zawinąć ją w dywan i wynieść.

- A po co robić coś takiego, kiedy dziewczyna sama może wejść ci w ręce? Albo na statek, żeby rzecz dokładnie.

- Porwanie w każdej innej formie ...

- Dałoby taki sam skutek - dokończył Vashon. I dodał mściwie:

- Poza tym, mieliśmy ją zostawić Blackwellowi? Izaak przyglądał mu się dłuższą chwilę.

- Wiesz, nigdy nie mogę się nadziwić, że mówiąc o Peterboroughu, używasz tytułu Blackwell. Przecież muszą ci się flaki wywracać, kiedy o tym wspominasz.

- Nic podobnego - odparł Vashon. - Zrobił wiele, żeby zdobyć ten tytuł. Dopóki nie przyjdzie mi ochota, żeby mu go odebrać, może go sobie używać. Prawdę mówiąc, zabawa z nim nie miałaby dla mnie tyle uroku, gdyby nie miał nic do stracenia.

- Jesteś większym człowiekiem niż ja, Vashon. Albo bardziej bezwzględny. Sam nie wiem.

Vashon uśmiechnął się.

- Daj spokój, Izaak. Na pewno wywarła na tobie wrażenie moja wielkoduszość. Uchroniłem naszą drogą pannę Dayne przed strasznym losem. Jej ojciec ukradł Peterboroughowi szmaragd. Znając zaś tego łotra nie sądzę, żeby wicehrabia okazał zbytnie miłosierdzie.

- Na pewno - przyznał Izaak. - Blackwell za nic nie darowałby tego. Michael Dayne wybrał niewłaściwego człowieka do obrabowania. Czy dowiedziano się kiedykolwiek, co się z nim stało?

- Słyszałem, jak ktoś mówił, że widział go wiszącego na jednym z dębów w posiadłości wicehrabiego. Ale myślę, że to był jakiś kłusownik, a nie ojciec panny Dayne.

- No, jeśli Blackwell tak obchodzi się z kłusownikami, to Aurora Dayne powinna dziękować Bogu, że jest teraz na "Morskim Śmiałku". - Jakby na znak, że wychodzi, Izaak włożył czapkę i rzekł: - Powiem załodze, że jesteś zadowolony i że wszystko idzie zgodnie z planem. Wiesz, że wszystkim zależy, żeby ten rejs się udał. Obawiam się, że na barkach panny Dayne spoczywa los wielu ludzi.

- Tak - powiedział Vashon w zamyśleniu. - Trudno uwierzyć, że nasze losy zależą od tej niepozornej, szarej



myszki.

- Możesz ją uważać za niepozomą, szarą myszkę, ale nie zmienia to faktu, że pod tym połatanym ubraniem kryje się prawdziwa dama. Mam nadzieję, że będziesz o tym pamiętał, kiedy się nią zajmiesz.

Vashon uśmiechnął się cynicznie.

- Pozwól, że ci coś przypomnę, Izaak. Nasza panna Dayne raczej nie należy do śmietanki towarzyskiej. Jej ojciec był złodziejem, matka - tylko Bóg wie kim, a ona wychowała się jako nędzarka w sierocińcu.

- Zgoda - kiwnął głową Izaak. - Ale ona nie wie nic o swoich rodzicach i jestem pewien, że byłaby przerażona, gdyby się tego dowiedziała.

- Może już czas, żeby się dowiedziała, kim jest - stwierdził chłodno Vashon.

- Być może. Ale mimo to uważam, że jest zupełnie niewinna. I nie sądzę, żeby ktoś mógł to zmienić. Nawet ty. - Nie doceniasz mnie, Izaaku.

- Nigdy nie popełniłem tego błędu.

Vashon spojrzał na niego. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a w ich spojrzeniach odbijały się zmory przeszłości. Vashon poczuł się nieswojo i odwrócił wzrok. Bagatelizując uwagę kapitana, powiedział:

- Możesz być spokojny o tę małą. Mając z jednej strony ciebie, a z drugiej tę starą wdowę uczeptionącej ręki, będzie dokładnie zabezpieczona przed moją perfidią.

Izaak zachichotał, a z jego twarzy zniknął wyraz napięcia.

- Myślę, że masz rację. Ta pani Lindstrom przywarła do panny Dayne jak buldog.

Vashon, nagle w złym humorze, sięgnął po karafkę z brandy stojącą na rzeźbionym stoliku.

Izaak, widząc to, westchnął:

- Chętnie przyłączyłbym się do tych obchodów, ale ludzie na pewno zdjęli już cumy i muszę wyprowadzić statek z doków, zanim go zdążą zatopić.

Vashon skinął głową.

- No to idź. Chcę jak najszybciej wyładować towar na Bermudach i zająć się naszym prawdziwym zadaniem. Zaciśnął usta. - Zwycięstwo jest blisko - rzekł ponuro.

Aurora otworzyła oczy. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje, ale potem przypomniała sobie wszystko i naciągnęła na siebie na powrót puchową kołdrę.

Jak mogła zapomnieć, że jest na statku? Już samo to ustawiczne kołysanie powinno jej o tym przypomnieć. Była nawet zdziwiona, że przez całą noc nie wypadła ani razu z łóżka. Przesunawszy palcami po barierce, która biegła wzdłuż krawędzi łóżka, pomyślała, że jest ona chyba za niska, żeby uchronić materac przed ześlizgnięciem się na podłogę. Najwidoczniej jednak zabezpieczenie było wystarczające, ponieważ mimo wszystko nadal leżała na swej koi.

Zamknęła oczy. Jedynie kołysanie statku przypominało jej o tym, gdzie jest. Nagle przesunął się jej przed oczami cały ciąg obrazów. Błyszczący czarny powóz ... tłum bawiący się w dokach ... ozdobna kanapa o nogach w kształcie dełfmów ... miła wdowa w ubraniu z czamej tafty. A także mężczyzna. Wysoki i groźny, w czarnym płaszczu z pelerynką, o oczach błyszczących jak kawałki szmaragdu na jej medalionie.

Zwinęła się i objęła poduszkę. Wspomnienia minionej nocy - kiedy to wszedł na pokład właściciel-pirat - były nadal niepokojące. Ale z pewnością, pomyślała, ciemny, przystojny właściciel statku nie będzie wyglądał tak . groźnie w blasku dnia. Najprawdopodobniej jej wyobraźnia ukazała go straszniejszym, niż był w istocie. Pewnie kiedy zobaczy go przy śniadaniu, będzie zaskoczona jego bladą cerą i krępą figurą. Prawdopodobnie ten człowiek nie wygląda groźniej niż karzeł i kiedy ujrzy go ponownie, będzie czuła się głupio.

Podniesiona na duchu, otworzyła oczy i rozejrzała się. Bez wątpienia jej nowa chlebobawczyni była hojną

osobą. Kabinę urządzono jak dla damy z najlepszego towarzystwa. Mimo iż na statku każdy kawałek miejsca był cenny, jej kabina była większa niż pokój, który zajmowała w sierocińcu. Ściany wyłożone były mahoniem, a obicia mebli i zasłonki utrzymane w różowo-czarnym kolorze. Jeśli dodać do tego lampy, świetliki i sekretarzyk, to kabina wyglądała tak wykwintnie, że Aurora niemal z zażenowaniem spojrzała na swe brązowe ubranie wiszące obok dzbanka i miski o srebrnym połysku. W porównaniu z otoczeniem jej strój wyglądał nędznie i nie na miejscu, a mimo to - nie wiadomo dlaczego - lady Perkins uznała, że zasługuje ona

na taki komfort. Kiedy Aurora pomyślała o tym, w jakich warunkach mogłoby jej przyjść płynąć przez Atlantyk, zrozumiała, że ta podróż jest błogosławieństwem. Wiedziała, że jest zupełnie normalne, iż w jednym pomieszczeniu śpi stu pięćdziesięciu pasażerów. Słyszała nawet o rodzinach tak biednych, że stać je było jedynie na wykupienie miejsca gdzieś koło steru. Spędzali całą podróż przez chłodny Atlantyk moknąc i marznąc i w końcu umierali na zapalenie płuc przed osiągnięciem celu.

Miała naprawdę szczęście. Rozejrzała się jeszcze raz po przytulnej kabinie. Mogłoby być znacznie gorzej.

Pokrzepiona tą myślą, odrzuciła kołdrę i podeszła do miski. Po paru minutach była już ubrana i siedziała na łóżku czesząc swe długie włosy. Kiedy związała jasnorudą masę włosów kokardą z tyłu głowy, włożyła ranne pantofle i podeszła do drzwi. Pamiętała, że kuchnia znajduje się na końcu korytarza, w dziobowej części statku. Jediną nadzieję pokładała w tym, że spotka tam panią Lindstrom.

Otworzywszy uszczelnione drzwi kabiny, zdziwiła się widząc, że drzwi naprzeciwko są otwarte. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją to, że w głębi zobaczyła ową niezwykłą kanapę o nogach w kształcie delfinów. Podłogę pokrywał gruby chiński dywan przedstawiający dwa stojące naprzeciw siebie zielone smoki. W rogu stało potężne mahoniowe biurko, przy którym widocznie właściciel zajmował się swymi interesami, kiedy był na statku.

Widząc, że kabina właściciela znajduje się naprzeciw jej kabiny, zmieszana się nieco. Nie wiedziała dlaczego, ale w pierwszym odruchu chciała się cofnąć i zamknąć drzwi na zamek. Zaniepokoiła się jeszcze bardziej, kiedy przeciągnęła dłonią po krawędzi drzwi i zorientowała się, że nie mają zamka. Zamiast niego była zwykła zasuwka, którą można było otworzyć zarówno od wewnątrz, jak i z zewnątrz.

Bojaźliwie zamknęła drzwi do swej kabiny, cały czas nie spuszczać oka z pomieszczenia naprzeciwko. Wyglądało na to, że właściciela nie ma w środku, ale denerwowała ją myśl, że może być za drzwiami. Może był zajęty toaletą i nie zdawał sobie sprawy z tego, że drzwi są otwarte. Może golił się albo, co gorsza, ubierał.

Aurora zarumieniła się. Nigdy jeszcze nie widziała ubierającego się mężczyzny. John Phipps miał żelazne zasady i dbał o to, aby aż do zaręczyn nie widziała go nawet w koszuli. Powiedziała jej, że widok niekompletnie ubranego mężczyzny na pewno by ją bardzo zdenerwował. Teraz, myśląc o wysokim, przystojnym właścicielu statku w niekompletnym ubiorze, stwierdziła z zaskoczeniem, że choć raz w swym bogobojnym życiu John miał rację. To by ją na pewno zdenerwowało.

Przeszła krótkim korytarzem do mesy oficerskiej. Pani Lindstrom i pozostali pasażerowie byli już po śniadaniu albo jedli je w swoich kajutach. Mesa była pusta, jeśli nie liczyć szefa kuchni, który szybko przyniósł jej wyborne śniadanie, składające się z jajek i kaszanki. Pani Lindstrom poinformowała ją już, że im głężej będzie tniwał rejs, tym posiłki będą gorsze; mając więc to na uwadze, zjadła wszystko.

Kiedy skończyła, zapragnęła towarzystwa. Cisza i brak pasażerów w mesie sprawiły, że czuła lekkie napięcie. Wiedziała, że na statku jest zaledwie dziewięciu pasażerów i pragnęła zobaczyć któregoś z nich. Ponieważ spędziła prawie całe życie w zatłoczonym sierocińcu, głucho cisza, przerywana tylko uderzeniami falo burty statku sprawiła, że czuła się podwójnie samotna.

Znalazła drogę na górę i wyszła na główny pokład. Wszędzie byli marynarze - zwijali liny, wspinali się na maszty, biegali po pokładzie, ale ku swemu niezadowoleniu nigdzie nie dojrzała żadnego pasażera. Czując utkwiony w siebie wzrok, spojrzała w górę. Chłopiec w bocianym gnieździe

dotknął czapki. Uśmiechnęła się i pomachała mu ręką, ale chłopiec został natychmiast skarcony przez jednego z marynarzy mijających się na rejach. Zaskoczona, popatrzyła na innych, aby sprawdzić, czy pochwalają jego zachowanie, ale gdy tylko skierowała na któregoś wzrok, natychmiast odwracał oczy. Wiedziała, że załoga powinna trzymać się na pewien dystans od pasażerów, lecz takie zachowanie było dziwne, tym bardziej że poprzedniego dnia ci sami marynarze unosili czapki i kiwali przyjaźnie i jej, i pani

Lindstrom.

Ogameło ją złe przecucie, ale otrząsnęła się, podeszła do barierki i spojrzała za burzę. Byli już dość daleko za Gravesend i przed nimi rozpościerał się, błyszczący w porannym słońcu niczym niebieski klejnot, Kanał La Manche. Wiatr poruszył parę grzywaczy. Choć owiewał jej gołą głowę, nie chciało się jej wracać do kajuty. Patrzyła jak brzeg powoli ginie w oddali. Płynęli z fantastyczną prędkością, co wprawiło ją w radosny nastrój.

- Panno Dayne, mam nadzieję, że kajuta odpowiada pani. Aurora odwróciła się na pięcie.

Była przekonana, że to kapitan Corbeil, ale uśmiech zamarł jej na ustach, kiedy okazało się, że stoi twarzą w twarz z przerażającym właścicielem "Morskiego Śmiałka".

Na pewno nie był karłem. W dziennym świetle wydawał się nawet o stopę wyższy, niż kiedy widziała go poprzednio. Patrząc w jego błyszczące w słońcu oczy, stwierdziła, że są szmaragdowozielone. Patrzył tak, że zapierało jej dech w piersiach.

Oniemiała, zadarła głowę. Inaczej nie mogłaby prowadzić nawet najbardziej błahej rozmowy.

- O ... obawiam się, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni, proszę pana.

- Proszę mi wybaczyć... powiedział, skinąwszy głową. - Nazywam się Vashon. Jestem właścicielem tego statku.

Oparł się plecami o poręcz obok niej. Był bardzo blisko. Niemał za blisko. Z lekko rozstawionymi nogami i łokciami opartymi o balustradę wydawał się czuć jak u siebie w domu. Teraz, tak jak w nocy, wyglądał na prawdziwego dowódcę "Morskiego Śmiałka".

- A ja jestem Aurora Dayne. Ale zdaje się, że pan już to wie - powiedziała.

Był tak blisko, że musiała się powstrzymać, aby się nie odsunąć. Właściwie chciała uciec do swojej kajuty, ale wmawiała sobie, że nie jest już tą fajtlapą, za którą uważał ją John Phipps. Teraz była poszukiwaczką przygód. Nie uchodziło, by uciekała. W końcu, pomyślała, co jej może grozić na tym statku?

Ponownie spojrzała na niego i nagle nabrała wątpliwości. Ten człowiek z pewnością nie był nieszkodliwy. Był gładko ogolony i dobrze ubrany, w bryczesach, butach z cholewami i koszuli tak śnieżnobiałej jak żagle nad ich głowami. Ale jego wygląd niepokoił ją. Ciężkie loki jego długich, czarnych włosów, choć schludnie związane, miały w sobie dla niej coś przerażającego. Nie przypominał żadnego z mężczyzn, których do tej pory widziała. Srebrny kolczyk, w którym odbijały się refleksy wody, potwierdzał to. To nie był John Phipps, człowiek, przed którym można uciec jak przed małym szczeniakiem. To dziwne, ale czuła, że gdyby kiedyś ośmieliła się uciec przed tym Vashonem, to on pogoniłby za nią. I nie spocząłby, dopóki by jej nie dopadł.

- Podoba się pani podróż, panno Dayne?

Jeszcze raz zadarła głowę, żeby spojrzeć na niego. W jego oczach dostrzegła wesołość. Musiał się zorientować, że jest onieśmielona i najwyraźniej bawiło go to. Ona natomiast była zirytowana.

- Na nic się nie uskarżam, panie Vashon. Niestety, muszę teraz pana przeprosić ...

Zobaczyła, że jego wzrok ześlizguje się najej szyję. Mimo woli spojrzała w dół i spostrzegła, że - pogrążony w myślach - wpatruje się w jej medalion.

- Ma pani piękny wisiołek-mruknął, a jego oczy zaśniły. - I bardzo pani z nim do twarzy, panno Dayne.

- Dostałam go od ojca - szepnęła, tracąc głowę. Nigdy nie spotkała tak zuchwałego człowieka. John nie chciał nawet spojrzeć na medalion, nazywając go "pogańskim przedmiotem". Ten natomiast nie tylko patrzył na medalion, ale go podziwiał. Wyglądał tak, jakby go korciło, by wyciągnąć rękę i dotknąć go.

Uśmiechnął się i jeszcze bardziej przegiął do tyłu, ku jej wielkiej uldze.

- Przypominam sobie, że niejaka wicehrabina Blackwell miała błyskotkę zupełnie taką, jak ta - powiedział. - Ale skradziono jej ten wisiołek przynajmniej piętnaście lat temu. Mogę się tylko domyślać, gdzie on się teraz znajduje.

Oczy Aurory pociemniały. Czyżby ten człowiek oskarżał ją o kradzież medalionu jakiejś wicehrabiny?

- Zapewniam pana, że jest pan w błędzie, panie Vashon. - Starła się usilnie, aby głos jej nie drżał. - Ten naszyjnik zostawił mi w spadku mój ojciec i powiedział wyraźnie, że w całej Anglii nie ma drugiego takiego.

A więc raczej nikt nie mógł mieć nic podobnego.

- Wierzę pani, panno Dayne.

Zaskoczona jego niespodziewaną zgodą, nie wiedziała, co powiedzieć. Wiatr wyłuskał zapinkę z jej włosów. Podniosła rękę do głowy i, ku swemu zmartwieniu, zdała sobie sprawę, że rozmawia w miejscu publicznym z mężczyzną nie mając czepka. Zaczerwieniła się i szybko spięła luźne pasmo.

- Przepraszam, ale muszę pana opuścić, panie Vashon. Chyba muszę poszukać swego czepka.

- Oczywiście - powiedział, a jego twarz przybrała na chwilę dziwny wyraz. - W tropikach słońce mocno praży. Piękna dziewczyna, taka jak pani, potrzebuje osłony.

Poczuła nagły skurcz w żołądku. Patrzyła na niego, ściskając palcami medalion. Z jakiegoś powodu wydało się jej, że czepka nie jest tą osłoną, o której mówił. I że bynajmniej nie wystarczy - szczególnie jeśli ma ją osłonić przed nim.

Odeszła, spojrzawszy na niego jeszcze raz. Owładnęło ją przemożne pragnienie odszukania kabiny i ukrycia się tam na całą resztę podróży na Jamajkę.

## ŁOTR

*... ten schyłkowy wiek, w którym zbyt wielu  
wartościowych członków społeczeństwa wydaje  
się znajdować przyjemność w upadku.*

*Kapitan Rees Howell Gronow*

### *Reminiscencje*

Lord Josiah Peterborough, siódmy wicehrabia Blackwell, był niezwykle przystojnym mężczyzną. Choć miał już dobrze powyżej czterdziestki, w jego ciemnych włosach nie było jeszcze ani jednego srebrnego pasemka, a piękne zielone oczy przyciągały uwagę wszystkich. Z powodu tytułu i majątku był jednym z najbardziej rozchwytywanych panów w Londynie. To, że był raczej ponury, przypisywano faktowi, iż wcześniej owdowiał, i łatwo wybaczano. Jego melancholijne usposobienie jeszcze bardziej przychylnie nastawiało do niego i tak podziwiające go towarzystwo. Szczególną sympatią, oczywiście zabarwioną sporą dawką erotyzmu, darzyły go damy.

Podboje miał liczne. Lady Melboume szybko orzekła, iż jest intrygujący i zawsze nalegała, aby w czasie przyjęć siedział obok niej. Opiekunki Almack uważały wieczór za udany, jeśli zjawił się tam wicehrabia. Lorda Blackwella przyjmowano wszędzie, a księżę-regent dopilnował nawet,

by znajdował się on wśród gości zapraszanych na jeden czy dwa weekendy hulanki do Pawilonu Morskiego. Choć jednak należał do śmietanki towarzyskiej, były trzy sprawy związane z jego osobą, o których ludzie nic nie wiedzieli.

Pierwsza dotyczyła jego wstydliwie skrywanej młodości, kiedy to był ubogim, nie utytułowanym synem handlarza zbożem. Z powodu zupełnego braku pieniędzy przyszłość lorda Blackwella rysowała się kiedyś tak marnie, że w wieku dwudziestu trzech lat wysłano go do Heidelbergu, aby wyuczył się na lekarza. Choć nie ukończył studiów, Josiah Peterborough jeszcze po wielu latach posiadał dokładną znajomość ludzkiego ciała, połączoną z przerażającą wiedzą chirurgiczną.

Drugą był po prostu fakt, że jego żona, odziedziczywszy ogromny majątek, przedawkowała wiele lat temu opium. Nie bez jego dyskretnej pomocy.

I rzecz ostatnia - nikt nie znał dokładnie źródła jego bogactwa. Przyjmowano naturalnie, że przypadło mu razem z tytułem szlacheckim, który niespodzianie przeszedł na niego po śmierci przyrodniego brata. Jego krótkie i zakończone tak tragicznie małżeństwo było również przedmiotem spekulacji, kiedy zastanawiano się nad jego dochodami, jako że żona zostawiła pokaźną fortunę. Niestety, żadna z tych wersji nie była prawdziwa.

Posiadłość Blackwell dawała wprawdzie pewne zyski, ale lata biedowania w Heidelbergu sprawiły, iż wicehrabia stał się chciwy i zachłanny. Aby zdobyć pieniądze, zajął się pewnymi nielegalnymi interesami.

Wkrótce działalność ta okazała się tak dochodowa, że jego chęć zysku jeszcze się wzmogła. Teraz rządził całym imperium i miał flotę statków skradzionych lub siłą odebranych prawowitym właścicielom, szmuglował towary z Kantonu, sprzedawał dzieła sztuki zrabowane paryskim arystokratom i handlował żywym towarem. Krótko mówiąc, nie było takiej rzeczy, której wicehrabia Blackwell nie zrobiłby dla pieniędzy, byleby wszystko odbyło się dyskretnie. A robił to wszystko dość dyskretnie już od wielu lat.

Ostatnio jednak sprawy zaczęły przybierać gorszy obrót. Ten wieczór nie był wyjątkiem.

Wicehrabia szykował się właśnie do wyjazdu na Drury Lane, kiedy do jego gabinetu przyniesiono przesyłkę. List wysłany został z Irlandii. Zanim jeszcze złamał pieczęć woskową pieczęć przedstawiającą dwa spoglądające za siebie smoki - na jego twarzy pojawił się zły grymas.

- To od niego?

Peterborough uniósł głowę i zobaczył, że w drzwiach gabinetu stoi jego nowy wspólnik, młody mężczyzna o nazwisku Asher. Asher był szczupłym blondynem o nienagannej fryzurze. Niektórzy zaliczyliby go do dandysów, jako że nosił fantastyczne, jaskrawoczerwone kamizelki na nienaturalnie ściśniętym gorsecie tułowiu, ale na wicehrabim zdawało się to nie robić zamierzonego wrażenia. Zniewieściałość Ashera wyraźnie go irytowała. Nawet w tej chwili wyglądał tak, jakby chciał schwycić wspólnika za gardło.

- Zdawało mi się, iż mówiłem, żeby nigdy nie przychodził pan tutaj - warknął Peterborough. - Kiedy przystąpiłem z panem do interesów, powiedziałem jasno, że ma pan w razie potrzeby zostawić wiadomość i wtedy spotkam się z panem.

Asher machnął rękę, a potem wszedł nonszalancko do pokoju.

- Tak, tak. Nie chcieliśmy, aby ludzie z towarzystwa dowiedzieli się, że tak bez gustu dobiera pan sobie znajomych. - Bez ceregieli usiadł na wyściełanym różową tkaniną fotelu i spokojnie założył nogę na nogę.

- Oby nowiny, którą pan przynosi, usprawiedliwiły pańską niesubordynację - rzekł wicehrabia. - Robimy wspólne interesy zaledwie od paru tygodni i mogę postarać się, żeby na tym wszystko się skończyło. Skończył czytać list, zmiął go i gwałtownie cisnął w płonący na kominku ogień.

- Widzę, że dostał pan wiadomość od Vashona - powiedział Asher, przyglądając się, jak list płonie.

- Tak - powiedział krótko Peterborough. Jego spojrzenie stało się surowe, a dłonie zacisnęły się w pięści.

- Domyślałem się, że dalej szydzi z pana poszukiwań.

- Pisz, że jest jeszcze w Irlandii i że jest coraz bliższy znalezienia Gwiazdy Aranu.

- Nie jest w Irlandii. Peterborough znieruchomiał.

- W rzeczywistości już od pewnego czasu jest tutaj.

- Dlaczego mnie o tym nie poinformowano! - zachnął się wicehrabia.

- Wysyłałem wiadomości.

- Byłem zajęty! Powinien pan być napisać wyraźnie, o co chodzi!

Asher wzruszył ramionami.

Peterborough zupełnie stracił cierpliwość.

- Niech pana szlag trafi! Czy to jest właśnie ta wiadomość, z którą pan tu przyszedł? Jeśli tak, to może pan wyjść! Jutro rozprawię się z Vashonem ... a na razie mam bilety do teatru i ...

- Słyszałem plotki w Queenhithe - przerwał mu Asher. Vashon zmienił taktykę. Niektórzy mówią, że znalazł jakąś dziewczynę, jakąś pannę Dayne, mówiąc ściśle. Czy to nazwisko mówi coś panu?

Na tę wiadomość wicehrabiemu o mało, oczy nie wyskoczyły z orbit.

- żartuje pan ...

- Taka plotka krąży. - Asher oglądał swoje paznokcie.

- A więc znaleziono też Michaela Dayne'a? Zniknął razem z nią.

- Nie, jego nie.

Peterborough przysiadł w milczeniu na brzegu biurka.

- A więc nie uciekł z córką - mruknął. - Zostawił ją tutaj, pod moim nosem. A teraz ma ją Vashon. A z nią Gwiazdę i całą jej moc.

Asher westchnął teatralnie.

\_ Mój Boże, od początku wyglądało to na kręcenie się w kółko. Dlaczego nie da pan sobie spokoju z tą Gwiazdą \_ mamy dosyć roboty w Spitalfields. Mogę się doskonale obyć bez tego łajdaka Vashona deptającego nam po pię-

tach.

\_ Nie chodzi mi o wartość Gwiazdy. - Twarz Peterborougha przybrała niesamowity wyraz. - *Kroniki Crom Dubh* mówią o jej tajemniczej mocy. Podobno ten, kto ma szmaragd, będzie świadkiem śmierci swoich wrogów. Zacząłem wierzyć, że zdobycie Gwiazdy to jedyny sposób na zniszczenie Vashona.

\_ A nawiasem mówiąc, co takiego pan mu zrobił? Słyszałem, że w miarę upływu lat czuje do pana coraz większą nienawiść. Im większy ma majątek, tym bardziej łaknie pańskiej krwi.

Peterborough przeciągnął dłonią po modnie przystrzyżonych włosach. Wojowniczo popatrzył na ogień na kominku.

\_ No? - nalegał Asher. - Co pan mu zrobił? zabił pan jego matkę? Zgwałcił siostrę? Co?

- Vashon jest moim przyrodnim bratem.

Asher wyglądał tak, jakby za moment miał spaść z fotela. Chwycił kurczowo za jego poręczę i osłupiały patrzył na wicehrabiego.

\_ To niemożliwe ... pana bratem? - wykrztusił w końcu.

\_ Owszem, możliwe i tak właśnie jest - powiedział Peterborough. Twarz mu stężała. - Syn Blackwella nadal żyje.

- Jak. ... jak do tego doszło?

Policzki wicehrabiego zapłonęły z gniewu.

\_ Vashon prześladowuje mnie od chwili narodzin! Może pan sobie wyobrazić, co czułem, gnijąc w internacie, gdy tymczasem moja matka wyszła ponownie za mąż i urodziła syna - dziecko, które miało kiedyś odziedziczyć majątek i tytuł, wszystko to, czego ja nie miałem dostać!

- Zabił pan również jego ojca? Peterborough splunął.

- Oczywiście, że nie. Nie miałem wtedy żadnych planów związanych z tytułem. Nie mogłem tylko znieść pozycji społecznej, którą narzuciło mi urodzenie i kiedy stary Blackwell umarł na febrę, nagle uświadomiłem sobie, że jedyną przeszkodą na drodze do tytułu wicehrabiego jest dla mnie trzynastoletni chłopiec.

- Pana brat.

- Przyrodni brat.

- No i co się z nim stało?

- Oszukano mnie. Chciałem, żeby go zamordowano, ale robota została sfuszerowana.

- Chciał pan zabić własnego brata?

- Próbowałem go tolerować. I dopóki nie osiągnął trzynastu lat, tolerowałem. Ale te lata, które spędziłem w Niemczech, zahartowały mnie. Nie mogłem już tego dłużej znieść. Świadomość, że ten rozpieszczony smarkacz dostaje wszystko, co mnie się należy, była dla mnie nie do zniesienia. Wróciłem w sekrecie z Heidelbergu i porwałem chłopaka z domu.

- Jak się panu wywinął? Wicehrabia spochmumiał.

- Chciałem go zabić, ale kiedy nadeszła decydująca chwila ...
- Nie mógł się pan na to zdobyć - dokończył za niego szeptem Asher. W jego głosie czuć było wyraźną ulgę.
- Nie! - Peterborough ostro zaprzeczył, przesywając Ashera zimnym spojrzeniem. - Mogłem to zrobić! I to bez dnia zwłoki! - Ze złością uderzył dłonią w płytę kominka. - Ale on rzucił mi wyzwanie! Ten cholerny szczeniak powiedział, żebym go zabił, aby mógł przyjść po mnie zza grobu. I wie pan co? Zawahałem się! Ze strachu! Przestraszyłem się przekleństwa smarkacza!

Zapadła cisza. Po chwili wicehrabia podjął na nowo.

- Wykorzystał moje przesady, więc postanowiłem. nając dwu rzezimieszków, żeby zrobili to za mnie. Ale Vashon był niezwykle ładnym chłopcem, więc kiedy zorientowali się, że mogą zarobić jeszcze więcej sprzedając go jako niewolnika w Algierze, powiedzieli mi, że go zabili. Dopiero dziesięć lat temu dowiedziałem się, że Vashon żyje ... kiedy \_ stanął w moich drzwiach.

Asher w końcu odzyskał mowę.

- St.anał ... tu? - wykrzyknął z niedowierzaniem. Peterborough potwierdził skinieniem głowy.
- Spytał o naszą matkę. Kiedy powiedziałem mu, że umarła niedługo potem, wydał się prawie pocieszony.
- Czy pan ... czy pan ... ? - zająknął się Asher.
- Proszę nie oskarżać mnie o matkobójstwo. Zginęła w czasie pożaru teatru. Nie pamięta pan, jak Alcee poszedł z dymem?

Asher wyglądał tak, jakby to wyznanie sprawiło mu ulgę. - A zatem Vashon przybył po swój tytuł. Jak więc panu udało się go zachować?

- On nie chciał tytułu. Powiedział, że przyszedł, aby opowiedzieć mi o swoich przejściach. O wszystkim, co mu się przydarzyło od czasu, kiedy widziałem go ostatni raz.

Asher nic nie rzekł, więc Peterborough mówił dalej.

- Wygląda na to, że Vashon jakoś przeżył Algier. Sprawiało mu wielką przyjemność opowiadanie o ludziach, których zabił. Chociaż był wtedy jeszcze chłopcem, zabił pierwszego mężczyznę, który próbował go... dotknąć. Przerwał. - Opowiedział mi o tym ze szczegółami. Zrobił to tylko po to, by zobaczyć przerażenie w moich oczach.

- Ale jak udało mu się zdobyć taką fortunę, szlifując bruki w Algierze? - spytał Asher.
- Znalazł sobie miejsce wśród piratów z Kazby. Nawet wtedy, kiedy mnie odwiedził, chełpił się, że jest bogaty ... i wyglądał na takiego.

- A więc Vashon zupełnie nie dba o tytuł. Ale za to chce pana zrujnować, tak?

Peterborough skinął głową.

- Właśnie dlatego potrzebny nam jest ten szmaragd. I niech nas Bóg ma w swej opiece, jeśli wpadnie on w jego ręce. Robi mi się zimno, kiedy pomyślę, jak zabijał tego człowieka w burdelu. Był wtedy jeszcze chłopcem, ale mścił się szybko.
- Na każdym oprócz pana, co? Rozwścieczony Peterborough odwrócił wzrok. - Na każdym oprócz mnie - powtórzył.

Asher przyglądał mu się przez chwilę, poruszony jego udręką. Wyciągnął niepewnie rękę. Peterborough nawet tego nie zauważył. Ani miękkiej, drżącej dłoni, ani oczu Ashera, wypełnionych dziwną tęsknotą. Ale zanim wicehrabia odwrócił głowę, Asher opamiętał się. Cofnął rękę, a jego oczy przybrały znowu obojętny wyraz.

- Głowa do góry, drogi wicehrabio. Jest dla mnie jasne, że Vashon mógłby pana już dawno zabić. A zatem pan okazał się sprytniejszy niż on. Nadal pan żyje.

Peterborough odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Przecież chodzi mu o to, żebym się męczył, nie rozumie pan? Chce, żebym zwariował, szukając tego szmaragdu. On też zna *Kroniki Crom Dubh*. I zmusza mnie, żebym się z nim o to ścigał. Jeśli znajdzie go przede mną, to moje życie dobiegnie końca i nawet nie będzie musiał podnieść ręki. - Jęknął. - Och, ten przeklęty kamień! Żałuję, że w ogóle się o nim dowiedziałem. Wiele bym dał za to, żeby własnoręcznie

skreć kark Michaelowi Dayne'owi. Od niego zaczęły się moje nieszczęścia. Ten przeklęty złodziej najpierw powiedział mi o Gwieździe, a potem namówił mnie, żebym mu zapłacił za wykradzenie go z zamku Inishmore. Nie miałem pojęcia, że nie oprze się pokusie zatrzymania go dla siebie. I teraz, przez swoją głupotę, walczę z Vashonem o życie!

\_ Ale pan nie ustępuje zajadłością Vashonowi ... Nie pamięta pan o ludziach z "Lewiatana"? Tych kilku, którzy ocaleli, na pewno wymawia pana nazwisko szeptem.

- Ten Żyd, Izaak Corbeil, był właścicielem "Lewiatana".

Statek nie należał wtedy do Vashona, więc zagłada jego załogi nic dla niego nie znaczyła. A jeśli chodzi o moją zajadłość, równie silną jak jego, to wiem jedno. - Wicehrabia zniżył głos do szeptu: - Gdyby ten pirat chciał, żebym już nie żył, to bym już nie żył.

\*\*\*

Aurora spojrzała w ogniście czerwone oczy. Smok zahipnotyzował ją. Poszła na przód statku, aby się trochę przespacerować i odkryła przymocowaną na dziobie chińską rzeźbę przedstawiającą zielonego, pięknego, lecz zarazem budzącego lęk smoka. Podziwiała ją przez dłuższą chwilę, przypatrując się szczegółom. Okrywające smoka łuski zdawały się drgać, jakby w jego ciele tętniło życie, nawet pomalowana na jaskrawoczerwony kolor paszcza zdawała się zionąć ogniem. Głowę miał zwróconą do tyłu, złe spojrzenie i wyglądał tak realistycznie, że miała wrażenie, iż gdyby dotknęła go, to zaczęłyby się wścieki wokół dziobu. Rzeźba nie miała chyba nic wspólnego z nazwą statku, ale z jakiegoś powodu przywiodła jej na myśl jego właściciela. On również był pięknym, lecz budzącym lęk mężczyzną. Minął tydzień, a Aurora nie spotkała po raz drugi tajemniczego właściciela statku. Biorąc pod uwagę niewielkie rozmiary "Morskiego Śmiałka", był to wyczyn nie lada, ale jakoś udało się jej go dokonać. Wychodziła na pokład rzadko po prostu dlatego, że pogoda się pogorszyła i płaszcz nie był już dostateczną osłoną przed zimnymi podmuchami wiatru.

Siedziała więc przeważnie w swojej kabinie albo odwiedzała panią Lindstrom. Jadała z innymi pasażerami w mesie oficerskiej, natomiast właściciel statku z kapitanem w swojej kabinie. Łatwo było w tej sytuacji uniknąć spotkania z tym ciemnym, groźnie wyglądającym mężczyzną. A unikanie go, nawet jeśli świadczyło o jej tchórzostwie, wydało się jej rzeczą właściwą.

- Zupełnie udana rzeźba, prawda, panno Dayne? Aurora odwróciła się i zobaczyła stojącą pannę Kordelię Gideon. Panna Gideon była opiekunką Hester Rune, sieroty, która miała zamieszkać ze swym wujem w St. George. Mimo dobrych widoków na przyszłość, Hester wydała się Aurorze smutnym biedactwem, przypominającym dzieci, które dopiero co znalazły się w sierocińcu. Jej współczucie dla dziewczynki wzrastało z każdym dniem, bo okazało się, że opiekunka zupełnie nie nadaje się do swej roli. Panna Gideon była wyniosłą i chłodną kobietą. Dyrgowała Hester, jak gdyby ta była półgłówkiem. Zdawała się nie mieć nawet za grosz cierpliwości i z pewnością nie powinna była opiekować się przestraszonym dzieckiem.

- A dzień dobry, panno Gideon. Dzień dobry, Hester powiedziała w końcu Aurora. - Oglądałam statek i odkryłam tego smoka.

- Hester boi się go - rzekła kwaśno panna Gideon - ale przyprowadzam ją tu codziennie, żeby pozbyła się tego śmiesznego strachu.

Aurora zawrzała oburzeniem, ale nie, pokazała nic po sobie. Spojrzała na Hester. Dziecko za wszelką cenę starało się nie patrzeć na smoka. Wzrok miało utkwiony w deski pokładu, a twarz ściągniętą lękiem.

- Ona ma dopiero pięć lat - zauważyła. - Chyba nie spodziewa się pani, że będzie zachowywała się jak dorosła? Ba, nawet ja przeraziłam się, kiedy pierwszy raz zobaczyłam tę rzeźbę ...

\_ Ona jest sierotą - odparła szorstko panna Gideon. I dlatego nie może sobie pozwalać na takie dziecinne fochy. Jest teraz sama na świecie. Nie może oczekiwać, że ludzie będą się z nią cackać.

Aurora spojrzała na nią. Bardzo dobrze znała takie opinie. Już miała ostro odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Z własnego doświadczenia wiedziała, na co może sobie pozwolić sierota - niestety nie na wiele. Te opuszczone dzieci były wyrzutkami społeczeństwa. Hester w rzeczywistości miała i tak więcej szczęścia niż inne. Ona miała przynajmniej wujka, u którego mogła mieszkać. Większość sierot wyrzucano po prostu na ulicę, gdzie znajdowały koniec o wiele mniej pomyślny niż Hester.

Aurora pochyliła się nad Hester i delikatnie dotknęła jej sukienki. Dziewczynka była tego dnia ubrana w odświętną sukienkę koloru lawendy, co wyraźnie ucieszyło Aurorę. Uważała, że nie ma nic bardziej



okropnego niż ubieranie małych dziewczynek na czarno.

\_ Ładnie dziś wyglądasz, Hester - powiedziała. - Powiedz mi, jak ci się podoba ten duży statek? Mogę się założyć, że o wiele bardziej niż ten smok.

Hester spojrzała na nią niepewnie, ale nic nie odpowiedziała.

\_ Powiedz mi Hester, lubisz wierszyki? - mówiła dalej Aurora, chcąc przynajmniej raz podczas rejsu zobaczyć uśmiech na jej twarzy. - Ja lubię i znam ich mnóstwo. Chcesz posłuchać? Podoba mi się szczególnie jeden, którego nauczył mnie ojciec.

Hester powoli skinęła głową. Patrzyła na nią z oczekiwaniem.

Aurora uśmiechnęła się:

- Musisz powtarzać za mną. Potrąsz?

Zdumiona Hester jeszcze raz skinęła głową.

"Spłynął anioł z nieba" - Aurora wykonała dłońmi ruch z góry na dół. Kiedy Hester powtórzyła to niepewnie za nią, Aurora uśmiechnęła się.

"Rzekł: do Aranu iść mi trzeba". - Wskazała na północ.

Hester powtórzyła za nią, wyciągając paluszek w tym samym kierunku co Aurora.

"Tam jest ma gwiazda utracona". - Podniosła dłoń do oczu, jakby osłaniała je przed słońcem. Hester zrobiła to samo.

"Czy możesz wskazać mi do niej drogę? Bo sam znaleźć jej nie mogę".

Złożyła ręce i wsparła na nich policzki jak cherubin. Hester też tak zrobiła, a potem zaczęła chichotać.

Aurora klasnęła w ręce i objęła dziewczynkę. Dziecko śmiało się prawdopodobnie po raz pierwszy od śmierci rodziców i Aurora była zachwycona.

- Och, jesteś bardzo bystra Hester! Widzę, że będziesz dobrą uczennicą!

- Dość już tych bzdur, panno Dayne - powiedziała niezbyt uprzejmie panna Gideon. Z jakiegoś powodu wyglądała na niezadowoloną i nie patrzyła na Aurorę, ale gdzieś poza nią. - To tylko podnieci dziecko i potem trudno będzie dać sobie z nim radę. Chodź Hester, pora na herbatę. - Ujęła Hester za rączkę i pociągnęła ją za sobą.

- Ależ ... ależ ... - zająknęła się bezradnie Aurora, patrząc na oglądającą się za nią ze smutkiem Hester. "Jest jeszcze jedna linijka!" - chciała powiedzieć, ale było już za późno. Zanim zdążyła otworzyć usta, oschła panna Gideon i jej smutna podopieczna zniknęły z pola widzenia.

Aurora powoli podniosła się. Rozdrażniona wygładziła płaszcz i głośno westchnęła. Ta kobieta była niemożliwa, a najgorsze w tym wszystkim było to, że w ostatecznym rozrachunku płaciła za to Hester. W nastroju bliskim depresji Aurora odwróciła się w stronę smoka. Ku swemu przerażeniu zobaczyła stojącego przy burcie, nie dalej niż trzy stopy od niej, właściciela statku. Patrzył na nią z dziwną, jak gdyby zwycięską miną. Potem uśmiechnął się i jej palce nie wiedzieć dlaczego powędrowały instynktownie do szyi, aby sięgnąć po medalion' ale nie znalazły go, bo był schowany pod wełnianym płaszczem.

\_ Dzień dobry, panie Vashon - zaczęła zakłopotana.

\_ Dzień dobry, panno Dayne - skinął głową. Na jego ustach igrał lekki uśmiech. - Czy musimy się zwracać do siebie tak oficjalnie?

- Co pan chce przez to powiedzieć?

\_ Po prostu to, że nazywam się Vashon. To jest moje imię i jednocześnie nazwisko. Tak więc tytułowanie mnie panem jest absurdalne.

Popatrzyła na niego. To było jego imię i jednocześnie

nazwisko. Doskonale wiedziała, co to znaczy. Nie była jednak zaskoczona faktem, że ten prawie niecywilizowany człowiek pochodził z nieślubnego łoża. Zdziwiający było tylko, że będąc tak nisko urodzonym, zgromadził taką fortunę. Ale i to można było dosyć łatwo wytłumaczyć jednym słowem: "pirat". Ich spojrzenia spotkały się i znowu odniosła wrażenie, że nie dba on ani o społeczeństwo, ani o rządzące nim zasady. To, że był bękartem, nie obchodziło go pewnie więcej niż złamany guzik. Niepokoił ją. Nie była taką konformistką, żeby akceptować Johna z jego ideologią, ale też nie była taką ignorantką,

żeby nie przyjmować do wiadomości, tak jak ten pirat, jakie jest jej miejsce w społeczeństwie.

— Ucieszyłem się, widząc panią tutaj. - Podszedł bliżej. - Nie widziałem pani parę dni i obawiałem się, że leży pani w swojej kajucie złożona chorobą morską. Słabe kobiety źle znoszą takie podróże.

— Nie uważam się za słabą kobietkę, panie ... - poczerwieniała z gniewu i zakłopotania. Nie wypadało go już tytułować panem, ale nazywanie go Vashonem uważała za zbytnią zażyłość.

A więc po prostu będzie się do niego zwracała bezosobowo, pomyślała, nadal trzęsąc się z oburzenia na jego uwagę. Słaba, rzeczywiście!

- A więc nie czuła się pani źle?

- Nie, skądże. Prawdę mówiąc, ta podróż bardzo mi się podoba.

- To dobrze - powiedział, obrzuciwszy krótkim spojrzeniem jej płaszcz. - Ma pani przed sobą długą drogę i widziałem, jak wiele kobiet ... traci zupełnie swoje wypukłości podczas takich rejsów. Za nic nie chciałbym, żeby przydarzyło się to pani.

Znowu zaczerwieniła się. Jak śmie mówić o jej figurze! - Do widzenia panie ... - Podniosła dłoń do skroni, jakby chciała usmierzyć ból głowy. Z tym człowiekiem bez nazwiska, pozwalającym sobie na nieprzyzwoite uwagi, nie sposób było rozmawiać w kulturalny sposób.

- Do widzenia! - zakończyła i odwróciła się, by odejść, fałszywie oburzona jego poufałością. Ale to tylko wzmogło tę poufałość. Poczuli, że chwytając ramię w stalowy uścisk. Rozejrzała się w popłochu, czy ktoś tego nie widzi, ale na pokładzie nie było nikogo, nawet marynarzy.

- Ależ z pani kołtunka, panno Dayne. Czy nikt pani jeszcze tego nie powiedział?

Spojrzała na niego, starając się ze wszystkich sił ukryć wstrząs, jaki odmalował się na jej twarzy. Stał tak blisko, że mogła dokładnie zobaczyć, jak jest przystojny, z tymi swoimi czarnymi włosami i surowymi, klasycznymi rysami. Był tak blisko, że czuła jego zapach. A była to woń zbliżona do woni morza - świeża, tajemnicza, podniecająca. Uderzała do głowy, jak dobre wino, i Aurora nie wiedziała, czy nie upoi jej za bardzo.

Chwycenie za ramię było już wystarczającym grubiaństwem, ale nazwanie jej kołtunką było zbrodnią nie do wybaczenia. Kołtunką była panna Gideon. Kołtunem był John. Ona była poszukiwaczką przygód.

Może jednak nie.

Spojrzała na niego raz jeszcze, a kiedy jej przestraszone błękitne oczy spotkały się z jego szyderczym wzrokiem, ogamęły ją wątpliwości. Poszukiwaczka przygód wyśmiałaby go, jak to robiły bohaterki niezliczonych powieści, które czytała. Poszukiwaczka przygód usadziłaby go i ruszyłaby dalej, gdzie czekałyby na nią większe wyzwania. Ona natomiast zdawała się go tylko prowokować do coraz większej zuchwałości.

- Proszę ... proszę puścić moje ramię - szepnęła, wściekła na siebie, że jej głos zabrzmiał tak cicho. - Naprawdę muszę już iść.

- Panno Dayne, czy jedyny sposób na to, żebym mógł z panią porozmawiać, to zamknąć panią w mojej kajucie?

Jej oczy zrobiły się jeszcze większe.

No więc jak?

- Nie - wydusiła.

- Dobrze. - Nagle puścił ją. - Jak na takie nieśmiałe stworzonko, potrafi pani być niezwykle nieznośna. Zdaje mi się, że nie na darmo ma pani ten rudawy odcień włosów.

Z zakłopotaniem upchnęła włosy pod czepek. Robiła, co mogła, żeby się uspokoić. Wreszcie spytała:

- Więc o czym chciałby pan ze mną porozmawiać? Uśmiechnął się, słysząc ten wymówiony z naciskiem tytuł. Wyglądało zupełnie tak, jakby potrafił czytać w jej myślach i przekonał się, jak ją przestraszył. Rozgniewała się. Też człowiek nawet świętego mógł doprowadzić do wściekłości.

- Panno Dayne, kapitan Corbeil i ja zaprosiliśmy dziś na kolację do mojej ~ajuty panią Lindstrom i mamy nadzieję, że pani też przyjdzie. Obiecuję świetne jedzenie. Mojego kucharza uczył fachu sam Careme i teraz

przyrządza on dla mnie wszystkie jego najświetniejsze potrawy.

- Nie jestem pewna, czy to wypada ...

- Zapewniam panią, że wypada - przerwał. - Pani Lindstrom jest z pewnością odpowiednią przyzwoitką dla takiego wzoru cnót jak pani.

Jego sarkazm nie uszedł jej uwagi, ale postanowiła udawać, że tego nie dostrzegła.

- Owszem, myślę, że pani Lindstrom jest odpowiednią osobą, ale ...

- Ale skąd ma pani wiedzieć, czy naprawdę tam będzie, tak? - Prawie roześmiał się. - No to dlaczego nie popędzi pani do jej kajuty i nie zapyta o to? Jestem pewien, że uspokoi pani obawy. Poza tym, w przeciwieństwie do pani, on jest mną zachwycony. Sądzę, że przekona panią, żeby przyjąć pani zaproszenie, choćby po to, żeby trochę rozproszyć nudę tej podróży ... i zaspokoić ciekawość, jaką w niej wzbudzam.

Najeżyła się, szczególnie na słowo "popędzić". Nigdzie nie popędzi. Dlaczego miałyby to zrobić?

Powiedziała chłodno:

- Sądzę, że jeśli pani Lindstrom przyjdzie, to ja też będę mogła tam być. Ponieważ uważam kapitana Corbeila za dżentelmena, jestem pewna, że kolacja przebiegnie zgodnie z zasadami przyzwoitości.

Odważyła się spojrzeć na niego. Miała nadzieję, że właściwie zrozumie uwagę o kapitanie Corbeilu. Kiedy zaczął się śmiać, była pewna, że rozumiał, choć wbrew jej intencji to nie ona z niego, lecz on z niej sobie zakpił.

- A może pójdzie pani do mnie i posłucha paru historii o kapitanie Corbeilu? - zachichotał. - Może wtedy zmieni pani o nim zdanie.

- Nie sądzą. Znam się na ludziach. - Obrzuciła go spojrzeniem, które nie powinno pozostawić mu żadnych wątpliwości, co do tego, jak go ocenia. I znowu, ku jej złości, roześmiał się.

- Wygrała pani. Ale przyjdzie pani na kolację? - Skrzywił usta w głupim uśmiechu.

- Przyjdę.

- O siódmej, dobrze?

- O siódmej. - Skinęła głową i odwróciła się, by odejść.

- Panno Dayne ...

Zamarła. Nie chciała, by raz jeszcze chwycił ją za ramię. Jeszcze nigdy nie pozwolił sobie na to wobec niej żaden mężczyzna i nie mogła dopuścić do tego, żeby temu weszło. To w nawyk.

- Tak? - spytała zmęczonym głosem.

- Słyszałem, co pani mówiła temu dziecku. O Gwiazdzie Aranu.

Zmarszczyła czoło. Gwiazda Aranu? Najwyraźniej nawiązywał do jej wierszyka, ale nie wiedziała, dlaczego go tak nazwał.

- To tylko taki wierszyk, którego nauczył mnie ojciec, kiedy byłam mała. Prawdę mówiąc, to wszystko, co o nim pamiętam. Dlaczego powiedział pan "Gwiazda Aranu"? Czy naprawdę istnieje coś takiego? Słyszał pan o tym wcześniej?

Przyjrzał się badawczo jej twarzy.

- To nie ma żadnego znaczenia. Myślałem, że taki jest tytuł tego wierszyka.

- A zatem ma pan zadziwiająco pamięć, jeśli domyślił się pan tego, usłyszawszy ten wierszyk za ledwie raz.

- Pamiętam wiele, panno Dayne.

Zapadła długa cisza, jak gdyby żadne z nich nie wiedziało co powiedzieć dalej. Ten człowiek był dla niej coraz większą zagadką i poważnie wątpiła, czy kiedykolwiek go zrozumie. Na pewno nie przed dopłynięciem do Jamajki.

Ponownie odwróciła się. - Jeszcze jedno.

- Tak? - spojrzała na niego. Przez ułamek sekundy wydawało się jej, że Vashon chce dotknąć jej policzka,

ale jeśli rzeczywiście miał taki zamiar, to szybko z niego zrezygnował.

- Chodzi o to dziecko, Hester. Jest wystraszona i nieczęsto się uśmiecha. To ładnie z pani strony, że powiedziała jej pani ten wierszyk.

- To drobiazg - odparła zakłopotana. - Lubię dzieci. Lubię patrzeć, jak się uśmiechają.

Spojrzał na nią uważnie.

- Jeśli tak, to wydawałoby się, że taka młoda kobietajak pani powinna raczej spędzać czas na zakładaniu rodziny, a nie podróżowaniu przez Atlantyk na statku pełnym obcych.

Sploszona, zerknęła na niego. Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze pragnęła mieć rodzinę. Kiedy była dzieckiem, najbardziej lubiła Boże Narodzenie, ponieważ w tym czasie sieroty chodziły po domach na placu Berkeley, śpiewając kolędy. I choć Aurora, która była wtedy naj młodsza, trzęsła się z zimna, nigdy nie chciała, aby pani Bluefield zabrała je z powrotem do Whitechapel. Chciała stać przed otwartymi drzwiami, zaglądać do przytulnych wnętrz i podglądać życie rodzinne, nawet wtedy, kiedy pan domu wziął na ręce jedno ze swych dzieci, aby wrzuciło do puszki pensa na sierociniec i kolędowanie skończyło się. Z tego pragnienia rzadko zwracała się komukolwiek, a już na pewno nie obcemu mężczyźnie. Nie powiedziała nawet o tym Johnowi Phippsowi, bo instynktownie czuła, że z nim nigdy nie będzie mogła ziszczyć tego marzenia. A kiedy była szczerą sama wobec siebie, wiedziała, że właśnie dlatego znalazła się na "Morskim Śmiałku". Choć częścią swej osobowości na pewno ucieszyła się, to inna jej część zdawała się biec ku czemuś: Albo ku komuś. Jeśli taki ktoś w ogóle istnieje.

Popatrzyła z wyrzutem na właściciela statku. Ten człowiek był tak obcesowy, i dociekliwy, że aż grubiański i nieprzyzwoity. Nigdy nie wiedziała, co za chwilę powie i bardzo ją to drażniło. Z wielkim trudem próbowała zachować obojętną minę.

- Zawsze uważałam moich podopiecznych za własną rodzinę. Nie odczuwam potrzeby posiadania innej.

- Rozumiem.

Popatrzył jej w oczy. Na ustach miał ten swój głupi uśmieszek. Zupełnie jakby dostrzegł jej słaby punkt, a nawet - choć to niemożliwe - podążał śladem jej myśli. Bezwiednie zarumieniała się.

- A więc do wieczora, panno Dayne - powiedział, litościwie pozwalając jej wreszcie odejść.

- Tak - wykrztusiła, martwiąc się, że zaledwie podczas drugiego spotkania ten okropny pirat odkrył jakoś jej piętę achillesową.

\*\*\*

Splynał anioł z nieba.

Rzekł: "Do Aranu iść mi trzeba".

Tam jest ma gwiazda utracona.

Czy możesz wskazać mi do niej drogę?

Bo sam znaleźć jej nie mogę.

Vashon zawzięcie studiował wierszyk. Starannie zapisał go w dzienniku okrętowym. Poruszając wargami czytał go cicho po raz setny. Pukanie do drzwi sprawiło, że zamknął dziennik ze zniechęceniem. Wielkimi krokami podszedł do drzwi i otworzył je szarpnięciem.

- Wzywałeś mnie? - do kajuty wszedł Izaak.

- Dał jej wierszyk dla dzieci! Cholerny wierszyk! To paplanina. bez sensu! - Vashon podał mu dziennik.

Izaak przeczytał wierszyk, a potem potarł brodę kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni, jedynymi palcami, jakie mu zostały. W końcu powiedział:

- Stary Michael Dayne nie był głupi. Dał swojej córce klucz do Gwiazdy, ale co jest tym kluczem ... Myślisz, że ona wie?

- Szczerze w to wątpię. Kiepska z niej aktorka, a kiedy zapytałem o Gwiazdę, zupełnie nie rozumiała, o co mi chodzi - jakbym mówił po chińsku. - Vashon wziął z powrotem dziennik i wsunął go na półkę mahoniowej, wbudowanej w ścianę biblioteczki. Najego twarzy malowało się rozczarowanie. - Kiedy usłyszałem, jak recytuje go temu dziecku, myślałem, że pęknę ze szczęścia! Nie mogłem się doczekać chwili, kiedy będę mógł tu przyjść i rozszyfrować to. Ale on jest zupełnie bez sensu! Musi być jeszcze jedna

linijka, nie ma innego wytłumaczenia. Będziemy musieli cierpliwie czekać, aż uda nam się ją z niej wydobyć.

Izaak zachichotał. Jego opalona i poryta zmarszczkami twarz jakby nagle odmłodziła z wesołości.

- No, a cierpliwość jest twoją zaletą, Vashon. Szczególnie jeśli chodzi o kobiety. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze nie walisz w drzwi jej kajuty, żądając, aby rozszyfrowała ten wierszyk. Widziałem mocniejsze kobiety upokorzone u twych stóp. Zauważ, nie mówię, że potem tego żałowały, ale lubisz raczej rozwiązania siłowe. Dlaczego więc teraz chcesz działać w białych rękawiczkach?

Vashon spojrział na niego spoode łba,

- Mamy na statku pasażerów. Co zrobię, jeśli ta mała zacznie się drzeć o pomoc? Wyrzucę ich do morza?

- Robiłeś już gorsze rzeczy.

- Niektórym osobom może tak, ale nie pasażerom. - Vashon zaczął bębnić palcami po stole. - Ale nie martw się. Zaprosiłem ją dzisiaj na kolację, a poza tym ... - Przerwał i pogрузzył się w myślach.

- A poza tym co? - spytał Izaak. Vashon uśmiechnął się złowieszczo. - Niedługo będzie nasza.

Aurora dokopała się do dna swojego wiklinowego kosza i znalazła suknię, której szukała. Strzepnęła ją i z ponurą miną obejrzała zgniecenia i zmarszczki.

Sukienka uszyta była ze zwykłej niebieskiej bawełny w białe groszki. Aurora sama wyhaftowała brzoskwiniowego koloru róże na kołnierzyku i rękawach. Była to jej najlepsza suknia, ale zapakowała ją na samo dno, myśląc, że minie dużo czasu, zanim nadarzy się okaZja, by ją włożyć. Teraz, widząc jak jest zmięta, zaczęła żałować, że nie umieściła jej na wierzchu.

Nerwowym ruchem rzuciła ją na łóżko. Wygładziła zmarszczki rękami, a potem poszła po grzebień. Długo zwlekała i teraz nie miała już dużo czasu, aby się przygotować. Mimo to chciała zaprezentować się jak najlepiej.

Przez całe popołudnie chodziła tam i z powrotem po swojej kajucie, myśląc o nim. Była już tak bliska odrzucenia zaproszenia, że nawet napisała liścik. Potem jednak podarła go na drobne kawałki, gdyż nie chciała, aby wzięto ją za tchórza. Vashon przerażał ją w jakiś dziwny i trudny do wyjaśnienia sposób. Podczas tych kilku spotkań zawsze udawało mu się odkryć coś, co trzymała w tajemnicy przed wszystkimi, zupełnie jakby potrafił przeniknąć do najtajniejszych zakamarków jej serca. Czasami miała uczucie, że on wie o niej więcej niż ona sama.

Jednakże, mimo iż starała się go unikać, nie mogła ukryć faktu, że fascynował ją. Jego bezczelne spojrzenie i jeszcze bezczelniejsze zachowanie powinno ją było zrazić do niego, ale jakoś nie zraziło. Przeciwnie - przyciągało ją, jak gdyby coś w jej duszy pragnęło jego towarzystwa.

Potrząsnęła głową z niesmakiem i złapała lusterko. Wolno wyjęła zapinki i zaczęła rozczesywać włosy. Nie czas teraz zastanawiać się nad tym tajemniczym Vashonem. Była zła na siebie po ostatnim z nim spotkaniu. Tłumaczyła sama sobie, że właśnie dlatego idzie na tę kolację. Postanowiła, że będzie tak zimna i obojętna, jak tylko potrafi, żeby nie pomyślał, że poruszyło ją jego gwałtowne zachowanie.

Delikatne pukanie do drzwi wyrwało ją z zadumy. Szybko splotła włosy i zarzuciła warkocz na ramię. Otworzyła drzwi i zobaczyła młodego stewarda.

- Dobry wieczór, Benny - powiedziała.

- Dobry wieczór, proszę pani - powiedział chłopak, stawiając w rogu miedzianą wannę.

Patrzyła, jak chodzi z kajuty na korytarz i z powrotem, nosząc wodę. Zdażyła już polubić Benny'ego. Był blondynem niewiele wyższym od niej, ale jego ruchy nie były ani tak szybkie, ani tak pełne młodzieńczej werwy, jak być powinny. Nie miał jednej nogi i normalnie używał kuli, ale tego wieczoru miał sztuczną nogę kunsztownie wykonaną z zebra wieloryba i ozdobioną rzeźbionym ornamentem. Najbardziej jednak rzucało się zawsze w oczy nie jego kalectwo ani nie przystojna twarz, ale ubrana w złoto-czerwoną liberię małpka, uczepiona jego ramienia bez względu na to, jak bardzo kiwało statkiem.

- A jak ma się dzisiaj Koonga? - spytała, podając małpce palec.

- Nieźle rozzłościła dzisiaj kucharza - odparł. - Wkradła się do kuchni i wypła całą śmietanę akurat, kiedy przygotowywał kawę dla pani Lindstrom.

- O rany!

Małpka owinęła swój ogon wokół jej nadgarstka i zaczęła jazgotać tak gwałtownie, jakby broniła się przed niesłusznymi posądzeniami.

Benny odwrócił do niej głowę i popatrzył z chmurną miną.

- Niedługo będzie zupa z małpy, jeśli nie będzie się pilnować.

- Och, tylko nie to! - roześmiała się Aurora, kiedy Koonga spojrzała na swego pana z wielkim zdziwieniem.

- Czy mam zrobić coś jeszcze, proszę pani? - spytał steward, napełniwszy wannę.

- Nie, nic. I tak już sprawiłam ci dosyć kłopotu. - Patrzyła nerwowo, jak kuśtyka do drzwi kajuty. Czuła się zażenowana tym, że się jej usługuje, choć Benny miał dopiero szesnaście lat, była przekonana, że nigdy nie pogodzi się z tym, by do jej kajuty wchodził mężczyzna.

- Kapitan powiedział, że zapuka do pani drzwi punktualnie o siódmej - powiedział, wręczywszy jej stos lnianych ręczników.

- Bardzo dziękuję - rzekła i patrzyła, jak odchodzi korytarzem. Jej spojrzenie ześliznęło się na sztuczną nogę. Ciekawiło ją, w jaki sposób ją stracił. Była zbyt dobrze wychowana, by zadawać takie pytania, ale nadal wydawało się jej dziwne, że tylu członków załogi było okaleczonych. Kapitanowi brakowało kilku palców u ręki, nawet kucharz nosił czarną przepaskę na oku. Oczywiście nie uskarżała się na nic. Cała załoga była czysta, dobrze ubrana i grzeczna. Ale gdyby zdjąć z nich tę warstwę uprzejmości, to okazałoby się niezłą zgrają.

Kiedy Benny wyszedł, szybko wykąpała się. Włożyła pończochy i koszulę, a potem przez głowę wciągnęła suknię. Suknia była ściągnięta pod piersiami i miała stanik ze zwykłego lnu. Był niezwykle płytki. Nie narażało to jednak na szwank jej skromności, gdyż dekolot zakrywało się przypinaną szpilkami wstawką, tak że wyhaftowany na niej wzór tworzył jedną całość z haftem na ramionach. Potem włożyła pantofelki. Ponieważ pantofle bez pięt z prawej i lewej nogi wyglądały identycznie, dopiero, kiedy podeszła do toaletki, zorientowała się, że włożyła je odwrotnie.

Zarzuciwszy na ramiona szal z szarej wełny, upięła włosy w duży kok, a potem bezwstydnie wypuściła kilka loków na skroniach. Chciała już spać, gdy z powrotem, kiedy ponownie zapukano do drzwi. Ścisnął się jej żołądek i poczuła, że cała dygocze. Była siódma.

- Dobry wieczór, kapitanie - powiedziała spokojnie, kiedy otworzyła drzwi. Kapitan Corbeil prezentował się bardzo elegancko w ciemnogrnatowej kurtce ze złotym szamerunkiem, który harmonizował ze złoceniami na czapce. W odróżnieniu od reszty załogi, która nosiła rozszerzane u dołu spodnie, kapitan miał białe bryczesy i buty z cholewami. Podał jej dwornie ramię. Wsparła się na nim, zadowolona, że ma się czego trzymać nawet podczas przechodzenia tych paru kroków, które dzieliły jej kabinę od kajuty Vashona.

Kiedy weszli, pani Lindstrom siedziała majestatycznie na kanapie o nogach w kształcie delfinów i popijała sherry. W odległym kącie kajuty krzątał się Benny, przygotowując stół do kolacji. Przez chwilę Aurora myślała, że jest tam tylko tych dwoje, ale spojrzała przez ramię i dostrzegła Vashona przy biblioteczkę, nalewającego kieliszki z całej baterii karafek.

Wyglądał wspaniale. Był ubrany bardzo skromnie - miał czarne spodnie, dwurzędową wełnianą kamizelkę koloru butelkowej zieleni i biały, muślinowy krawat - ale w tym surowym stroju było mu tak do twarzy, jak w żadnym innym. Ubiór ten podkreślał nie tylko jego wyjątkową urodę, ale też ten szczególny rys jego charakteru, którego nie wygładziła cywilizacja.

Uświadomiła sobie, że na niego patrzy, dopiero wtedy, gdy spotkały się ich spojrzenia. Dziwny dreszcz przebiegł jej po plecach. Chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła. Jego spojrzenie unieruchomiło ją prawie tak samo, jak przedtem jego chwyt. A kiedy tak patrzył na nią, odkryła w jego wzroku coś, czego przedtem nie dostrzegła. Patrzył na nią, jak na swoją niepodzielną własność. Jak pirat na swój łup ... a może na jeńca.

- Sherry, panno Dayne? - spytał nagle i czar przysł.

- Ja nie ... a ... dziękuję. - Chciała odmówić, ale stał już przy niej Benny z kieliszkiem sherry. Wzięła kieliszek i nerwowo pociągnęła łyk. Phippsowie zawsze surowo zakazywali spożywania jakiegokolwiek alkoholu w sierocińcu i jeszcze nigdy w życiu nie miała w ustach żadnego trunku. Ale w końcu teraz robiła mnóstwo rzeczy, których nie robiła nigdy przedtem. Znowu spojrzała nieufnie na gospodarza kajuty.

- Och, Auroro! - wykrzyknęła pani Lindstrom. - Tak się cieszę, że przyszedłeś! Vashon opowiadał mi właśnie mrozące krew w żyłach historie. Wyobraź sobie, może nawet w tej chwili płynie pod nami okropny wąż morski, który może połknąć cały statek! - Pani Lindstrom ochoczo posunęła się na kanapie, tak że zrobiło się miejsce dla jeszcze jednej osoby.

Aurora uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością i chętnie dała się zaprowadzić kapitanowi na kanapę. Zastanawiała się, jak przebrnęłaby przez tę całą dziwną podróż, gdyby nie dziarska Flossie Lindstrom.

- Nie wierzę, że naprawdę istnieją takie zwierzęta jak węże morskie - powiedziała swobodnym tonem Aurora, dziękując jej w głębi duszy za ten temat. - Tym niemniej na pewno zjawi się w porę Królewska Flota Wojenna, żeby obronić nas, gdybyśmy spotkali tak niegodziwe stwory, prawda, kapitanie?

Kapitan uśmiechnął się i usiadł na fotelu obok pań.

- Na pewno - powiedział, uśmiechając się szelmowsko do Vashona. - Prawdę mówiąc, musicie panie wiedzieć, że Królewska Flota Wojenna lubi statki Vashona. Wygląda na to, że gdziekolwiek popłynie, zaraz jego śladem podąża flota ...

- Brandy? - spytał Vashon, spoglądając spode łba.

- Dlaczego nie? - powiedział rozbawiony kapitan. - Jeśli mają nas zaatakować węże morskie, to powinienem się trochę przedtem rozerwać.

Aurora uśmiechnęła się i wypijała jeszcze jeden łyk sherry.

Wino paliło jej gardło jak ogień. Nie była pewna, czy jej smakuje, ale dzięki niemu czuła się nieco pewniej, o co trudno było w obecności Vashona.

- Phi! - zawołała pani Lindstrom. - Całe to gadanie o węzach morskich! To, że nie trzęsiecie się ze strachu, zawdzięczacie, panowie, tylko tej straszliwej rzeźbie na dziobie, która odstrasza wszystkie morskie *stwory!*- Dziarska wdowa wyglądała tak, jakby chciała sobie poplotkować. - Niech pan powie, Vashon, dlaczego na dziobie tego statku jest smok? Podejrzewam, że z tego samego powodu, z którego ten rzekomy statek pocztowy ma baterię dział akurat nad moją kabiną. Na Boga, Vashon! Przecież to nie jest żaden statek pocztowy, ale prawdziwy okręt wojenny.

Vashon uśmiechnął się kątem ust.

- Zapewniam panią, że to statek pocztowy. Dział używa się rzadko - to pozostałość z dawnych czasów. A jeśli chodzi o smoka, to na każdym moim statku, bez względu na jego nazwę, jest rzeźba smoka. Mam do nich słabość.

Aurora patrzyła na niego. Stał oparty niedbale o biblioteczkę. Lubił smoki. Były też na dywanie pod jego stopami. Także czarno lakierowany kufer z tyłu pomalowany był w smoki. Nawet najej kryształowym kieliszku wyrzeźbiony był smok.

- I to jest jedyny powód? - nalegała pani Lindstrom.

- Okazuje się też, że ludzie je pamiętają.

- I może ... trzymają się od nich z daleka?

Vashon upił łyk z kieliszka. Uśmiechnął się szerzej. -

Myślę, że tak też można na to spojrzeć.

- Och, to fascynujące. Doprawdy fascynujące. - Wdowa klasnęła w dłonie. - To dlatego na pana statki nikt nigdy nie napada. Wszystkie podejrzane statki po prostu odpływają, kiedy zobaczą takiego budzącego lęk smoka.

Aurora patrzyła na swój kieliszek. Bawiąc się medalionem, zastanawiała się, czy nie odpływają też ze strachem. Myśl o tym nie dawała jej spokoju, szczególnie kiedy przy.: pomniała sobie, że pani Lindstrom wysiada w St. George, nawet nie w trzech czwartych drogi do celu jej podróży.

- Kolacja podana, proszę pana - oznajmił Benny.

Kapitan Corbeil poderwał się, aby zaprowadzić panią Lindstrom do stołu. Aurora miała zamiar wstać, kiedy Vashon zaoferował jej swoje ramię. Nie chciała przyjąć jego pomocy, ale jakiś głos wewnętrzny mówił jej, że nie powinna pokazywać, jaką onieśmiela. Uśmiechnęła się z gracją, podała mu swobodnym gestem rękę i choć jego ramię okazało się okropnie twarde i potężne, pozwoliła zaprowadzić się do stołu.

Kiedy usiedli, rozmowa zeszała na tak przyziemne tematy, jak wino i talent kucharza. Kolację podano na

wy\_ kwintnej porcelanie Imari. Aurora uznała, że kucharz musi być niemal geniuszem, skoro udało mu się z zapasów okrętowych przyrządzić aż siedem potraw. Ukoronowaniem uczyty był ananas, *który* jeden ze statków Vashona przywiózł do Queenhithe tej nocy, której wypłynęli. Aurora widywała oczywiście te drogie owoce w oknach wystawowych sklepów, ale nigdy nie wyobrażała sobie, że kiedyś uda się jej poznać ich smak. Kiedy Benny go pokroił, kajutę wypełnił wspaniałym zapachem. Choć była najedzona aż do przesyty, zjadła do ostatniego kawałka część, którą jej podano.

Kiedy wreszcie skończyła, odsunęła pusty talerzyk i poczuła na sobie wzrok właściciela statku. Pomyślała, że pewnie uważa ją za żarłoka, ale wyglądało na to, że chodzi mu o coś innego.

Kiedy podano paniom herbatę, zwrócił się do niej:

- Jak rozumiem, panno Dayne, płynię pani na Jamajkę. Co panią tam wzywa?

- Mieszka tam moja nowa chlebodawczyni. - Czuję się dziwnie, odpowiadając na to pytanie. - A kto to taki, jeśli wolno zapytać?

- Lady Perkins z plantacji Roselawn.

- Vashon - wtrąciła się pani Lindstrom - czy słyszał pan kiedy o Roselawn? Bo ja nie, a muszę się pochwalić, że znam wszystkich. Ale pan podróżuje więcej niż ja ... Może nam pan coś powiedzieć o tym miejscu, do którego płynię Aurora?

Vashon siadł wygodniej w fotelu. Zerknął na kapitana.

\_ Owszem. słyszałem o Roselawn. Słyszałem też o lady Perkins. Zdaje się, że jest despotką. Myślę, że w przyszłości panna Dayne dobrze się zastanowi, zanim przyjmie propozycję pracy u osoby, której nie zna.

\_ Pan musi się mylić! - wybuchnęła Aurora, wstrząśnięta, że pozwala on sobie na takie opinie o jej cudownej nowej chlebodawczyni. - Lady Perkins na pewno nie jest taka, jaką pan przedstawia. To, że opłaciła mi podróż tym statkiem, jest najlepszym dowodem jej dobrego charakteru.

\_ A jak inaczej miałyby zwabić miłą angielską dziewczynę? Wiem z własnego doświadczenia, że lepiej jest wziąć kogoś na miód niż na ocet... przynajmniej na początku.

\_ Jej list był bardzo uprzejmy, a pensja, którą mi zaproponowała, więcej niż bardzo dobra. Musi się pan mylić. Osoba, o której pan mówi, na pewno nie jest lady Perkins z Roselawn .

- Pani lojalność w stosunku do pracodawczyni, której nigdy pani nie widziała, przynosi pani zaszczyt. panno Dayne - powiedział Vashon z dziwnym wyrazem twarzy. Fakt, że broni swej chlebodawczyni, zdawał się sprawiać mu przyjemność. choć z drugiej strony był wyraźnie niezadowolony z tego, że tak niespodziewanie okazała silny charakter.

\_ Myślę jednak, że w przyszłości, kiedy uświadomi pani sobie, jakie to niewdzięczne zadanie być służącą złośliwej staruchy, przyzna mi pani rację.

Aurora starała się zdusić gniew, który wrzał w jej piersi. Arogancja tego człowieka nie miała granic!

\_ Szczerze wątpię, by kiedykolwiek do tego doszło, ale nawet gdyby tak się stało, to nie sądzę, by nasze drogi jeszcze raz się skrzyżowały. Tak więc nie będzie okazji, bym mogła przyznać panu rację.

- Och, droga Auroro! - wtrąciła się pani Lindstrom, odsuwając swój talerz. - A jeśli Vashon ma rację?

- Nie ma racji - odparła Aurora, czując, że zachowuje się dość bezczelnie.

- Niech pani da spokój, panno Dayne - powiedział Vashon. - Jest pani zbyt młoda, aby mówić tak stanowczo o tym, co dzieje się na świecie. W końcu ile ma pani lat? Pewnie nie więcej niż osiemnaście?

Aurorze aż dech zaparło ze złości. Jak bardzo nie lubiła pytań o jej wiek!

- Może mam dopiero osiemnaście lat, proszę pana, jednak sądzę, że mam tyle zdrowego rozsądku, by wiedzieć, co mówię. A opierając się na nim, nie mogę uwierzyć, że lady Perkins nie jest dobrą i sprawiedliwą osobą.

- Osiemnaście? - wykrzyknęła Flossie. - Dobry Boże, Auroro, jak możesz mieć teraz osiemnaście lat. skoro powiedziałas mi w Queenhithe, że masz dziewiętnaście?

Zapanowała przeraźliwa cisza. Aurora czuła na sobie wzrok wszystkich. Powoli na jej policzki wypełznął rumieniec. Nie śmiała oderwać oczu od talerzyka, jakby oczekiwała od niego wybawienia z tej sytuacji.



- Bardzo przepraszam, pani Lindstrom - zaczęła trzęsącym się ze wstydu głosem - ale będąc sierotą, nie mam niestety szczęścia znać daty swych narodzin. A więc ... mogę się tylko ... domyślać, ile mam lat.

Flossie przymknęła oczy, jakby wstydziła się poniewczasie'-swej uwagi. Izaak po prostu patrzył gdzieś w bok, jakby ta cała scena wprawiała go w zakłopotanie. Jediną osobą, która nie odwracała wzroku, był Vashon, ale Aurora nie mogła się zorientować, czy jego fascynacja brała się z faktu, że została tak upokorzona, czy też z niechętnego uznania dla sposobu, w jaki je zniosła.

\_ zachowałam się jak straszna grubianka, Auroro. Powiedz, że mi wybaczasz. Obiecuję, że już nigdy nie będę zadawała takich wstrętnych pytań - odezwała się w końcu Flossie.

- Nic się nie stało - odparła Aurora, pragnąc jak najprędzej zmienić temat.

Flossie wzięła głęboki oddech.

- No, załatwmy w końcu sprawę tej lady Perkins. Zostaniesz, kochanie, ze mną w st. George. Napisziesz do tej strasznej kobiety list z przeprosinami, a ja znajdę ci odpowiednią pracę...

Kapitan Corbeil poderwał się nagle i przewrócił swój kieliszek z Chartreuse. Żółtozielony likier popłynął strumykiem wprost na suknię pani Lindstrom.

\_ Najmocniej przepraszam! - zawołał kapitan. - Co za niedołęga ze mnie!

- Nie, nie, wszystko w porządku - odparła wdowa, wycierając suknię serwetką.

- Zapłacę pani za tę suknię. Musi pani się na to zgodzić.

- Niel Moja pokojówka bez kłopotu usunie płamę. Niech pan nawet o tym nie wspominał

\_ Wobec tego odprowadzę panią zaraz do kajuty, żeby mogła to zrobić.

Bez dalszej zwłoki kapitan podał jej ramię i zdawało się, że siłą wyciąga panią Lindstrom. Aurora zaczęła się zbierać do wyjścia, ale oni byli już za drzwiami. Ku swemu przerażeniu, stwierdziła, że została przy stole sama z nim.

- Jeszcze herbaty, proszę pani?

Przestraszona, spojrzała w bok i zobaczyła, że stoi przy niej Benny ze srebrnym czajnikiem. Odetchnęła z ulgą.

- Nie, dziękuję. Ja też już powinnam iść. - Uśmiechnęła się nerwowo do stewarda i wstała. Potem zebrała się na odwagę i powiedziała do Vashona:

\_ Kolacja była wyśmienita. To miło, że mnie pan zaprosił.

Vashon podniósł się z fotela. Miał taką minę, jakby nie załatwili jeszcze do końca jakiegoś interesu.

- Nie musi pani już wychodzić, panno Dayne - powiedział.

Jej spojrzenie powędrowało do Benny'ego, który właśnie miał wyjść ze stosem brudnych naczyń.

- Nie, naprawdę muszę już iść ... - Za Bennym zamknęły się drzwi i nastąpiła onieśmielająca ją cisza. Czując się jak w pułapce, rozejrzała się nerwowo za szalem. Miała go na ramionach, kiedy przyszła, ale w trakcie kolacji gdzieś się zawieruszył.

Zobaczyła go na kanapie i szybko skierowała się w jej stronę, ale ku swemu przerażeniu stwierdziła, że coś zagradza jej drogę. Spojrzała w górę i zobaczyła zielone oczy Vashona, zmrużone w sardonicznym uśmiechu.

- Moja kajuta to nie Almack, panno Dayne. Nie musi pani wychodzić tylko dlatego, że zostaliśmy sami. Nie ma tu żadnej zgorszonej matrony, która mogłaby zepsuć pani reputację.

- To był długi wieczór i na pewno marzy pan o wypoczynku. Nie mogę tego przedłużyć. - Udając, że nie dostrzega jego sarkazmu, starała się obejść go bokiem, ale za każdym razem zagradzał jej drogę. W końcu zorientowała się, że nie pozwoli jej wziąć szala i zmarszczyła gniewnie czoło. Prawie śmiał się z niej. Jak zwykle, jej przestraszony zdawał się niezwykle go cieszyć, ale to tylko zwiększyło jej złość.

- Czy mogę wziąć swój szal. ... czy też jest pan zwykłym chamem? - spytała ostro. Miała nadzieję, że po tych słowach pozwoli jej przejść, ale rozczarowała się. Choć ten nagły wybuch gniewu wyraźnie zaskoczył go, wyglądało na to, że jej obelga sprawiła mu dziką radość.

- Muszę przyznać, że jeszcze nikt nie postawił tej sprawy tak jasno. - Uśmiechnął się i skrzyżował ramiona na potężnej klatce piersiowej. - Ale skoro została postawiona, to obawiam się, że odpowiedź nie przypadnie pani do gustu.

Patrzyła rozszerzonymi oczami. Ten człowiek nie miał nawet tyle wstydu, żeby skłamać.

- Rozumiem - powiedziała lodowato. - Jeśli tak, to z pewnością zrozumie pan, że nie ma mowy, żebym została tu choćby minutę dłużej - spojrzała z żalem na szal, a potem skierowała się w stronę drzwi. Szal może odnieść jej jutro Benny. Nie było sensu ryzykować teraz, żeby go odzyskać.

Stała już na progu, kiedy usłyszała za sobą jego szybkie kroki. Zdażyła otworzyć drzwi nie więcej niż na sześć cali, gdy jego ręka zamknęła je znowu.

- Nie mogę pozwolić, żeby pani tak wyszła. Uchybiłbym swoim obowiązkom gospodarza.

Obróciła się na pięcie i stanęła z nim twarzą w twarz. Policzki jej płonęły gniewem.

- Albo pozwól mi pan zaraz wyjść, albo poskarżę się kapitanowi, jeśli będzie mnie pan tu więził choćby jeszcze przez chwilę!

- Więził? Czyżby uważała się pani za więźniarkę? Oparł się o ścianę. Ten ruch sprawił, że znalazł się jeszcze bliżej niej. Odchyliła do tyłu głowę, aby spojrzeć mu w oczy. Wydawało się, że jej oskarżycielskie spojrzenie niesłychanie go bawi. - Musisz się dużo nauczyć o więźniarkach, Auroro - dodał, cedząc wolno słowa.

Jej imię w jego ustach zaszokowało ją. Wymówił je z łagodnością, której się absolutnie nie spodziewała. zabrzmiało to zupełnie jak pieszczota. Jak intymna, połączona z uznaniem pieszczota. zacerwieniła się od stóp do głowy.

- Na pewno wiem tyle o więźniarkach, żebym nie potrze- . bowała uczyć się o nich od pana - odparła głosem niewiele wyższym od szeptu.

- Może po tym, co usłyszała pani ode mnie o lady Perkins, uważa pani, że ona nauczy panią tego lepiej.

- Powiedziałam już, że pana bezpodstawne pomówienia nie zwrócą mi przeciwko niej.

- Nawet po propozycji pani Lindstrom? Daj spokój, Auroro, teraz musi to być dla ciebie nader atrakcyjna propozycja. Pówdz, że nie masz zamiaru zejść ze statku w St. George. - Jego żądanie zawisło ciężko w powietrzu.

Zacisnęła pięści, a potem spojrzała w jego szmaragdowe oczy.

- Mam bardzo dobre mniemanie o lady Perkins - powiedziała. - I dopóki moja nowa chlebodawczyni nie udowodni swoim zachowaniem, że się mylę, nie zmienię zdania o niej. A na razie pana opinia na temat mojej sytuacji nic mnie nie obchodzi. Prawdę mówiąc, martwi mnie tylko jedno - dlaczego to pana tak interesuje. Z pewnością ma pan poważniejsze sprawy na głowie niż troszczenie się o moje dobro.

Spodziewała się ujrzeć najego twarzy irytację. Wyraźnie chciał, aby nie spotkała się z lady Perkins, ale kiedy usłyszał, że nie ma zamiaru z tego zrezygnować, z jego twarzy znikł wyraz napięcia. Nagle roześmiał się.

- Pani imię pasuje do pani, Auroro. Jest pani albo płomienna, albo szara, zupełnie jak świt. Sądzę, że widziałem za dużo szarości. Stanowczo zbyt mocno odchyła się pani w kierunku, w którym wieje wiatr przyzwoitości. Jednak wiatr może się zmienić.

Zakończywszy tym enigmatycznym stwierdzeniem, wyprostował się i podszedł powoli do kanapy.

Przyglądała się, jak podnosi szal. Ku jej zdumieniu, rozwinął go jak dżentelmen, czekając, aż pozwoli położyć go na swych ramionach. Kiedy jednak zrobiła to, zachował się zupełnie przeciwnie niż dżentelmen, bo ułożenie szala zajęło mu więcej czasu, niż było trzeba. Jego ręce, silne i niewiarygodnie ciepłe, otuliły ją nim powoli, a potem zsunęły się po jej okrytych szalem ramionach, aż zadrżała pod wpływem tego dotyku.

Nie szarpnęła się, jak mogłaby jeszcze przed chwilą przypuszczać. Przeciwnie, prawie pragnęła, by ta pieszczota powtórzyła się jeszcze raz. Nigdy nie czuła na sobie ręki mężczyzny. John Phipps nigdy jej nie dotknął. Może gdyby Johna Phippsa zżerała gorąca, bezinteresowna namiętność, nigdy go nie opuściła, ale jego miłość była chłodna, zrodzona z zachłanności i obłudy, i nie było w niej miej sca na liczenie się z jej pragnieniami. Dla Johna była rzeczą, którą chce się mieć, a nie pieścić.

Kiedy odwróciła głowę, aby zerknąć na Vashona, poczuła się mimo woli nieco rozczarowana, że się odsunął. Choć jego dotknięcie było niebezpieczne, niemal zapragnęła go jeszcze raz. Ale on stał już w progu. Stała jak przygwożdżona do podłogi, patrząc, jak otwiera szeroko i przytrzymuje drzwi kajuty.

- Twoja sypialnia czeka, pani - powiedział, jak gdyby chciał ją ruszyć z miejsca.

- Vashon, ulokowałem wdowę w jej kabinie, ale co teraz, na miłość boską, zrobimy z ... ? - W drzwiach nagle pojawił się kapitan, lecz kiedy ujrzał Aurorę, słowa zamarły mu na ustach.

Skonsternowana zaskoczeniem kapitana, Aurora zaczerwieniła się jak piwonia. Zrobiła z siebie widoWisko. Dla postronnego obserwatora mogło to wyglądać tak, jak gdyby Vashon próbował ją nakłonić, by poszła do swojej sypialni, a ona nie chciała wyjść!

Upokorzona tym, co sobie - w jej mniemaniu - pomyślał o niej kapitan, przechodząc koło niego, nie śmiała spojrzeć mu w oczy. Wyszła, mamrocząc podziękowania za przyjęcie, i poszukała ukojenia w swojej kabinie.

Kiedy wyszła, wymienili parę słów. Vashon powiedział tylko:

- Wszystko w porządku.

A kapitan odpowiedział: 81

- Dzięki Bogu. Przez chwilę myślałem, że będziemy musieli porwać cały ładunek pasażerów ... poczynając od tej przekłętej wdowy!

\*\*\*

Ta pieszczota nie dawała jej spokoju przez całą noc. Nawet teraz, kiedy stała na pokładzie dziobowym grzejąc twarz w promieniach słońca, prześladowała ją pamięć o niej. Kiedyś myślała, że jeśli w ogóle zdarzy się jej marzyć o mężczyźnie, to będzie on przypominał któregoś ze szlachetnych jasnowłosych książąt z *Bajek* Perraulta. Teraz jednak, ku swemu niemałemu zmartwieniu, stwierdziła, że jej marzeniami zawładnęła zupełnie odmienna postać ciemny, tajemniczy, budzący lęk właściciel "Morskiego Śmiałka".

Było to zaledwie dotknięcie, ale jakoś nie mogła go wymazać z pamięci. Kiedy spała, wciąż odtwarzała w snach scenę, w której Vashon podał jej szal. Tyle tylko, że we śnie nie odsunął się. Nie cofnął ręki. Przeciwnie, jego stalowa ręka zsuwała się po jej ramieniu aż do talii, dopóki ona nie odwróciła głowy. Wtedy spotkały się ich spojrzenia i on pocałował ją, pocałował ją tak mocno, jak tylko mogła to sobie przedstawić w swej dziewiczej wyobraźni.

Powinny ją były dręczyć zmyślenia, szczególnie po tym, co ją sędziła - pomyślał sobie kapitan Corbeil. Ale kiedy się obudziła, była zbyt przejęta snami o Vashonie i o tym, co znaczący dla niej, żeby martwić się o opinię kapitana.

- Kapitan powiedział, że wieczorem może być sztorm. Aurora, wyrwana nagle ze swych mrocznych rozmyślań, zmarszczyła brwi i spojrzała na pannę Gideon. Spędzała z nią i panią Lindstrom popołudnie, pilnując Hester. Uświadomiła sobie, że musiała nie słyszeć części konwersacji, ponieważ nie pamiętała, kiedy ich luźna rozmowa zeszała na temat pogody.

- Mieliśmy dotąd świetną pogodę. Nie dziwi mnie, że szczęście ma się zmienić - stwierdziła, patrząc na błękitny horyzont, aby ukryć zmieszanie. Od chwili, kiedy wyszli z portu, pogoda im sprzyjała. Ostatnio w czasie dnia było ciepło i nie musiały już wkładać płaszczy wychodząc na pokład.

- Nasze szczęście nie zmieni się - zapewniła je pani Lindstrom. - Kapitan Corbeil jest doświadczonym żeglarzem. Na pewno dowiezie nas do St. George.

- A ile jeszcze mamy przed sobą drogi? - spytała panna Gideon. - Nie chciałabym przechodzić więcej niż jeden sztorm podczas tej podróży.

- Izaak. .. nasz kapitan powiedział mi, że powinniśmy tam dopłynąć w tym tygodniu. - Pani Lindstrom miała tyle przyzwoitości, żeby zmieszać się swym przejęciem. Aby to ukryć, paplała dalej: - Wiecie, nigdy jeszcze nie widziałam statku, który by przebył tę drogę w tak krótkim czasie. Kapitan Corbeil nie zwija o zachodzie słońca nawet części żagli. .. nie marudzi. Nic z tych rzeczy!

Aurora nie mogła powstrzymać uśmiechu. Od czasu, kiedy kapitan wylał likier na suknię Flossie, nie potrafiła ona mówić o niczym innym, jak tylko o ich znakomitym kapitanie. Zapytała nawet kiedyś po cichu Aurorę, czy nie postąpi zbyt śmiało, zapraszając kapitana na poobiednią herbatę do swojej kabiny. Mimo swego wieku, Flossie zadurzyła się jak podłotek w kapitanie, a Aurora uważała, że to czarujące. Była zadowolona, że podróż nie skończy się zbyt szybko. Przynajmniej dla pani Lindstrom.

Nic nie uszło uwagi panny Gideon, 'Więc spojrzała na wdowę z dezaprobatą.

- Nasz kapitan może być nadzwyczajny, ale musiałby być samym Bogiem, żeby odwrócić sztorm. Mam tylko nadzieję, że sztorm nie obudzi dziecka. Nie cierpię uspokajając dziecięcych lęków, a muszę powiedzieć, że jest dość trudno zasnąć, kiedy ktoś zawodzi w kajucie.

Chodząca dobroć pomyślała gorzko Aurora, patrząc na nią. Trudno jej było utrzymać język na wodzy, więc przeniosła wzrok na Hester. Dziewczynka patrzyła z zadartą głową na "bocianie gniazdo", jakby dopiero teraz odkryła, że jest na nim człowiek. Aurora znowu poczuła gorący przypływ uczucia do niej. Miała nadzieję, że sztorm nie będzie zbyt silny, bo w takim razie dziecko nie znajdzie w opiekunce żadnej pociechy.

- Panno Dayne ... - panna Gideon przerwała, jakby czekając na jej reakcję. Aurora z powrotem spojrzała na nią. - Chciałam z panią o czymś porozmawiać - kontynuowała panna Gideon. - Pozwoli pani, że podejmę ten temat teraz?

- Oczywiście. O co pani chodzi? - odparła Aurora niezbyt uprzejmie.

- Czy pani wie, że jest pani jedyną osobą, która płynie dalej, na Jamajkę? Rozmawiałam dziś rano z Wainwrightami i teraz mam już sprawdzonych wszystkich dziewięcioro pasażerów.

- Na pewno wsiądą jacyś pasażerowie w St. George. Wątpię, abym była jedyną pasażerką.

- A jeśli jednak nikt nie wsiądzie? Pomyślała pani, co się może stać? - Oczy panny Gideon zwięzły się. - Ja na pewno nie zgodziłabym się podróżować z takimi poganami. - Jej spojrzenie ześliznęło się na dolny pokład, gdzie stał Vashon, rozmawiając z marokańskim żaglomistrzem. Nawet z forkaasztelu słyszały, jak z łatwością przechodzi na francuski, pokazując mu rozdarcie w jednym z żagli.

- Vashon nie jest poganinem, panno Gideon - powiedziała pani Lindstrom. - Można go raczej nazwać ekscentrykiem.

- Ekscentryk czy nie, nie sądzę, aby wypadało młodej kobiecie płynąć przez Karaiby z nim jako jedynym towarzyszem. Dama o wysokiej moralności stanowczo by się temu sprzeciwiła. Zgadza się pani ze mną, panno Dayne?

Zirytowana Aurora starannie dobierała słowa. Chciała przywołać pannę Gideon do porządku, ale jeszcze bardziej chciała zaprzeczyć jej oskarżeniu, mając nadzieję, że robiąc to, wymaże ten niegodziwy sen i swoją na niego reakcję.

- Przeciwnie - zaczęła zapalczywie - właśnie dama o wysokiej moralności nie sprzeciwiłaby się. Czego miałyby się bać? Nadal wierzę, że w St. George weźmiemy na pokład innych pasażerów. Gdybyśmy jednak nie wzięli, to mogę pani zaręczyć, że moje zachowanie zawsze jest i zawsze było, bez zarzutu. Nie rozumiem więc, jakie to ma znaczenie, czy będę podróżować z poganami czy ekscentrykami. J a, w przeciwieństwie do niektórych osób, nie dam się sprowadzić na manowce.

- Brawo, Auroro! - krzyknęła pani Lindstrom.

- Cóż za tupet! - Panna Gideon zmierzyła je obie miażdżącym wzrokiem, pOIwała dziecko i zesłała na dół.

- Cóż za wyjątkowo niemiła kobieta! Kwestionować twoją moralność! To przechodzi wszelkie granice! Mam nadzieję, że przynajmniej wuj tego dziecka nie jest taki okropny! - Pani Lindstrom zatrzasnęła parasol, jakby chciała tym zaakcentować swoje oburzenie.

- Ja też mam taką nadzieję - powiedziała Aurora, patrząc na pannę Gideon przechodzącą obok budki.

Vashon skończył rozmowę i teraz stał oparty o burtę. Widziała, że on też obserwuje odwrót oburzonej panny Gideon.

Kiedy tylko zniknęła, przeniósł wFok na Aurorę i to jedno spojrzenie jego szmaragdowych oczu wstrząsnęło Aurorą do głębi. Skonstelowana, odwróciła oczy, żeby nie dać się więcej uwodzić, ale zanim to zrobiła, opadły ją na nowo wątpliwości. Zaledwie przed chwilą była całkowicie • pewna, że potrafi się oprzeć wszelkim pokusom i zachować nietkliwą część. Czyżby była taką idiotką? Może istnieją takie dziwy jak smoki - choćby tylko w wyobraźni. Czy naprawdę zdoła w pojedynkę przeciwstawić się temu wszystkiemu?

- Naprawdę myślisz, że nie weźmiemy żadnych pasażerów w st. George? - spytała nagle Aurora, marszcząc brwi. - Oczywiście, że nie, kochanie. Poza tym nie musisz się martwić. Zawsze pozostaje jeszcze kapitan Corbeil. On zaopiekuje się tobą.

Aurora jeszcze raz rozejrzała się po pokładzie. Do stojącego przy burcie Vashona podszedł kapitan. Obaj śmiali się i było jasne, że któryś z nich opowiedział jakiś dowcip.

Z nie wyjaśnionych powodów poczuła nagle, że słowa pani Lindstrom wcale jej nie uspokajają.

Wczesnym wieczorem przepowiednia kapitana sprawdziła się.

Chociaż jeszcze nie padało, na horyzoncie pokazały się groźne, ciężkie chmury i słychać było grzmoty, a morze wzburzyło się i zaczęło miotać statkiem. Przed kolacją Aurora stwierdziła, że trudno jej będzie nadać sobie przyzwoity wygląd, bo za każdym razem, kiedy nalała wody z dzbana, statkiem podrzucało i cała zawartość miski znajdowała się na podłodze. Gdy wreszcie umyła twarz, kabina wyglądała jak po potopie.

Kolacja przebiegła spokojnie. Większość pasażerów albo zamówiła posiłki w kabinach, albo od ustawicznego kołysania czuła się zbyt źle, aby jeść. Kiedy weszła do mesy, była tam tylko pani Lindstrom i bracia Alex i Lee Magounowie. Ci siedemnastoletni młodzieńcy, choć uważali się już za dorosłych mężczyzn, szybko jednak wyszli, gdyż nie mogli wśród ciągłych przechyłów statku dokończyć kolacji. Przeprasili więc panie, a i pani Lindstrom wkrótce się zabrała, aby zająć się swą, cierpiącą na chorobę morską, służącą. Aurora została sama.

Jakoś nie chciało jej się wracać do pustej kabiny. W sierocińcu bez przerwy znajdowała się w towarzystwie innych osób, dlatego teraz czuła się nieswojo, musząc tyle czasu spędzać samotnie. Mimo iż na statku nie było wiele miejsca, czuła się odizolowana od reszty pasażerów, tym bardziej, że wszyscy mieli kabiny pod pokładem działowym, a jej znajdowała się na rufie.

Siedziała w jadalni, jak długo mogła, ale w końcu zdecydowała się wrócić do siebie. Choć wstrząsy nie zaszkodziły na razie jej zdrowiu, przeszkadzały w zejściu do kabiny. Zataczała się od ściany do ściany, chwytając się mahoniowej boazerii, gdy przechył był wyjątkowo gwałtowny. Ostatnich kilka kroków przeszła jak pijana, ale zanim zdążyła sięgnąć do klamki, potężny wstrząs rzucił ją na drzwi naprzeciwko. Nic by się nie stało, gdyby nie to, że drzwi Vashona nie były dobrze zamknięte. Pod naporem jej ciała otworzyły się i upadła na dywan w jego kabinie.

Przerażona tym, co się stało, szybko podniosła się na kolana, modląc się, by kabina była pusta. Kiedy jednak podniosła wzrok, jej oczom ukazał się straszny widok. Wznosił się nad nią jadownicie zielony smok, bardziej srogi i realistyczny niż ten na dziobie, gotowy do ataku. Zdawał się poruszać w rytm kołysania statku. Kiedy tak klęczała, sparaliżowana tym widokiem, dopiero po chwili zaczęło do niej docierać, że nie jest to prawdziwy smok, ale jego wizerunek ... namalowany na nagich plecach mężczyzny.

zanim zdążyła odwrócić wzrok, Vashon obrócił się i nagle smok zniknął, ustępując miejsca jego zachmurzonej twarzy.

- Nie powinna pani była najpierw zapukać, panno Dayne? - spytał, i chwyciwszy ją za rękę, postawił na nogi. W tym momencie statek poleciał w dół i choć podejrzewała, że ma on tyle siły, by utrzymać równowagę, pozwolił, by wstrząs rzucił ich na drzwi, które zatrzasnęły się z hukiem.

- Pana ... pana plecy - wyjąkała, zdenerwowana jego bliskością i tym, co zobaczyła.

- To się nazywa tatuaż - powiedział oschle.

- Ale jak pan mógł namalować coś takiego na swoim ciele? Przecież to jest na pana plecach - szepnęła.

- To nie ja namalowałem... zrobiła to piękna Chinka. W Pekinie. W zakazanym mieście. - Spojrzał na nią i to, co zobaczył, wprawiło go w dobry nastrój. Na ustach zaczął mu się błąkać uśmiezek.

- W Chinach? - spytała, patrząc na niego oszołomionym wzrokiem. - Ale skoro dał pan to zrobić sobie w Chinach, to jak to się stało, że jeszcze nie zeszło?

- To nie schodzi. - Obrócił się nieco i pokazał jej część smoka. - Proszę dotknąć i samej sprawdzić.

Nigdy nie dotykała pleców mężczyzny, ale ten tutaj prosił, żeby to zrobiła. Smok był przedstawiony tak szczegółowo i wyglądał tak groźnie, że trudno jej było uwierzyć, iż jest namalowany na skórze. Bojaźliwie wyciągnęła rękę. Koniuszkami palców dotknęła pokrytego łuskami ogona bestii. Wił się on po jego plecach jak serpentyna i zniknął pod spodniami. Ale choć smok wydawał się tak prawdziwy, pod palcami czuła tylko ciepłe, gładkie, umięśnione ciało. Gdyby miała zamknięte oczy, nigdy by się nie zorientowała, że jest tam smok.

- Ale dlaczego to nie schodzi? - spytała stłumionym głosem.

Odwrócił się do niej. Statek przechylił się i Vashon przytrzymał ją do drzwi, trzymając ją mocno, by się znów nie przewróciła.

- Nie schodzi, bo nie jest na skórze, ale w skórze. Został zrobiony za pomocą igły i barwników.

- To musiało strasznie boleć ...

Nagle roześmiał się i uderzyło ją, jak równe i białe są jego zęby i jak jest przystojny, gdy się uśmiecha. Gdyby nie był takim barbarzyńskim "ekscentrykiem", jak go nazwała pani Lindstrom, z pewnością miałby kobiety u swoich stóp. Kiedy przyglądała mu się tak z bliska, pomyślała, że kto wie, czy i tak jakieś nie omdleją na jego widok.

- Bolało. I to bardzo - powiedział, patrząc na nią. - Ale ta Chinka była bardzo zręczna ... a kiedy skończyła, użyła niezwykłych sposobów, abym zapomniał o bólu. Doskonale je pamiętam.

Aurora wytrzeszczyła oczy. Nie wiedziała, co daje jej do zrozumienia, ale instynktownie czuła, że dzentelmen nigdy nie powiedziałby czegoś takiego.

Zakołysało statkiem i rzuciło ją na jego nagą, twardą pierś. Ponownie uderzył ją jego zapach, dziwny i tajemniczy. Nie chciała go dotykać, ale tylko jego mogła się chwycić. Jej jedna ręka owinęła się wokół jego stałego ramienia, a druga natknęła się na owłosiony tułów. Był to głęboki przechył, tak głęboki, że zgasła. Zalana własnym olejem, jedyna lampa w kajucie. W ciemności trzymała się go. Mrok rozświetlały jedynie błyskawice.

- Zdumiewasz mnie, Auroro - szepnął do niej nagle.

W blasku błyskawicy spojrzała na niego. Wyraz jego twarzy był przerażający. Wyglądał jak wcielenie drapieżnika, a ona jak jego ofiara.

- Wydajesz się taką bojaźliwą myszką - powiedział a tymczasem teraz, podczas sztormu, gdy inni pasażerowie leżą jęcząc w swych kabinach, ty dowiodłaś, że masz naprawdę tyle siły, ile mówiłaś. Muszę powiedzieć, że przyda ci się to w przyszłości.

- Mówi pan tak, jakby pan wiedział, co mnie czeka - powiedziała zduszonym głosem, ledwo powstrzymując się od drżenia.

Jeszcze jedna błyskawica, jeszcze jeden przechył i przysunął się bliżej. Srebrny kolczyk w jego uchu zaśnił w blasku pioruna.

-- Nie zawsze potrafię powiedzieć, co przyniesie przyszłość. Nadal mnie zaskakuje. Popatrzmy, na przykład, co mamy tutaj. - Dotknął jej policzka i szepnął: - Izaak miał rację. Kto by pomyślał, że taka, niczym nie upięszona, londyńska dziewczyna, jak ty, może być tak pociągająca.

Pochylił głowę, a jej ręka zacisnęła się na jego piersi, ale sama nie wiedziała, czy było to zaproszenie, czy gest rozpacz. Jednego była pewna - że chce ją pocałować. Tak jak w jej śnie. I choć z pewnością nie pasowali do siebie, jej kobiecy instynkt nie mógł się mylić.

Opuścił głowę jeszcze niżej, a jego ręka ześlizgnęła się po ścianie. Przyzwoitość nakazywała wyrwać się, ale nie miała dokąd się odsunąć. Poza tym jego usta tyle obiecywały, że nie chciała odmawiać - nie wiedziała, jak odmówić. To nie był sen, który zniknąłby w chwili, gdy jego usta dotknęłyby jej warg. To działało się naprawdę i pragnęła odkryć wszystkie niuanse uczucia, którego tak jej brakowało.

Był tak blisko, że czuła na policzku jego ciepły i ponętny oddech. Gdy rozprostowała palce na jego piersi,

odkryła przyjemność w pieszczaniu go. Przeciągnęła dłonią. Nigdy nie przypuszczała, że ciało może być tak twarde. Czuła bicie jego serca i zdumiała się, że zaczęło pulsować przyspieszonym rytmem, gdy przysunął się do niej. Jej samej serce zaczęło walić, kiedy ścisnął ją w ramionach. Wreszcie nadszedł moment, w którym - zdawało się - usta ich spotkają się i nawet statek jakby się uspokoił. Ale skończyło się to, zanim się zaczęło.

Vashon poderwał głowę i Aurora dopiero wtedy uświadomiła sobie, że ktoś puka do drzwi. Zakołysało statkiem. Przytrzymał ją w pasie, aby nie zatoczyła się. Mimo panującej w kajucie ciemności, zauważyła rozdrażnienie najego twarzy, kiedy warknął w stronę drzwi:

- O co chodzi?

- Vashon! - usłyszała głos Bennyego. - Kapitan nie może sobie poradzić ze statkiem. Przesłał mnie, żebym spytał, czy nie możesz mu pomóc.

Vashon niechętnie puścił ją i podszedł do stojącego w pobliżu krzesła. Zauważyła niewyraźne mignięcie bieli, kiedy wdziewał koszulę.

- Powiedz Izaakowi, żeby trzymał kotwicę podniesioną! - zawołał. - zaraz przyjdę.

- Tak jest - odkrzyknął Benny, a potem usłyszeli skrzypienie jego kuli.

W ciszy, która potem nastąpiła, Aurora nie wiedziała, czy ma uciekać, czy stać nieruchomo. Jej upokorzenie z powodu tego, do czego omal nie doszło, rosło z każdą chwilą, skrywała je tylko ciemność. Kiedy statek znowu głęboko przechylił się, usłyszała jego przekleństwo. Vashon włożył buty, wstał z ponurą miną i odsunął ją od drzwi.

- Zostań tu i czekaj na mnie - powiedział rozkazującym tonem.

- Na pewno nie zostanę - szepnęła, nie mogąc nawet spojrzeć na niego. Poczula się dotkliwie zraniona, że mógł pomyśleć coś takiego. Za jaką kobietę ją bierze?

Skinął głową i zaśmiał się niewesoło.

- Wobec tego radzę, żebyś wróciła do swojej kabiny i została w niej, dopóki jeszcze jest.

Powiedziawszy to, trzasnął drzwiami. Słuchała, jak idzie, dopóki wycie wiatru nie zagłuszyło odgłosu jego kroków.

Noc była okropna. Sztorm ustał dopiero późnym rankiem i choć wyglądało na to, że "Morski Śmiałek" wyszedł z niego bez poważniejszych szkód, Aurora podejrzewała, że na statku nie było nikogo, kto przez tę noc zmrużyłby choć na chwilę oko.

W każdym razie nie ona. Zresztą zerwała się z łóżka i ubrała na długo przed powrotem Vashona z pokładu. Słyszała jego zmęczone kroki, kiedy przechodził obok jej drzwi. Kusiło ją, aby odezwać się do niego, otworzyć drzwi i powiedzieć coś o ich spotkaniu poprzedniego wieczoru. Powstrzymała się jednak. Nie było odpowiednich słów, aby to wyrazić. W końcu, co miała powiedzieć? Prawdę mówiąc, nic się nie stało, a najgorsze wcale nie było to, co zrobił. Najgorsze było zupełnie co innego. 'Całą noc zastanawiała się, czy w istocie nie było tak, że to ona sama chciała, aby ją pocałował, że pragnęła, by ten egzotyczny, niebezpieczny mężczyzna przycisnął swe usta do jej warg i pokazał jej, co straciłaby, gdyby poślubiła Johna. Ale to z pewnością nie wymagało żadnego komentarza czy przeprosin z jego strony.

Kiedy zebrała się w sobie, poszła zobaczyć, jak czuje się pani Lindstrom. Pokojówka wdowy była ledwie żywa, ale Aurora z zadowoleniem stwierdziła, że Flossie jest już na nogach i przyrządza herbatę na porcelanowym piecyku. Nie było widać, by sztorm ujemnie odbił się na jej zdrowiu.

Właśnie usiadły, aby się napić, kiedy do drzwi zapukał kapitan Corbeil. Wydawał się zadowolony, widząc je obie w dobrej formie, a na jęki pokojówki nie zwrócił w ogóle uwagi. Wyglądał na bardzo zmęczonego i nie został długo, ale zanim wyszedł, przekazał im wiadomość, z której Aurora nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy smucić.

Okazało się, że sztorm mimo wszystko pomógł im, gdyż zepchnął statek bardziej na zachód, niż można było się spodziewać. Znajdowali się zaledwie o dwa dni żeglugi od St. George.

\*\*\*

Ich wcześniejsze przybycie na St. George spowodowało nieco zamieszania. Trzeba było po całej wyspie rozesłać posłańców z wiadomością o wpłynięciu statku do portu, aby po pasażerów przybyły ich rodziny. Choć zajęło to sporą część dnia, pasażerowie, jeden po drugim, zaczęli wreszcie opuszczać statek. Pierwsi odjechali kariolką Wainwrightowie ze swym trzymiesięcznym dzieckiem. Bracia Magounowie, podpierając się wzajemnie, żegnali się z Aurorą ze smutkiem i ociąganiem, aż w końcu przyjechał po nich faeton z plantacji ich ojca, znajdującej się koło Hamilton.

Najciekawiej wypadło jednak, zupełnie nieoczekiwanie, pożegnanie z panną Gideon. Stojąc na pokładzie, Aurora widziała, jak zajeżdża powóz po guwernantkę i jej podopieczną. Patrzyła na odjazd małej Hester z bólem serca, dopóki nie zobaczyła sceny powitania. Z powozu wyskoczył mężczyzna i pomógł wyjść żonie. Kiedy ujrzeli Hester, zatrzymali się, jak gdyby nie bardzo wiedzieli, jak się mają zachować, ale po chwili mężczyzna pochylił się i porwał dziewczynkę w ramiona, a jego żona uśmiechnęła się, wycierając łzy. W tym momencie Aurora była już pewna, że Hester dobrze trafiła, że ma szczęście. Utwierdziła się w tym przekonaniu, kiedy pannie Gideon kazano siąść obok woźnicy. Tak oto kobietę tę przywołano wreszcie do porządku, przypominając jej, że jest służącą. Odtąd na pewno nie będzie już miała takiego wpływu na życie Hester. Ta sytuacja bynajmniej nie odpowiadała guwernantce. Wyglądała tak nieszczęśliwie, jak nigdy

przedtem, kiedy musiała się kurczowo trzymać, by nie spaść z kozła odjeżdżającego w nieznane powozu. Aurora odwróciła się z rozbawieniem w oczach i zobaczyła stojącą przy trapie panią Lindstrom ze służącą. Pokojówka wciąż trzymała pudło z kapeluszem swej pani i wydawała się zadowolona z faktu, że będzie mogła wrócić do swych obowiązków.

- Och, moja droga! Czy to możliwe, że być może nigdy już się nie spotkamy? - Flossie podbiegła do niej i chwyciła ją za ręce. - Tak bardzo bym chciała, żebyś... Graftonowie potrzebują guwernantki i wiem, że ...

- Nie mogę się narzucać - odparła Aurora, stanowczo potrząsając głową - a poza tym nie mogłabym zawieść lady Perkins. Ona mnie oczekuje. Proszę, nie martw się o mnie. - Uśmiechnęła się i uścisnęła jej dłoń. - Na pewno będzie mi dobrze. Nie mogę uwierzyć, że pan Vashon zna aż tak dobrze miejscową arystokrację. Jestem pewna, że myli się co do lady Perkins.

Flossie przyjrzała się jej uważnie, a potem głęboko westchnęła

- Myślę, że masz rację. Przy całym swym bogactwie, Vashon nie jest człowiekiem, *który* mógłby pozostawać w zażyłych stosunkach z arystokracją. Napisz do mnie i daj mi znać, jak ci się wiedzie. Zmartwię się, jeśli nie otrzymam wieści od ciebie.

- Wyślę list, gdy tylko znajdę się na miejscu. - Aurora objęła mocno Flossie, a potem podeszła z nią do trapu. Wdowa rzuciła tylko okiem po pustym nadbrzeżu i wybuchnęła:

- Ten łajdak Robert. Nie ma go i załóżę się, że sobie właśnie popija. Gdyby nie to, że jest u mnie tyle lat, z miejsca bym go wyrzuciła i najęła innego woźnicę.

- Ma przyjechać z twojego domu w mieście? - spytała Aurora.

- Tak. Musiał się dowiedzieć, że "Morski Śmiałek" stoi już w porcie. - Flossie zakreśliła z irytacją parasolką, a potem zawołała pokojówkę. - Idź i poszukaj go, Jane, a jeśli będzie za bardzo pijany, sprowadź mi inny powóz. Będę czekała w gospodzie "Somers Island".

- Tak, psze pani - dygnęła Jane i zaraz zeszła z trapu.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała Aurora. - Może kapitan Corbeil zająłby się twoimi bagażami?

- Nie, nie. Już mi to proponował i podziękowałam. Jakby to wyglądało, gdybym go teraz o to poprosiła? - zamknęła z trzaskiem parasolkę. Aurora zaczęła się zastanawiać, czy Flossie nie będzie bardziej brakowało kapitana niż jej.

- Czy "Morski Śmiałek" odbywa regularne rejsy na St. George? - Aurora nie mogła powstrzymać się od tego pytania.

Flossie odwróciła oczy w bok, a Aurorze wydało się, że zobaczyła w nich cień smutku.

- Raczej nie - odparła wdowa i ponownie rozłożyła parasolkę. - Słuchaj, kochana, jestem pewna, że będę musiała siedzieć sama w gospodzie i czekać na powóz. Może wpadniesz tam ze mną na filiżankę herbaty? Tak czy inaczej musisz na jakiś czas zejść ze statku. Nie wypłyną dzisiaj.

- Cudownie! Chciałabym choć na chwilę zejść na ląd! ucieszyła się Aurora. Zeszły po trapie, ale kiedy znalazły się na nadbrzeżu, Aurora zatrzymała się.

- Ojej, zapomniałam zabrać torebkę! - powiedziała.

Spojrzała w górę, na pokład, a potem na pulchną figurę Flossie. - Nie chcę cię prosić, żebyś znowu wchodziła na statek ani żebyś tu na mnie czekała. Pokaż mi, gdzie jest ta gospoda, a obiecuję, że zaraz tam przyjdę.

- Prosto przed nami. Widzisz ten sztyl z statkiem rozbitym na skałach? To tam. Nie zabłądzisz. A tymczasem zamówię dla nas osobny gabinet.

- To potrwa tylko chwilę - powiedziała Aurora i z powrotem wbiegła na pokład.

Powrót do kabiny i zabranie torebki zajęły jej niewiele czasu. Miała już wyjść, kiedy kątem oka zauważyła pęk kluczy leżący na jej świeżo poślany łóżku. Natychmiast rozpoznała w nich własność Benny'ego. Były to klucze do magazynów, z których przynosił pasażerom świeże ręczniki i pościel. Pomyślawszy, że może ich szukać, wrzuciła je do torebki i szybko poszła go poszukać.

Na pokładzie dziobowym spali wszyscy oprócz kapitana i Benny'ego. Ich kabiny mieściły się w budce,



dokładnie pośrodku . statku. Aurora miała zamiar sprawdzić, czy Benny jest u siebie, a gdyby go nie było, zostawić klucze pod jego drzwiami. Ale nie doszło do tego. Drzwi do kajuty kapitana były nie domknięte, a z wewnątrz dobiegały głosy jej lokatora i Vashona, rozprawiających o czymś z ożywieniem. Nie należała do osób, które podsłuchują, ale kiedy usłyszała swoje imię, nie mogła się powstrzymać, by nie nastawić uszu.

- Czy na pewno Aurora nie przyjmie propozycji wdowy? - spytał Vashon.

- Nie prosiła, żeby znieść jej kufry. Myślę, że wszystko w porządku - odparł kapitan. - Ale oczywiście - dodał złośliwie - całą tę idiotyczną sprawę możemy zawdzięczać tylko tobie. Sprawia ci taką perwersyjną przyjemność straszenie tej dziewczyny, że o mało nie wystraszyłeś jej tak, by wymknęła się z naszych rąk.

- Znoszenie fochów jakiejś starej sekutnicy to nie jest życie dla takiej dziewczyny jak ona. Chcę po prostu, aby w końcu zrozumiała, że lepiej robi, jeśli popłynie i miejmy nadzieję - będzie współpracować z nami, niż jeśli pójdzie tam, gdzie na pewno doprowadzi ją droga jej życia. Zatrudniłaby ją, jeśli nie lady Perkins, to jakaś inna wiedźma. I uczyniłaby jej nędzne życie jeszcze nędzniejszym.

- Ale lady Perkins nie istnieje, człowieku! To wytwór naszej wyobraźni. Po co męczyć tę dziewczynę? Aurora zacisnęła tak mocno dłonie na torebce, że aż ~ zbiały kostki jej palców. O czym, na Boga, oni mówią? że lady Perkins nie istnieje? Jej lady Perkins? Nie mogła w to uwierzyć. Przerazona, rozejrzała się, czy nikt tego nie usłyszał. Ale wąski korytarz był pusty. Przywarłszy znowu uchem do drzwi, słuchała z sercem walącym jak młot.

- Chyba faktycznie lubię ją nieco postraszyć - zwierzał się Vashon - nigdy jeszcze nie spotkałem takiej sztywnej i zimnej westalki. ... gdzie ona się wychowywała? Tym niemniej, kiedy wypłyniemy dziś wieczorem, ta jej fasada pęknie jak lustro. Prawie nie mogę się tego doczekać ... ciekawi mnie, co jest za tą fasadą.

Kapitan Corbeil westchnął.

- Muszę się przyznać, że obawiam się paru najbliższych dni. Aurora to cicha dziewczyna, zgoda, ale coś mi mówi, że nie zgodzi się bez walki.

- Jestem gotowy do walki - roześmiał się sarkastycznie Vashon. - Obawiam się tylko, że mnie rozczaruje.

- Nagle zmienił temat. - A jak z uzupełnianiem zapasów? Nie chcę czekać ani sekundy dłużej niż to konieczne, żeby wyprowadzić statek w morze.

- Czekamy teraz tylko na wodę, ci ludzie powiedzieli mi, że beczki są już na nabrzeżu. Powinni załadować je najdalej za godzinę.

- Dobrze. A zatem odpływamy wieczorem. Z naszą najcenniejszą pasażerką, panną Dayne. - Nagle Vashon znowu się roześmiał. Jego śmiech zmroził Aurorę. Nie mogła uwierzyć w to, co mówił, ale kiedy odezwał się kapitan, wszystko wydało się aż nazbyt prawdziwe.

- Tak, w końcu musimy zacząć realizować ten przeklęty plan. Muszę przyznać, że już pora na to.

Powoli docierało do niej znaczenie słów kapitana. Była wstrząśnięta. Czowała się, jakby zawałiła się na nią cała ściana. To wszystko było oszustwem. Podróż była podstępem, aby ją zwabić na statek. Nie istniała żadna lady Perkins. Została porwana. W tym strasznym spisku uczestniczył nawet kapitan. Mogła uwierzyć, że Vashon zdolny jest do tak niecznego czynu, choć po co to zrobił, nadal nie wiedziała ... ale kapitan, ten dobry, miły, szarmancki kapitan Corbeil? Co za okropność. Wydawał się takim porządnym człowiekiem ... jak mógł brać udział w czymś takim?

Próbując tak rozpaczliwie zrozumieć swoją sytuację, nie usłyszała szurania odsuwanych krzeseł. Zanim usłyszała kroki, straciła kilka cennych chwil. Drzwi otworzyły się i ujrzała w nich Vashona.

Nie tracąc ani sekundy, zgarnęła suknię w dłoń i zaczęła uciekać. Nie wiedziała, co skłoniło ją do tego, ale usłyszawszy to, co usłyszała, jednego była pewna: chcąc porwać. Nie miała zamiaru dopuścić do tego. Dopadł ją tak szybko, jakby była ranną łanią. Przycisnął ją do drzwi Benny'ego i choć nie zrezygnowała z ucieczki, na razie musiała dać za wygraną.

Podniosła głowę. Ich spojrzenia spotkały się.

- Co my tu mamy? - powiedział Vashon i wolno przysunął się do niej.

Przyjrzał się jej przerażonej minie i widziała, że odgadł, iż wszystko słyszała. Patrzył na nią tak, jakby zastanawiał się, co robić dalej.

- Dlaczego ... ? - pOwiedziała chrapliwym głosem, bo ze strachu zaschło jej w ustach. - Dlaczego to robicie? Nie mam pieniędzy. Wiecie o tym. Nikt nie zapłaci za mnie okupu.

- Nie chcemy żadnego okupu. Tylko drobną informację. A tymczasem pozwól, że zaprowadzę cię do twojej kabiny. Porozmawiamy, jak stąd odpłyniemy. - Mówił spokojnie, pewnym głosem, jakby spodziewał się zupełnego posłuszeństwa, jakby była jednym z marynarzy "Morskiego Śmiałka".

- Nie porozmawiamy! - krzyknęła nagle i wyrwała rękę z jego wyciągniętej dłoni. Zobaczyła za jego plecami kapitana, który miał zakłopotaną minę. Chciała go poprosić, aby jej pomógł, ale w jego orzechowych oczach nie ujrzała współczucia.

- Auroro, przykro mi, że dowiedziałas się o tym w taki sposób, ale teraz nie można już tego odwrócić - powiedział Vashon, najwyraźniej starając się stłumić w zarodku jakikolwiek opór z jej strony. - Mamy cię. Jesteś nasza. Dopóki nie otrzymamy informacji, której chcemy, nie będą tolerowane żadne próby ucieczki.

Ścisnęła torebkę i próbowała zebrać myśli, zrozumieć dokładnie, co się stało. Nie istnieje lady Perkins, starsza kobieta, potrzebująca damy do towarzystwa. I list od lady Perkins, i podróż na "Morskim Śmiałku" należały do planu, którego celem było uwięzienie jej. Teraz, kiedy wpadła w ich łapy, planowali dalszą podróż. Na Jamajkę? Bardzo wątpliwe. Zabiorą ją gdzieś indziej, w jakieś miejsce, którego nie zna, z którego nie będzie mogła ani uciec, ani wołać o pomoc. Było to tak okropne, że aż trudno jej było w to uwierzyć. Myślała tylko o jednym, że to jakaś straszna pomyłka.

- Macie niewłaściwą dziewczynę - powiedziała gwałtownie' próbując jeszcze z nim dyskutować. - Nie mam niczego, co warto byłoby takiego zachodu. Nie posiadam informacji o niczym oprócz sierocińca, w którym się wychowywałam. Nie możecie mnie zatrzymać. To jakaś straszliwa pomyłka. Na pewno będziecie tego żałować.

- Mamy właściwą dziewczynę. - Niespodziewanie Vashon dotknął medalionu wiszącego na jej szyi. Wziął go w palce i podniósł do jej oczu. - Jest taki tylko jeden, Auroro. Michael Dayne, twój ojciec, dał ci go, zanim uciekł z Anglii, zabierając ze sobą Gwiazdę Aranu. Właśnie o tym musimy porozmawiać, o Gwieździe. Dlatego musimy cię zabrać ze sobą.

Słowa te zniszczyły jej ostatnią nadzieję - że padła ofiarą pomyłki. Niewiele wiedziała o tej Gwieździe Aranu, o której mówił Vashon, ale na pewno mieli właściwą dziewczynę. Znali nawet imię jej ojca. Oblizła suche wargi i rozejrzała się po korytarzu, czy nie ma nikogo, kto mógłby jej przyjść. z pomocą.

- Chodźmy do twojej kabiny, Auroro. Jeśli zgodzisz się na współpracę, postaramy się, żebyś skorzystała na tym.

Chwyił jej ramię w stalowy uścisk i zaczął ją ciągnąć. Zapała się i powiedziała:

- Ale ja nie pamiętam ojca. Nie mogę wam pomóc.

- Zobaczymy - odparł i popchnął ją w kierunku zejścia pod pokład.

Nagle coś się w niej przełamało. Wychowano ją w poszanowaniu zasad kulturalnego, cywilizowanego współżycia. Pani Bluefield była dobrą nauczycielką, gdyż dzięki niej poznała nie tylko literaturę i sztuki piękne, lecz również nabrała dworskich manier, jakby w przyszłości miała stanąć przed samym regentem.

Teraz wszakże uświadomiła sobie prawdę, że jeśli nie zacznie zaraz walczyć, jeśli będzie uległa, to porwą ją i zostanie w ich rękach dopóty, dopóki nie uznają, że mogą ją uwolnić ... albo nie zrobią czegoś gorszego.

Przeniosła wzrok na Vashona i uważnie przyjrzała się jego ostrym rysom. To był człowiek, którego nie wolno było nie doceniać. Nazwały go ekscentrykiem tylko dlatego, że nie chciały przyjąć do wiadomości, że jest tym, kim jest człowiekiem, którego nie krępują żadne uznawane w społeczeństwie zasady, być może piratem. Przypomniała sobie smoka wytatuowanego na jego plecach. Dały się zwieść jego opanowaniu i udawanym manierom, ale pod tą pokrywą spoczywał smok, symbol mocy i gwałtu. Jeśli teraz nie rzuci się na tego smoka, to kiedy "Morski Śmiałek" wyjdzie z portu, straci wszelką szansę na ratunek.

Wykręciła rękę i starała się uwolnić z jego uchwytu.

Torebka upadła na podłogę i wysypała się jej cała zawartość. Czepek zsunął się na kark, a kilka kosmyków wysunęło się spod przytrzymujących je spinek. Zdawał się zaskoczony jej nagłym oporem i dało to jej chwilę przewagi. Uwolniła rękę i podniosła suknię. Byłajuz przy wejściu do budki, kiedy złapał ją w pasie i

z powrotem pociągnął w stronę schodów prowadzących pod pokład.

- Daremne wysiłki, Auroro ... naprawdę myślisz, że możesz mnie pokonać? - Vashon ścisnął ją mocniej w pasie i roześmiał się. Wpadła w furję.

- Co z ciebie za człowiek? - wrzasnęła.

Dość się napatrzyła w sierocińcu na bijących się chłopców, by móc teraz naśladować ich ciosy. Zaczęła kopać go po łydkach i walić pięściami w pierś. Śmiał się jeszcze bardziej z jej nieszkodliwego ataku, ale choć kopała na oślep, w pewnym momencie jej kolano wylądowało w jego pachwinie. Wstrząs, który odmalował się na jego twarzy, był prawie wiernym odbiciem wstrząsu, którego doznała, gdy poczuła, że jego uścisk słabnie. Zgiął się w pół i zaszkliły mu się oczy. Oszołomiony, zdawał się niezdolny do niczego. Patrzył tylko na nią złym okiem. Choć nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co właściwie mu zrobiła, nieraz widywała chłopców po takim uderzeniu i wiedziała, że za moment przyjdzie do siebie. Musiała uciekać póki czas. Raz jeszcze złapała ręką suknię i popędziła na pokład.

Ale Vashon pozbiarał się szybciej niż ci mali chłopcy.

Dopał ją akurat w chwili, kiedy kapitan zagroził jej drogę. Spojrzała na kapitana z takim wyrazem twarzy, że była pewna, iż będzie mu się śniła przez parę nocy. Vashon złapał ją za suknię i pociągnął z taką siłą, że rozdarła się z tyłu prawie do pasa. Suknia zaczęła się z niej zsuwać i musiała już nie tylko walczyć o życie, ale też bronić swej skromności.

- Ty ... łajdaku! - wrzasnęła i odskoczyła. Nie przejął się tym wyzwiskiem. W dalszym ciągu odczuwał jej kopnięcie. Jego twarz była bardzo blada. Wyglądało na to, że przeszła! mu ochota do śmiechu. Wzrok mu płonął, jak gdyby wyzwiała go na rękę i wołał zginać niż przegrać.

- Nie chciałem tego robić - wymamrotał, zanim do niej podszedł. - Myślałem, że spośród wszystkich kobiet ty akurat pozwolisz się doprowadzić do kabiny w kulturalny sposób. Ale widzę, że nie jesteś taka, za jaką cię brałem.

- A ty .. ! - krzyknęła. - I pan - zwróciła się do kapitana - nie jesteście mężczyznami, za jakich ja was brałam.

Vashon przyparł ją do ściany. Przyciskała sukienkę do piersi, ale kiedy się zbliżył, musiała wyciągnąć jedną rękę; aby go odepchnąć. Złapał ją za obie ręce i suknia zsunęła się jej z ramion. Spojrzała w dół i jęknęła. Jej pierś przykrywała teraz tylko cienka koszulka. Podniosła wzrok i przekonała się, że on też to dostrzegł. Oczy zapłonęły mu; jeszcze bardziej.

- Puśćcie mnie - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

- Puścimy - odparł, odgarniając jej z ramienia pukiel włosów. - Kiedy dostaniemy to, czego chcemy. - Jego palce musnęły jej obojczyk. Dotknięcie jej skóry musiało sprawiać mu przyjemność, bo nie spieszył się z cofnięciem ręki.

- Nawet gdybym posiadała tę informację, to po tym, co się stało, nigdy jej ode mnie nie dostaniecie. Rozumiesz? Nigdy. Nie po takim potraktowaniu mnie.

- No cóż, przekonamy się o tym. - Roześmiał się ponuro. - Jeszcze nawet nie spróbowałem cię przekonać. Najpierw wyjdziemy z portu, dobrze? Potem możesz mi się odgrażać i składać przysięgi ... zobaczę, co się da zrobić, żebyśmy mógł je złamać. - Jego palce ześliznęły się po jej szyi. Oparła się o ścianę i zamknęła oczy, żeby go nie widzieć.

Jak mogła w ogóle kiedykolwiek marzyć o tej bestii? Co się z nią stało, że mogła choć przez sekundę uważać, że nie jest wstrętny? Kiedy palcami pogładził jej pierś gwałtownie otworzyła oczy. Ale nie dała się doszczętnie ogłupić. Pod warstewką ogłady dostrzegła już wcześniej prawdziwą naturę tego człowieka - tego pirata. Teraz szydził z niej. Chciał, żeby się załamała, jak strachliwa dziewczeczka, za którą ją uważał. Ale zapomniał o jednym. Teraz nie obowiązywały już żadne zasady. Przekreślił je w tej samej chwili, w której dowiedziała się, że jest porwana. I teraz nie miała zamiaru grać czysto ..

Pochyliła głowę i ugryzła go z całej siły w rękę. Szarpnął się do tyłu i brzydsko zaklął. Słyszała, jak kapitan roześmiał się.

- Masz, na co zasłużyłeś, Vashon - zawołał. - Mówiłem ci, że jej nie doceniasz.

Vashon obrzucił go gniewnym spojrzeniem. Skorzystała z okazji i próbowała się uwolnić. Odepchnęła go, wyrażając wszystkie siły, ale nie puścił jej. zarzucił ją sobie na ramię. Wrywała się i kopała, ale wszystkie jej ciosy trafiały w powietrze. Znowu zsunął się jej czepek i deszcz rogowych szpilek posypał się na podłogę. Rozpuszczone włosy opadły niczym złocista zasłona. Kiedy patrzyła na podłogę, czepek spadł zupełnie. Vashon rozdeptał go z wyraźną satysfakcją.

- Stój! - krzyknęła, bijąc go pięściami po plecach.

Chwyliła obiema rękami za jego koszulę, jakby mogło go to powstrzymać, ale oczywiście nic to nie dało. Szedł w stronę zejścia pod pokład. Teraz był pełnym zwycięzcą i wiedziała, że absolutnie nie jest w stanie go powstrzymać.

Nie spodziewała się znikąd pomocy. Byli już przy luku, kiedy nagle usłyszała znajomy głos. Podniosła głowę i przez zasłonę włosów zobaczyła biegnącą ku nim Flossie Lindstrom z parasolką wymierzona niczym lanca prosto w Vashona.

- Puść ją w tej chwili, Vashon! Co ty sobie wyobrażasz? Zaskoczony Vashon nie zdążył nawet odwrócić głowy, kiedy otrzymał potężne pchnięcie parasolką w żebra. Ale ścisnął tylko mocniej Aurorę i choć znowu zaczęła się szamotać, nie puścił ani o cal.

- Zabierz ją - warknął do kapitana, który stał na progu swej kajuty z opuszczoną ze zdumienia szczęką. Kiedy ten podszedł niepewnie do wdowy, żeby ją powstrzymać, otrzymał parę ciosów parasolką w głowę. W końcu udało mu się wyszarpnąć parasolkę, ale Flossie nie poddała się.

- Co to wszystko znaczy, Izaak? - spytała ostro, czerwona z gniewu. - Czemu tak traktujecie Aurorę?

- Zabierz to babsko do mojej kajuty - rozkazał Vashon, ledwo panując nad sobą. - A to - wskazał na czarną parasolkę, którą kapitan ścisnął w dłoni - wyrzuć za burtę.

Ze zwisającą bezwładnie z jego ramienia Aurorą zniknął w luku. Przerażona Flossie odwróciła się w stronę kapitana. Wyglądała tak, jakby znowu miała wybuchnąć, ale zobaczyła pistolet w jego dłoni. Mina kapitana była zacięta, a spoj

rzanie twarde. Gestem ręki nakazał jej zejść na dół. Z wyrazem niedowierzania na twarzy zgarnęła suknię i jej pulchna figura zaczęła zagłębiać się w luku.

\*\*\*

- To panu nie ujdzie płazem, Vashon - powiedziała Flossie, podczas gdy Izaak przywiązywał ją do fotela. Wyglądała niemal komicznie - pulchna, cała odziana na czarno i skrępowana sznurami jak baleron. :-). Mam swoich ludzi na SL Georgel Znajdą cię!

Vashon stał obok drzwi, przyglądając się chłodno poczynaniom Izaaka. Nad głowami słyszeli kroki marynarzy przygotowujących statek do wyjścia w morze. Pewien, że wkrótce odpłyną, Vashon parsknął ironicznie:

- Uciekałem lepszym ludziom niż pani fajtlapowaci krewniacy.

- Aurorę i mnie oczekują w gospodzie. Jeśli nie wrócę, będą pana szukać całe Bermudy.

- A skąd będą wiedzieli, że mają mnie szukać? Większość pasażerów widziała, jak pani schodziła na ląd. Będą wiedzieli na pewno tylko jedno - że wyszła pani z gospody i nikt już więcej pani nie widział. Pomyślą, że spadła pani z nabrzeża i utonęła.

- Niel Będą wiedzieli, że "Morski Śmiałek" szybko odpłynął i kiedy zjawią się przyjaciele Aurory i zapytają o nią, złożą wszystko w całość i zorientują się, że została porwana.

Vashon zaczął się śmiać. Flossie wyglądała tak, jakby za chwilę miała dostać apopleksji.

- Czy to prawda, myszko? - Vashon spojrzał na Aurorę. Stała pod ścianą, z rękami przywiązany do kolumnienki łóżka Vashona.

- Czyżby wszystkie napuszone pawie z Londynu zaczęły cię szukać po morzach? - Podniósł brew.

Aurora patrzyła mu prosto w oczy z kamienną twarzą.

Nie chciała pokazać trwogi, ale jej sytuacja była rzeczywiście beznadziejna. Nie było nikogo, absolutnie nikogo. Vashon miał rację, ale prędzej by umarła niż to potwierdziła.

- Przypłynie tu mój narzeczony - powiedziała. - Kiedy nie dostanie odpowiedzi na listy, będzie wiedział, że

musiało mi się coś stać. Będzie próbował odnaleźć lady Perkins i wtedy zorientuje się, kogo ma szukać. - Spojrzała na Vashona morderczym wzrokiem, a potem odwróciła twarz, jakby nie był godzien nawet jej pogardy.

Oczy Vashona zwięzły się. Na jego ustach pojawił się cyniczny uśmiech.

- Kiedy przeprowadzaliśmy rozpoznanie, nic nie wska - . żywało na to, że masz narzeczonego. Kim jest ten człowiek? Wytwore!!! fantazji. Gdybyś była zaręczona, to czy tak skwapliwie przyjąłabyś propozycję pracy na Jamajce? Nie, Auroro, myślę, że zmyślasz i wiesz, co ci powiem? Na tym statku kłamstwo, szczególnie z twojej strony, nie będzie mile widziane.

- To nie kłamstwo - powiedziała spokojnie, starając się nie pokazać ogarniającej jej wściekłości. - Poprosił mnie o rękę John Phipps. Kiedy odziedziczył dom, miał zamiar poślubić mnie.

- No to co go powstrzymało?

Pytanie zawisło w powietrzu jak sieć, która ma za chwilę spaść. Aurora gorączkowo zastanawiała się, co powiedzieć.

- John musiał rozwiązać parę problemów. Po śmierci poprzedniej właścicielki doszedł do wniosku, że sierociniec powinien być prowadzony inaczej. Wyjechałam, żeby mógł spokojnie wszystko urządzić na nowo. Puści się za tobą, gdy tylko ...

Słowa zamarły jej na ustach, kiedy podszedł Vashon.

Pogłaskała ją po policzku. Cofnęła z oburzeniem głowę.

- Ten człowiek pozwolił ci popłynąć na Jamajkę, żebyś mógł spokojnie załatwić swoje interesy? Nie sądzę. - Przesunął spojrzeniem po jej sylwetce, zatrzymując wzrok na gołych ramionach, a potem prowokacyjnie popatrzył na jej piersi. Nie mogąc się zakryć, Aurora chwyciła kurczowo słupek, jakby wierząc, że zasłoni ją przed jego oczami.

- Auroro, pozwól, że wyznam ci pewną tajemnicę dokończył. - Żaden mężczyzna nie jest tak cierpliwy ... albo tak głupi.

- Ja nie zmyślam! John Phipps będzie cię szukał, i to razem z Marynarką Królewską!

- Niech będzie. Gdybym kulił się ze strachu za każdym razem, kiedy ktoś postraszy mnie Królewską Marynarką, to nigdy nie wyszedłbym z łóżka. - Wziął głęboki oddech. - A teraz, szanowne panie, Izaak i ja musimy wyprowadzić statek z portu, zanim zdarzy się następna katastrofa. Kiedy znajdziemy się na pełnym morzu, zostaniecie uwolnione i zajmie się wami Benny. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, a Aurora zgodzi się z nami współpracować, to wysadzimy was w następnym porcie. Będzie to San Juan ... Ale jeśli Aurora nie będzie chciała nam pomóc - tu Vashon przyjrzał się jej badawczo - to zabiorę was obie na swoją wyspę i zostaniecie tam do czasu, aż zmieni zdanie.

- Gdzie jest ta wyspa? - spytała Flossie.

- Nazywa się Le Mirage de la Mer i nazwa ta doskonale do niej pasuje. Jest tylko mirażem na morzu i dotychczas nikt nie naniósł jej na mapę. Tak więc nic pani nie da wiadomość o tym, gdzie się znajduje.

Flossie westchnęła z rozpaczy, a potem zwróciła całą złość na Izaaka, który stał nad nią.

- Jak mogłeś mi to zrobić? Myślałam ... myślałam ... zająknęła się, ale potem odzyskała równowagę. - Niech cię diabli porwą, rozumiesz? Myślałam, że jesteś dzentelmenem.

- Flossie - powiedział Izaak zmartwionym głosem - po co wracałaś na statek? Dlaczego nie zostałaś na brzegu? Powiedziałem ci, że postaram się cię odwiedzić ... to co robiłaś tutaj? Szukałaś mnie?

- Oczywiście, że nie! - zachnęła się. - Szukałam Aurory. Miałyśmy napić się herbaty w gospodzie i kiedy nie przyszła, zmartwiłam się, że może zabłądziła. Nawet w najgorszych snach nie przyszłoby mi się, że ją porwaliście. Um ... i pomyśleć, że ufałam ci! Nawet zapraszałam cię na herbatę do swojej kabiny. Co mi się stało, że byłam taka zaślepiona?

Usłyszawszy to, Izaak, zakłopotany jeszcze bardziej, podszedł do drzwi. Vashon popatrzył ostrzegawczo na obie kobiety i też wyszedł.

Kiedy zostały same, Flossie natychmiast odwróciła głowę w stronę Aurory.

- Och, kochanie, czy ten ... ten ... łajdak nie zranił cię? Nigdy w życiu nie przeżyłam takiego wstrząsu, jak wtedy, kiedy zobaczyłam, jak cię niesie, przerzuconą przez ramię. Na pewno nic ci nie jest?

Aurora uśmiechnęła się krzywo i powiedziała:

- Zraniono moją delikatność, uszkodzono suknię, ale nic więcej. Tak mi przykro, że wróciłaś. Tak jak kapitan Corbeil, dużo bym dała, żeby cię tu teraz nie było.

- Czego on od ciebie chce? Przyznaję, słyszałam, że piraci porywają piękne dziewczyny, ale to wszystko zdaje się być dokładnie, z góry zaplanowane. A Izaak! Nie mogę uwierzyć, żeby zrobił coś tak okropnego bez ważnego powodu ... tak po prostu porwać piękną dziewczynę ...

- Vashonowi nie chodzi o mnie. Zależy mu na informacji. Na informacji, której, obawiam się, nie posiadam. Aurora zmarszczyła czoło i usiadła na brzegu łóżka. - Ale może da się ugłaskać jakimś kłamstwem i uwolnić nas.

- Kochanie, jeśli cokolwiek można o nim powiedzieć na pewno, to że nie wygląda na człowieka, którego łatwo ugłaskać. Jestem pewna, że kłamstwo nie jest żadnym wyjściem z tej sytuacji. Jeśli cię przyłapie na kłamstwie, a na pewno cię przyłapie, to dobrze na tym nie wyjdiesz.

- Wobec tego znajdę inny sposób, żeby nas uwolnić oznajmiła Aurora, chwytając się każdej możliwości. - W końcu musimy wpłynąć do jakiegoś portu. A kiedy wpłyniemy, ucieknę i sprowadzę pomoc.

\_ Chociaż brzmi to beznadziejnie, może to być nasza jedyna szansa. - Flossie spojrzała na nią z niepokojem. Ale módlmy się, żeby naszym następnym portem nie była Le Mirage de la Mer. Jeśli to miejsce tak się nazywa, to znaczy, że naprawdę nie sposób go odnaleźć, a co dopiero uciec stamtąd.

- Boję się, że rzeczywiście tak jest - odparła niewesoło Aurora. Statek wychodził akurat z portu.

Aurora wyglądała przez grube, oprawne w ołów szyby i iluminatorów, znajdujące się po obu stronach steru. Oczy przesłaniał jej smutek. Flossie już dawno została uwolniona z więzów i odprowadzona przez Izaaka do swojej kabiny, ale ona nadal tkwiła przywiązana do bogato zdobionego łóżka Vashona, uwięziona pośród istic babilońskiego przepychu jego kajuty. Benny, z Koongą na ramieniu, przyniósł jej herbatę, ale Vashon powiedział, że tylko on osobiście może ją uwolnić, stała więc z rękami przywiązanymi do kolumny, a on postawił filiżankę na stoliku.

Teraz nie mogła się doczekać, kiedy przyjdzie pirat. Nie zawiódł jej. Zaledwie parę minut po wyjściu Benny'ego usłyszała jego głośnie kroki w korytarzu. Drzwi otworzyły się i w końcu została sama ze swym przeznaczeniem.

W milczeniu zamknął drzwi. Obrzucił ją badawczym spojrzeniem, a potem spokojnie podszedł do kufra i wyjął z niego świeżą lnianą koszulę. Kiedy patrzyła, jak się przebiera, zauważyła, nie bez pewnej satysfakcji, rozdarcie w koszuli, którą zdjął. Dostrzegła też na jego boku ranę, która nadal lekko krwawiła. Parasolka Flossie dobrze trafiła.

Zadowolenie jednak szybko minęło, szczególnie kiedy odwrócił się tyłem i zobaczyła smoka. Napięte, dobrze zarysowane mięśnie barków grały pod tatuażem, kiedy wciągał nową koszulę. Jego długi czarny warkocz częściowo zakrywał oczy smoka, ale kiedy wyglądały spoza włosów, patrzyły groźnie. Ten człowiek nie przypominał żadnego z mężczyzn, z którymi miała dotąd do czynienia. Jedyne, co wiedziała o nim na pewno, to to, że jest niebezpieczny.

- Jeśli mam być więziona na tym statku, to chciałabym wrócić do swojej kabiny - powiedziała, rozpaczliwie starając się, by jej głos brzmiał równo. Na to niespodziewanie odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Najego ustach pojawił się uśmiezek.

- Odbędziemy długą rozmowę Auroro, a potem zastanowię się, jak postąpić.

- Jeśli chcesz mojej współpracy, to w ten sposób na pewno jej nie uzyskasz. - Szarpnęła skrepowanymi rękami, a potem odwróciła głowę, jakby nie zasługiwała na jej uwagę.

Jej wyniosła postawa zdawała się go irytować. Podszedł do niej i ujął pukiel włosów, który znajdował się po przeciwnej stronie jej odwróconej twarzy. Powoli pociągnął. Musiała spojrzeć na niego, żeby uniknąć bolesnego szarpnięcia.

- Postawmy sprawy jasno - rzekł cicho. Oczy błyszczały mu ze złości. - To nie ja mam starać się o twoją współpracę, ale ty o moją. Jeśli chcesz, żebym ci rozwiązał ręce, to musisz na to zasłużyć. Jeśli chcesz iść do swojej kabiny, to też nie za darmo. I na koniec jeszcze jedno. Jeśli wszystko będzie szło dobrze, to dostaniesz wszelkie luksusy na tym statku, jakich sobie zażyczysz. „Jeśli nie będzie szło dobrze ... - Raz jeszcze zmierzylą beczelnym spojrzeniem od stóp do głowy. Była w tym większa groźba niż we wszystkich jego słowach.

Szarpnęła się histerycznie do tyłu. Nie była żadną przeciwniczką dla tego człowieka. Sądząc po wyglądzie, całe życie spędził na gwałtach, rabunkach i morderstwach. Bez wątplenia brał to, co chciał, a potem tryumfował.. Jak mogłaby z nim walczyć? Czy dysponowała jakąś bronią przeciw niemu? Fizycznie była przy nim dzieckiem. Nie ważyła nawet połowę tego, co on, czubkiem głowy ledwie sięgała jego ramienia, już nie mówiąc o porównaniu sił. Widać było, że jest niesłychanie silny, że stoczył wiele walk. Wyglądała przy nim jak drobna myszka przy lwie. Jednak pod jednym względem nie ustępowała mu, a może go nawet przewyższała. Nie mogła go pokonać fizycznie, ale mogła to zrobić siłą woli. Wiele osób uważało ją za uległą i słabą duchem. Na pewno juważał tak John, choć w głębi serca zawsze wierzyła, że to nieprawda. Dlatego zebrała się na odwagę i opuściła sierociniec, kiedy musiała to zrobić. Zawsze myślała, że jeśli nadarzy się okazja, to wykaże tyle samo hartu ducha, co bohaterki powieści, które tak bardzo nie podobały się Johnowi. Teraz nadszedł czas, żeby to udowodnić, chociażby samej sobie.

Spojrzała na Vashona i zobaczyła błysk w jego oczach.

Cieszył się, że jest taka przestraszona. Gdyby zaczęła histeryzować, na pewno sprawiłoby mu to wielką przyjemność. Nagle zawrzała gniewem. Poprzysięgła sobie, że przynajmniej siłą woli mu nie ustąpi. Raczej umrze.

- Chciałabym mieć rozwiązane ręce - rozkazała najtwardszym, na jaki mogła się zdobyć, głosem.

Puścił pukiel i niedbale zdjął z jej ust kilka przylepionych do nich włosów. Chyba podobało mu się to, bo zajęło niewiarygodnie dużo czasu. Każde dotknięcie jego ręki paliło jej wargi.

Patrzyła na niego prawie nieprzytomna ze złości. W końcu roześmiała się.

- Może byś przynajmniej powiedziała "proszę"? Zawsze wprawia mnie to w dobry nastrój.

Odwróciła głowę. Choć jej pozycja społeczna była niska, nigdy jeszcze nie musiała znosić takiego upokorzenia. Błaganie tego przeklętego łajdaka o to, żeby rozwiązał jej ręce, przekraczało wszelkie granice.

- Nie powiesz tego, Auroro?

Nie chciała nawet na niego spojrzeć. Słowo "proszę" nie przeszłoby jej przez gardło.

Roześmiała się.

- A więc dobrze, zostań tu. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć twoją minę, kiedy będę się rozbierał przed snem. Skoro rumienisz się tak łatwo, kiedy jestem bez koszuli, dostaniesz chyba ataku, kiedy zobaczysz mnie nagiego.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Wciąż nie możesz się zdecydować? - Czochrał się po czarnych włosach na piersi, którą widać było w rozcięciu koszuli.

- Nie zmusisz mnie do tego. Nie ty. Nikt mnie nie zmusi.

- No, no, mamy zamiar walczyć, co? - powiedział. - No to może zdrzemnę się teraz trochę i zobaczymy, jak silne są te panięskie nerwy?

Nie zwlekając, zdjął świeżą koszulę. Jej oczy rozszerzyły się na myśl o tym, co chce zrobić, ale nadal nie

poddawała się. Uspokajała się, mówiąc sobie, że przecież widziała go już nagiego do pasa. Pomogło, nawet kiedy siadł na krześle i zaczął ściągać buty. Ale kiedy pochylił się, aby rozpiąć pierwszy guzik spodni, ogarnęła ją panika. Odwróciła głowę. Mogła tylko tyle, aby nie zacisnąć powiek.

- Daj spokój, Auroro, to żadna walka.

Słyszała szelest ubrania upadającego na podłogę. Potem usłyszała, jak kopnięciem odrzuca je na bok. Czy był teraz nagi i stał zaledwie parę stóp od niej? Na myśl o tym pobladła jak prześcieradło.

- No i co mamy do powiedzenia, panno Dayne? - zadrwił. - Jedno słowo i będziesz rozwiązana.

Zadrzała. Nadal nie poddawała się. Pragnęła mieć tyle odwagi, by spojrzeć na niego.

- Odmawiamy współpracy?

Odwróciła jeszcze bardziej głowę i więzy wpiły się jej w ręce. Co zrobi, żeby nagiąć ją do swoich życzeń? Nie wiedziała, ale była zdecydowana zostać tam, gdzie się znajdowała. Na zawsze, jeśli będzie to konieczne.

\_ W porządku. Nie możemy ciągnąć tego w nieskończoność ...

Nagle usłyszała, że biegnie. Jego nagie stopy zadudniły o podłogę, kiedy skoczył z rozpędu na łóżko. Wylądował prosto na materacu. Z jej ust wydobył się pisk przerażenia. Nie mogąc się powstrzymać, zerknęła na łóżko. Ku jej rozpaczy, odwrócił głowę i śmiał się tak, że aż w oczach pokazały się mu łzy:

Nadal był w spodniach. Spojrzała w miejsce, gdzie przedtem stał i zobaczyła na podłodze jego kamizelkę. Wystrychnąją na dudka. W tej chwili była zbyt zaskoczona, żeby się złościć.

Poczuła, że łapie ją za przeguby rąk. Próbowano się cofnąć, ale ukląkł po drugiej stronie kolumnienki i powoli ciągnął ją w dół. Kiedy musiała się pochylić, wziął w garść jej włosy i przyciągnął głowę, tak że jej twarz znalazła się o parę cali od jego twarzy. Powiedział z poważną miną:

\_ Łatwo cię przestraszyć, myszko. Udałoby się to dwunastoletniemu chłopakowi. - Przyciągnął ją jeszcze bliżej. - Ale ja nie jestem dwunastoletnim chłopcem. I wiem, jak naprawdę przestraszyć taką kobietkę jak ty. Proponuję więc, żebyśmy zostawili te gierki i żebyś zaczęła ze mną współpracować ... bo inaczej przekonasz się, jaki mogę być groźny.

Próbowała odwrócić głowę, ale trzymał ją mocno za włosy. Myślała, że przetrzyma to, lecz nagle jego przystojna twarz przybrała dziwny wyraz. Patrzył na nią chciwie i pożądliwie, jakby w swej niewinności była jakimś przysmakiem, którego jeszcze nigdy nie skosztował.

Przepęłniła ją trwoga. Pożądał jej. Tak jak John Phipps.

Ale zabiegi Vashona były bardziej niebezpieczne, bo potrafił sprawić, że ona również go pragnęła i, wbrew swej woli, poczuła, że zaczyna ulegać. Mięśnie jej brzucha napięły się, a w podbrzuszu czuła dziwne pulsowanie. Przybliżył twarz i choć nawet nie dotknął jej, jego usta zdawały się przyciągać jej wargi. Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, czym to grozi. Jednym pocałunkiem chciał ją jednocześnie ukarać, uwolnić i ujarzmić. Jego usta otworzyły się do pocałunku i poddała się.

- Proszę - wykrztusiła, gardząc nim, jak nigdy jeszcze nikim nie gardziła.

Otworzył oczy. Uniósł szyderczo jedną brew. Wyglądał na bardzo niezadowolonego, jak gdyby bardziej zależało mu na jej ukaraniu niż nakłonieniu do współpracy.

- Proszę, rozwiąż mi ręce - powiedział, patrząc z irytacją.

- Proszę ... rozwiąż ... mi ... ręce - powtórzyła z trudem. Podziałało. Więzy opadły w parę sekund. Potykając się, odsunęła się od niego i sięgnęła do klamki. Miała jednak zbyt zeszywniałe ręce, aby ją nacisnąć.



zaczęła je rozcierać, ale zanim sięgnęła po raz drugi za klamkę, powiedział:

- Są zamknięte. Odwróciła się.
- Nie mogę wrócić do swojej kabiny?
- Jeszcze nie teraz. Chodź tutaj i usiądź. - Wskazał na kanapę.

Nie poruszyła się. Wtedy złapał za oderwany tył jej sukni i pociągnął ją na kanapę. Sam usiadł obok niej, położył bosą stopę na krześle, a potem odchylił się na oparcie i zaczął się jej uważnie przyglądać.

- Na co się tak gapisz? - Spojrzała na niego z oburzeniem i założyła oderwaną część sukni na ramiona.

- Właśnie myślałem o tym, że nie jesteśmy tak daleko od St. George. I dopóki nie odpłyniemy dalej, lepiej będzie, jeśli zostaniesz tu ze mną. Nie mam ochoty rzucać się za tobą do wody, gdybyś zdecydowała się uciec stąd w pław.

- Nie umiem pływać.

- To dobrze.

- Ale to, że nie mogę uciec w ten sposób, wcale nie znaczy, że będę dłużej znosiła te upokorzenia. - Z pozornym spokojem znowu podciągnęła suknię na ramiona. Na nic się to jednak zdało. Bez względu na to, jak ciągnęła i dopasowywała, cały czas było widać bawełnianą koszulę. W końcu skrzyżowała ręce na piersi i spiorunowała go wzrokiem.

Jej oskarżycielskie spojrzenie zirytowało go jeszcze bardziej. Powiedział z rozdrażnieniem:

Przede wszystkim, panno Dayne, Musi pani się pozbyć tego cholernego nawyku chronienia swego dziewictwa. Przysięgam, że nikt na tym statku nie chce pani odebrać cnoty.

Spojrzała z niedowierzaniem. , Roześmiał się tylko.

- Nie ściępię, żeby pan czy jakikolwiek inny mężczyzna oglądał moją ... bieliznę - powiedziała, przyciskając nadal suknię do piersi.

Na jego ustach pojawił się dobrze jej już znany drwiący uśmiešek.

- A co tak bardzo pragniesz ukryć? Może, jak inne modne damy, lubisz sztucznie powiększać swój biust?

Aż ją zamurowało.

- Jak ...jak. .. śmiesz ... nawet wspominać ... o takich rzeczach .

- No to zabierz ręce.

- Za nic w świecie!

- Nie chcę cię martwić, lwchana, ale widziałem już kobiecą bieliznę, a ponieważ twoja wydaje się znakomicie maskować twoje wdzięki, zapewniam, że jej widok nie rozpali mnie do białości.

Spojrzała na niego z oburzeniem, a potem poczuła, ku swej wielkiej irytacji, że się rumieni. Nie obchodziło jej nic a nic to, że nie porusza go jej zdekompletowany strój, ale do furii doprowadzał ją fakt, że potrafi wszystko wykrecić i przedstawić tak, jakby to ona była winna. Jednak mimo jego szyderstw postanowiła za wszelką cenę bronić resztek swej godności. Zaciskała dłonie na sukience tak mocno, że aż zbieleły kostki jej palców.

Kiedy zobaczył, że zaczyna się zachowywać jeszcze sztywniej niż przedtem, jego złość wzrosła. Spojrzał z dezaprobatą na czajnik, który przyniósł Benny, a potem uśmiechnął się ponuro.

- Może potrzeba nam czegoś mocniejszego. Trochę brandy rozluźni cię, zaczniesz rozmawiać. Może nawet przestaniesz wyglądać jakbyś kij połknęła ...

- Niel - przerwała. - Nie chcę żadnego alkoholu. Chcę tylko wiedzieć, o co ci chodzi. Nawet domagam się, żebyśmy to zaraz załatwili i żebyś mógł nas odstawić z powrotem na St. George.

Zignorowawszy jej żądanie, podszedł do biblioteczeki i otworzył mahoniowe drzwiczki. Wewnątrz stało kilka

karafek. Wziął karafkę z płynem o bursztynowym kolorze i dwa kieliszki z rżniętego kryształu i wrócił na kanapę.

- Napij się - powiedział rozkazującym tonem.

- Twój wstrętny trunek nie rozwiąże mi języka. A więc żądam, abys natychmiast powiedział mi, jaki masz do mnie interes.

- Aha, bardzo dobrze - roześmiał się i nalał do jednego kieliszka brandy na dobre dwa palce.

- To nic nie da. Nie powiem ani słowa, dopóki nie dowiem się, o co chodzi... i dopóki nie będę traktowana z większym szacunkiem.

- Będę cię traktował z szacunkiem. To był najlepszy koniak Napoleona. - Postawił przed nią kieliszek. - No dalej, Auroro, moja sztywna panienko. Jeśli ten koniak nie podziała na ciebie, to nie masz się czego obawiać. Wypij.

- Nie chcę... - zaczęła, ale zanim zdążyła dokończyć, odciągnął jedną jej rękę od piersi i zacisnął ją wokół kieliszka. Potem na powrót usiadł na kanapie.

- Co się dzieje na tym statku? - spytała, gdy tylko znalazł się obok niej. Tak bardzo chciała usłyszeć odpowiedź, że nawet nie zauważyła, iż sukienka zsunęła się i jedno ramię miała gołe aż do łokcia. - Po co te wszystkie plany porwania mnie, skoro nic nie wiem o Gwieździe Aranu?

Skrzyżował ramiona na piersi i przyglądał się jej, jak gdyby była jakimś smakowitym kąskiem. Kremowa skóra na jej łopatkach zdawała się przyciągać jego uwagę tak, jakby była bezbronną zwierzyną, a on głodnym szakalem.

- Powiem wszystko, co chcesz wiedzieć - rzekł wolno. Ale pozwól, że najpierw przypomnę ci, że musisz ze mną współpracować. - Przeniósł spojrzenie na kieliszek, który trzymała w dłoni. - Powiedziałem, żebyś to wypila. Zaczniemy, kiedy kieliszek będzie pusty.

Popatrzyła na kieliszek. Powinna chlusnąć mu koniakiem w twarz. Ale to odsunęłoby tylko ich rozmowę na później, a chciała wiedzieć, o co chodzi, i to szybko.

Wypila wszystko jednym haustem. Poczula w gardle taki ogień, że prawie zaczęła się dusić. Przez dobrą minutę starała się powstrzymać kaszel w najbardziej dystyngowany, na jaki się mogła zdobyć, sposób. Kiedy w końcu doszła do siebie, postawiła z trzaskiem kieliszek na stole i obróciła twarz w jego stronę z miną wskazującą, że teraz wreszcie domaga się wyjaśnień.

- Jeszcze? - Podniósł karafkę, uśmiechając się nieznacznie.

- Nie - powiedziała ochryłym szeptem.

Nalał sobie. Wyciągnął się wygodnie, zajmując prawie całą kanapę, tak że musiała się przycisnąć do poręczy. Była pewna, że nikt jeszcze nie obraził jej tak bardzo, jak on, a jednocześnie, choć starała się ukryć to sama przed sobą, wiedziała, że nikt jeszcze tak jej nie intrygował. Nawet teraz, z jedną ręką niedbale zwisającą z kanapy, a drugą spoczywającą na brzuchu, był najwspanialszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Kusilo ją, aby dotknąć jego długich, lśniących, czarnych włosów i sprawdzić, czy są naprawdę tak gęste, na jakie wyglądają. ZC;lstanawiała się, patrząc na jego, pokrytą lekką mgiełką potu, pierś, czy jest w dotknięciu ciepła i gładka, czy też - przeciwnie - chłodna. Potem popatrzyła na jego profil. Jak na pochodzącego z dołów społecznych kryminalistę, miał silną szczękę, rzymski nos i szlachetnie ukształtowane czoło. Gdyby nie wiedziała, kim jest, pomyślałaby, że pochodzi z wysokiego rodu. Gdyby stosował się do przyjętych konwenansów, z pewnością mógłby uchodzić za szlachcica. a może nawet arystokratę.

- Napij się jeszcze - powiedział nagle i pochylił się ku niej z karafką w ręce. Już miała odmówić, kiedy jego noga otarła się o jej nogę. Nawet to lekkie muśnięcie rozstroiło ją. Przywołało sen, który o nim miała i wszystkie nie poddające się kontroli uczucia, które nią wtedy owładnęły. Teraz była jego więźniem. I nadal nie wiedziała, czego od niej chce.

Spojrzała bez słowa na pełny kieliszek, który wcisnął jej w dłoń. Koniak, choć miał okropny smak, dodał jej odwagi. Przegrała już jedną bitwę w tej walce woli, ale była daleka od poddania się. Odwaga była jej bardzo potrzebna. Pociągnęła łyk i znowu zaczęła się krztusić. zasłoniła dyskretnie usta.

- A zatem, czego chcesz? - spytała w końcu, czekając na odpowiedź.

- Chcę wiedzieć, gdzie jest Gwiazda AramI. Jeśli mi to powiesz, będziesz wolna.

- A co to jest ta Gwiazda? - spytała szeptem.

- To szmaragd wielkości twojej pięści. Twój ojciec ukradł go wicehrabiemu Blackwell.

- Mój ojciec! Na pewno tego nie zrobił! - wykrztusiła, wstrząśnięta jego słowami. Jej ojciec nie był złodziejem. Choć prawie go nie pamiętała, wiedziała, że był dobrym człowiekiem, człowiekiem, który nauczył ją wierszyków i dał jej medalion. Tak szlachetny człowiek nie mógł być kryminalistą. Ten pirat jest w błędzie.

\_ Nie podoba ci się to, co? Myślisz, że oczerniam twojego ojca. - Uśmiechnął się krzywo. - Izaak miał rację. Powiedział, że ciężko mi będzie ciebie przekonać.

\_ Mój ojciec nie robił takich rzeczy. Mylisz się. - Spojrzała na niego płonąącym wzrokiem.

\_ Robił. Ukradł ten szmaragd, a potem umieścił cię w tym przytułku, żeby nie stało ci się nic złego. A więc gdzie go zabrał? Wiesz?

\_ Sierociniec nie jest żadnym przytułkiem, a mój ojciec nie był złodziejem. Mylisz się.

Nagle stracił cierpliwość. Wziął ją pod brodę i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

\_ Skończmy tę zabawę w eleganckie towarzystwo, panno Dayne. Jesteś córką złodzieja i aktorki, a do tego prostytutki. Nosisz nazwisko ojca tylko dlatego, że nie zaprotestował. by cię nim nazwano. Nie znaczy to wcale, że pochodzisz z legalnego związku.

Zbladła jak trup.

- Co mówisz?

\_ Mówię, że ty, dobrze ułożona panna Dayne, jesteś nie ślubnym dzieckiem.

Wyrwała się z jego uścisku i prawie krztusząc się z wrażenia wykrzyknęła:

- Nie będę słuchać takich kłamstw!

Spoważniał.

\_ To nie kłamstwo. To szczerą prawdą. Twoja matka była aktorką w tanim teatryku w Bethnal Green i zmarła przy twoim porodzie. Byłaś jej jedynym dzieckiem. Wychowywał cię ojciec i prawdopodobnie nawet darzył pewnym uczuciem, ale potem ukradł ten szmaragd i wyjechał w nieznaną stronę, a ciebie zostawił w sierocińcu. Chcę wiedzieć tylko to, gdzie twój ojciec schował szmaragd. Nie mówił, dokąd i gdzie?

Jego głos prawie nie docierał do niej. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Cała b'Intowała się przeciw temu. Nie. była bękartem, splodzonym gdzieś na zapleczu obscurnego teatru. Była córką ... ?

Właśnie - czyją? Nie mogła przywołać obrazu żadnej osoby. Nie pamiętała twarzy rodziców, nie pamiętała nic oprócz mężczyzny, który mógł być równie dobrze bogaczem jak biedakiem, a nawet żebrakiem czy złodziejem.

Zamknęła oczy. Nie, to nie może być prawda. Pamiętała, jak kiedyś, będąc jeszcze dziewczynką, zdobyła się jeden jedyny raz na odwagę i spytała panią Bluefield, kim byli jej rodzice. Ta w odpowiedzi zacytowała fragment wiersza:

Uspokój się dziecino, twój ojciec był wielmożą, Matka zaś damą - piękną i hożą.

Nie mogła usłyszeć nic przyjemniejszego. Pani Bluefield spełniła jej ukryte marzenia, natchnęła ją odwagą. Aurora uwierzyła w te słowa. Odtąd usilnie pracowała nad sobą, starała się nabrać nienagannych manier, uczyła się pilnie, dbała o swój wygląd, a wszystko to w nadziei, że pewnego dnia zjawią się ów wielmoża i owa dama i odbiorają. I teraz wszystko to miałyby się okazać pomyłką?

Do oczu napłynęły jej łzy. Odwróciła się szybko, aby ich nie zobaczył. Wiedziała, że nie była jedynym dzieckiem, któremu pani Bluefield recytowała ten wiersz. Nawet ona sama, będąc już nauczycielką, odpowiadała tym wierszem na pytania dzieci o ich rodziców. Wszystkie chciały wierzyć, że mówi prawdę. Ale w żadnym wypadku, nawet w jej wypadku, nie było to prawdą.

- Jesteś łajdakiem. Jak możesz mówić mi takie bezczelne kłamstwa - powiedziała trzęsącym się z emocji głosem. - Już czas, żebyś się pozbyła tej fałszywej manii wyższości.

\_ Jeśli mam poczucie wyższości, to tylko dlatego, że nie jestem pozbawiona honoru. - Obróciła się i spojrzała na niego z furią w oczach. - Nie tak jak ty!

Nic nie odpowiedział, jak gdyby jej gniew zaskoczył go, a potem roześmiał się szyderczo.

\_ Widzę, że nadal jesteś tą samą lodowatą dziewczicą. Kiedy znajdziemy się na upalnych Karaibach, przypomnij mi, żebym użył cię do chłodzenia wina.

Popatrzyła na niego z nienawiścią. Ochłonął. Jego twarz przybrała surowy wyraz.

\_ Dobrze, wracamy do interesów. Gdzie jest Gwiazda?

\_ Nawet gdyby to podłe oskarżenie mojego ojca było prawdziwe. to i tak niczego się ode mnie nie dowiesz. Kiedy go ostatni raz widziałam. byłam małym dzieckiem. Skąd mogę wiedzieć. gdzie jest ta Gwiazda?

\_ Skoro nauczył cię tego wierszyka, w tych pozornie bezsensownych słowach przekazał ci tajemnicę jej ukrycia. A więc gdzie ona jest? Powiesz mi i jesteś wolna.

Patrzyła na niego przez chwilę, chowając urazę tak głęboko. by nikt jej nigdy nie zobaczył. Czowała, że alkohol działa i cieszyła się teraz, że wypila. Co prawda trochę mieszały jej się myśli, ale dzięki alkoholowi nie bała się już tak, jak przedtem.

\_ Mój ojciec nie ukraść tego szmaragdu - powiedziała. - Nigdy w to nie uwierzę.

\_ Niestety, będziesz musiała. Michael Dayne naprawdę był złodziejem. i to dobrym.

Uspokoiła się. Pragnęła znaleźć jakiś dowód na to, że ojciec był szlachetnym człowiekiem, by pokazać Vashonowi, jak bardzo się myli, ale nie dysponowała żadnym dowodem. Miała tylko ten medalion, ale Vashon usiłował jej wmówić, że jest on własnością kogoś innego.

\_ Naprawdę wiesz coś o moim ojcu? - spytała cicho, czując pęknięcie w tej twardej skorupie, którą się dotąd otaczała.

- Tak. - Bacznie się jej przyglądał.

- To gdzie on teraz jest? Czy jeszcze żyje? - Jej oczy zabłyśły nadzieją. Nie chciała uwierzyć. że Vashon wie cokolwiek o jej ojcu. ale po tych wszystkich latach samotności. nie mając nikogo bliskiego, wolałaby nawet ojca-złodzieja niż żadnego.

- Na pewno nie - odpowiedział wolno, obserwując jej twarz. - Nie słyszano o nim od czasu. kiedy zostawił cię w sierocińcu.

Wbiła wzrok w podłogę. Nie mogła pozwolić. by zobaczył, jak ją to rozczerowało.

- Nic o nim nie wiesz. a jednak oskarżasz go o to, że był złodziejem. Gdzie masz na to dowody? Pozbawiasz mojego ojca czci, ale nie masz żadnych dowodów.

Bez ostrzeżenia sięgnął do jej szyi. Zadrzała pod jego dotyłaem. Podniósł medalion.

- Stąd o tym wiem - powiedział stłumionym głosem, patrząc na jaszczurkę. - Ten wisiołek zrobiono dla lady Blackwell na jej ślub. Dobrze wiadomo. że twój ojciec ukraść go jej mężowi. To jest bardziej wymowny dowód na to. że jesteś córką Michaela Dayne'a niż to - dotknął jej włosów. - Jego miały. jak mi powiedziano, taki sam kolor.

- Inni, też mają włosy o takim kolorze.

- Ale wisiołek jest tylko jeden. Powiedziałem ci to podczas naszej pierwszej rozmowy.

- A zatem ten wierszyk. którego nauczył mnie ojciec. mówi o tym. gdzie ukryty jest szmaragd?

- Tak. Jestem tego pewien. Jest w nim klucz do schowka. - Puścił medalion.

Jej ręka powoli powędrowała do szyi. Jak zwykle. zaczęła obracać medalion w palcach. lecz tym razem nie robiła tego ze zdenerwowania. zaczęła sobie powoli uświadać. że ma coś. czego może użyć przeciw temu człowiekowi. Nie wierzyła w te ohydne kłamstwa o rodzicach. Ale zdawało się. że na niczym mu tak nie zależy, jak na tym szmaragdzie i jeśli przypadkiem miejsce ukrycia klejnotu zaszyfrowane było w wierszyku, to sądziła, że potrafi go rozszyfrować. Bo tylko ona wiedziała, że wierszyk ma drugą zwrotkę. Drugą zwrotkę, która była wygrawerowana wewnątrz medalionu.

- Opowiedz mi wszystko, co pamiętasz o ojcu - powiedział. - Od tego możemy zacząć.

Udała, że przystaje na to. Musiała strzec przed nim medalionu. Dopóki on i wszyscy inni uważają, że jaszczurka jest zwykłym wisiorkiem, była bezpieczna.

- Chcę jeszcze trochę brandy - powiedziała.

Uniósł w górę brwi. W milczeniu spełnił jej życzenie. Kiedy napełnił kieliszek, zaczęła się zastanawiać nad tym, co powiedzieć. Musiała powiedzieć tyle, żeby go zadowolić, ale nie za dużo. Na razie będzie najlepiej, jeśli wierszyk zachowa w tajemnicy. Będzie to jej ostatnia deska ratunku, szczególnie jeśli sprawy przybiorą gorszy obrót. Wypiła łyk i zerknęła na niego. Nie chciała nawet myśleć o tym, jak zły obrót mogą przybrać.

- O ojcu nie pamiętam nic - zaczęła, nie mogła się jednak powstrzymać, by nie dodać - oprócz tego, oczywiście, że był bardzo szlachetnym człowiekiem. Tak czy inaczej moje wspomnienia nie pomogą ci w odnalezieniu tego szmaragdu. Jest jasne, że musi znajdować się w Irlandii. Nazwa wskazuje, że pochodzi z Wysp Aran. Ale nie wiem z której wyspy.

- Gwiazd~ pochodzi stamtąd, to prawda. Ale teraz jej tam nie ma. Szukałem tam. Inni też - dodał zagadkowo. - Ale jeśli masz nadzieję znaleźć miejsce jego ukrycia dzięki temu wierszykowi, to się zawiediesz. On jest bez sensu. Jak chcesz go rozszyfrować?

Patrzył na nią tak długo, że aż to spojrzenie zaczęło ją piec.

- Ty, Auroro, jesteś kluczem do tej zagadki. Ty rozszyfrujesz ten wierszyk.

Mrówki przeszły jej po krzyżu.

- A jeśli nie potrafisz? Co się wtedy ze mną stanie?

Nachylił się nad nią.

- Wtedy będziemy musieli się postarać, żeby był z ciebie jakiś pożytek, prawda?

Z trudem powstrzymała się, żeby od razu nie wyznać, że wierszyk ma jeszcze jedną zwrotkę. Przestraszył ją. Wiedziała jednak, że musi być silna. Od tego zależało jej życie. Gdyby zdradziła mu wszystko, to jej wartość dla niego stałaby się w najlepszym wypadku problematyczna. A co robili piraci z bezwartościowymi jeńcami? Kazali iść z zawiązanymi oczami po desce sterczącej za burtę? Wyszadzali na bezludnej wyspie? Łyknęła dodającej jej ducha brandy i zaczęła gorzko żałować, że nie czytała *Przygód Robinsona Crusoe*.

- Kompletnie się zalejesz, jeśli będziesz dalej tak piła.

Popatrzyła na niego, nie bardzo słysząc, co mówi. Wachlując twarz dłonią, zastanawiała się, jak to się stało, że ta ogromna kajuta tak się naraz zmniejszyła. Było jej duszno. Poczula, że jeśli nie łyknie świeżego powietrza, może zwymiotować. Wstała, niepewnie podeszła do ściany i otworzyła iluminator. Lekki wietrzyk musnął jej włosy i ochłodził twarz. Postawiła kieliszek na parapecie i spojrzała w stronę S1. George. Wyspa powoli stapiała się z turkusowym horyzontem. Byli już tak daleko od niej, że nie było mowy o po~ocie. Ogarnęła ją panika.

- Vashon - powiedziała w końcu - musisz uwierzyć, że nie wiem, gdzie jest szmaragd. Gdybym wiedziała, to czy nie poszukałabym go sama?

Usłyszała jego kroki, a potem poczuła jego stalowy uścisk na ramionach.

- Poszukałabyś, owszem - odparł. - Ale widzę, że do tej pory nie wiedziałaś nic o jego istnieniu. Jak więc mogłabyś szukać czegoś, o czym nic nie wiedziałaś?

- Teraz wiem. a mimo to wierszyk nadal nie ma dla mnie sensu. Nie mogę go rozszyfrować. Musisz więc wypuścić mnie i Flossie.

- Nie wypuszczę.

- Dlaczego?

- Ponieważ ukrywasz coś przede mną.

Obróciła się do niego twarzą. Wzrok miał twardy, jak szmaragd, którego szukał.

- Co mówisz? - wykrztusiła.

- Mówię, że coś przede mną ukrywasz. Widzę to po twoim zachowaniu. Wiesz coś i nie chcesz mi tego powiedzieć.

- A gdybym wiedziała i powiedziała ci. to co byś zrobił? .
- Sprawdziłbym. czy to prawda.
- A gdyby się okazało. że prawda. to uwolniłbyś mnie i Flossie?
- Jeśli nie wiesz nic więcej. to może tak.

Odwróciła się z powrotem do otwartego iluminatora. Chłodny wietrzyk już nie pomagał. Było jej gorąco i z trudem mogła pozbierać myśli. Powiedziała wolno:

- Jak mogę ci wierzyć. po tym wszystkim coś mi dzisiaj zrobił? Nie jesteś człowiekiem honoru. Roześmiał się ponuro.
- Może nie jestem. ale są jeszcze gorsi. którzy tak samo jak ja chcą dostać Gwiazdę. Mogę ci powiedzieć tylko tyle. że lepiej zrobisz przekazując informacje o niej mnie niż im. - A najlepiej zostawiając je dla siebie.
- Ścisnął jej ramiona jeszcze mocniej.
- Posłuchaj. Auroro. Włożyłem dużo wysiłku w to. żeby cię dostać. I będę cię trzymał. dopóki nie dasz mi tego. czego chcę. choćby miało to trwać nie wiem. jak długo. Chcesz to dalej ciągnąć?
- Nie ufam ci. Nie mam wyboru. więc muszę zaryzykować.
- Masz wybór. - Obrócił ją. jak gdyby była lalką. - Powiedz mi. co wiesz. a potraktuję cię wspaniałomyślnie.
- A jeśli nie powiem? - rzekła z buntowniczą miną. - Co wtedy zrobisz? Wydobędziesz to ze mnie torturami? Może mnie nie doceniasz. Może jestem twardsza, niż ci się wydaje.
- A może nie. Wiesz, w pewnych kulturach tprtura podniesiono do rangi sztuki. To nie musi nawet boleć, to tylko doprowadza człowieka ... do załamania ... do kresu wytrzymałości. ..
- Kres mojej wytrzymałości może być dużo dalej, niż myślisz. - Patrzyła na niego oczami błyszczącymi od gniewu i alkoholu.
- Kres twojej wytrzymałości bardzo łatwo określić powiedział zgryźliwie.

Zmierzyli się wzrokiem i przez chwilę zmagali się tak w inilczeniu. W końcu powiedziała:

- Mylisz się - ale w tym momencie, jakby kpiąc z jej stanowczego stwierdzenia, uniósł jedną brew, a potem zniechęca objął ją.

Próbowała się oswobodzić, ale brandy spowodowała, że ruchy miała niepewne i nieskładne. Szybko zrozumiała, że szamotanina jest daremna. Jedną ręką obejmował ją, a drugą gładził pasmo jej włosów. Chciała krzyknąć. ale zanim wydobyła głos, przycisnął swe usta do jej warg. Odpychała go z całych sił, ale nie zdała się to na nic. W końcu pokonał jej opór i wcisnął język w jej usta. Jęknęła. Jego ręce też nie próżnowały - poczuła, że chwyta ją za pośladki. Ale to jeszcze nie było najgorsze. Zaczął przesuwac rękę w górę. Kiedy zorientowała się, że chce dotknąć jej piersi, wiedziała, że już się mu nie oprze. Wszystko zamazało się jej przed oczami, poczuła się tak, jakby miała zemdleć i opuściła głowę najego pierś. Spodziewała się, że teraz przypuści ostateczny atak, ale - o dziwo - jej poddanie się wyzwoliło w nim zupełnie inną reakcję. Znieruchomiał. Oderwał usta od jej warg i puścił ją, jak gdyby zorientował się, że udowodnił to. co chciał udowodnić i bał się. że może ją rzeczywiście złamać. Pozbawiona oparcia. zachwiała się i złapała za ramię iluminatora, cały czas łkając i z trudem łapiąc powietrze.

Minęło parę chwil, zanim się uspokoiła. Była blada jak upiór, ale bladość ta podkreślała tylko lśnienie jej oczu. Włosy miała w nieładzie. a oddech krótki i urywany. Wyglądała jak mała. zagubiona dziewczynka.

Ale. jak zwykle. nie można jej było nie doceniać. Jej ręka szybko znalazła stojący na parapecie kieliszek. Z pasją i odwagą. o którą sama się nigdy nie podejrzewała, chlusnęła mu jego zawartością prosto w twarz.

- Ty niegodziwcze! - krzyknęła.

Patrzył na nią nieruchomym wzrokiem. a po nosie i policzkach ściekała mu brandy. Widząc jego minę. była przekonana. że nikt jeszcze nie zrobił mu nic takiego. Była pewna. że niejednego zabił za znacznie mniejszą zniewagę. Zastanawiała się, czy ją też zabije. Choć czuła powiew śmierci, wątpiła, by posunął się tak daleko. Udowodnił już, że przygotował dla niej bardziej wyrafinowane tortury, fizycznie mniej niebezpieczne, ale o

wiele trudniejsze do zniesienia.

Z trudem opanowując wściekłość, otarł twarz dłonią. Zaskoczony jej szybkością, ujął ją pod brodę tak, by patrzyła mu prosto w oczy.

- Nie wiem, gdzie jest Gwiazda Aranu - powiedział - ale na pewno nie ma jej na St. George. A więc popłyniemy na Mirage. A kiedy już się tam znajdziemy nie będzie nic do roboty. Będzie można tylko siedzieć i przyglądać się, jak fale biją o brzeg. Krótko mówiąc, panno Dayne, mam czas, żeby czekać na twoje informacje. Mam czasu do diabła. Pomyśl o tym.

Puścił jej brodę i podszedł do szafy. Znalazł świeży ręcznik, wytarł twarz i wdział koszulę. Kiedy włożył buty, wyszedł z kajuty, zatrzasnąwszy z hukiem drzwi za sobą.

Dopiero gdy się zamknęły, opadła na kolana i z ulgą westchnęła.

\*\*\*

Wyspa St. George była zaledwie plamką na horyzoncie, gdy Vashon pojawił się na pokładzie. Zapadł już wieczór i słońce znajdowało się tuż nad linią morza, barwiąc fale na złocisto czerwony kolor. Wiatr dmuchał w żagle nad głową, a nad bezanmasztem pokazał się blady księżyc w pełni. Zapowiadała się znakomita noc dla żeglugi, ale Vashon albo nie dbał o to, albo nawet tego nie zauważył. Stał oparty o burtę, z rozwianym włosami i połyskującym czerwono w blasku zachodzącego słońca kolczykiem.

Pogrążony w rozmyśleniach, patrzył na wschód, gdzie, równoległe do statku, płynęło stado morświnów. Zdawał się jednak nie widzieć ich.

- Jak idzie? - spytał cicho Izaak, odszedłszy od kompasu, przy którym zaznaczał na mapie pozycję statku.

Vashon spojrzał na niego, a potem znowu odwrócił głowę w stronę morświnów.

- Niezupełnie tak, jak się spodziewałem. Ale dzisiaj nic się nie udaje. Przeklęty dzień!

- Faktycznie. Flossie Lindstrom o mało nie wpadła w szal, kiedy jej powiedziałem, że nie będzie się mogła zobaczyć z Aurorą. - Izaak popatrzył z miną winowajcy na morze. - Wolałbym, żeby wdowa została na lądzie.

- Spodziewam się, że trzymasz ją pod kontrolą.

- Jest zamknięta w kabinie i zostanie tam. Obiecuję ci.

- Dobrze. - Vashon odetchnął głęboko.

Dopiero teraz Izaak zauważył, że jest w kwaśnym humorze.

- A Aurora? Czy ...

- Jest w mojej kajucie. I zostanie tam, dopóki nie zacznie współdziałać.

- Może się długo opierać.

- Może.

Izaak zmarszczył brwi i, przez chwilę patrzył na morze. W końcu zebrał się na odwagę i powiedział:

- Nie potrafię sobie wyobrazić, jak dzielicie kajutę.

- I jedno łóżko, co? - lypnął na niego ponurym wzrokiem Vashon.

- To też - odparł spokojnie Izaak.

Vashon przeniósł spojrzenie na czerwieniejący się horyzont.

- To, czy będzie miała zgody, zależy tylko od niej. Powiedziałem jej to.

- Jest na pewno twardsza, niż początkowo myśleliśmy. Podejrzewam, że będzie uparta. Postaram się ją przekonać, żeby ...

- Jest słaba, naiwna i za bardzo się z nią pieścimy. Mógłbym ją złamać w jedną noc.

Ostre słowa Vashona zaskoczyły Izaaka. Spojrzał na niego jakby nie wiedząc, co robić dalej.

- Nigdy nie przypuszczałem, Vashon, że posuniesz się do gwałtu.

Vashon tylko skrzywił się.

- Bóg tylko wie - ciągnął Izaak - ile w ciągu naszych podróży widzieliśmy tak potraktowanych kobiet. Ale ty nigdy się do tego nie uciekałeś. Ba, pamiętam dobrze, jak znaleźliśmy na Barbadosie tę pobitą niewolnicę. Omal nie udusiłeś tego pijanego marynarza, który zaciągnął ją na plażę.

Vashon nie odezwał się.

- To mogłoby ją zabić - rzekł łagodnie Izaak.

- Wiem o tym - uciął krótko Vashon. Przeciągnął dłonią po twarzy. - To cholernie irytująca sytuacja.

- Aha, rozumiem, w czym problem. Użyjesz za dużo siły i rozsypie się jak rzymskie ruiny. Za mało i będzie walczyła do ostatniego tchu. Tak, to kłopotliwa sytuacja. - Kapitan pokiwał głową. - To dla ciebie zupełnie nowy problem.

W końcu subtelność nie jest twoją najmocniejszą stroną. Zwykle masz dotknięcie łagodne jak maczeta.

- To tylko kobieta, Izaaku. W końcu będę miał ją w garści.

- *Ale* musisz przyznać, że zupełnie nie przypomina kobiet, które dotąd znałeś. Nie możesz jej po prostu rzucić na łóżko i mieć pewność, że rano będzie mruczała z zadowolenia. Nie, drogi przyjacielu, musisz wymyślić zupełnie inną metodę.

Vashon zacisnął ponuro usta. - Wiem jedno.

- Co?

- Ze Peterborough chce dostać ten kamień. A ponieważ on chce go mieć, przysięgam, że go ubiegnę i nic ani oceany, ani kontynenty, ani nawet ta cnotka w mojej kajucie - nie przeszkodzi mi w tym. -

Walnął pięścią w burtę i odszedł, całkowicie ignorując zmartwioną minę kapitana.

Nie mogąc znaleźć rozwiązania zagadki, zwróciła swe myśli ku Flossie. Była pewna, że nic jej się nie stało, ale to oddzielenie od jedyne go sprzymierzeńca na statku było irytujące. Modliła się, by kapitan traktował swego jeńca lepiej niż ją potraktował Vashon. Za każdym razem, kiedy pomyślała o brutalnym pocałunku pirata, trzęsła się ze złości. Sens jego groźby był aż nadto jasny: poddaj się albo wycofaj. Nie zamierzała zrobić ani jednego, ani drugiego.

Przez prawie godzinę próbowała znaleźć jakiś sposób ucieczki. Posunęła się nawet do tego, że przeszukała całą kabinę w poszukiwaniu broni, czegoś, czym mogłaby go zmusić do zawrócenia statku. Ale nic nie znalazła. W bibliotece nie było niczego, co nadawałoby się do tego celu, a jedyna intrygująca szafka okazała się zamknięta na klucz. Zaczęła więc szukać klucza albo jakiegoś innego przedmiotu, którym mogłaby ją otworzyć, lecz nie znalazła nawet brzytwy, którą się golił. Musiała uznać się, przynajmniej przejściowo, za pokonaną i wtedy zmogło ją zmęczenie i wypity wcześniej alkohol. Zbyt zmęczona, aby chodzić, zbyt śpiąca, aby myśleć, padła na skraj łoża Vashona.

Jej myśli zwróciły się ku temu, co mówił o jej rodzicach. Nie ma racji, wmawiała sobie, wtulając się w puchowy materac pokrytego czarnym japońskim lakierem łoża. Zasnęła, powtarzając słowa: "twój ojciec był wielmożą, matka zaś damą, piękną i hożą", ale zaraz zaczęły ją dręczyć koszmarne sny, w których udowodniano, że słowa te są kłamstwem.

Wstała z łożka. Była słaba i miała wrażenie, że jakikolwiek głośniejszy dźwięk spowoduje, że pęknie jej głowa. Otworzyły się drzwi do kajuty i zaledwie zdążyła przycisnąć suknię do piersi. Odwróciła się. Okazało się, że to Benny przyszedł zgasić lampy na ścianach.

- Benny! - zawołała. - Która ... która godzina?

- Cztery szklanki. Dziesiąta, proszę pani.

Przeciągnęła dłonią po zmierzwionych włosach.



Kiedy Aurora obudziła się, w kajucie było ciemno. Nie miała pojęcia, która jest godzina, Wiedziała tylko, że to noc. Przez otwarte iluminatory widziała usiane gwiazdami niebo. Słyszała fale bijące o kadłub "Morskiego Śmiałka", któremu ani zmęczenie załogi, ani noc nie przeszkadzały w dążeniu do celu. Poczula strach i usiadła na łóżku. Kołdra zsunęła się z niej. Drżącą ręką odrzuciła włosy przez gołe ramię i rozejrzała się.

Po wyjściu Vashona starała się obmyślić jakiś plan. Otworzyła medalion i wiele razy przeczytała wyrytą w jego wnętrzu zwrotkę wierszyka w nadziei, że może znajdzie klucz do miejsca ukrycia Gwiazdy i w ten sposób odzyska wreszcie wolność. Nic to jednak nie dało. Wierszyk był nadal tak samo głupi i bezsensowny, jak zawsze, a może nawet teraz, kiedy starała się znaleźć zaszyfrowaną w nim wiadomość, jeszcze bardziej.

Nie mogąc znaleźć rozwiązania zagadki; zwróciła swe myśli ku Flossie. Była pewna, że nic jej się nie stało, ale to oddzielenie od jedyne go sprzymierzeńca na statku było irytujące. Modliła się, by kapitan traktował swego jeńca lepiej niż ją potraktował Vashon. Za każdym razem, kiedy pomyślała o hrudalnym pocałunku pirata, trzęsła się ze złości. Sens jego groźby był aż nadto jasny: poddaj się albo wycofaj. Nie zamierzała zrobić ani jednego, ani drugiego.

Przez prawie godzinę próbowała znaleźć jakiś sposób ucieczki. Posunęła się nawet do tego, że przeszukała całą kabinę w poszukiwaniu broni, czegoś, czym mogłaby go zmusić do zawrócenia statku. Ale nic nie znalazła. W biblioteczce nie było niczego, co nadawałoby się do tego celu, a jedyna intrygująca szafka okazała się zamknięta na klucz. Zaczęła więc szukać klucza albo jakiegoś innego przedmiotu, którym mogłaby ją otworzyć, lecz nie znalazła nawet brzytwy, którą się golił. Musiała uznać się, przynajmniej przejściowo, za pokonaną i wtedy zmogło ją zmęczenie i wypity wcześniej alkohol. Zbyt zmęczona, aby chodzić, zbyt śpiąca, aby myśleć, padła na skraj łoża Vashona.

Jej myśli zwróciły się ku temu, co mówił o jej rodzicach.

Nie ma racji, wmawiała sobie, wtulając się w puchowy materac pokrytego czarnym japońskim lakierem łoża. Zasnęła, powtarzając słowa: "twój ojciec był wielmożą, matka zaś damą, piękną i hożą", ale zaraz zaczęły ją dręczyć koszmarne sny, w których udowodniano, że słowa te są kłamstwem.

Wstała z łożka. Była słaba i miała wrażenie, że jakikolwiek głośniejszy dźwięk spowoduje, że pęknie jej głowa. Otworzyły się drzwi do kajuty i zaledwie zdążyła przycisnąć suknię do piersi. Odwróciła się. Okazało się, że to Benny przyszedł zgasić lampy na ścianach.

- Benny! - zawołała. - Która ... która godzina?

- Cztery szklanki. Dziesiąta, proszę pani.

Przeciągnęła dłonią po zmierzwionych włosach.

- Wiesz, kiedy będę mogła wrócić do swojej kabiny?

Vashon kazał mi podać pani kolację tutaj.

Spojrzała na chłopca z wyrzutem. Benny pokuśtykał do drzwi, jakby go smagnęła biczem. Odwrócił oczy z poczuciem winy.

- Czy Vashon chce mnie tu zatrzymać na zawsze? A może przypadkiem wiesz, czy ma zamiar mnie uwolnić?

- Nie, proszę pani - odparł wnosząc tacę z jedzeniem. Postawił niedbale tacę tam, gdzie przedtem stał czajnik z herbatą, cały czas starając się trzymać Koongę z dala od cukierniczki. Dopiero wtedy zorientowała się, że musiał już wcześniej być w kajucie, bo czajnik zniknął. Zniknęła też rozerwana koszula Vashona.

Spojrzała z niepokojem na łóżko. Czarna satynowa kołdra była Zmięta i odrzucona na bok. Pamiętała, że kiedy się obudziła, odsunęła ją. Nie mogła sobie jednak przypomnieć, aby się nią przykrywała. A więc kto to zrobił? Benny? Czy może wszedł tu ktoś inny, gdy spała?

Zamknęła oczy i starała się uspokoić. Czerwieniła się za każdym razem, kiedy wyobraziła sobie Vashona

stojącego przy łóżku, na którym spała. Wyteżała pamięć, usiłując sobie przypomnieć, czy wrócił do kajuty, ale nic nie pamiętała.

- Benny! - krzyknęła, zatrzymując go w progu.

- Słucham.

- Benny, skoro nie mogę stąd wyjść, może byłbyś tak uprzejmy i przyniósł tu moje rzeczy.

- Nie wiem, czy mogę. proszę pani ...

- Chyba Vashon nie zabronił mi korzystania z moich ubrań co? - spytała z niedowierzaniem.

Chłopak zaczerwienił się.

- Nie, proszę pani.

- A więc mógłbyś mi przynieść moje rzeczy? Muszę zrobić toaletę.

Benny chwilę się zastanowił.

- Dobrze, przyniosę - powiedział wychodząc.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, w Aurorę wstąpiła nowa nadzieja. W kajucie nie było niczego, co mogłoby posłużyć za broń, ale może znajdzie się coś takiego wśród jej rzeczy.

za niecałą minutę Benny był z powrotem. Postawił jej koszyk na łóżku, a grzebień i spinki położył na masywnym, hebanowym biurku. Potem wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Aurora zła pałą koszyk i przeszukała go do dna. Nie znalazła nic oprócz cennych stalowych nożyczek do robótek, które dostała od pani Bluefield na szesnaste urodziny. Obejrzała dokładnie nożyczki, nawet wypróbowała ich ostre końce, jednak myśl o sterroryzowaniu Vashona za pomocą takiego drobiazgu wydała się jej zbyt absurdalna.

Chwilowo pokonana, przebrała się w jedną ze swych sukienek z prostego lnu i odruchowo włożyła nożyczki do kieszeni. Nie wiedziała, co robić dalej. Wyglądało na to, że wyczerpała wszystkie możliwości uwolnienia się.

Rozpaczliwie starając się coś wymyślić i denerwując się coraz bardziej tym, że nic nie przychodzi jej do głowy, chodziła tam i z powrotem po dywanie, aż wydało się jej, że wytarła wytkane na nim smoki do samej osnowy. Rozejrzała się po kajucie, chcąc znaleźć coś, czym mogłaby się zająć i jej wzrok padł na grzebień i spinki do włosów leżące obok grzebienia i paska do ostrzenia brzytwy Vashona. Na pewno nie zostanie na statku tak długo, żeby być zmuszoną do dzielenia z tym łajdakiem jego biurka! W porywie paniki podbiegła do biurka i złapała swoje rzeczy. Rozczesała włosy, zebrała je w węzeł i ciasno upięła na karku. Potem pospiesznie wrzuciła grzebień do koszyka.

Czas mijał. W końcu zmusiła się, by usiąść na kanapie. Znowu zaczęła ją ogarniać senność. Popatrzyła na kolację, którą przyniósł Benny, ale wiedziała, że pełny żołądek tylko zwiększy senność. Siedząc na kanapie, gapiała się na drzwi, aż w końcu opadły jej powieki.

Kiedy się obudziła, jej głowa spoczywała na grubo wyściełanej poręczy kanapy, a stopy miała wsunięte pod siebie. Powoli, z ociąganiem, otwierała oczy. Z ciężkimi powiekami rozejrzała się po otoczeniu, nie bardzo poznając, gdzie się znajduje. Dopiero kiedy odwróciła głowę, zobaczyła go.

Właściwie najpierw zobaczyła spodnie. Czarne, dobrze skrojone spodnie, idealnie pasujące do nóg i bioder. Stał tak blisko, że musiała podnieść głowę, aby zobaczyć choćby tułów. W końcu, kiedy odchyliła głowę tak daleko do tyłu, że bardziej już nie mogła, napotkała jego srogi wzrok, który prawie pozbawił ją sił. Ten pirat naprawdę był twardy. Widziała to w jego oczach. Ludzka słabość nie miała do niego dostępu. Zaczęła się zastanawiać, co też mogło mu się przytrafić w życiu, że stał się tak zimny i nieprzystępny.

- Dobrze się spało, panno Dayne? - Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Zrozumiała nagle, że był już w kajucie, kiedy poprzednio zasnęła. Ale ktoś przykrył ją kołdrą - on czy Benny? Najpewniej Benny. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić tego budzącego lęk człowieka przy takiej czynności.

- A czy to pora, żeby pytać o co innego? - odparowała, cały czas starając się nie drgnąć pod jego spojrzeniem. \_ Jeśli nie, to domagam się, aby mi pozwolono udać się do mojej kabiny.

- W swoim czasie.

Zostawił ją i podszedł do biblioteczki. Z kieszeni spodni wyciągnął klucz. Otworzył szafkę, która wcześniej ją zaintrygowała. ale była zamknięta i oczom Aurory ukazał się istny arsenał. Na drZwiczkach wisiało sześć maczet, a każda z nich wyglądała jakby można nią było obciąć komuś nogę równie łatwo, jak ściąć trzcinę cukrową. Na górnej półce leżały trzy pary inkrustowanych srebrem pistoletów pojedYnkowych, a na dolnej - co najmniej siedem ostrych szabel. Były tam też beczułki z prochem i skrzyneczki z kulami. Krótko mówiąc. było tyle broni i amunicji. że można by było prowadzić przy jej wykorzystaniu prywatną wojnę. Aurora na ten widok osłupiała.

Vashon wyjął dwa pistolety. sprawdził, czy są naładowane. a potem zatknął za pas.

- Dlaczego bierzesz broń? - spytała. Nie mogła się powstrzymać. by nie dodać sarkastycznie: - Czyżby załoga miała dosyć twojej tyranii i zbuntowała się?

Uśmiechnął się złośliwie.

- Nie, ale mamy gości.

Znieruchomiała.

- Przecież jest noc. Skąd wiesz? - Odwróciła się w stronę iluminatorów. Wstawał świt. Niebo i morze miały jednakową szaroniebieską barwę. Jedyną ciemną plamą była sylwetka dużego okrętu zbliżającego się ze wschodu.

Po plecach przebiegł jej dreszcz. Nawet z tej odległości widać było, że nie ma żadnej flagi na maszcie.

Szybko opanowała drzenie. Zbliżający się statek mógł być jedyną szansą wybawienia jej z niewoli. Nie mogło być gorzej, niż było. Może nie wywiesili flagi z obawy o swe bezpieczeństwo. Być może "Morski Śmiałek" znany był na tych wodach jako statek piracki. Jak się zdążyła zorientować, właściciela "Morskiego Śmiałka" dobrze znano jako pirata.

Rzuciła jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie na statek widoczny na horyzoncie. *który* mógł być szansą odzyskania wolności. Gdyby udało się jej wymknąć z kabiny. może zdołałaby zasygnalizowc;lc już swoją obecność.

Spojrzała nerwowo na Vashona. zamknął z powrotem szafkę. tak że nie miała szansy na zdobycie broni. Musiała być szybka i działać znienacka. Gdyby dopisało jej szczęście, może znalazłaby się na pokładzie przed nim i mogła wezwać pomocy.

Patrzyła z uwagą, jak przekręca klucz w drzwiach kajuty. Będzie miała zaledwie sekundę, by się przemknąć, ale musi spróbować. Odskoczyła zasuwka i Vashon odsunął się, aby otworzyć drzwi. To była jej szansa. Wypadła na korytarz, ale dała zaledwie dwa susy, gdy ją złapał. Wrzeszczała, kiedy ciągnął ją za rękę do kajuty. Rzuciła się na ziemię, ale trzymał ją jak w imadle. W końcu sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła nożyczki i wbiła mu w dłoń. Zaklął i natychmiast ją puścił. Raz jeszcze rzuciła się do drzwi, ale zatrzasnął je, zanim zdołała ich dopaść. Wyrwał jej nożyczki, nim zdążyła się drugi raz zamachnąć.

Oparta plecami o drzwi, zauważyła, że zostawiła mu głęboką ryse na grzbiecie dłoni. Jednak jego reakcja na: ranę była dziwna. Nawet się nie rozzłościł. Rzucił okiem na małe nożyczki i uśmiechnął się. Potem znowu zabrał się do wyjścia, jak gdyby w ogóle nic się nie wydarzyło.

- Chcę uciec - powiedziała wyzywająco. - Jak Widzisz, nie cofnę się przed zranieniem ciebie. Lepiej więc wypuść mnie, zanim wpadnie mi w ręce prawdziwa broń i naprawdę wyrządę ci krzywdę.

Przyglądał się jej z przewrotnym uśmiechem.

- Ma pani rację, panno Dayne. Cóż za głupiec ze mnie! Myślałem, że uda mi się panią utrzymać w zamknięciu. \_ Włożył jej pistolet do ręki i z szyderczym ukłonem pokazał, gdzie jest spust.

Patrzyła zszokowana na pistolet w swojej dłoni. Teraz nie wiedziała już, co myśleć.

- *No*, śmiało. Pociągnij - powiedział, kiedy wyciągnęła do niego rękę z pistoletem.

- Co chcesz udowodnić? - spytała drżącym głosem.

- No dalej. Jeśli chcesz być wolna, zastrzel mnie. W przeciwnym wypadku będę musiał powitać statek, który jest coraz bliżej.

- Oszalałeś? Chcesz być zabity?

- Pytanie tylko, czy jesteś zdolna do zabicia człowieka. No dalej, strzelaj - szydził.

Nie mogła wto uwierzyć. Namawiają, aby go zastrzeliła.

Ale czy mogła to zrobić? Czy mogłaby żyć spokojnie ze świadomością, że go zabiła. Kiedy nie poruszyła się, wybuchnął śmiechem. Nienawidziła go, ale czy mogła go zastrzelić?

- Naciśnij spust. Jeśli to zrobisz, w chwilę potem będziesz na pokładzie.

Powoli opuściła rękę. Choć bardzo pragnęła wolności, nie chciała mieć krwi na rękach. I na to właśnie liczył. Odebrał jej pistolet. Wychodził już z kajuty, kiedy chwyciła go za rękaw.

- Nie zamkniesz mnie tu znowu! Chcę znaleźć się z Flossie na tamtym statku! - wskazała za okno. Była tak wściekła, że ledwo mogła utrzymać w dłoni jego rękaw. Niweczył każdy jej plan.

Zatrzymał się i przycisnął ją do drzwi.

- Panno Dayne, proszę mi wierzyć, na pewno nie chciałaby pani znaleźć się na tamtym statku.

- Chcę! Wszystko jest lepsze od tego pirackiego gniazda. Proszę mnie stąd wypuścić! W tej chwili!

- Chcesz odpłynąć? - Przycisnął ją mocniej do drzwi. Świetnie. Poznasz słynnego kapitana i załogę "Krwawiącego Serca". Jeśli nadal masz chęć odpłynąć z nimi, to nie będę cię zatrzymywał.

- Naprawdę chcesz ... ?

zanim zdążyła dokończyć, pochwyił ją. Popatrzył z zamyśleniem na jej związane włosy. Nagle przyszedł mu do głowy jakiś pomysł. Zachichotał. Wyciągnął spinkę z jej włosów i długi lok opadł jej aż na pierś.

- Dajmy ludziom z "Krwawiącego Serca" jakiś łup, co? - mówiąc to, Wyjął odebrane jej nożyczki i odciął pasmo włosów. Trzymając je w dłoni, otworzył drzwi i wypchnął ją przed sobą.

\*\*\*

Statek w miarę zbliżania się wyglądał coraz groźniej. Oświetlony od tyłu rubinową jutrzenką, wydawał się prawie czarny, jak wielki kruk uderzający na szlachetnego .. Morskiego Śmiałka".

Aurora patrzyła z górnego pokładu, jak załoga "Morskiego Śmiałka" przygotowuje statek do konfrontacji. Czuło się napięcie, gdy marynarze zjeżdżali po linach i znikali w lukach, ale Aurora miała niejasne wrażenie, że załoga widziała już niejedną walkę. Prawdę mówiąc, niektórzy zdawali się cieszyć z tego, co ich czekało. Tacy jak Vashon.

Popatrzyła na niego. Od czasu do czasu wykrzykiwał rozkaz, przechodząc gładko z angielskiego na francuski, hiszpański czy inny język, w zależności od narodowości marynarza, do którego się zwracał. Kiedy .. Morski Śmiałek" był już należycie przygotowany na spotkanie, Vashon zdawał się niemal cieszyć ze zbliżania się groźnie wyglądającego przeciwnika. Oczywiście miał błyszczące, a krok szybszy i bardziej energiczny. Kiedy zorientował się, że Aurora mu się przygląda uśmiechnął się nawet, lecz nie był to uśmiech zachęcający i wesoły, raczej denerwujący uśmiech pewnego siebie posiadacza, zupełnie jakby ona sama była Gwiazdą Aranu, a on wiedział, że nikt inny nie może jej mieć.

- Nadal masz nadzieję, że cię uratują? - Vashon podszedł do niej i zerknął na .. Krwawiące Serce", które było teraz nie dalej niż kilkaset jardów od nich.

Aurora raz jeszcze przyjrzała się dokładnie zbliżającemu się statkowi. Właściwie nie był czarny, ale dziób miał tak pokryty smołą, że - szczególnie z daleka - wydawał się czarny. Żagle miał postrzępione na końcach i szare z brudu, co tworzyło silny kontrast ze świeżymi, białymi żaglami .. Morskiego Śmiałka". Ale najdobitniejszym świadectwem tego, że .. Krwawiące Serce" nie może przynieść jej ratunku, była flaga, którą właśnie wciągano na maszt. Przedstawiała ona uśmiechniętą trupa czaszkę, a pod nią kościste ręce trzymające zalowawione serce. Przerazona tym makabrycznym widokiem Aurora zadrżała.

- Widzę, że zmieniłaś zdanie. - Vashon wykrzywił usta w kąpiącym. uśmiechu.

Nagle zatęskniła za wstrętną, ale bezpieczną kajutą. - Widzę, że to statek piracki - szepnęła.

- Jest pani zadziwiająco bystrą obserwatorką, panno Dayne.

Rozgniewana jego sarkazmem, dodała:

- I nic dziwnego, że płyną tym kursem. Znasz powiedzenie: .. Swój ciągnie do swego ..... - Przerwała i dalej przyglądała się .. Krwawiącemu Sercu". Była załamana. I ta nadzieja a ucieczki okazała się złudna. Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl. Odwróciła się do Vashona i położyła rękę na jego potężnym ramieniu. - Chyba ... chyba nie chcesz im wydać Flossie i mnie? Chyba nie chcesz w ten sposób zapobiec ich atakowi? Spojrzał najej delikatną dłoń na swoim ramieniu. Nakrył ją swoją dużą dłonią i powiedział:

- Zabrzmiało to prawie tak, jakbyś miała nadzieję, że tego nie zrobię. A powinienem?
- Nie możesz ... to piraci - wykrztusiła.
- A ja kim jestem?
- Piratem. - Jej oczy pociemniały. Roześmiał się.

Sytuacja była beznadziejna. Znalazła się między młotem a kowadłem.

- Skąd znasz tych ludzi? - spytała z napięciem w głosie.
- Powiedzmy, że to starzy znajomi.

Powinna ugryźć się w język, ale nie mogła się powstrzymać, by nie powiedzieć:

- To starzy kumple z pirackiej szkoły?
- Roześmiał się jeszcze głośniej.
- Teraz, kiedy już wiesz, kto to jest, kogo wybierzesz? Ich czy mnie?

Spojrzała w bok i powiedziała z wahaniem:

- Myślę, że "Morski Śmiałek" będzie mniejszym złem. Przynajmniej ma brytyjską flagę.
- Nie zawsze.

Podążyła za jego wzrokiem i zbladła. Na maszcie powiewała czarna flaga z zielonym smokiem. Z tym samym smokiem, który był wytatuowany na plecach Vashona.

Przycisnęła ręce do skroni. Musiała uciec z tego strasznego statku. Najpierw jednak musiała się upewnić, czy nie znajdzie się w jeszcze gorszych rękach.

- I co, żadnych złośliwych docinków? - zadrwił. - Nie skarżysz się na złe traktowanie, nie nazywasz mnie zdrajcą?

- A dlaczego miałabym to robić? Teraz pokazałeś swoje prawdziwe oblicze. - Oderwała wzrok od flagi. - Myślę, że używasz flagi brytyjskiej tylko wtedy, kiedy uciekasz przed marynarką wojenną.

- A jednak. A więc uważasz mnie za tchórza. Zacisnęła usta i odwróciła wzrok.
- Roześmiał się.

- Pewnie w to nie uwierzysz, ale "Morski Śmiałek" to najlepszy z moich statków, które odbywają regularne rejsy z Londynu do Nowego Jorku i zupełnie legalnie pływają pod brytyjską banderą.

- Od czasu do czasu. Wtedy, kiedy ci to odpowiada.
- Tak. Kiedy mi to odpowiada, to znaczy cały czas.
- Ale nie teraz - powiedziała ostro.
- Nie teraz - zgodził się - bo przed moją banderą ucieka więcej statków niż przed banderą brytyjską.
- "Krwawiące Serce" jakoś nie ucieka. - Wyglądało na to, że za parę minut oba statki się spotkają.
- "Krwawiące Serce" nie wygląda zbyt okazale, ale" siłą ognia dorównuje "Morskiemu Śmiałkowi": Gdyby zdecydowali się na atak, to zmietlibyśmy się wzajemnie z powierzchni morza.
- Ale za bardzo boją się smoka?

Popatrzył na nią uważnie. Jego wzrok ześliznął się najej piersi, przeżące się pod sukienką. Uśmiechnął się z uznaniem, a potem z zagadkowym wyrazem twarzy dotknął pukla włosów, *który* wymknął się spod spinek.

- Powiedzmy, że mam na pokładzie cenny ładunek rzekł. - Ładunek, którego "Krwawiące Serce" nie chce zniszczyć. - Mówiąc to, oparł ręce na burcie po obu jej stronach, tak że znalazła się w jego ramionach niczym w klatce i - czy tego chciała czy nie - czekała razem z nim na podpłynięcie „~awiącego Serca”. Złowieszczy statek stanął burta w burtę z "Morskim Śmiałkiem". Załogi stały w śmiertelnej ciszy na pokładach i mierzyły się wzrokiem jak żołnierze wrogich armii, gotowi do ataku. Aurora spojrzała na mostek. Przy budce stał kapitan Corbeil, nerwowo pocierając okaleczoną dłoń. Tymczasem dowódca "Krwawiącego Serca" zauważył Vashona.

- Vashon! - krzyknął. - Miło znowu spotkać się z tobą, *mon amil*

Vashon wyszczerzył zęby w uśmiechu. Aurora czuła bicie jego serca. Teraz pukało przyspieszonym rytmem.

- *Salaud*, Azedynie! Czego chcesz? Jeśli szukasz swego opiekuna, to muszę cię zmartwić. Zdaje się, że wszystkie rekiny zostały na Bermudach.

Dowódcę "Krwawiącego Serca" rozśmieszyło to tak, że aż złapał się za brzuch. W końcu odkrzyknął:

- Vashon, ja zawsze cenilem twój dowcip! Ale Peterborough nie byłby zachwycony tym opisem!

- Powiedz mu, że na tym statku nie znajdzie krwi, którą mógłby się pożywić!

- Mówiłem mu, że się nie zgodzisz! - Dowódca „Krwawiącego Serca” roześmiał się i potrząsnął głową. Był niskim mężczyzną o smagłej cerze i kędzierzawych włosach. Mógł być Marokańczykiem albo Algierczykiem. Nie był brzydki, ale nawet z tej odległości Aurora widziała, że brakuje mu paru zębów.

- A co to za ślicznotka, Vashon? - krzyknął. Popatrzył na Aurorę takim wzrokiem, że odruchowo przytuliła się do Vashona.

- A, to mój klejnocik. - Vashon objął ją i udał, że wacha jej włosy. - Nigdy nie zgadniesz, gdzie ją znalazłem! krzyknął. - W przytułku w Londynie! Nigdy nie wiadomo, w jakim miejscu można znaleźć skarb.

Aurora wzdrygnęła się. Chciała się uwolnić z objęć Vashona, ale nie mogła tego zrobić. Gdyby zaczęła się szarpać, to mógłby ją wydać kapitanowi "Krwawiącego Serca". Instynktownie czuła, że będzie dla niej lepiej, jeśli zostanie na "Morskim Śmiałku". Nie poruszyła się więc nawet.

- Chciałbym, żebyś poznał Aurorę! - ciągnął dalej Vashon. - To panna Aurora Dayne, najcenniejsza pasażerka. Nie chcielibyśmy się z nią szybko rozstać.

- Widzę - odparł Azedyn, przybierając poważną minę. Gdybym miał taką piękną towarzyszkę, to też nie chciałbym się z nią szybko rozstać. Ale muszę ci ją zabrać, Vashon. I dlatego proszę, żebyś wpuścił mnie na pokład. Ustalimy cenę.

Słyszając to, Aurora jeszcze mocniej przycisnęła się do Vashona. Musiją zabrać? Czyżby wszyscy piraci sprzyślegli się, żeby ją porwać? Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, kurczowo złapała Vashona za rękę. Roześmiał się i przycisnął ją do piersi. Nadal go nienawidziła. Wydawało się, że jej przerażenie sprawia mu przyjemność.

- Azedynie! - krzyknął wesoło. - Oczywiście, wchodź na pokład! Zjedz z nami! Ale ostrzegam cię - ona nie odpłynie z tobą! Przykro mi to mówić, ale musiałbym cię zabić!

Azedyn zachichotał. Machnął ręką, a tymczasem załoga "Morskiego Śmiałka" przerzuciła pomost, żeby mógł wejść na pokład.

- Nie zapomnieli o tobie w Kazbie, Vashon. Kobiety jęczą wzdychając za tobą, mężczyźni jeszcze cię nienawidzą. - Skończywszy jeść, Azedyn odłożył widelec i pogłaskał się po brzuchu. Wydawał się zadowolony z siebie. Aurora była święcie przekonana, że gdyby udało mu się porwać ją i uciec, to byłby to dla niego jeden z najlepszych dni w życiu.

Wyglądało na to, że Vashon nie chciał przyjmować tego człowieka w swoich prywatnych apartamentach, bo jedli w mesie, tam, gdzie spożywali posiłki pasażerowie. Aurorze wydawało się, że od tamtych chwil minęło wiele tygodni.

Kucharz przyrządził tak wystawny posiłek, jak gdyby na

statku gościł nie chciwy korsarz, ale osoba królewskiego rodu. Jednak Aurora nie miała apetytu. Przez cały czas czuła na sobie drapieżny wzrok Algierczyka. Choć widziała, że Vashon trzyma Azedyna na wodzy, widziała też, że Azedyn pragnie zakończyć swą wizytę sukcesem. Ponieważ nawet on wiedział, że nie może mierzyć się z Vashonem, pozostawało mu tylko skorzystać z zaproszenia, zjeść śniadanie i odpłynąć. Vashon spojrzał ostro na Algierczyka, który przestał się w tym momencie przypatrywać Aurorze, rozparł się w fotelu i uśmiechnął.

- Ach, ta Kazba - powiedział. - Cały czas mile ją wspominam. Czy ulica Ben Alego jest tak samo kręta i pełna zakamarków jak dawniej? Można tam było ustawić tysiąc złodziei i nikt nie znalazłby ani jednego.

- Jest taka, jak była .. Ale zapomniałem powiedzieć, że dej nadal cię nienawidzi... Nawet on nie mógł cię znaleźć po tym, jak wkradłeś się do jego pałacu i znalazłeś w objęciach jego najstarszej córki.

Vashon roześmiał się.

- I dalej jest nagroda za moją głowę? Nic dziwnego, że musiałem się przerzucić na interesy zgodne z

prawem. Dej ma ostrą szablę, *c'est compris*?

- Tak, nagroda jest nadal i wiesz, że nie mam nic przeciwko temu, żeby ją dostać.

- No to spróbuj I - powiedział wyzywająco Vashon.

- Ba, łatwo powiedzieć - westchnął Azedyn. - Ale skoro nie mogę dostarczyć twojej głowy dejowi, to może przywiozę jego tobie. Wiesz, dalej wpada w szal, kiedy ktoś wspomni o tobie. Sprytnie zrobiłeś, dając pięćset denarów za jego głowę, kiedy on dawał sto za twoją.

- I dalej nie mogę ścierpieć tej zniewagi. żeby mnie tak nisko wycenić I - Vashon zrobił obrażoną minę i obaj wybuchnęli śmiechem.

Aurora nawet się nie uśmiechnęła. Siedziała obok Vashona, obracając na talerzu smażonego banana. Cała ta rozmowa o Kazbie była jednym wielkim szyderstwem. Czytała kiedyś, że Algier nazywany jest "Białym Miastem" ze względu na bielone domy, położone na wzgórzach opadających ku kuszącemu żeglarza portowi. Zawsze budziło jej sprzeciw to, że taką nazwą, niewinną i czystą, obdarzano schronisko piratów, szpiegów i innych łotrów.

Skorb jed.nak Kazba była takim miejscem, to ci dwaj rzeczywiście do niej doskonale pasowali. Azedyn sprawiał wrażenie człowieka, który okradłby nawet żebraka, a Vashon jeszcze gorszego łotra. Wydawało się, że w ogóle nie boi się walki. Kiedy tacy jak Azedyn podkuliliby ogon i uciekali, gdzie pieprz rośnie, Vashon dotrzymałby placu. Aurora uświadomiła sobie nagle, co w nim jest najbardziej przerażającego - to, że nie boi się śmierci. Ludzie instynktownie to wyczuwali i trzymali się od niego z daleka. Ale co mogło skłonić człowieka, by bardziej niż życie cenił sobie odwagę? Odpowiedź była tylko jedna - właśnie ta pogarda dla śmierci umożliwia mu przeżycie.

- A więc - zaczął Azedyn, przenosząc wzrok na Vashona - co mam powiedzieć Peterboroughowi, jeśli wrócę z pustymi rękami?

- Chciałeś powiedzieć - k i e d y wrócisz z pustymi rękami - poprawił go Vashon.

Azedyn roześmiał się.

- Ach, *mon ami.*, przejęczyłem się. Jakoś nigdy nie udało mi się obłowić na "Smoku". Ale co mam mu powiedzieć? On naprawdę chce mieć tę dziewczynę. Wolałbym, żebyś pozwolił miją zabrać. - Ponownie spojrzał błyszczącymi oczami na Aurorę. Rzuciła mu wyzywające spojrzenie, ale czuła się jak "cieleń na targu".

- Nie możesz jej zabrać, ale daję ci to - Vashon niedbałym ruchem wyciągnął pukiel włosów, który obciął Aurorze. - Daj to Peterboroughowi z wyrazami szacunku ode mnie. I powiedz, że nie musi już szukać Gwiazdy. Jest moja.

- Powiem, skoro nie mam innego wyboru - rzekł Azedyn.

Jego, wzrok stał się bezczelny i Aurorze zaczęło się zbierać na wymioty. Algierczyk nie był lepszy niż brud, który zeszkrobywała z jedynej wanny w sierocińcu. Na myśl o tym, że mógłby ją dotknąć, chciała wyskoczyć za burtę. A widać było wyraźnie, że chce znacznie więcej niż tylko jej dotknąć.

- Azedynie, nie požądaj osła twego bliźniego - przywołał go do porządku Vashon. Azedyn posłusznie przeniósł wzrok z Aurory na właściciela "Morskiego Śmiałka".

- Teraz lepiej - zauważył sucho Vashon. Najwyraźniej nie pudobał mu się sposób, w jaki Azedyn patrzył na tę, którą Vashon uważał za swoją własność.

Aurora poczuła, że się czerwieni ze złości. Nie mogła już znieść tej udreki. Nie była sprzętem i nie mogła pozwolić, by ktokolwiek traktował ją w ten sposób. Nie żywiła zbyt wielkiej wdzięczności dla Vashona za jego interwencje. Jeśli o nią chodziło, to jeden pirat wart był drugiego.

Wstała.

- Mam nadzieję, panowie, że mi wybaczycie, ale muszę poprawić toaletę - powiedziała. W tym momencie Azedyn podniósł ze stołu pukiel rzucony przez Vashona. Podniósł go do nosa, jakby chciał sprawdzić zapach włosów. Aurorę ogarnęła wściekłość. Nie życzyła sobie, aby jej włosy dawano jakiemuś człowiekowi o nazwisku Peterborough. Jeśli Vashon nie miał zamiaru oddać jej Azedynowi, to mogła sobie pozwolić na mały bunt.

- Auroro, dokąd idziesz? - spytał Vashon tonem, który słyszała nazbyt często u Johna Phippsa.

Podeszła do drzwi. Zmrużyła przekornie oczy.

- Idę do swojej kabiny. I nie trzeba mnie odprowadzać.

- Dlaczego jesteś taka nieuprzejma dla gościa? - Vashon skrzywił usta w uśmiechu. - Siadaj, Auroro, i skończ jeść. - Nie jestem głodna.

- Jeśli będziesz dalej taka niegrzeczna, to niedługo nie będzie się o co targować.

- Co za tragedia, szczególnie dla szanownego pana. Spojrzała na niego prowokującym wzrokiem, a potem skierowała się do wyjścia, ale zanim ujęła klamkę, usłyszała, że Vashon wstaje. Poczowała na ramieniu jego żelazny uścisk. Wypchnął ją na korytarz, poza zasięg wzroku Algierczyka.

- Auroro - powiedział szeptem Vashon - tym razem możesz odejść, ale ostrzegam cię, że w przyszłości nie będę tolerował takiego zachowania. Możesz iść do mojej kajuty, ale uważaj, żebyś nie pomyliła drogi. Ludzie z "Krwawiącego Serca" bardzo pragną łupu i nie sądzę, żeby ich towarzystwo ... spodobało ci się.

Wyrwała rękę.

- Nie musi się pan martwić. Nie pragnę towarzystwa piratów. -- Spojrzała na niego takim wzrokiem, że nie miał wątpliwości, iż jego też zalicza do tej grupy.

- Piraci czy nie, ale weź sobie do serca moje słowa, Auroro - potrząsnął nią lekko.

- Rozumiem ... a może nie - zakpiła. - Może lepiej by mi było na "Krwawiącym Sercu". Może ten Peterborough wie, że człowieka nie można traktować jak towaru, który sprzedaje się temu, kto da najwięcej

...

Złapał ją i zaczął potrząsać, że o mało nie odpadła jej głowa.

- Posłuchaj mnie, ty idiotko! Nigdzie nie miałabyś tak dobrze, jak na tym statku! A jeśli jesteś tak głupia, by myśleć o ucieczce do Peterborougha, to posłuchaj! Widziałem, jak Peterborough wepchnął człowiekowi pakuły do ust i podpalił. Nieszczęśnik spłonął żywcem, a Peterborough cały czas zanosił się od śmiechu. Dziękuj więc Bogu, że trafiłaś w moje ręce!

- Przestań ... przestań! - mówiła bez tchu, usiłując wyrwać się z jego uścisku. Kiedy się w końcu uwolniła, zobaczyła, że twarz ma wykrzywioną złością. Z jej ust wyrwał się szloch. Nie wiedziała, jak ma zareagować na tę straszną opowieść. Wydawało się jej niemożliwe, by mógł istnieć ktoś tak okrutny, jak ten Peterborough, ale gdy spojrzała w szmaragdowe oczy Vashona, wiedziała, że nie skłamał. I oto teraz, z powodu ojca, którego nawet dobrze nie знаła, znalazła się w samym centrum tego strasznego świata piratów.

Próbowała coś wymyślić, ale bezskutecznie. On znał tego Peterborougha, a ona nie. Jeśli mówił jej, że to potwór, to nie miała wyboru - musiała mu uwierzyć i zostać na statku, dopóki nie nadarzy się okazja ucieczki.

- Nie miałem zamiaru przestraszyć cię, myszko. Zmiękł trochę, zobaczywszy błądliwość jej twarzy. Podeszedł do niej, ale powstrzymała go oskarżycielskim spojrzeniem.

- Właśnie, że miałeś taki zamiar - powiedziała szorstko - I to od momentu, kiedy weszłam na pokład tego statku. Jesteś ordynarnym, rozwiązłym kryminalistą, który zdaje się czerpać przyjemność z zastraszania słabszych od siebie ... ale niedługo będziesz mnie zastraszal.

Popatrzył na nią ciepłej.

- Aha, i ten temperament, który nieczęsto mam okazję widzieć. Wiesz co, Auroro, powinnaś być mi wdzięczna za to, że cię porwałem i zmusiłem do walki, bo w przeciwnym razie zwiędłabyś i umarła w tym przytułku.

- To ... nie ... przytułek! - syknęła.

Wybuchnął śmiechem. Nie mogła już tego dłużej ścierpieć. Odwróciła się i pobiegła do kajuty, ale nawet kiedy zatrzasnęła drzwi, jeszcze słyszała jego dudniący śmiech.

\*\*\*

Znalazłszy się w kajucie, zaczęła gniewnie chodzić tam i z powrotem. Była w rozterce - czy miała ujawnić rabusiowi wierszyk i liczyć na to, że wypuści ją i Flossie? Czy też miała dalej znosić jego bezwstydne zachowanie w nadziei, że zdarzy się coś, co pozwoli jej pertraktować z nim ~a równych warunkach? Nie wie-



działa. Pragnęła porozmawiać z Flossie, ale nie pozwalał jej na to.

Zagryzła wargi i zaczęła zastanawiać się nad ograniczonymi możliwościami ucieczki, ale hałas dobiegający z drugiego statku nie pozwalał jej zebrać myśli. Przez otwarte iluminatory słyszała rozmawiających głośno ludzi na "Krwawiącym Sercu". Z pokładu statku dobiegał śmiech i dźwięk skrzypiec. Najwyraźniej załoga dobrze się bawiła w czasie, gdy jej dowódcę podejmowano na "Morskim Śmiałku".

Podeszła do iluminatorów, chcąc je zamknąć, ale w tej samej chwili zauważyła coś dziwnego. Czarne, satynowe zasłony łóżka Vashona, które zazwyczaj były przywiązane złotymi sznurami do kolumnienek, były teraz dokładnie zasunięte. Było to tym dziwniejsze, że zasuwano je tylko w zimnym klimacie, a nie w gorących rejonach Atlantyku.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego Benny je zasunął. Przez chwilę patrzyła na nie, zastanawiając się, co powinna zrobić, a potem podeszła ostrożnie do łoża. Było to chyba niemądre, ale wiedziała, że nie będzie się czuła bezpiecznie, dopóki nie sprawdzi, czy nikt się tam nie kryje.

Wyciągnęła rękę i ujęła skraj ciężkiej zasłony. Chciała odsunąć ją szybkim szarpnięciem, ale nim zdołała to zrobić, z wewnątrz wysunęła się potężna łapa i poderwała ją do góry.

- Co my tu mamy? - usłyszała zachrypnięty głos. Mokre ubranie trzymającego ją niczym w kleszczach mężczyzny wydzielало taki zapach, jak wilgotna sierść psa. Z brody ściekały mu krople wody, ale nawet mokry, siwiejący, potężny mężczyzna wyglądał jak raj dla wszy.

- Puść mnie! - wrzasnęła, próbując się wyrwać. Była tak przerażona, że serce o mało nie wyrwało się jej z piersi.

- Jeszcze jedno słowo ślicznotko, a poderżnę ci gardło od ucha do ucha. - Wyciągnął błyszczący nóż i przytknął jej do szyi. Wysiłkiem woli uspokoiła trzęsące się ręce. Gdyby poruszyła się choć o cal, ostrze zagłębiłoby się w jej ciele.

- Teraz dobrze. Mów cicho - poinstruował ją, kiedy przestała się ruszać. - Mam do ciebie parę pytań.

- Jesteś z tamtego statku? - spytała szeptem. Sama nie wiedziała, po co pyta. Nikt z załogi "Morskiego Śmiałka" nie był taki brudny ani rozczochrany.

Kiedy skinął głową, prawie straciła przytomność z przerażenia. Nie wiedziała, w jaki sposób ten zbir chce ją wykraść z "Morskiego Śmiałka", ale jeśli udało mu się niepostrzeżenie dostać na pokład, to bez wątpienia uda mu się też uciec. Co się z nią wtedy stanie? Teraz wiedziała już, że na "Krwawiącym Sercu" jej sytuacja będzie bez porównania gorsza.

- Czyja to kajuta? - zapytał.

- Vashona.

- A. Vashona. Tego bękarta. Na "Krwawiącym Sercu" mamy go już potąd.

W jego oczach pojawiła się nienawiść. Widać było, że spotkał się już z Vashonem ... i przegrał.

Za wszelką cenę chciała podtrzymać rozmowę.

- Chcesz narazić się na jego wściekłość? Wiesz, że nie będzie zadowolony, kiedy zobaczy, że mnie nie ma.

Zachichotał.

- Warto zaryzykować dla kamienia tak dużego, jak mój nos. zanim się to skończy, będę bogaty i słyszę, że ty jesteś tą dziewczyną, która mi w tym pomoże. - Pociągnął ją. Od jego uchwytu i tak już miała sińce na ramieniu.

- Posłuchaj! Nie mogę ci pomóc! Nie wiem, gdzie jest Gwiazda! - powiedziała, starając się, aby w jej głosie nie było słycać strachu.

- Pomożesz. Peterborough wie, jak zachęcić kogoś do gadania. Wydostaniemy od ciebie miejsce ukrycia Gwiazdy ... a może jeszcze coś, a? - Roześmiał się i objął ją w pasie. Kiedy szarpnęła się do tyłu, nacisnął mocniej nożem na jej gardło. - Jesteś całkiem ładna ... - rzekł szeptem, przyciskając ją do piersi. Obliznął usta, co przerażyło ją bardziej, niż wszystko, co mówił.

- Vashon nie pozwoli ci uciec - powiedziała. - Dobrze wie, jak postępować z takimi, jak ty.

- Vashon niedługo będzie zimnym trupem. - Zaczął obmacywać jej plecy. Z trudem wydobyła głos:

- Skąd ... skąd wiesz?

- Rozkaz Azedyna. Kiedy będzie po Vashonie, weźmiemy statek ... i jego piękny ładunek. - Popatrzył na nią znacząco. Próbował dotknąć słonym palcem jej ust, ale cofnęła głowę. To go tylko rozzłościło. - Nie podobam ci się? powiedział i rzucił ją na łóżko.

- Nie! - krzyknęła, ale zaraz nóż znalazł się na nowo na jej gardle. Wiła się, kiedy próbował się na niej położyć, ale wiedziała, że to nie potrwa długo, Był zwały i silny, a ostrze noża w każdej chwili mogło przebić jej skórę. Mimo to nie poddawała się. Wierzyła nogami i odrzucała rękę, którą usiłował sięgnąć jej pod sukienkę. Ale on śmiał się tylko. Opór zdawał się podniecać go jeszcze bardziej. Usłyszała trzask pękającego materiału i jęknęła. Chciał ją zgwałcić i wydawało się, że nic go nie powstrzyma, ale kiedy nóż zaczął się już prawie zagłębiać w jej ciele, Robert nagle uniósł się do góry i wyładował w rogu kajuty.

\_ Powiedz coś, Robercie - powiedział Vashon, stojąc nad nim. - Powiedz coś, co może ci ocalić życie.

Aurora, dysząc, usiadła na łóżku. Drzwi do kajuty były szeroko otwarte. Vashon musiał usłyszeć odgłos szamotaniny i wpadł do środka. Teraz patrzył na Roberta z groźną, zaciętą miną.

\_ No to jak, Robercie? Jak chcesz mnie błagać o litość? Vashon stał nieruchomo. Wiedziała, że nie należy on do ludzi, którzy działają pod wpływem emocji. Przeciwnie, przerażał swoim opanowaniem i chłodną kalkulacją. Teraz też to robił. Znakomicie. Robert był błąd jak prześcieradło.

\_ To Azedyn! To on kazał mi się tu zakraść! To jego powinność zabić! - skomlał Robert.

- I to on kazał ci zgwałcić moją branekę?

Robert kurczowo ścisnął nóż. Patrzył na Vashona oczami prawie wychodzącymi ze strachu z orbit.

\_ To kobieta, Vashon! Rzadki łup na morzu!

Vashon postawił nogę na przegubie ręki Roberta. Ten jęknął i Wypuścił nóż.

\_ Ta dziewczyna jest moją własnością - powiedział Vashon. - A co się dzieje na tym morzu z tym, kto chce ukraść cudzą własność?

\_ Vashon! Nie zabijaj mnie! Nie zabijaj! - błagał Robert.

Wcisnął się w kąt. Aurora jeszcze nigdy nie widziała tak przerażonego człowieka. Ją też przstraszyło zachowanie Vashona. Był tak opanowany. I tak wściekły. Choć nienawidziła człowieka kulącego się przed nim na podłodze, nie mogła siedzieć bezczynnie, kiedy miano go zabić. Nie mogła być odpowiedzialna za czyjąś śmierć.

- Vashon! - krzyknęła. - Nic mi nie jest! Nie możesz go zabić!

Vashon odwrócił głowę w jej stronę. Kiedy zobaczył, w jakim jest stanie, w oczach znowu zabłyśły mu iskiereki wściekłości.

- Robert, ty kundlu, podnieś się - powiedział złowieszczo.

- Vashon, proszę ...

- Vashon! - poderwała się z łóżka. - Nic mi się nie stało! Powstrzymałeś tego człowieka. Zgadzam się, że zasłużył na karę, ale nie na śmierć! Prawdę mówiąc, zrobił niewiele więcej niż ty ...

Vashon gwałtownie odwrócił głowę i słowa zamarty jej na ustach. To, że oskarżyła go o zrobienie czegoś podobnego do tego, co zrobił ten kundel leżący przed nim, wydawało się przekraczać wszelkie granice jego cierpliwości. Wyglądał, jakby miał za chwilę wybuchnąć.

Nie wiedziała, co robić, ale gdy tylko odwrócił uwagę od Roberta, ten natychmiast wyciągnął z zanadru pistolet. Aurora zmartwiła, jednak zanim Robert zdążył nacisnąć spust, Vashon złapał leżący obok niego nóż i wywiczony ruchem przeciągnął mu nim po gardle.

Nigdy jeszcze nie widziała tyle krwi. Była na ciele, na podłodze, na ścianach. I na Vashonie. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczęła wrzeszczeć, kiedy Vashon wyciągnął do niej rękę, odtrąciła ją.

- Nie dotykaj mnie! - krzyczała histerycznie. - Nie dotykaj mnie takimi rękami.

Vashon spojrział bez słowa na swoje ręce splamione krwią. Odwróciła się. Poczula nudności i myślała, że zwymiotuje. Zaczęła łkać.

- Życie tego człowieka nie jest warte twych łez - powiedział Vashon drętym głosem.

- Zabiłeś go.

- A on o mało nie zabił mnie.

- Ale nie zabił.

- Wolałabyś, żebym poczekał, aż to zrobi?

Starła trzęsącą się ręką łzy z policzka.

- Wolałabym, żebyś zostawił mnie na St. George. Nie zadaję się z mordercami!

Nic na to nie powiedział, ale jego twarz stała się lodowata, a ruchy sztywne.

- Vashon, co się tu dzieje? - do kajuty wpadł Izaak i rozejrzał się gorączkowo. Dojrzał martwego pirata leżącego w kącie i zmięte ubranie Aurory.

- A więc stary Robert dostał się na pokład - powiedział. Vashon tylko skinął głową. Nie odrywał oczu od Aurory. Izaak jeszcze raz spojrzął na trupa.

- Wygląda na to, że dostał się tu wplaw. Nie wiem, jak mu się to udało, Vashon. Tak uważaliśmy ...

- Wyczuwam jakieś zamieszanie - do kabiny wszedł Azedyn i spokojnie popatrzył na swego człowieka leżącego w kałuży krwi. Wyglądało na to, że nie ma ani poczucia winy, ani wyrzutów sumienia.

- Wiemy, że to ty kazałeś mu to zrobić - powiedział Izaak. Vashon nie odezwał się ani słowem.

- Działał na własny rachunek. - Azedyn jeszcze raz spojrzął na ciało, a potem uśmiechnął się. - Ale nie przejmujcie się, mes amis, był przynajmniej na tyle grzeczny, żeby nie wykrwawić się na twój cenny dywan.

Aurora zerknęła kącikiem oka na trupa. Nie mogła uwierzyć, że zaledwie przed paroma minutami ten człowiek żył i oddychał. To prawda, że był łotrem, ale czy teraz, gdy nie żył, nie należało mu się trochę więcej szacunku niż pochwała za to, że nie poplamiał w chwili śmierci dywanu? A może ci ludzie po prostu tak traktują zmarłych, nie lepiej niż żywych?

Azedyn podszedł bliżej do ciała. Izaak trząsnął głową i mruzczał coś, że trzeba będzie zawołać Benny'ego, żeby posprzątał. Vashon cały czas patrzył na Aurorę. Niezauważenie Azedyn pochylał się. Podniósł coś z podłogi i dopiero kiedy zwrócił się do Vashona, Aurora zorientowała się, że trzyma w dłoni wymierzony w niego pistolet.

- Vashon, bardzo bym chciał cię zabić - powiedział Azedyn. Odciągnął kurek i Aurora poczuła, że z twarzy odpływa jej cała krew .. Czekala, co zrobi Vashon, ale on nawet się nie poruszył. Po prostu patrzył na Azedyna, gdy tamten gotował się, by go zabić.

Patrzyłajak zahipnotyzowana. Nigdy jeszcze nie widziała człowieka, *który* by tak mało dbał o swe życie.

Kiedy Azedyn nacisnął spust, Aurora krzyknęła. Ale, o dziwo, pistolet nie wypalił. Rozległ się głuchy trzask, a potem Azedyn wybuchnął śmiechem, jak gdyby zrobił świetny kawał.

- Bardzo bym chciał cię zabić, Vashon - zachichotał ale, niestety, proch zamókł. Biedny Robert! Zginął bez powodu. Kiedy groził ci tym pistoletem, nie pomyślał, że wcześniej był z nim w wodzie.

- Azedynie - ryknął Izaak - wracaj na swój statek! I ciesz się, że nie skończyłeś jak twój człowiek.

Azedyn skłonił się.

- Do następnego spotkania, *mes amis!* - Wyszedł powoli z kajuty, chichocząc, jak gdyby opowiedział znakomity dowcip.

Kiedy wyszedł, Izaak spojrzął z niedowierzaniem na Vashona. Vashonjednak nie zauważył tego. Cały czas patrzył na Aurorę.

- Mógł cię zabić - powiedziała roztrzęsionym głosem.

Nigdy nie będzie w stanie zrozumieć tego człowieka. Czasami zachowywał się, jakby opętał go diabeł. 15'

- A więc wolałabyś, żebym został zabity czy żebym zabił? - spytał.

- Czy są tylko te dwie możliwości? Czy nie ma nic między nimi?

Uśmiechnął się gorzko.

- Tak, Auroro, nie ma nic między nimi. I pamiętaj o tym następnym razem, kiedy ocalę ci życie.

- Boże!- jęknęła, kryjąc twarz w dłoniach. - Nie prosiłam o to. Nie chciałam być w tym udziału. Błagam cię, uwolnij mnie i Flossie w najbliższym porcie!

Podszedł do niej, położył jej dłonie na ramionach i potrząsnął nią. Kiedy spojrzała na niego, powiedział:

- Może nie prosiłaś o to, ale było ci pisane znaleźć się tutaj już tego dnia, kiedy twój ojciec ukraść szmaragd Peterboroughowi. zapomnij więc o swojej przyzwoitej i skromnej przeszłości. Zresztą i tak była tylko mrzonką. Los tak rozdał karty. Teraz jesteś w moich rękach, i pozostaniesz w nich, dopóki nie odnajdę Gwiazdy.

Załkała cicho. Przypadkiem spojrzała na jego dłonie spoczywające na jej ramionach. Plamki krwi na palcach wyschły i zbrązowiały, ale nadal były wilgotne i brudziły jej sukienkę. Chciała ukryć odrazę, ale dostrzegł to. Zanim zdążyła się od niego odsunąć, pchnął ją w stronę Izaaka.

- zabierz ją stąd! - rozkazał. Głos mu się nieco załamał. Aurora złapała kapitana za kurtkę, zatrzymał ją, a potem spojrzał zmieszany na Vashona. Zanim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć, Vashon powtórzył:

- Zabierz ją stąd!

Izaak posłusznie skinął głową i wypchnął ją za drzwi.

\*\*\*

- Co to za człowiek? - spytała Aurora, ocierając łzy.

Patrzyła na błękitny Atlantyk, na którym znaczyła się ciemną plamą nikonąca sylwetka "Krwawiącego Serca". Obok, nie wiedząc, co ma robić, Izaak bębnił po balustradzie dwoma palcami okaleczonej dłoni. - Co to za człowiek, żeby najpierw zabić kogoś bez mrugnięcia okiem, a potem nie ruszyć palcem w obronie własnego życia? - Otarła jeszcze jedną łzę.

- Vashon zawsze był zagadką.

- Nie ceni sobie życia? Ten pirat chciał go zastrzelić, a on nie ruszył nawet palcem.

- Dużo widział w swoim życiu, choć ma dopiero trzydzieści cztery lata. Dlatego jest taki twardy. Czasami ja też myślę, że nie za bardzo ceni sobie życie. Zupełnie jakby czegoś mu brakowało, może wiary w dobro? Nie wiem, czy mam rację, ale ponieważ czegoś mu nie dostaje. zdaje się w ogóle nie przejmować tym, czy będzie żył. Ale zawsze opłacało mu się to.

- Przecież pan też musiał ciężko walczyć, bo inaczej nie byłby pan piratem, jak on. A pan nie jest taki twardy.

Izaak roześmiał się. Potarł łysiejące czoło. Zdawało się, że szuka odpowiednich słów.

- Nie jestem piratem - powiedział w końcu. - Wiem, Auroro, że uważa mnie pani za pirata, ale w rzeczywistości jestem po prostu kapitanem statku. Takie życie prowadzę od czterdziestu lat, od kiedy ospa zabrała mi żonę.

- Nie rozumiem - rzekła. - W jaki sposób Vashon zdołał przekonać porządnego kapitana, by wziął udział w takim niecnym przedsięwzięciu?

- Jestem z nim już dziesięć lat - roześmiał się. - Kiedy mówi pani, że prowadzi zupełnie legalne interesy. to musi mu pani wierzyć. Ma prawie tyle samo statków, co Kompania Wschodnioindyjska. Jest bardzo bogaty.

- A jednak był i jest piratem - Spojrzała na Izaaka oskarżycielskim wzrokiem. - Pan twierdzi, że jest uczciwym człowiekiem i pracuje pan dla niego.

- Owszem, to prawda. Ale Vashon nie zajmuje się piractwem ... z wyjątkiem tego jednego razu - dodał pospiesznie. - Najszczęśliwszy jest wtedy, kiedy spaceruje po plażach Mirage albo sprawdza swoje konto w Londynie.

- To dlaczego nie robi tego teraz i nie zapomni o tym przeklętym szmaragdzie.

Izaak spojrzał na bezchmurny horyzont.

- Nienawidzi Peterborougha. Naprawdę go nienawidzi. Nic nie powstrzyma go przed zdobyciem szmaragdu.

Aurora chwyciła się ostatniej szansy.

- Ale pan i załoga na pewno rozumiecie, jak niegodziwym czynem jest pOIwanie dwóch kobiet po prostu dla zaspokojenia zemsty na kimś innym. Niech pan mu się przeciwstawi i uwolni Flossie i mnie.

- Załoga i ja pozostaniemy z Vashonem - odparł po prostu. Przyglądał się swej okaleczonej dłoni.

- Ale określa się pan mianem porządnego człowieka! I na pewno nie może pan wypowiadać się za załogę! Musi być na tym statku przynajmniej jedna osoba, która będzie nam chciała pomóc ... i przysięgam, że znajdę ją.

- Na tym statku nie znajdzie pani nikogo, kto chciałby pani pomóc, jeśli oznaczałoby to zarzucenie poszukiwań Peterborougha. Niektórzy z tych ludzi pływają ze mną od czterdziestu lat.

- Ale nie na tym statku. Nie z Vashonem.

- Nie - odparł. - Służyliśmy na innym statku. Był to statek wielorybiczny o nazwie "Lewiatan". I choć żyje nie więcej niż jedna piąta jego załogi. to wszyscy oni są teraz na "Morskim Śmiałku" i wszyscy pozostaną wierni Vashonowi.

- To niemożliwe!

- Możliwe. Proszę uwierzyć staremu Żydowi, który nigdy nie skłamał.

Zawiedziona Aurora jeszcze raz spojrzała na morze. Od wolności zdawały się dzielić ją miliony lat. Im bliżej byli wyspy Vashona, tym mniejsze były szanse ucieczki.

- Proszę mnie zaprowadzić do kajuty - powiedziała. Muszę porozmawiać z Vashonem.

Skinął głową i podał jej ramię.

Kiedy wrócili do kajuty, nie było już tam trupa pirata, a jego krew została dokładnie starta. Nie zastali Vashona, lecz Aurora powiedziała Izaakowi, że tam zostanie. Chciała się przygotować wewnętrznie na rozmowę z nim.

Kiedy za Izaakiem zamknęły się drzwi, Aurora przybrała zdecydowany wyraz twarzy. Wiedziała już, co ma mu powiedzieć. Nie będzie dłużej nieśmiała i wystraszona w jego obecności. Była świadkiem tego, co zrobił i teraz, kiedy wiedziała, do czego jest zdolny, nabrała, o dziwo, śmiałości. Była gotowa, żeby paktować z diabłem.

Niebawem Benny przyniósł obiad. Tym razem zjadła.

Potem wykapła się i przebrała, a poplamioną krwią sukienkę włożyła na samo dno koszyka. Niedługo potem usłyszała w korytarzu głos Vashona, zwracającego się po francusku do kogoś z załogi.

Wszedł do kabiny, ale nie wypowiedział ani słowa. Rzucił na nią okiem, a potem wziął dziennik okrętowy i zaczął coś w nim zapisywać. Kiedy cisza zaczęła być dokuczliwa, odezwała się:

- Wierszyk ma jeszcze jedną zwrotkę. Podniósł głowę znad stołu.

- Co powiedziałaś? - spytał, a jego wzrok stał się naraz czujny.

- Powiedziałam, że ten wierszyk ma jeszcze jedną zwrotkę.

Powoli odłożył pióro.

- Dlaczego mi to teraz mówisz?

- Bo chcę gwarancji, że nic się nie stanie Flossie.

Zachmurzył się.

- Może w to nie uwierzysz, ale nie mam zwyczaju gwałcić ani torturować starszych kobiet.

- Ja nie jestem starszą kobietą.

- Widzę. - Prześliznął się wzrokiem po jej postaci, a potem skupił uwagę na jej twarzy. - Jak brzmi ta

zwrotka?

Potrząsnęła głową.

- Nie powiem.

- Droczyś się ze mną? Chcesz, żebym ją z ciebie wydusił? .

Była pewna, że robi aluzję do czegoś plugawego. Puściła tę uwagę mimo uszu i ponownie potrząsnęła głową.

- Nie. Nie wydusisz tego ze mnie. Nie wiem, gdzie się znajduje Gwiazda, ale mam klucz do miejsca jej ukrycia. Dostaniesz ten klucz, gdy tylko uwolnisz mnie i Flossie.

- Dostanę go zaraz. - Podniósł się i stanął nad nią. Ale tym razem nie dała się zastraszyć. Zachowała kamienną twarz.

- Nigdy nie wydostaniesz tego ze mnie, Vashon. Chyba, że mnie najpierw uwolnisz. Ale jeśli zawieszysz mnie na Mirage, to przysięgam, że nigdy nie dowiesz się, jak brzmi ta zwrotka.

Zmarszczył brwi. Patrzał groźnie, ale potem uniósł kąćki ust w uśmiechu.

- Widzę, że w.ließas sobie do serca moją radę.

- Tak. Zdaje się, że powiedziałaś: "Zapomnij o swojej przyzwoitej i skromnej przeszłości". Już zapomniałam. Nie jestem już nauczycielką z sierocińca. Od tej chwili jestem kobietą, która ma klucz do twoich wszystkich niegodziwych planów. I będziesz musiał mi dogadzać. - Nieświadomie dotknęła ręką medalionu.

- A jak mam ci dogadzać? - zapytał ironicznie.

- Na początek żądam swojej kabiny.

- Rozumiem.

- Na najbliższej wyspie uwolnisz mnie i Flossie i wynagrodzisz nam tę poniewierkę.

- Jak?

- Dasz Flossie pieniądze na powrót na SL George, a mnie na powrót do Londynu.

Miał taką minę, jakby lada moment miał wybuchnąć śmiechem.

- To wszystko? - spytał z ironiczną powagą.

- Tak. Dostaniesz za to drugą zwrotkę i będziesz mógł sobie sam szukać tego przekłętą klejnotu.

~

założył ręce do tyłu i przyglądał się jej badawczo.

- Czyżbyś nie darzyła ojca żadnym uczuciem, Auroro? W końcu chciał, żeby to tobie przypadł w udziale ten kamień, bo inaczej po co by cię uczył tego wierszyka?

Zachmurzyła się lekko. Ojca darzyła wielkim sentymentem. Był jedynym członkiem rodziny, którego w ogóle znała i za każdym razem, gdy o nim pomyślała, czuła w sercu ból. Gdy była jeszcze dzieckiem, nieraz skrycie marzyła, że któregoś dnia zjawi się w sierocińcu i zabierze ją stamtąd. Teraz jednak, po tym wszystkim, czego się dowiedziała w ciągu ostatnich kilku dni, nie była pewna, czy pielęgnowała w sercu uczucie dla ojca czy też dla człowieka, za którego go uważała. Teraz starała się już tylko zachować go w pamięci takim, jakim pragnęła go widzieć.

- Jeśli w ogóle żywię jeszcze jakieś uczucie - odparłato sprowadza się ono do tego, by okazało się, że ojciec nie był złodziejem. Ponieważ jednak nie potrafię tego udowodnić, nie chcę żadnej rzeczy, którą - jak twierdzisz - ukradł. Chcę tylko jednego - bym razem z Flossie odzyskała wolność.

- A jeśli was uwolnię, to nie wniesiesz przeciwko mnie oskarżenia o porwanie i piractwo?

- Może to zrobić Flossie, jeśli będzie chciała. Ja pragnę jak najszybciej zapomnieć o tej niemiłej przygodzie i wrócić spokojnie do Londynu.

- I do swojego dzielnego narzeczonego, Johna Philipsa, tak?

- Phippsa - poprawiła go. e

- A tak, rzeczywiście, Phippsa - powiedział z naciskiem. - Domyślam się, że chcesz jak najszybciej zostać panią Phipps.

Nie odpowiedziała. Nie wyjdzie za Johna Phippsa. Jeśli ta podróż dowiodła jej czegoś, to na pewno tego, że ona nie nadaje się na żonę dla Johna.

- To, co zrobię - powiedziała - to nie twój interes. Twój interes to druga zwrotka wierszyka mego ojca. Dostaniesz ją, gdy tylko ...

- Tak, tak - przerwał, dając nagle upust irytacji. Pomijasz jednak fakt, że dopóki nie odnajdę szmaragdu, nie będę miał pewności, czy to na pewno zwrotka, której nauczył cię ojciec.

- Masz moje słowo, że przekażę ci prawdziwą zwrotkę.

. Odchylił głowę do tyłu i zaczął się śmiać, jakby opowiedziała mu jakiś sprośny kawał.

- Co cię tak śmieszy? - zapytała ze złością.

- \woje słowo. Myślisz, że nie wiem, że jeniec gotów skłamać, byleby odzyskać upragnioną wolność?

- Ale ja dam ci prawdziwą zwrotkę i mogę udowodnić ... - Ugryzła się w język. Niewiele brakowało, a powiedziała mu o medalionie. Gdyby się o nim dowiedział, straciłaby jedyny argument przetargowy.

Spojrzał z nagłym zainteresowaniem. Ujął jej twarz w dłonie i powiedział:

- Jak to udowodnisz?

- Zrobię to w odpowiednim czasie. Uwolnij mnie i Flossie w najbliższym porcie, a będziesz miał swoją zwrotkę. - Jest-gdzieś zapisana? - przeniósł wzrok na koszyk u stóp łóżka. Puścił jej twarz, podniósł się i podszedł do niego.

- Tam jej nie ma - powiedziała, czując ogarniającą ją panikę.

- Ale jest gdzieś zapisana?

Nie odpowiedziała.

Nagle popatrzył badawczo na jej strój. Podniosła obronny ruchem rękę do piersi.

- Gdzie to jest, Auroro? Na kawałku papierku zaszytym w sukni?

- Oczywiście, że nie - odparła w popłochu.

- A może gdzieś w szwie koszuli? Ale to nie byłoby bezpieczne miejsce, prawda? - Zaczął do niej powoli podchodzić.

- Nie, nie ma tam tego - powiedziała, cofając się.

- Zdejmij sukienkę.

- Nie zdejmę!

- Albo zdejmiesz sama, albo ja ją zdejmę.

Potknęła się o fotel. Złapał ją, gdy padała. Objął ją w pasie i zaczął obmacywać.

Uśmiechnął się i powiedział:

- Ach, jak ja lubię kobiety, które nie noszą gorsetów! Potem pociągnął ją na łóżko, nie zwracając uwagi na jej rozpaczliwe wierzganie.

- Tu tego nie ma! - krzyczała, ale na próżno. Rzucił ją na posłanie i przycisnął. Zaczęła się skręcać i zwijać i prawie udało się jej wydostać spod niego, kiedy usłyszała, że pruje nożem jej sukienkę. Po raz drugi tego dnia jej ciała dotykał nóż, ale teraz wolałaby chyba czuć go, jak przedtem, na gardle.

- Gdzie to jest? - warknął, porozcinawszy zaszewki.

Kiedy w odpowiedzi potrząsnęła głową, zaczął ciąć szwy. Nim minęło parę sekund, sukienka była w strzępach. Nie zważając na jej błagania i protesty, miał w palcach każdy skrawek materiału. Dotykał ją tam,

gdzie w naj gorszych przecuciach nie podejrzewała, że ktoś ją dotknie. Obmacywał uda, talię, tułów, a potem skupił uwagę na szwach w okolicach piersi.

Wściekła, że ją tak bezczelnie obmacuje pod pozorem szukania skrawka papieru, rozzłościła się jeszcze bardziej, gdy zorientowała się, że jej ciało reaguje na te brutalne pieszczoty. Zobaczyła, jak pod lnianą koszulką prężą się jej sutki. Kiedy spostrzegła, że on też to zauważył, chciała mu dać w twarz.

- Nienawidzę cię - powiedziała prawie bez tchu.

- Tak ... widzę, jak bardzo mnie nienawidzisz ... - Uśmiechnął się.

- Nie myśl sobie, że kiedykolwiek pożałowałabym takiego nędznika, jak ty - wykrztusiła.

Oczy załśniły mu radością.

- Oczywiście. Masz rację. Jedynym mężczyzną, którego pożądasz, jest twój narzeczony Phyfe. To dlatego uciekasz od niego na drugi koniec świata.

- Phipps - syknęła. - On nazywa się Phipps.

- A tak, racja, Phipps.

- Zapamiętaj sobie dobrze to nazwisko, bo kiedy przyplynie tu szukać mnie i Flossie, to będzie z nim Królewska Marynarka Wojenna i zawiśniesz w Wapping. - Było to oczywiste kłamstwo, ale miała nadzieję, że przestraszy go to choć trochę.

Nie przestraszyło. Uniósł brwi i powiedział:

- No, no. Stary Phelp naprawdę to zrobi?

Ogarnęła ją furia. Wyrwała jedną rękę i próbowała podrapać mu twarz, ale złapał ją z powrotem z dziecinną łatwością. Siadł na niej okrakiem i rozkrzyżował jej ramiona. Jęczała z wściekłości i żałowała, że nie ma już swych nożyczek. Na pewno by ich użyła.

- Gdzie jest twój dowód, Auroro?

- Nie znajdziesz go w moim ubraniu, więc puść mnie!

- Najpierw muszę się upewnić, że go nie ma. - Popatrzył na jej falującą pierś i z trudem ukrył uśmiech. - Skąd mogę wiedzieć, czy mówisz prawdę, dopóki cię dokładnie nie przeszukam?

Chciała go powstrzymać, ale nie zdało się to na nic. Zdarł z niej szczytkę sukienki i rzucił na podłogę. Miała teraz na sobie tylko koszulkę i majtki i czuła się, jakby była zupełnie naga. Zresztą zanosilo się na to, że wkrótce faktycznie zostanie bez niczego, jeśli zabierze się i do jej bielizny.

Nagle jednak przestał. Gładził w zamyśleniu palcami koronkowy brzeg jej koszulki przy szyi. Nie wiedziała, co robi, ale kiedy odłożył nóż i wyjął jej nożyczki, jęknęła z rozpacz. Już to, że próbował zedrzeć z niej ubranie nożem było wstrętne, ale czuła, że nie przeżyje wstydu, jeśli będzie jej rozcinał bieliznę cał po calu. Szczególnie, że czuła na ciele ciepły dotyk jego ręki.

- Nie rób tego - wyszeptała, starając sfę strącić jego dłoń.

- Przecież z bielizną trzeba obchodzić się delikatniej. Przesunął ostrzem nożyczek między jej piersiami. Robił to tak ostrożnie, że prawie tego nie czuła, ale jego chłodny wzrok sprawił, że przeszedł jej dreszcz po plecach.

- Proszę - powiedziała. Miała urywany oddech. - Mam niedużo ubrań ...

- A te, które masz, są okropne. Nędzarki noszą lepsze suknie niż ty.

- Może są okropne, ale to wszystko, co mam ...

- Są żalosne ... ale powiem ci, że w naj świetniejszej sukience nie wyglądałabyś tak wspaniale, jak teraz.

Ich spojrzenia spotkały się. Była wstrząśnięta wyrazem jego oczu. Na pewno miał wiele kobiet. I na pewno nie było nic dziwnego w tym, że taki mężczyzna jak on chciał wyładować nagromadzone w czasie rejsu żądze na jedynej kobiecie na statku. Zaskoczyła ją jednak widoczna gdzieś na dnie jego zielonych oczu tęsknota. Jakoś nie wierzyła, że patrzy na nią po prostu jak na kobietę, która może zaspokoić jego potrzeby



fizjologiczne, a potem osunąć się w niepamięć. Czują, że w pewien sposób intryguje go, że patrzy na nią jak na coś nieznanego, ulotnego i rzadkiego, z czym dotychczas się nie zetknął. A ponieważ zdał sobie nagłe sprawę, że go tak urzekła, jego żądza stawała się z każdą sekundą gwałtowniejsza.

- Nie - szepnęła, kiedy zrobił pierwsze cięcie. Złapała go za nadgarstek, ale bez słowa uwolnił rękę.

Znowu ciachnął nożyczkami.

- Tak nie wolno - powiedziała i położyła błagalnie dłoń na jego piersi.

Nie zwracał uwagi ani na prośby, ani na gesty.

- Nigdy nie powiem ci drugiej zwrotki! Słyszysz?

Nawet perspektywa utraty klucza do cennego szmaragdu nie zniechęciła go. Przerwał dopiero wtedy, kiedy rozciął koszulę do pasa., Podniósł dłoń, aby dotknąć jej ciała, widocznie nie mogąc oprzeć się pokusie.

- Nie - powiedziała, rozpaczliwie próbując go powstrzymać. Złapała go za rękę, choć dobrze wiedziała, że w porównaniu z nim jest słaba jak mucha. Rozcinał dalej i tylko raz zatrzymał się, by spojrzeć na jej twarz.

A na jej twarzy malowała się trwoga i pożądanie jednocześnie. Trwoga, bo widziała, jak niedawno zabił człowieka i choć jego wrogowie byli bezwzględni, on im bynajmniej nie ustępował pod tym względem. Pożądanie, bo gdy patrzyła na niego, dzikiego, lecz przystojnego, pirata, pojęła nagle, czego brakowało w jej stosunkach z Johnem Phippsem.

- Dlaczego patrzysz na mnie w taki sposób? - spytał, przerwawszy nagle.

Szybko odwróciła wzrok. Co się z nią działo? Jak mogła czuć coś takiego do człowieka, który miał nie więcej poczucia honoru niż złodzieje z Field Lane? Odsunęła jego rękę i chwyciła rozcięte brzegi koszuli. Musiała chyba postradać zmysły. Spojrzała jeszcze raz na jego gniewną minę i znowu odwróciła wzrok. Musiała postradać zmysły. To było jedyne wytłumaczenie.

- Dlaczego odwracasz twarz? - Chwycił ją za podbródek i zmusił, aby patrzyła na niego.

- Puść mnie - powiedziała, wijąc się pod nim.

- Nie puszczę, dopóki nie powiesz mi.

- Puszczaj! - krzyknęła. - Co mam ci powiedzieć? Że nie chcę, żeby mnie dotykał morderca? Twarz mu stężała. Puścił ją. Patrząc na rękę, którą trzymał ją przedtem za brodę, potarł nią ze złości o kołdrę, jak gdyby ścierał plamy krwi.

- Ten morderca ocalił ci życie - powiedział głucho. - Muszę ci o tym przypominać? Widziała, że jest wściekły. Nie cierpiał, kiedy kwestionowano jego poczynania. Można było pomyśleć, że świadomie wybrał taki sposób życia, a kwestionowanie tego zmuszało go do zastanowienia się, czy nie dokonał niewłaściwego wyboru.

- Dziękuję, że uratowałeś mnie przed tym bandytą powiedziała - ale to nie robi jeszcze z ciebie świętego. - Owszem, nie jestem święty. - Przyglądał się jej zniszczonej koszuli. Szczególnie zdawała się go interesować ta część, gdzie pod półprzejrzystą białą bawełną rysowały się jej sterczące sutki. Zakryła piersi rękami, ale to rozпалиło go jeszcze bardziej. - Zdejmij resztę ubrania, Auroro powiedział. - Chcę zobaczyć ten dowód, który tak niefrasobliwie zaofiarowałaś.

- Mówię, że nie ma go w moim ubraniu. - Udało się jej jakoś wywinąć spod niego. Odsunęła się na skraj łoża, cały czas przytrzymując brzegi koszuli.

- Dość tych zabaw. Daj ubranie.

- Nie dam.

- Wobec tego będę musiał je z ciebie zedrzeć.

Wyciągnął szybkim ruchem rękę. Zeskoczyła na podłogę, ale zdążył chwycić za tył koszuli. Usłyszała trzask rozdieranego materiału i koszula została w jego dłoni. Krzyknęła i odwróciła się, żeby złapać za zasłonę, ale pokazała przy tym jędrne, pełne piersi z morelowymi brodawkami.

- Ty bydlaku! - zawołała, owijając się czarną satyną. On tymczasem darł koszulę na kawałki, szukając ukrytej kartki.

- Dawaj majtki! - powiedział, odrzucając to, co zostało z koszuli.
- Nie dam! - Jej wzrok padł na porzucony przez niego na łóżku nóż. Leżał nie dalej niż trzy cale od jej dłoni. Chwyciła go w momencie kiedy ruszył do niej.
- Nie podchodź! - wyciągnęła nóż. Ostrze błysnęło światłem wpadającym przez iluminator.

Roześmiał się.

- Stary Robert nie potrafił się nim porządnie posłużyć. Myślisz, że jesteś lepsza od niego?
- Spróbuję! Nie podchodź! - Dłoń takiej drżała, że ledwie mogła utrzymać nóż.
- Rzuć mi majtki, a zostawię cię w spokoju.

Patrzyła na niego niezdecydowana. Nie chciała zrobić tego, czego żądał, ale wiedziała, że jeśli na nią skoczy, to nawet nóż niewiele jej pomoże. Spoglądając na niego z nienawiścią, powoli rozwiązała tasiemkę. Rzuciła mu majtki z wściekłością, cały czas stojąc za satynową zasłoną.

Kiedy je złapał, miał taką minę, jakby był niezadowolony, że nie podjęła walki. Niedbale podarł je na strzępy, a potem rzucił na resztę jej zniszczonej garderoby.

- Skończyłeś? - spytała z goryczą. Popatrzył na jej koszyk.

Krzyknęła:

- Nie! Zostaw to! Nie zostało mi dużo rzeczy! - Ale był głuchy na jej prośby. Podszedł powoli do koszyka i wyrzucił jego zawartość na podłogę. Szybko rozprawił się z całą jej bielizną. Na każdy trzask dartej odzieży przez twarz przebiegał jej skurcz, ale kiedy zabrał się za jej ostatnią sukienkę, tę niebieską z wyhaftowanymi różami, nie mogła się już powstrzymać i powiedziała:

- Proszę, tylko nie tę. Jej zrobienie zajęło mi parę miesięcy.

Gdy tylko to powiedziała, ogamęła ją złość na samą siebie, bo była pewna, że teraz z prawdziwą przyjemnością potnie ją na drobne kawałki. Niszcząc rzeczy, które bardzo lubi, udowodni jej, jak mało znacząca jest jej osoba. Była prawie rozczarowana, widząc jak mimo wszystko Vashon. 'podobny jest do Johna. Na pewno Johnowi sprawiło ta.ką samą przyjemność spalenie jej makatki.

Nie poruszył się, więc podniosła głowę i zobaczyła, że patrzy na nią. Dość długo mierzyli się tak wzrokiem i kiedy była już przekonana, że straciła tę sukienkę, przeciągnął dłonią wzdłuż szwów i zakładek, a potem rzucił jej ją.

Zaskoczona, złapała sukienkę, a tymczasem on grzebał w pozostałych rzeczach. Zdumiała się ponownie, kiedy zebrał wszystko do kupy, nie wyłączając spinek do włosów. Myślała, że to też pozwoli jej wziąć, bo mocując się z nim pogubiła wszystkie spinki i włosy miała luźno rozpuszczone, ale podszedł do iluminatora i wyrzucił wszystko do morza.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała, myśląc, że postradał zmysły. - Spinki, buty i pończochy nie mają nic wspólnego z twoją cenną Gwiazdą.

- Od tej chwili będziesz nosiła włosy rozpuszczone, a nie ciasno upięte, jak u starej panny. I będziesz chodziła boso, jak przystoi jeńcowi. Jesteś na statku pirackim, a nie na herbatce w jakimś salonie. - Podszedł do niej i złapał pełną garścią jej włosy. Potem delikatnie wyjął ostatnie, trzymające się jeszcze zapinki i wyrzucił za okno. - A poza tym, moja rozkoszna panno Dayne, dopóki nie przybijemy do San Juan, masz tylko jedną sukienkę i radzę ci poskromić temperament, żebym nie musiał pozbawić cię i tej.

Powiedziawszy to, wyszedł, zatraskując za sobą drzwi. Kiedy została sama, westchnęła z ulgą i przycisnęła do piersi ostatnią, drogocenną, sukienkę. Ale zaraz uświadomiła sobie prawdziwą grozę sytuacji. Spojrzała na stos łachmanów na podłodze i krzyknęła w stronę zamkniętych drzwi:

- Ty łajdakul Nie zostawiłeś mi ani jednej sztuki bielizny.

\*\*\*

Parę godzin później Aurora nadal szukała szpilki. Włoryła niebieską sukienkę, ale skromność wymagała, by zakryła piersi wstawką, a do tego potrzebne były szpilki. Zaczęła podejrzewać, że poduszeczka do szpilek podzieliła los spinek do włosów. Miała jednak nadzieję, że wypadło z niej parę szpilek i że będzie mogła doprowadzić sukienkę do porządku.

Chodziła na czworakach po dywanie, próbując znaleźć drugą szpilkę tam, gdzie znalazła pierwszą. Niestety, drugą szpilki nigdzie nie było.

Usiadła i skrzyżowała ręce na piersi. Była w oplakanym stanie. Splątane włosy opadały jej gęstą zasłoną na jedno ramię. Niebieską sukienkę mogłaby z powodzeniem oddać do kramu ze znoszoną starzyzną. Bez butów i pończoch wyglądała niewiele lepiej niż sieroty tuż przed znalezieniem się w domu opieki. Pani Bluefield byłaby przerażona. Zawsze szczyliła się tym, że u niej nauczycielki wyglądają schludnie. Przewróciłaby się w grobie, gdyby zobaczyła teraz swą ulubioną pracownicę.

- A, widzę, że się rozgościliśmy ...

Podniosła głowę i zobaczyła w drzwiach Vashona.

Uśmiechnął się i wyraźnie zadowolony wszedł do kajuty. Nawet nie próbowała wstać.

- Co zrobiłeś z moimi szpilkami? - spytała, z trudem opanowując wściekłość.

- A po co ci one? - Prześliznął się wzrokiem po jej piersi.

Choć przytrzymała dyskretnie wstawkę, było oczywiste, po co potrzebne jej są szpilki.

- Nie muszę odpowiadać. skoro domagam się zwrotu swojej własności. Chcę tylko dostać z powrotem moją poduszeczkę do szpilek. Jeśli musisz wskoczyć dowody, żeby ją odzyskać, to zrób to. - Patrzyła na niego oczami pociemniałymi ze złości. Nie wiedziała, jak to robił, ale wydawało się, że odkąd została porwana, nie mogła utrzymać na sobie ubrania. Cały czas spadały z niej sukienki - albo porozrywane, albo pocięte nożem czy nożyczkami. Doszła już do kresu wytrzymałości. Jeśli nie da jej tej spinki, to naprawdę coś mu zrobi.

- Proponuję ci interes - powiedział. - Jeśli dasz mi tę drugą zwrotkę albo przynajmniej jakiś dowód, że ją masz, to dostaniesz tysiąc złotych szpilek.

Zmrużyła oczy. Nie miała zamiaru oddawać mu medalionu. Teraz, kiedy pokazał, jakim jest szubrawcem, nie robi tego za nic na świecie. Jedynie zwracając jej wolność mógłby ją do tego skłonić.

- Zgadzasz się na moją propozycję?

Zacisnęła powieki. Inaczej zaraz by go uderzyła. Po chwili otworzyła oczy, ale patrzyła w iluminator.

- Auroro - pochylił się i spojrzał jej w oczy, jakby mówił do dziecka. - A co zrobisz, jeśli zabiorę tę jedyną szpilkę, która ci została i nie oddam, dopóki nie dostanę tego, co chcę?

Instynktownie przycisnęła obie dłonie do ramiączka, w którym tkwiła szpilka. Wstawka opadła z jednej strony, ukazując sporą część biustu. Poderwała się na nogi i cofnęła pod biblioteczkę. Roześmiał się. Namacała ręką ciężkiego lwa z chińskiej porcelany i podniosła go do góry.

- Nie zabierzesz mi jej! Chyba po moim trupie! - krzyknęła.

- Niezłe przedstawienie. Mogłabyś występować w teatrze.

Zrobił krok w jej stronę i wtedy, ku jego i własnemu zdziwieniu, cisnęła w niego lwem. Nie trafiła, ale trzask rozbijanej porcelany spowodował, że nerwowi marynarze na pokładzie nad ich głowami zaczęli biegać i rozglądać się, kto do nich strzela.

- Chcesz zaalarmować całą załogę? - spytał, kiedy uci. chły kroki nad nimi.

- Nie zbliżaj się do mnie! - powiedziała z furją. - Nie pozwolę ci zabrać tej szpilki!

Zrobił następny krok. Tym razem rzuciła kielichem do wina. Brzęk tłuczonego szkła dochodzący z kajuty Vashon na musiał zaintrygować marynarzy. Po każdym kolejnym stłuczonym kielichu chichot na górze stawał się głośniejszy.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, słyszysz? - powiedziała ostrzegawczo.

- Ty mała diablisko, nie pozwolę ...

Rzuciła następnym kielichem. Potem jeszcze jednym. Zręcznie uchylał się za każdym razem, kiedy była bliska trafienia i zbliżał się coraz bardziej. Wkrótce nie miała już czym rzucać.

Odrzuciła się i zaczęła uciekać. Chwycił ją akurat w momencie, gdy skrzywiła się z bólu. - Co się stało? - spytał.

- Moja noga - powiedziała z pobladłą twarzą. - Boli.

Czuła ból aż w łydce. Zaczęła kuśtykać, ale wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko.

Zapominając na chwilę o walce, podwinął skraj jej sukienki i obejrzał podeszwę. Syknęła, kiedy wyciągnął ze stopy kawałek szkła. Po pięcie spływała jej krew. Otarł ją ręką.

- Tak się kończy rozbijanie naczyń - powiedział i puścił nogę. Przyniósł chusteczkę i owinął nią stopę. Kiedy skończył, wyprostował się i spojrzął na rękę. Umazana była knwią.

Nie mogła się powstrzymać, żeby też nie spojrzeć. Po raz drugi tego dnia miał krew na rękach, ale tym razem było to skutkiem dobrego uczynku.

- Przepraszam - powiedziała, kiedy wreszcie spojrzął na nią. Nie wiedziała, czemu go przeprosza, ale słowa te same jej się jakoś wymknęły.

- Chcesz jeszcze jedną szpilkę. Auroro? - spytał z dziwnym wyrazem twarzy.

zaciśnięła usta i kurczowo chwyciła wstawkę. Pomógł jej ale nie miała zamiaru zaprzedać duszy diabłu za jeden dobry uczynek.

- Chcesz tę szpilkę? - powtórzył ostrym tonem.

- Tak - odparła.

- To pocałuj mnie w rękę.

Spojrzała na niego wstrząśnięta. Nie wierzyła własnym uszom.

- Vashon ... - zaczęła, ale szybko jej przerwał. Podniósł rękę do jej twarzy, a potem odwrócił ją grzbietem do góry, tak że przed jej ustami znalazły się tylko czyste kostki palców.

- Pocałuj mnie w rękę - szepnął tonem, jakiego jeszcze nie słyszała u niego.

Patrzyła nie wiedząc, co robić. To, o co prosił, było szaleństwem, ale powód, który skłonił go do tego, był jeszcze gorszy. Sądziła, że w ten sposób chce ją zmusić, by zaaprobowała to, co zrobił rano. Fakt, że go potępiła, musiał nie dawać mu spokoju. Nie, nigdy nie pogodzi się z zabijaniem. Kiedy jednak spojrziała mu głęboko w oczy, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Vashon nie szuka też przebaczenia. Choć niechętnie, zdecydowała się spełnić jego prośbę. Wzięła jego dłoń i przytknęła do ust. Czuła ciepłą i szorstką skórę, ale trwało to ułamek sekundy, zabrał dłoń, jak gdyby został rozgrzeszony, a jego wzrok rozpuścił się. Podszedł do biurka i wyjął szpilkę. Położył ją na kołdrze i podszedł do miski aby się umyć. Zachowywał się tak, jakby nie było żadnego pocałunku. Patrzyła na niego ze zdumieniem, ale zaraz ocknęła się. Chwyciła szpilkę, przypięła wstawkę i zsunęła się z łóżka.

- Możesz tam zostać - powiedział, ściągając koszulę i rzucając ją na kanapę.

Przeglądała się, jak zdejmuje buty. Spytała nerwowo:

- Po co?

- Na podłodze jest pełno rozbitego szkła, panno Dayne, a nie mam zamiaru budzić Benny'ego, żeby je sprzątnął. Może to zrobić jutro.

Spojrzała w iluminator. Zmierzchało, a ona nadal nie miała swojej kabiny.

- Vashon, muszę dostać ... - Głos jej zamarł. Przygotowywał się do spania jak gdyby w ogóle jej tam nie było. I tym razem nie starał się nie urazić jej uczuć zostając w spodniach. Ignorując ją, zaczął zsuwać spodnie, ukazując nagie biodra i ciemne włosy poniżej pępka. Kiedy miał już pokazać ostatni cał smoka wytatuowanego na plecach, odwróciła się. Rozpaczliwie szukała ucieczki i choć był to daremny trud, podeszła do drzwi, żeby sprawdzić, czy nie są otwarte.

- Dobranoc, panno Dayne.

Słyszała, jak zaśmiał się cicho i wsunął pod kołdrę. Jednym dmuchnięciem zgasił świece i zapadła zupełna ciemność.

Zesztywniała. Była w tej ciemności sama z nagim mężczyzną, a podłoga usiana była odłamkami szkła. Bojąc się, żeby znowu nie poranić stóp, zastanawiała się, czy uda się jej dotrzeć do fotela. Posuwając się po omacku, potknęła się o jego buty i wpadła na stół, żeby nie upaść, chwyciła za nogę stołu, a potem z westchnieniem ulgi osunęła się na fotel. Woląла nic nie mówić, żeby nie sprowokować go do wstania z łóżka.

- Wygodnie, panno Dayne?

Zaschło jej w ustach. Nawet jego głos wydawał się jej nagi.

- Owszem, dziękuję.

- Jutro możesz wrócić do swojej kabiny, jeśli tylko powiesz mi te słowa.

Tym razem była bliska spełnienia jego żądania. Jednak gdyby miała pójść teraz do swojej kabiny, to on musiałby zapalić świece, a to oznaczało, że musiałby wyjść z łóżka. Myśl o tym, że mogłaby go zobaczyć nagiego, była jeszcze straszniejsza niż perspektywa spędzenia nocy w fotelu.

- Nie dostaniesz nic, dopóki nie wrócisz mi wolności.

- Rozumiem. - Jęknęły listwy pod materacem, gdy przewrócił się na drugi bok. - Podejrzewam, że po dwóch-trzech nocach ten fotel nie będzie już taki wygodny.

- Jest zupełnie dobry.

- Ale nie tak dobry, jak łóżko.

- Łóżko jest ... zajęte.

- Chętnie się nim podzielę.

Na chwilę zamurowało ją.

- Nie, dziękuję - odparła w końcu. Roześmiał się.

- A więc dobrze. Do rana!

Zmartwiła się. Nie pomyślała o tym. Będzie wychodził z łóżka w jasnym świetle poranka. I choć rozebranie się zajęło mu zaledwie kilka sekund, Bóg jeden wie, ile czasu będzie się ubierał. Jęknęła w duchu, a potem położyła ręce na stole i oparła na nich głowę, aby odpocząć przed następną walką.

Vashona obudziło pukanie do drzwi. Jak kot, widzący w mroku, sięgnął po spodnie, wstał i włożył je. Starając się nie nastąpić na okruchy szkła, błyszczące w dobiegającym z iluminatora świetle gwiazd, podszedł do drzwi, zanim zapukano ponownie.

- O co chodzi? - spytał, widząc stojącego w progu Izaaka z latami w ręku.

- Mamy kłopot - odparł Izaak. Widać było, że przed chwilą wyrwano go ze snu. - Benny właśnie powiedział mi, że jeden z naszych zbiorników wody przecieka. Zostało tyle że nie starczy do San Juan.

Vashon zmarszczył czoło gniewnie.

- I dlatego budzisz mnie o takiej porze? To żadna tragedia. Po prostu zawiniemy do najbliższego portu ...

- Przyszedłem właśnie po to, żeby o tym porozmawiać. Następny port jest na wyspie Grand Talimen.

Vashon milczał przez chwilę.

- Rozumiem - powiedział wolno.

- No i co? Zatrzymamy się tam?

- A mamy inny wybór?

Teraz z kolei zamilkł Izaak.

- Decyzja należy do ciebie, Vashon - powiedział po chwili. - Tam chcą twojej głowy, nie mojej. Osobiście wolałbym popłynąć na SL Kitts. Może tyle wytrzymamy.

Vashon potrząsnął głową.

- Gdyby chodziło tylko o załogę, to można by zaryzykować, ale mamy na pokładzie dwie kobiety. Nie możemy narażać ich na śmierć, jeśli zabraknie wody. Popatrzę na mapę, czy nie ma jakiejś innej drogi. - Odwrócił się i poszedł po koszulę.

Izaak starał się nie patrzeć na łóżko Vashona. Kiedy jednak w końcu spojrzął, był skonsternowany, żeby się

upewnić, podniósł latarnię do góry.

- Myślisz, że wyrzuciłem ją za burtę? - uśmiechnął się lekko Vashon, kiedy podszedł z powrotem do drzwi.

- Oczywiście, że nie - odburknął Izaak i opuścił latarnię. - Ale gdzie ona jest?

Vashon wskazał głową na ciemną wnękę, w której stało biurko. Aurora na pół leżała na nim, trzymając głowę na podłożonych rękach.

Zobaczywszy ją, Izaak z trudem pohamował śmiech.

Kiedy spojrział na zachmurzoną minę Vashona, nie mógł już wytrzymać i zaczął się śmiać.

- Jesteś gotowy? - spytał sucho Vashon.

- Oczywiście. - Izaak kaszlnął i raz jeszcze spojrział na pogrążoną w głębokim śnie Aurorę.

- Za minutę spotkamy się na forkasztelu.

Izaak kiwnął głową z udaną powagą, a potem, chichocząc, wyszedł.

Znalazłszy się na powrót w ciemności, Vashon odwrócił się w stronę Aurory. W księżycowej poświacie wyglądała jak przysypana srebrnym pyłem i wydawała się niezmiernie dziwnym zjawiskiem. Oddychała powoli, miarowo i głęboko, i przyciągała go niczym ciemny las dziecko, spodziewające się odkryć jakieś skarby w jego głębinach.

Podszedł do biurka i pochylił się nad nią, nie budząc jej, wziął ją delikatnie na ręce i zaniósł na łóżko.

- Zaczyna mi to już wchodzić w zwyczaj - mruknął, zanim położył ją na materacu. Przewróciła się niespokojnie na bok i chwyciła kołdrę. Odsunął z jej twarzy pukiel włosów. Potem powoli pochylił się i pocałował ją w usta.

Sam zdumiał się tym, co zrobił. Miał taką minę, jakby uczynił to wbrew swej woli, a co gorsza, także rozsądkowi. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę w zamyśleniu, choć w ciemności dostrzegał tylko jej cień.

- Co z ciebie za kobieta, Auroro Dayne? - szepnął, a potem, jakby nie spodobała mu się odpowiedź, wziął głęboki oddech i potarł brodę. Wyszedł z kajuty prawie zadowolony, że nie musi tam zostać.

Aurora otworzyła oczy i w ciemności zobaczyła wychodzącą postać. Usłyszała głucho stuknięcie zamykanych drzwi i ponownie zapadła w sen.

Znowu śnił się jej Vashon. Jednak tym razem z takimi szczegółami, że aż zapierało jej dech. Widziała długie, czarne włosy splecione w warkocz i mały, srebrny kolczyk, który błyszczał złowieszczo w promieniach gorącego słońca. Widziała białe zęby błyskające w przelotnym uśmiechu i twarz równie tragiczną, jak przystojną.

Śniło się jej, że jest on smokiem.

Wyraz jego twarzy dobitnie świadczył o tym, że nie ufa ludziom, że nie ufa jej. Nie powstrzymało jej to jednak od wyobrażenia sobie, co by to było za uczucie dotykać go, czuć jego zapach, mieć go przy sobie. We śnie rozpaczliwie szukała tego, co odpychała od siebie w rzeczywistości.

. Pragnęła jego ciała, ze wszystkimi szczegółami, i choć pewnych szczegółów nie mogła albo nie chciała sobie wyobrazić, wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że są tam, tak realne, jak gdyby ich dotykała.

Walczyła, by zabić smoka.

Było to niewykonalne zadanie. Smok oplatał Vashona : tak ciasno, że nie mogła odróżnić jednego od drugiego. Coś wewnątrz powstrzymywało ją przed zabiciem smoka, ale musiała ocalić Vashona. Bestia trzymała go za gardło i gdyby nie uwolniła go od niej, byłby zgubiony.

Ujęła mocno szeroki miecz i cięła w grzbiet smoka.

W tym momencie smok zniknął.

Szukała go wszędzie, ale przepadł bez śladu. Sen zmienił się. Ukazał się Vashon, ale przerażona nie wiedziała, jak odróżnić go od smoka. Instynktownie cofnęła się, ale i tak ją złapał. Jego ramiona zacisnęły

się wokół niej niczym stalowa obręcz i choć starała się wydobyć z ich uścisku, nie mogła. Była jego.

Pocałował ją.

Ogamał ją żar od głowy do stóp. Jak gdyby jego język był płomieniem. Walczyła dzielnie, ale jej ciało zaczęło się już zdradziecko poddawać. Pragnęła się wyswobodzić, ale gdziekolwiek się zwróciła, czuła jego zapach, który niczym huragan rzucał ją na powrót w jego ramiona. Jego dotyk, jego bliskość, jego męskość napinały jej nerwy do granic wytrzymałości. Jej ciało reagowało, wbrew jej woli, w sposób, jakiego nigdy nawet się nie domyślała. Nigdy nie podejrzewała, że jej ciało zdolne jest do czegoś takiego. Przeczucie rozkoszy potęgowało się, aż w końcu stało się tak silne, że wydało się jej niemożliwe, by potrafiła mu się oprzeć. Wreszcie, kiedy jego ciepłe, mocne dłonie sięgnęły jej piersi, nie mogła już wytrzymać. Krzyknęła: "Vashon!" i rozplynęła się w jednym, słodkim i długim, pocałunku. Obudziła się prawie z łkaniem.

Smok zwyciężył.

Szlochając, usiadła, sztywno wyprostowana. Przez pierwszych parę sekund nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się z nią stało. Nigdy jeszcze nie miała tak przejmująco realistycznego snu, żeby całe jej ciało zareagowało tak żywo i wbrew jej woli. Z konsternacją stwierdziła, że czuje wilgoć między udami, a kiedy podniosła dłoń do czoła, przekonała się, że jest zroszone potem. Wylękniona i zdezorientowana, odgarnęła włosy zasłaniające jej oczy i spojrzała w dół. Dłoń miała zaciśniętą na prześcieradle. Wszędzie czuła zapach Vashona. W czasie snu została przeniesiona do jego łóżka. Kajuta była pusta, ale poduszka obok była jeszcze ciepła. Musiał niedawno wyjść.

Spojrzała na sukienkę i nerwowo poprawiła wstawkę.

Trzęsły się jej ręce, więc poprawienie szpilek przyszło jej z niemalym trudem. Czyżby spał koło niej? Czyżby dotykał jej w nocy? Czy to dlatego miała taki sen?

Pobladła i zaczęła się zastanawiać nad tym, co się jej śniło. Kiedy się wreszcie uspokoiła, była jeszcze bardziej przerażona. Co się z nią działo, że nawet sen o Vashonie wyzwolił u niej tak silną reakcję? Myśląc o tym, poczuła, że czerwieni się. Nie bardzo wiedziała, co się z nią stało, ale była szczęśliwa, że jest sama.

Usłyszawszy pukanie do drzwi i wyskoczyła z łóżka. Przeczesała palcami włosy i powiedziała nieśmiało:

- Proszę.

Drzwi uchyliły się i Benny wsunął głowę. Na szyi wisiała mu, jak naszyjnik, Koonga. Aurora dopiero teraz zorientowała się, jak głęboko była pogrążona w rozmyśleniach, skoro nie usłyszała skrzypienia jego kuli w korytarzu.

- Przyniosłem śniadanie, proszę pani. - Przyglądał się jej uważnie. Pewnie słyszał odgłosy wieczornej walki, którą prowadziła z Vashonem. Popatrzyła ze wstydem na porozbijane szkło i porcelanę na podłodze. Poszedł zajął spojrzeniem i zmieszał się. Nerwowo postawił srebrną tacę na biurku, przy którym zasnęła. Koonga, wyczuwając jego zdenerwowanie, wydała przeraźliwy wrzask.

- Vashon powiedział, że może pani dziś wyjść na pokład.

Może pani chodzić, gdzie pani chce.

Zajęta swoimi myślami, skinęła tylko głową. - Czy wszystko w porządku, proszę pani?

. Na twarzy chłopca widać było zatroskanie. Czuła, że się rumieni. Niemożliwe, żeby wiedział, co się jej przydarzyło w czasie snu, ale jakoś czuła, że wie on o tym. W istocie rzeczy w tym momencie wydawało jej się, że wie o tym cały świat, nie wyłączając łajdaka, do którego D-ależał statek.

- Czuję się doskonale, Benny. Nie musisz się martwić o mnie. A jak się ma Flossie?

- Chcąc, by jak najszybciej wyszedł, odprowadziła go do drzwi.

- Jest zła jak osa. Ale sama się pani przekona, jak się ma, jeśli wyjdzie pani na pokład. Ona już tam jest.

- Cudownie. Nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjdę.

- Kiedy mam przygotować pani kąpiel?

- Kąpiel? - Spojrzała na beznadziejnie wymiętą sukienkę.

Wyglądała zupełnie jak ulicznica. Nie wiedziała, czy kąpiel wiele jej pomoże, ale przynajmniej będzie mogła

zmyć z siebie wspomnienie tego snu, a to na pewno dobrze jej zrobi. - Jeśli to nie za duży kłopot, to możesz to zrobić zaraz.

- żaden kłopot, proszę pani.

- Dziękuję, Benny. -. Nagle uśmiechnęła się do niego i jego twarz rozjaśniła się. Koonga przestała wreszcie wrzeszczeć i wydało się jej, że krok Benny'ego stał się lżejszy.

- Wielki Boże, Auroro, co ten łotr z tobą zrobił! Nic ci nie jest, kochanie? .. Gdzie, na Boga, są twoje buty? - Flossie ruszyła w stronę Aurory z zatroskaną i oburzoną miną. Kiedy znalazła się przy niej, wyciągnęła ramiona i uściskała ją tak, że o mało nie połamała jej kości. - Ten wstrętny pirat! Ten łajdak! To on zabrał ci buty?

- Tak - odparła Aurora, chwytając oddech po uściskach Flossie. - Ale poza tym nic mi nie jest. Nie musisz się mną przejmować. To ja martwiłam się o ciebie.

- Och, drogie dziecko! Nie myśl o mnie. Czuję się zupełnie tak, jakby podróż trwała dalej. Mam wszelkie wygody. Tyle tylko, że cały czas byłam zamknięta w swojej kabynie. - Mówiąc to, spojrzała ostro na Izaaka. Kapitan nawet nie podniósł głowy znad kompasu.

- Ale ty, kochana - zwróciła się z powrotem do Aurory, patrząc na nią zmartwionym wzrokiem - wyglądasz nietęgo. Mam nadzieję, że ten przekłety Vashon nie zachował się ... hmm ... w pożałowania godny sposób.

Aurora omal się nie roześmiała. "W pożałowania godny sposób" na pewno nie było określeniem odpowiednim dla zachowania Vashona. Szczególnie wtedy, gdy zdzierał z niej suknię. Mimo to uspokoiła Flossie:

- Przyznaję, że posprzeczialiśmy się zVashonem, ale nie wyrządził mi niepowetowanej szkody.

- Bogu dzięki. Byłam prawie chora ze zmartwienia. Musiałam nawet brać sole trzeźwiące. Jane, jak to dobrze, że została na st. George. Ta dziewczyna stale mdleje i ta podróż zabiłaby ją.

Aurora uśmiechnęła się i ujęła Flossie za rękę. Ręka wdowy drżała, więc ścisnęła ją mocno. Flossie miała dużo hartu ducha, ale nie była już młoda, więc te wszysikię rygory na pewno źle na nią wpływały. Aurora przysięgła sobie, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by jak najszybciej odesłać ją na St. George.

- Nie martw się, Flossie - powiedziała łagodnie. - Potraktuj to jako przygodę. Wiem, że niebawem znajdziesz się z powrotem w domu i będziesz mogła opowiadać przyjaciółkom o swoim pobycie na statku pirackim.

Wdowa kategorycznie potrząsnęła głową.

- Byłaby to niezła przygoda, gdybyś tylko ty nie była w takich tarapatkach. W końcu jestem już za stara. Co mogą mi zrobić? Ale tobie, Auroro, zagraża mnóstwo rzeczy i ponieważ niepokoi mnie to, nie jest to dla mnie żadna przygoda.

- Nie, nie! Potrafię się sama obronić. Oddałam Vashonowi z nawiązką! - Oczywiście przesadzała. Stała naprzeciw Flossie bez bielizny, bez butów. Ale nie mogła znieść jej przestraszonego spojrzenia. Tym bardziej, że Flossie bała się o nią.

Flossie nagle uśmiechnęła się tajemniczo. Zerknęła na kapitana, czy nie patrzy w ich stronę, a potem rzekła szeptem:

- Ale dzielnie się trzymałaś, kiedy cię przywiązywał do tej kolumny przy łóżku! I wspaniale zmyślałaś tę historię o narzeczonym! Miałam ochotę bić ci brawo. Byłaś znakomita. Dokładnie taka, jak ja, kiedy byłam w twoim wieku.

Aurora uśmiechnęła się krzywo. Niewiele brakowało, a miałyby narzeczonego. Flossie nie przypuszczała nawet, jak blisko była prawdy. Jednak po tym wszystkim, co zdarzyło się w sierocińcu przed jej wyjazdem, John na pewno nie popłynąłby za nią. Był zbyt urażony w swojej dumie, zbyt zły na nią i zbyt samolubny.

- Niestety, był to tylko wytwór mojej fantazji, a więc musimy ułożyć jakiś plan ucieczki. - Aurora przysunęła się bliżej. - Myślałam o tym, Flossie. Mamy na to prawie tydzień. Sądzę, że kiedy staniemy na San Juan ...

Usłyszawszy za sobą dyskretne kasznięcie odwróciły się i zobaczyły kapitana. Aurora nie sądziła, by usłyszał wiele z ich rozmowy, ale na pewno dotarło do jego uszu dość, by położyć kres ich szeptaniu.

- Już czas, aby wróciła pani do swojej kabiny. - Wziął Flossie za łokieć, by ją odprowadzić.

- To niepotrzebne, kapitanie - zaczęła Aurora. - Czy jest coś złego w tym, że możemy pooddychać świeżym



powietrzem i porozmawiać?

- To mój rozkaz, Auroro. Nie pozwolę, byście szeptały ze sobą jak złodzieje.

Aurora odwróciła głowę i zobaczyła stojącego obok Vashona. Teraz, gdy znaleźli się na cieplejszych wodach, nosił tylko buty z cholewami, giemzowe spodnie i szeroki skórzany pas. Tors miał goły. W blasku słońca jego włosy lśniły prawie tak samo, jak kolczyk. Oczy wydawały się bardziej zielone niż ocean.

Na jego widok przypomniała sobie z przeraźliwą jasnością swój sen i zanim zdołała nad sobą zapanować, poczuła, że się czerwieni. Szybko oderwała od niego wzrok, ale rozzłościło ją to jeszcze bardziej.

Powiedziała lodowatym tonem:

- Dla pana jestem panną Aurorą Dayne. I nie uważam, żeby to właśnie nas można było porównywać do złodziei.

Uśmiechnął się do niej kwaśno. Skinął na Izaaka. Kapitan mocniej ścisnął Flossie za łokieć.

- Chwileczkę! - powiedziała Aurora do kapitana. - Co złego jest w tym, że się spotykamy?

- Nie ma w tym nic złego, myszko - odpowiedział jej Vashon. - Ale na tym statku obowiązują pewne przepisy ... Przepis numer trzy stanowi, że jeńcom nie wolno porozumiewać się między sobą szeptem, a jeśli ich się na tym złapie, muszą zostać natychmiast rozdzieleni.

- Co? - Aurora odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz, ale tymczasem Izaak odciągnął już Flossie. Kiedy zniknął z nią pod pokładem, Aurora omal nie wybuchnęła przekleństwami. - Do diabła z waszymi przepisami! - krzyknęła.

Roześmiał się.

- Ależ już je diabli wzięli, panno Dayne. Czyżby pani tego nie zauważyła?

Spojrzała na niego lekceważąco, a potem podeszła do burty. Miała nadzieję, że da jej spokój, ale nie miała szczęścia.

- Za trzy dni zacumujemy na Grand Talimen.

Stanął obok niej. Choć patrzyła na horyzont, czuła na sobie jego wzrok.

- Myślałam, że mamy zatrzymać się na San Juan - powiedziała.

- Drobną zmianą planu. zaczął przeciekać jeden ze zbiorników wody pitnej. Nie chcę ryzykować.

Zmarszczyła lekko czoło.

- A więc potem popłyniemy na San Juan, czy prosto do tego pańskiego diabelskiego rajku?

Odchylił głowę do tyłu i zaczął się śmiać. Zanim zdążyła go powstrzymać, poklepał ją po policzku:

- Ależ bystra z ciebie panienka.

Zdenerwowanego dotknięciem, stąpnęła krok do tyłu. Pieszczota ta doprowadziła do stanu wrzenia wszystkie uczucia, które owładnęły nią w czasie snu, uczucia, które powinny były pozostać na zawsze w jej podświadomości. Przypomniała sobie rozwiązłe marzenia i sprośną reakcję ciała i poczuła, że jej opanowanie zaczyna się gdzieś ulatniać. Pozbierała się jednak szybko, bo miała teraz zupełnie nowe zmartwienie.

Myślała, że kiedy staną w porcie na San Juan, uda się jej jakoś wymknąć ze statku i sprowadzić pomoc dla Flossie. Ale od San Juan dzieliło ich jeszcze wiele dni podróży, co dawało jej czas na obmyślenie ucieczki. Teraz, kiedy okazało się, że za trzy dni zacumują na Grand Talimen, nie wiedziała, czy w tak krótkim czasie zdąży przygotować jakiś plan.

Zawiedziona, bębniła palcami po balustradzie. Rozterka musiała odbić się na jej twarzy, bo Vashon nagle powiedział:

- Myślimy o ucieczce, kochana?

Zerknęła na niego. Zdradził ją rumieniec. Zła na siebie i na niego, zdjęła rękę z balustrady i skierowała się ku zejściu pod pokład, ale zanim tam dotarła, usłyszała:

- Nie poprosiła pani o pozwolenie odejścia, panno Dayne.

Zatrzymała się i rzuciła na niego wściekle i wyzywające spojrzenie.

- Panno Dayne, muszę panią poinformować, że przepis numer dwa powiada, iż wszyscy jeńcy mają obowiązek mnie słuchać. Jeśli opuści pani pokład bez mojego pozwolenia, zostanie pani ukarana, a kara polegać będzie na tym, że nie zobaczy pani przyjaciółki, zanim nie dopłyniemy do Mirage.

Groźba ta powstrzymała ją przed odejściem. Potrzebowała Flossie do obmyślenia planu ucieczki na Grand Talimen. Nie mogła teraz, kiedy dzieliły ich od portu zaledwie trzy dni, pozwolić na to, by je odizolowano od siebie.

Zacisnąwszy zęby, przeszła obok niego na rufę. Skoro nie mogła odejść, to mogła przynajmniej udawać, że nie zauważa jego obecności. Trudno jednak było nie zauważać tak wysokiego mężczyzny. Mimo to starała się, jak mogła, dopóki nie poczuła, że obejmuje ją w pasie.

- Auroro - rzekł szeptem. Pocienmiały jej oczy.

- O co chodzi, lubieżny tyranie? Uśmiechnął się słysząc te słowa.

- Chcesz, żebym ci powiedział, jak brzmi przepis numer jeden?

Nie chciała znać jego podłych przepisów, ale skoro aż do przybycia na Gran Talimen była w jego władzy, musiała się ich nauczyć. Kiwnęła z urazą głową.

- Przepis numer jeden - powiedział matowym głosem - mówi, że wszystkie łupy na tym statku należą do mnie ... i tylko do mnie.

Uniósł jej włosy i jak gdyby jego usta były narzędziem do piętnowania. pocałował ją w kark. Włosy miała jeszcze wilgotne po myciu i wydawał się szczególnie zachwycony tym, że delikatne loczki przylegają jej do skóry. Zamknęła oczy, nie mogąc tego znieść. Pocałunek przypomniał jej o tym wstrętnym śnie. Zadrzała na samą myśl o tym, jaką ma nad nią władzę.

Wydawało się jej, że trwa to wieczność, ale wreszcie puścił ją. Popatrzyła na niego błagalnie. Niechętnie skinął głową. Pobiegła do zejścia jak na skrzydłach. Nagle doszła do wniosku, że wizyta na Grand Talimen wcale nie wypadnie zbyt wcześnie.

\*\*\*

Grand Talimen była pozornie małą, uroczą wysepką, leżącą na wschód od Wysp Bahama. Białe, piaszczyste plaże i ciągnące się całymi milami rzędy palm kokosowych w niczym nie przypominały skalistych brzegów i cedrowych lasów St. George.

Na północnym krańcu wyspy, na jednym jej przylądku, rozsiadło się miasteczko New Providence, w którego porcie zatrzymywały się statki licznie kursujące przez cieśninę Majaguna. Z wysokiego pokładu "Morskiego Śmiałka" Aurora dokładnie widziała miasto. Gorące słońce prażyło pastelowe, różowo-żółte ściany budynków i białe muły, tworzące istny labirynt i oddzielające domy bogaczy od ruder biedaków. Ulice zbiegały się na centralnym, typowym dla miast angielskich placu, ale domy miały hiszpańskie balustrady z kutego żelaza i francuskie ceglane łuki, co wymownie świadczyło o tym, że wyspa wielokrotnie przechodziła z rąk do rąk. Jednak wszystkie starania o to, by New Providence wyglądało na kulturalne i eleganckie miasto, ostro kontrastowały z kwitnącym właśnie czerwonym uroczym, którego dziki zapach docierał aż do "Morskiego Śmiałka".

Aurora spojrzała na nabrzeże i zobaczyła niewolnice w brudnych madrasowych ubraniach, niosące na targ kosze zielonych owoców drzewa chlebowego. Teraz przystały, zaciekawione widokiem nowego statku, opierając ciężkie mangrowiowe kosze na biodrach. Sprzedawcy w białych fartuchach stali w drzwiach swych sklepów, patrząc z zainteresowaniem na najnowszego gościa w porcie. Kiedy statek w końcu przybił do brzegu, Aurorę otoczyła egzotyczna atmosfera i zapachy przypominające gnijące w słońcu owoce mango. Bawiąc się kosmykiem włosów, ledwie mogła ukryć podniecenie, bo wreszcie dobili do lądu. W końcu pojawiła się szansa ucieczki.

Rozejrzała się nerwowo, poszukując Flossie. Vashon stanowczo zabronił im spotykania się, więc przez trzy dni nie widziała jej nawet z daleka. Obmyśliła plan ucieczki, owszem, ale irytowało ją, że nie może powiedzieć o nim Flossie. Teraz będzie musiała go przeprowadzić, mając nadzieję, że Flossie zorientuje się, o co chodzi i pomoże jej.

Kątem oka dostrzegła Vashona stojącego na forkaasztelu. Ich spojrzenia skrzyżowały się, niedowierzanie zderzyło się z buntem i wyzwaniem. Nie chcąc go prowokować, odwróciła wzrok i spojrzała na zatłoczone nabrzeże.

Obawiała się, by nie odgadł, że planuje ucieczkę. Musiała się wydostać z jego szponów. Zamknęła oczy i pomyślała o ostatnich trzech nocach spędzonych w jego kajucie, o tym, jak nie krępując się jej obecnością, rozbiął się przed pójściem do łóżka. Jeszcze jedna taka noc i zwariuje.

- Auroro!

Odwróciła się szybko i zobaczyła Flossie. Kapitana, który zazwyczaj towarzyszył jej w spacerach po pokładzie, nigdzie nie było widać. Miała więc teraz okazję, by powiedzieć jej o swym planie. Żywiła nadzieję, że starczy jej czasu .

Podeszła spokojnie do Flossie, starając się ukryć podniecenie. Bała się wzbudzić ciekawość Vashona, który nadal przyglądał się jej z forkasztelu. Kiedy chwyciła Flossie za rękę, zaczęła mówić, odkładając tym razem na bok dobre maniery.

- Flossie, mam pewien plan - szeptała gorączkowo. Musisz mi pomóc. Ja ... - Nagle z luku wyłonił się kapitan. Kiedy zobaczył je stojące razem, podszedł do nich. Aurorę ogamęło uczucie zawodu i umilkła.

r

Flossie obróciła się i zmierzyła go ostrym spojrzeniem. Aurora była pewna, że gdyby wdowa nadal miała swoją parasolkę, otworzyłaby ją jednym, gniewnym ruchem. Ponieważ jednak jej nie miała, mogła tylko oddalić się z godnością.

Aurora odwróciła się i oparła o balustradę. Była przygnębiona. Będzie musiała robić to, co zaplanowała, mając tylko nadzieję, że Flossie domyśli się wszystkiego. Jeśli się uda, odzyskają wolność. Jeśli nie ... Popatrzyła na forkasztel i stojącego tam mężczyznę. Wzięła głęboki oddech i zebrała resztki odwagi. Jeśli nie powiedzie się, to będą musiały za to zapłacić. Ale gdyby nie spróbowała nic zrobić, to znalazłyby się na Mirage i być może nikt już nigdy nie usłyszałby o nich.

Tłum na nabrzeżu zgęstniał i Aurora dopiero teraz zobaczyła, że gapie patrzą na "Morskiego Śmiałka" z wyrazem osłupienia na twarzach. Niewolnicy zbierali się grupkami, spoglądając na smoka na dziobie z taką czcią, jak gdyby był legendarną bestią. Była to bardzo kłopotliwa sytuacja, tym bardziej że nagle nadjechał galopem oddział żołnierzy, którzy -otoczyli kręgiem trap.

Stał przy niej kapitan i przyglądał się temu, co się dzieje. Potrząsnął głową i powiedział:

- No to wpadliśmy.

- Widzę, że "Morski Śmiałek" nie jest tu zbyt chętnie witany - powiedziała, zastanawiając się cały czas, jaki to wszystko może mieć wpływ na powodzenie jej planu.

Kapitan roześmiał się niewesoło.

- Niezbyt chętnie! Prawie tak chętnie, jak Napoleon pod Austerlitz.

Aurora jeszcze raz spojrzała na żołnierzy. Nosili srebrne kurtki ze złotymi pagonami na prawym ramieniu. Nie był to mundur brytyjski. Zaczęła się zastanawiać, czy ta wysepka, z pozoru tak angielska, nie oderwała się od Wspólnoty.

- Czego oni chcą? - zapytała.

- Vashona - odpowiedział krótko, patrząc na dowódcę straży.

Aurora spojrzała na Izaaka zaskoczona, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, w tłumie podniósł się krzyk. Grupy niewolników wznosiły w górę ręce, skandując imię Vashona, natomiast ich nadzorcy patrzyli spode łba na statek. Poszła wzrokiem za nienawistnymi spojrzeniami białych. Patrzyli na Vashona, stojącego na dziobie i uśmiechającego się do wiwatującego najego cześć tłumy. W końcu nadzorcy puścili w ruch baty i rebelia szybko się skończyła.

- Co on takiego zrobił, że zasłużył sobie na ... na takie uznanie? - spytała, obróciwszy z powrotem wzrok na żołnierzy. Była jednocześnie zdumiona i przerażona. Było oczywiste, że ci niewolnicy uważali Vashona za bohatera, natomiast żołnierze sprawiali wrażenie, jak gdyby chcieli wtargnąć na pokład i powiesić go. Nic z tego nie rozumiała.

"

- Gubernator tej wyspy nie pała miłością do Vashona-

odparł Izaak. - Vashon porwał statek z niewolnikami, których sprzedano i wieziono stąd do Nowego Orleanu. Gubernator nie dostał zapłaty za towar, który wart był ponad dwieście tysięcy funtów.

- A więc to w taki sposób Vashon zbił fortunę. Handlując żywym towarem. - Ze wstrętem odwróciła wzrok. John Phipps miał z pewnością wady, ale jako dobry ewangelik popierał przynajmniej ruch Williama Wilberforce'a, propagujący hasło zniesienia niewolnictwa.

Skrzywiła się. Co jej przyszło do głowy, żeby porównywać Vashona z Johnem Phippsem? Przy Vashonie, John był świętym. Jednak z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu czuła się rozczarowana, że Vashon okazał się aż takim łajdakiem.

- Vashon jest ostatnim, który zająłby się handlem niewolnikami - powiedział spokojnie kapitan. - Jeśli kiedykolwiek poznasz go lepiej, to sama się o tym przekonasz. - To co wobec tego zrobił z tym statkiem?

Izaak uśmiechnął się.

- No cóż, muszę przyznać, że nieźle zarobił na jego sprzedaży. Nie mówię, że jest idealnym człowiekiem. Ale jeśli chodzi o niewolników, to Vashon zabrał ich na Tortue i wszystkich wypuścił. Dlatego tak go tu dzisiaj witali. Na tym statku znajdowały się dzieci niektórych z nich. Sądzę, że dodaje im otuchy świadomość, że ich synowie i córki żyją wolni na Haiti, choć oni sami nadal są w niewoli na Grand Talimen.

Aurora ponownie spojrzała na forkasztel. Vashon patrzył z góry na żołnierza, z ramionami założonymi wyzywająco na piersi. Postąpił szlachetnie, dając tym niewolnikom wolność, ale choć z tego powodu jedni uważają go za bohatera, to inni za kryminalistę.

Jeszcze nie dowiedział, kim będzie dla niej.

- Przepraszam, panie kapitanie, przepraszam panią. Pierwszy mat, młody Francuz o imieniu Filip, uklonił się sztywno. - Gubernator Ingatio Roberto Aquila Lopez przysłał wiadomość.

- Jaka? - Izaak zdjął kapelusz i otarł pot z czoła.

- Że Vashon zostanie zastrzelony, jeśli zejdzie na ląd.

- Rozumiem. Jeszcze coś?

- Że chciałby się o niego potargować.

Izaak zachichotał.

- To jasne.

- Zaprasza też pana dziś wieczorem do swego pałacu na

kolację. Omówi tam z panem sprawę ewentualnych dostaw towarów dla pasażerów "Morskiego Śmiałka".

- Dziękuję. - Izaak kiwnął głową i Francuz odszedł. Aurora próbowała udawać, że wieści, które przyniósł mat, nie wywarły na niej żadnego wrażenia, ale znowu pełen gwałtu świat Vashona zderzył się z jej światem.

- Czy to prawda, co powiedział... że zastrzelą Vashona? - spytała. .

- Nie dostaną go.

- Ale ... ale gubernator na pewno może nakazać swoim żołnierzom wejść na statek, a wtedy ...

- A wtedy zacznie się powstanie, jakiego nie potrafiłby wzniecić nawet Toussaint-Louverture. Nie, tego z pewnością nie zrobi. Nie jest taki głupi.

Czując dziwną ulgę, Aurora doznała nagle olśnienia.

- A więc na dobrą sprawę sprowadza się to do tego, że Vashon nie może opuścić statku.

- Tak. - Kapitan przyglądał się jej przez chwilę badawczo i zaczęła się denerwować, czy nie wydała się tym pytaniem. Wtedy jednak kapitan przeniósł wzrok na forkasztel. Machnął ręką.

- Vashon! - krzyknął. - Zostałem zaproszony na kolację! Chyba zostanę przyjęty lepiej niż ty! I pewnie będę miał lepsze jedzenie! Ty dostałbyś tylko chleb i wodę!

Vashon uśmiechnął się cierpko.

- Nie chcę, żebyś się tam za dobrze bawił, Izaak. Może w końcu byś mnie sprzedał.
- Zobaczymy, Vashon! Zobaczymy, ile mi zaproponuje Ignatio.
- No to może powinienem posłać z tobą kogoś, żeby cię miał na oku. Flossie! - krzyknął Vashon przez cały pokład. - Chcę, żebyś pojechała z Izaakiem na kolację i przypilnowała, żeby mnie nie sprzedał.

Flossie stała na drugim końcu pokładu. Kiedy usłyszała liłowa Vashona, obrzuciła i jego, i Izaaka drwiącym spojrzeniem, a potem powiedziała krótko:

- Akurat!

Vashon roześmiał się i krzyknął do kapitana:

- To załatwia sprawę! zabierz ją ze sobą, Izaak!

Zarówno Flossie, jak i Izaak otworzyli usta, aby zaprotestować, ale ponieważ żadne z nich nie chciało pokazać, w jak kłopotliwym stawia to ich położeniu, zaraz zamknęli je z powrotem. Flossie odeszła, rzuciwszy tylko jeszcze raz: -Akurat!

Aurora obserwowała tę scenę z pewnym rozbawieniem.

Wiedziała, jak Flossie była zauroczona kapitanem przed ich porwaniem. zabawnie było patrzeć, z jakim wstrętem odnosiła się do niego teraz. Jeśli razem udadzą się na kolację do gubernatora, to polecą iskry.

Jeśli jednak wszystko pójdzie tak, jak zaplanowała, to Flossie spędzi wieczór w New Providence jako wolna kobieta, a nie przymusowa towarzyszka kapitana Corbeila.

Wzięła głęboki oddech. Jeśli Vashon nie może opuścić statku, to wszystko staje się prostsze. Kiedy dostanie się na ląd, ona i Flossie będą musiały sobie poradzić tylko z jednym marynarzem. Będzie to dużo łatwiejsze niż zmaganie się z Vashonem.

Zerknęła ukradkiem na kapitana. Rozmawiał o czymś z Filipem. Odwróciła się i zobaczyła Flossie na dziobie, patrzącą z tęsknotą na nabrzeże. Teraz nadszedł odpowiedni czas. Byli tu wszyscy. Musiała tylko zebrać odwagę i zacząć.

Odsunęła się od barierki i zachwiała. Dość teatralnym gestem podniosła rękę do skroni i zatrzymała się na moment, by odzyskać równowagę. Kątem oka qostrzegła, że kapitan patrzy w jej stronę. Zadowolona, odegrała niezłe przedstawienie, niby to starając się pozbierać, ale dawszy jeszcze dwa kroki zemdlała i upadła z łoskotem na pokład.

Miała zamiar paść wytwornie, jak Madame Recamier na sofę, ale wywróciła się wulgarnie, jak pijany chłop. Jęknęła cicho. Wiedziała, że jutro będzie miała posiniaczony cały bok.

Usłyszała, jak Flossie krzyczy:

- Dobry Boże! Auroro! Auroro! Co ci jest?

Słyszała tupot nóg, a potem poczuła czyjaś dłoń na głowie. Zorientowała się, że to dłoń mężczyzny, gdyż była szorstka i twarda, ale jednocześnie ciepła. Miała nadzieję, że to dłoń kapitana, ale kiedy nieco uniosła powiekę, przez długie rzęsy dojrzała Vashona spoglądającego na nią z podejrzliwym, ale jednocześnie zatroskanym wyrazem twarzy.

Nagle pojawiła się przy niej Flossie.

- Auroro! Czy mnie słyszysz? Nic ci nie jest, kochanie? Co się stało?

Aurora zamknęła oko i jęknęła. Przewróciła się na bok, tak że mogła ją widzieć tylko Flossie. Otworzywszy szeroko oczy, dała Flossie znak, żeby przystąpiła do działania. Flossie dosłownie zdębiała, ale zaraz zorientowała się w czym rzecz.

- Kapitanie, jej potrzebny jest lekarz - rzekła Flossie i wyprostowała się. Aurora podziękowała jej w duchu. - No i co ma pan zamiar zrobić? Domagam się natychmiastowej odpowiedzi!

-Zaopiekujemy się nią. Wyzdrowieje. - Izaak spojrzał na Vashona.

Vashon wziął ją powoli na ręce. Zmarszczył czoło i spojrzał na delikatną, bladą twarz Aurory.

- Potrzebny jej jest lekarz. Trzeba ją zawieźć do lekarza - powiedziała z naciskiem Flossie.

- Możemy jej zapewnić opiekę na statku - stwierdził Vashon.

- Nie, jej potrzebna jest fachowa opieka. To poważna sprawa. Wiem, co mówię.

- Skąd to wiesz?

Flossie nie odpowiedziała od razu. Nawet nie widząc jej, Aurora była pewna, że próbuje znaleźć sensowną odpowiedź.

- To jest ... to jest kobieca choroba, proszę pana! Już to widziałam!

Auroraomal się nie uśmiechnęła.

Ręce Vashona zacisnęły się na jej ciele.

- Jaka choroba? Wiem, że zdarza się to kobietom tylko wtedy, kiedy są w ciąży.

Zapanowała śmiertelna cisza.

Flossie zachowała się tak, jakby musiała stawić czoło czemuś, co przejmowało ją zgrozą ..

- A jest w ciąży? - spytała cicho.

Vashon spojrzał na kapitana. Mina Izaaka świadczyła o tym, że również on zadaje to samo pytanie:

- A jest w ciąży?

Aurora poczuła, że Vashon sztywnieje ze złości.

- Nie jest - odparł stanowczo. - A jeśli jest, to ja na pewno nie jestem ojcem tego bękarta.

Aurorze z trudem udało się powstrzymać rumieniec. Nigdy jeszcze nie słyszała takiej rozmowy, a udawanie podczas niej, że jest się zupełnie nieprzytomną, było prawie ponad jej siły.

Flossie zaczęła gderać głosem, w którym słyhać było wielką ulgę:

- Tym niemniej, to twoja wina, Vashon. Dałeś jej coś, co nie wyszło jej na zdrowie i w rezultacie jest teraz chora. Gdybyś jej nie porwał, byłaby zdrowa, a tak może teraz umrzeć. Trzeba ją zawieźć do lekarza i ją z nią pojadę. Idę po swoją torebkę. Zaraz wracam.

Aurora ledwie stłumiła śmiech. Flossie była wspaniała. - Zabiorę je, Vashon - powiedział kapitan. - Zawiozę je do Sovensa.

- Nie możesz jej zabrać. Wykluczone! - Vashon potrząsnął głową. - Jeśli nie zjawisz się w pałacu Ignatia, to zanim zapadnie zmierzch, będziemy tu mieć na głowie całą jego armię. Ja sam ją zawiozę. Poślij kogoś do Neville'a. Powiedz, że potrzebujemy paru ludzi, żeby na pewien czas odwrócili uwagę straży.

Aurora szarpnęła się ze zdenerwowania, a palem jęknęła, aby to ukryć. O czym mówił Vashon? Nie mógł jej zabrać do lekarza. Ryzykowałby życie, a robił to zawsze tylko z poważnych powodów, z pewnością nie po to, by pomagać chorym kobietom. A już szczególnie tym, w których chorobę - czego była pewna - powątpiewał.

- Vashon, nie możesz tego zrobić! - powiedział Izaak z niepokojem. - Co innego powstrzymać Ignalia przed wdarciami się na pokład, kiedy masz za sobą stu ludzi i kodeks morski, a co innego znaleźć się na wyspie. Nie możesz zabrać ze sobą armii.

- Będę z powrotem, zanim ty i Flossie wrócicie od gubernatora. - Trzymając Aurorę na rękach, skierował się do zejścia pod pokład. - A teraz przyślij Filipa. Zejdę, gdy się ściemni.

Vashon położył Aurorę na swoim łóżku, a Flossie położył jej na czoło zimny, mokry ręcznik. Od czasu do czasu Aurora otwierała oczy i spojrzeniem dodawała otuchy Flossie, ale za każdym razem, kiedy wdowa dotykała czoła Aurory, trzęsła się jej ręka.

Aurora mówiła sobie, że wszystko pójdzie dobrze.

Ucieknie Vashonowi, gdy tylko zejdą na brzeg i sprowadzi pomoc dla Flossie, która będzie w tym czasie w pałacu gubernatora. Jeszcze tego wieczoru odzyskają wolność.

Mijały długie, męczące minuty. Aurora cały czas udawała, że jest nieprzytomna. Przyszedł kapitan zabrać Flossie i Aurora słyszała, że Flossie prosi, by pozwolili jej zostać. Jej prośby nie zdały się jednak na nic. Vashon stanowczo sprzeciwił się, by udała się z nimi, więc musiała pójść z Izaakiem na kolację do gubernatora.

Wydawało się jej, że zaledwie chwilę potem Vashon zatknął pistolet za pas z tyłu spodni i wziął ją na rękę. Otworzyła lekko jedno oko, kiedy byli już na nabrzeżu i zobaczyła, że zapada noc. W kolumnadzie ciągnącej się wzdłuż nabrzeża płonęły pochodnie. Przy trapie nadal trzymali straż żołnierze w srebrno-złotyach mundurach, ale zaledwie Aurora zamknęła oko, otworzyła je na nowo. W świetle dziennym wyraźnie widziała, że są biali jak Irlandczycy, teraz jednak, kiedy rozstapili się, aby zrobić im przejście, zobaczyła, że są czarni jak heban.

- Neville - powiedział Vashon do ich dowódcy - jestem ci za to do zgonnie wdzięczny. Szybko się zjawileś.

Mężczyzna nazwany Neville odpowiedział wyspiarskim dialektem:

- Gubernator nie jest mój przyjaciel. - Uśmiechnął się, błyskając zębami. - Ani jego strażnicy. Dostali po łbie za swoje.

- Jak przejdziemy, zwiniecie straż i wracajcie na swoje plantacje. Nie czekajcie na nasz powrót. To za bardzo niebezpieczne.

- Zostaniemy, jak będzie trzeba.

- Nie - Vashon potrząsnął głową. - Nie chcę. Jeśli będę musiał, dostanę się na "Śmiałka" w pław.

- A co z tą piękną panią?

Aurora szybko zamknęła oczy, mając nadzieję, że w ciemności nikt nie zauważył, że nie jest nieprzytomna.

Vashon spojrzał na nią i twarz mu stężała.

- Jeśli jest naprawdę chora, to może zostaniemy na łodzi dłużej. Jeśli nie, to popłynię na statek nawet beze mnie.

Wszyscy roześmiali się, ale nie było czasu do stracenia. Przyprawiono konia i Vashon wsiadł na niego, trzymając mocno Aurorę.

Zanim jednak odjechał, Neville zrobił ruch, jakby chciał coś powiedzieć. Vashon zawrócił konia i spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

- Wiesz, przyjacielu - powiedział Neville - jutro będziemy bohaterami. Na tej wyspie nie ma dużo ludzi, co by ci chcieli pomóc.

Aurorze zdawało się, że Vashon nie wie, co odpowiedzieć.

W końcu rzekł:

- Neville, wiesz, że na "Morskim Śmiałku" zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce. I dla twoich ludzi. Cholera, gdybym miał odpowiednio duży statek, to zabrałbym stąd wszystkich, do ostatniego bękarta, i zawiózł na La Tortue. Ale ty możesz się zabrać już teraz. Wchodź na pokład. Filip wie, że może się ciebie spodziewać.

- Nie mogę, przyjacielu. Jest tu robota. Kiedyś ta wyspa będzie wolna.

Vashon westchnął. Z ociąganiem skinął głową. Popędził konia i odjechał galopem.

Po paru minutach znaleźli się przy małym, schludnym domku. Przez żaluzje loggi widać było płonące w środku światło. Vashon szybko zsiadł z konia i z Aurorą na rękach podszedł do domku.

- Kto tam? - W drzwiach stanął starszy mężczyzna w koszuli nocnej, która ukazywała jego chude nogi. Podniósł do góry świeczkę, tak że padło na nich jej światło.

- Wielki Boże! Oczom nie wierzę! Czy to ty, Vashon? - wykrzyknął.

- We własnej osobie. Jak się masz, Sovens? - Nie czekając na zaproszenie, Vashon wszedł do środka.

- Nie mogę w to uwierzyć! - Sovens wszedł za nimi. Spojrzał na Aurorę, leżącą bezwładnie na rękach Vashona. - Ale widzę, że będę musiał odłożyć swoje zaskoczenie na później. Co mi przyniosłeś, synu?

- Zemdlała na statku. Zawinęliśmy tu, żeby uzupełnić zapasy wody i coś się jej stało. Może zjadła coś

nieświeżego.

Położył Aurorę na materacu w pokoju, w którym dziwnie pachniało limoną. Otworzyła na chwilę oko i zobaczyła w świetle świecy limonę za otwartym oknem.

- Będę z tobą szczerzy, Sovens - ciągnął Vashon. - Nie za bardzo lubi moje towarzystwo. Może tylko udaje. - Zniżył głos: - Ale jeśli nie, to trzeba się nią dobrze zająć. Nie mogę jej stracić.

Aurorze wydało się, że w jego głosie zabrzmiała czuła nuta, ale potem pomyślała o medalionie, wierszyku i przeklętej Gwieździe Aranu. To tego nie może stracić, pomyślała gorzko. Tylko tyle była warta.

Czując ogarniające ją przygnębienie, zacisnęła mocno powieki i zaczęła się modlić, by zostawili ją na chwilę samą. Mogłaby wyjść przez okno i uciec na pola trzciny cukrowej. W ciemnościach nie złapałoby jej. Wyspa była tak mała, że na pewno szybko znalazłaby drogę do miasta, a potem mogłaby powiedzieć gubernatorowi, że Flossie jest w niewoli. Jeszcze tego wieczoru odzyskałyby wolność. Flossie wróciłaby na st. George, a ona ... ona wróciłaby do Londynu!

Usłyszała, jak lekarz myje ręce. W ciszy myślała o swej przyszłości. Czy John pozwoli jej wrócić do sierocińca? Czy może będzie musiała szukać pracy gdzie indziej? A może w ogóle tam nie wróci, ale popłynie z Flossie na St. George i znajdzie jakąś rodzinę potrzebującą guwernantki?

Zanim się spostrzegła, jej myśli przeskoczyły na temat, którego zawsze starała się unikać. Nie chciała o tym nigdy rozmawiać, nawet myśleć, ale nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek zostanie mężatką. Powody były oczywiste: nie posiadała ani posagu, ani krewnych, którzy pomogliby jej znaleźć męża, a nie była też tak uwodzicielska, by jakikolwiek mężczyzna stwierdził, że majątek się nie liczy. Nawet syn zwykłego rzeźnika oczekiwał, że żona wniesie coś w wianie, chociażby stado świń.

Mimo to w głębi duszy marzyła, że kiedyś znajdzie się mężczyzna, który zechce ją pojąć za żonę nawet bez posagu. Podejrzewała, że w gruncie rzeczy dlatego zdecydowała się na tę przygodę. I oto teraz znalazła się w środku nocy z piratem, który marzył tylko o tym, by ująć katu, choćby na jeszcze jeden dzień. A najlepszym zakończeniem tej podróży, na jakie mogła mieć nadzieję, był PO\VTót do Londynu i do pracy, od której tak chętnie uciekła.

Przygnębiło ją to jeszcze bardziej, ale wtedy usłyszała głos lekarza:

- Wiesz, Vashon, najczęściej przyczyną niedyspozycji u dziewczyny w tym wieku Jest...

- Szczerze wątpię, żeby była w ciąży - przerwał Vashon. - Na pewno nie nosi w brzuchu mojego dziecka i nie mogę sobie wyobrazić, żeby wziął ją ktoś inny. Jest tak cholernie sztywna, że żywsze towarzystwo można by znaleźć na cmentarzu.

Omam nie poderwała się, żeby dać mu w twarz. Musiała jednak leżeć bez ruchu i cierpliwie znieść gromki śmiech lekarza.

- Rozumiem - powiedział Sovens, jeszcze chichocząc. Jeśli jest taka sztywna, to nie zazdroścę ci. Cieszę się, że przyniosłaś ją tu zemdloną. Wiesz, co to znaczy powiedzieć takiej pannie, żeby się rozebrała do badania? To tak, jakby chwycić byka za rogi. Wydaje się im, że każdy mężczyzna myśli tylko o tym, jakby je zgwałcić ...

Aurora poczuła, że lekarz wyjmuje szpilkę z jej wstawki.

Zacząła ją ogarniać panika. Nie przyszło jej do głowy, że będą ją badać. I to przy Vashonie! Co za ironia losu, tym bardziej że od chwili, kiedy znalazła się na "Morskim Śmiałku", cały czas próbował ją rozebrać.

- O, cholera! - zaklął Sovens i podniósł palec do ust. Muszę przynieść jeszcze jedną świeczkę. Przepraszam, Vashon, ale wzrok mam już nie ten, co dawniej.

Potem Aurora usłyszała słowa, o które się modliła:

- Pomogę ci, Sovens. - Vashon podszedł do drzwi. Może masz trochę tych małych szczyń. które nazywacie tu rumem?

Usłyszała śmiech lekarza. a potem odgłos oddalających się kroków. Spojrzała na drzwi. Poszli. W pokoju było ciemno. paliła się tylko jedna świeca. Ale za drzwiami słyszała Sovensa. trzaskającego szufladami w poszukiwaniu świeczki. Vashon prawdopodobnie pił rum. Nadarzyła się jedyna okazja. Nie mogła zwlekać.

Podniosła się z łóżka i ostrożnie postawiła nogi na podłodze. Nie spuszczała z oczu drzwi. Aż podskoczyła,



jak w drugim pomieszczeniu zaklął Sovens. Zdecydowała się na ucieczkę, dopiero, kiedy znalazła się przy samym oknie. Wdrapała się na nie i skoczyła prosto w ramiona Vashona.

- No, no. Co za cudowne wyzdrowienie. - Gniew w jego głosie zmroził jej krew w żyłach.

Próbowała zobaczyć go w ciemności. Odpychała go, ale trzymał ją w żelaznym uścisku. Nie miała żadnej możliwości ucieczki.

- No i co masz mi do powiedzenia. Auroro? Zmusiłaś mnie do zejścia na ląd i zaryzykowania życia ...

- Nie, nie! Nie myślałam, że zejdziesz! Pozwól tylko nam odejść! Tylko puść Flossie i mnie! - Nie mogła powstrzymać drżenia głosu. Vashon był wściekły. Mogła sobie wyobrazić, jak ją za to ukarze.

Mdły blask świeczki padł na jego twarz: Jego wzrok pałał gniewem.

- Wiesz co? - powiedział złowieszczym tonem. - Jeśli mnie tu złapią, wezmą cię za moją kochankę i powieszą razem ze mną, Auroro. Zawiśniesz obok mnie. Ani dla mnie, ani dla ciebie nie byłby to odpowiedni koniec. Roześmiał się gorzko i przycisnął ją do piersi. Czują jego zapach. Był zły i bała się go, ale zmusiła się do opanowania, bo wiedziała, że o to mu właśnie chodzi, aby się potrząsała. To sprawiało mu przyjemność. Chciał, żeby czołgała się przed nim jak niewolnica.

- No i warto było spiskować? Chcesz, żeby cię zgładzono jako moją kochankę?

Na te słowa ogarnęła ją niepohamowana wściekłość.

Pamiętała dobrze, co powiedział lekarzowi i choć dalsze prowokowanie go było niemądre, nie mogła się powstrzymać, by nie rzec mu do słuchu.

- Bardzo przepraszam, ale nikt nie może mnie wziąć za twoją kochankę. Jeśli dobrze sobie przypominam, sam stwierdziłeś, że jestem zimniejsza niż trupy na cmentcu-zu.

Wybuchnął śmiechem. Jego uścisk zelżał, nie na tyle jednak, by mogła się uwolnić. Akurat wtedy pojawił się lekarz ze świecą w ręku.

- Co, już zdrowa? - powiedział zdumiony. - Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego. Vashon, nie wiem, jaki lek jej dałeś, ale bardzo bym chciał, żebyś wlał resztę do butelki, dla moich pacjentów.

Aurora cały czas starała się uwolnić. Ponieważ nic z tego nie wychodziło, zwróciła się do lekarza:

- Doktorze Sovens, błagam pana, niech mi pan pomoże.

Zostałam porwana. Bez względu na to, co pan wie o tym człowieku, nie zna go pan. Vashon to pirat. Nie zawahałby się przed niczym ...

- Niech pani da spokój! Przesadza pani. Pirat, też coś! Nie, to niemożliwe! - Sovens mrugnął do niej. Aurora nie pamiętała, kiedy ostatnio była tak zaskoczona.

- Pan ... pan mi nie wierzy? - wykrztusiła.

Sovens zachichotał. Spojrzał na Vashona.

- Przeciwnie, całkowicie pani wierzę. Pływałem na "Morskim Śmiałku". Byłem lekarzem pokładowym do-półki, parę lat temu, Vashon nie wysłał mnie na emeryturę.

- O mój Boże! - jęknęła Aurora. Teraz ucieczka wyglądała jeszcze bardziej beznadziejnie.

- Głowa do góry, panienko! Na pewno Vashon nie traktuje pani aż tak źle.

Powiedziała z wściekłością:

- To po prostu zwierzę, które nie zasługuje na to, żeby zwać je dżentelmenem!

- O rany! Aż tak źle? - Sovens popatrzył na Vashona, z trudem powstrzymując uśmiech. - No, wobec tego żałuję, że nie mogę pani pomóc.

Aurora wyprostowała się, Złożyła błagalnie ręce.

- Może pan! Niech pan wezwie pomoc. Na "Morskim Śmiałku" jest jeszcze jedna kobieta i. ... - Przerwała. Sovens kategorięcznie pokręcił głową.

- Przykro mi, panienko, ale nawet gdybym spróbował wezwać kogoś na pomoc, to niewielu zgodziłoby się nadstawić karku na moje wezwanie.

- Jest pan przecież lekarzem! 'Człowiek o pańskiej pozycji na pewno uzyskałby wszelką pomoc!

- Przykro mi, ale muszę panią rozczarować. Opiekuję się Czarnymi, a to sprawia, że mój status na tej wyspie jest o parę stopni niższy niż status fryzjera... który czasami zniża się do tego, że leczy tu krowy.

Popatrzyła na niego. Znowu zetknęła się z tą straszną sprzecznością. Oto stał przed nią człowiek troszczący się o tych, których większość uważała za niegodnych uwagi, a mimo to kiedyś pływał on pod Vashonem i bez wątplenia brał udział w jego wszystkich niecznych poczynaniach. Człowiek ten był jednocześnie szlachetny i podły. Zupełnie jak Vashon.

- Poddajesz się? - spytał Vashon, po raz kolejny zdobywając przewagę.

- Nigdy - szepnęła. Wziął ją za ramię i pchnął w stronę drzwi.

\*\*\*

Złocony powóz gubernatora kołysał się, wspinając się na wzgórze górujące nad New Providence. Przez rząd palm biegnący wzdłuż skraju drogi widać było migoczące w dole światła miasta. W powozie panowała absolutna cisza, bowiem i Flossie, i Izaak ignorowali się wzajemnie.

Nie było to łatwe. Przede wszystkim powóz był mały, a żadne z nich nie było już tak szczupłe, jak za młodu. Gorsze jednak niż ciasnota były spojrzenia, którymi się od czasu do czasu obrzucali.

Pierwsza zaczęła Flossie, ponieważ nie mogła zapanować nad emocjami. Jej oczy błyszczały gniewem. Przeszyła go oskarżycielskim spojrzeniem. Nie mógł pozostać obojętny. Musiał albo zareagować równie gniewnym spojrzeniem, albo stulić uszy i uznać swoją winę. Kiedy jednak obrócił do niej twarz ze złością, otworzyła szeroko oczy i krztusząc się z oburzenia, bo jak śmiało patrzeć na nią w ten sposób, wybuchnęła:

- Nie mogę uwierzyć, że o mało nie zaprosiłam cię do swojej kajuty na herbatę! Nie mogę uwierzyć!

Potem odwróciła wzrok i popatrzyła ponad głowę woźnicy na pałac na wzgórzu.

- O, czyżbyś wreszcie skapitulowała? - odparł Izaak z irytacją.

- Na pewno nie! To była naj głupsza rzecz w całym moim życiu! Nigdy sobie tego nie wybaczę! Ja, Stefanowa Lindstrom z St. George o mało nie zaprosiłam do siebie na herbatę p i r a t a!

- Przede wszystkim - odparł - nie jestem piratem i zaczyna mnie już męczyć ustawiczne wyjaśniania tego. Może w to nie wierzysz, ale jestem normalnym kapitanem żeglugi, zawsze nim byłem i zawsze będę! - Kiedy się uspokoił, dodał: - I jeszcze jedno. Nie spotkałem jeszcze kobiety, 'która by zachowywała się tak idiotycznie. Moja Rachela była o połowę młodsza, kiedy umarła, a miała więcej rozsądku. Ludzie są źli na siebie za to, co zrobili albo za to, czego nie zrobili, ale nigdy za to, co moglibyśmy zrobić! Wyrzuciwszy to z siebie, wcisnął się w siedzenie i wbił wzrok w sufit powozu. Aż do samego pałacu żadne z nich już się nie odezwało.

Siedziba gubernatora mogłaby rywalizować z pałacem w Xanadu, *który* opisał Marco Polo. Był to ogromny, pokryty stiukami budynek. W środku wszystko było chińskie' poczynając od czerwonych, bambusowych krzeseł, aż po czarno lakierowane komody. Hol wyłożony był tapetą malowaną w egzotyczne ptaki, a pod ścianami stały na drewnianych podstawkach porcelanowe chińskie wazy. Dominowały dwa kolory: szkarłat i purpura, odbijające się 'w ogromnym lustrze.

Gubernator Ignatio Roberto Aquila Lopez stał u wejścia do salonu z dłonią na rękojeści starego miecza z toledań. skiej stali. Kiedy zobaczył swych gości, podkręcił czarnego wąsa i - pochylił głowę w ukłon. Zaraz pojawił się cały zastęp niewolników w kanarkowo żółtej liberii, którzy , wprowadzili Flossie i Izaaka do salonu. Podano napoje.

Młody niewolnik w turbanie wachlował ich liśćmi palmowymi.

Pierwszy odezwał się gubernator. Widać było, że nie tylko brak mu manier, ale że cierpi też na zaburzenia psychiczne.

- Wie pan, oczywiście, kapitanie, że moim naj głębszym pragnieniem jest zatopić miecz w Vashonie, aby wykrwawił się na śmierć u moich stóp. Otóż - Hiszpan usiadł i zrobił taką minę, jakby miał wygrać w karty partię faraona - pytanie brzmi: "Co mam zrobić, żeby zrealizować to pragnienie?"

Flossie zakrztusiła się herbatą. Najwidoczniej nie zauważyła wcześniej, że gubernator nie jest zupełnie normalny.

- Hmm ... - Izaak potarł czoło, jakby się zastanawiał, jaką wymienić cenę. Nie wydawał się w naj mniejszym stopniu zaskoczony słowami gubernatora. - Nie wiem, senior Ignatio. Mój statek należy do Vashona. Gdyby coś mu się przydarzyło, nie miałbym ...

Gubernator machnął dłonią.

- Statki ... statki ... Mogę panu dać statki. Czy to wszystko?

Izaak pociągnął łyk rumu i zamyślił się. - Statek by się przydał.

- Chce pan jeszcze kobietę? Są trzy na tej wyspie, które mi się podobają. Jedną mogę panu dać. A zapewniam pana, że to ładne, postawne kobiety. - Hiszpan zrobił okrągły ruch rękami, jakby obejmował kobiece piersi.

- Wypraszam to sobie! - poderwała się Flossie. Zmierzyła wściekłym wzrokiem Hiszpana, a potem spojrzała na Izaaka.

- Co z ciebie za człowiek, żeby tak sprzedać przyjaciela! - krzyknęła. - Nie rozumiem, jak tak można. Za to, co mi zrobił, nie cierpię Vashona, ale zanim poniesie karę za swoje zbrodnie, powinien stanąć przed sądem.

- Co to za kobieta? - Ignatio podniósł się. - Pana żona?

- O Boże, nie! - krzyknął Izaak.

Flossie podeszła do gubernatora. Był niski, tak że mogła mu patrzeć prosto w oczy.

- Jest pan wstrętny. Żeby pozwalać sobie na takie słowa w obecności kobiety!

- Kapitanie - gubernator odwrócił się do Izaaka. - Pytam raz jeszcze, co to za kobieta? Każę ją ściąć za to, że ośmiela się zwracać do mnie w taki sposób.

Na twarzy Izaaka pojawiło się zatroskanie, na twarzy Flossie - niedowierzanie. Izaak podniósł się wolno, jak gdyby nie bardzo wiedział, jak zażegnać niebezpieczeństwo.

- Panie gubernatorze, ona nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi ...

- Akurat! Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co mówię - przerwała mu. I dalej ciągnęła, jak gdyby nie dotarły do niej słowa gubernatora: - I ponieważ wiem, co mówię, powiem, że obaj jesteście szelmami bez żadnego wychowania, skoro nie potraficie w mojej obecności powstrzymać języka w gębie. Domagam się, żeby natychmiast odwieziono mnie z powrotem na statek. To, że zostałam porwana, nie znaczy jeszcze, żebym musiała znosić towarzystwo takich wrednych ludzi.

- Jeszcze dziś będę miał głowę tej baby! - krzyknął rozwścieczony Ignatio i pogroził Flossie pięścią. zaniemówiła. Teraz dopiero zrozumiała, że gubernator nie żartuje. Podniosła dłoń do szyi, jakby chciała się osłonić przed nim.

Izaak stanął między nimi z zakłopotaną miną.

- Panie gubernatorze, naj mocniej pana przepraszam. Jeśli pan pozwoli, zamienię z panią Lindstrom słowo na osobności i wyjaśnię niewłaściwość jej zachowania.

Gubernator prychnął i najeżył wąż, doskonale ukrywający syfalistyczne ranki na wargach. Wyglądało na to, że się nie-zgodzi, ale w końcu skinął przyzwalająco głową.

Uśmiechnąwszy się do niego, Izaak odciągnął Flossie na bok i syknął ze złością:

- Wiesz, coś zrobiła, kobieto? Chcesz zginąć? Czy ty w ogóle nie myślisz?

Flossie spojrzała z niedowierzaniem na gubernatora.

- Przecież to wariat. Chcę natychmiast wrócić na statek. - Otworzyła lśniący czarny wachlarz, który miała zawieszony na tasemce na przegubie ręki i zaczęła się gwałtownie wachlować.

- Oczywiście, że wariat! Wiem o tym! I ma taką władzę, że może zrobić, co mu się podoba. To jego wyspa,

rozumiesz? Jeśli twoje gadanie zaprowadzi cię na szafot, to nie uratuję cię przed tym.

Flossie zmierzyła Izaaka niechętnym spojrzeniem.

- Czy na tej wyspie nie ma żadnego dżentelmena?

- Dżentelmena!? Dżentelmena!? - mówił Izaak, krztusząc się ze złości. - Jak może tu być jakiś dżentelmen, kiedy nie zamyka ci się gęba? Radzę ci, zamknij ją, bo jak nie, to ja ci ją zamknę.

Flossie z trzaskiem zamknęła wachlarz. Obdarzyła Izaaka najbardziej nienawistnym spojrzeniem, najakie mogła się zdobyć.

- Mój mąż nigdy by się tak do mnie nie odezwał. Jest pan zwykłym łajdakiem. Przywozi mnie pan do tego szaleńca, a potem jeszcze obraża wulgarnymi słowami. A jeśli chodzi o moją "gębę", to nie zamknę jej, dopóki Aurora i ja nie znajdziemy się na wolności.

- Zobaczymy. Jeśli będę musiał, to sam ci ją zamknę ..

- Tak? Ciekawe, w jaki sposób. Możesz mnie porwać,

możesz mnie zamknąć, możesz mnie torturować, ale jak się przekonał Louis Seize, nie możesz zmusić ludzi do milczenia!

- Owszem, mogę.

- Doprawdy? Jak? - spytała drwiącym tonem.

- Tak, jak mężczyźni od wieków zmuszają kobiety do milczenia.

- No to zrób to. To dopiero będzie lekcja!

- Dobrze, dam ci lekcję! - mówiąc to, Izaak podszedł do niej. Wsunęła wojowniczo brodę do przodu, czekając, aż ośmieli się ją uderzyć, ale zrobił coś zupełnie innego. Była tak zaskoczona, że nawet nie mogła się bronić. Patrzyła zmieszana, jak bierze ją w ramiona. Potem pocałował ją tak mocno, że o mało nie dostała a taku serca.

Kiedy wreszcie oderwał się od niej, stała jak przymurowana, nie mogąc zebrać myśli. Izaak miał trochę nie pewną minę, jak gdyby myślał, że może posunął się jednak za daleko, ale wymamrotał:

- No, w końcu błogosławiona cisza - i usiadł na kanapie wyściełanej czerwoną satyną.

Gubemator klasnął w dłonie, a potem poklepał kapitana po plecach: jak gdyby był on torreadorem, który pokonał groźnego byka. Flossie spoglądała na Izaaka tak, jakby podejrzewała, że on też zwariował. Nie odwróciła wzroku nawet wtedy, kiedy niewolnik w liberii oznajmił, że podano do stołu.

W pełnym milczeniu przeszli do sali bankietowej, która okazała się nie ustępowała sali w Brighton. Na jej urządzenie nie pożałowano pieniędzy. Na ścianie wisiał ascetyczny obraz El Greca *Kościół Świętego Tomasza*, natomiast zasłony w oknach, dywany i obrus na stole utrzymane były w kłócącej się z malowidłem, wiśniowej tonacji. Gubemator usiadł u szczytu długiego na dwadzieścia pięć stóp stołu i rzucił Flossie wojownicze spojrzenie. Izaak wyglądał kiepsko.

1 - Możemy rozmawiać, kapitanie, bez przeszkód? - gubemator spojrział na Flossie morderczym wzrokiem, ale nawet tego nie zauważyła, bo cały czas patrzyła z osłupieniem na Izaaka.

- Oczywiście - odparł pośpiesznie Izaak.

2 - Chcę dostać Vashona. Jaka jest pańska cena?

3 - Najpierw musimy zaopatrzyć się w wodę.

4 - Dostaniecie wodę. Kiedy będę mógł mieć Vashona?

Izaak miał właśnie dać następną wymijającą odpowiedź, kiedy do sali wpadł jeden ze strażników. Ociekał potem, a z przegubów zwisały mu porozrywane sznury. zaczął coś szybko mówić po hiszpańsku, pokazując na głowę, gdzie najwyraźniej miał ranę. Co chwila powtarzał: - *El Draque! El Draque!*

5 Gubernator zerwał się na równe nogi. Zamienił parę słów ze strażnikiem, a potem wybiegł z sali. Kiedy zniknął za drzwiami, Izaak podniósł się i chwycił Flossie za rękę.

- Gdzie idziemy? - krzyknęła, usiłując się wyrwać.

6 - Z powrotem na statek. Szybko! - Izaak ciągnął ją do wyjścia.

7 - Ale dlaczego? Co się stało?

8 - Nie słyszałaś, jak ten człowiek powtarzał *El Draque*? To może znaczyć tylko jedno. Znaleźli Vashona!

Aurora nie sądziła, że drogę powrotną do New Providence będą przebywać w takiej ciemności. Oczywiście, kiedy nią pierwszy raz jechali, udawała omdlałą, ale trochę przyjrzała się otoczeniu i nie wydawało się jej wówczas tak groźne jak teraz.

9 Vashon był wściekły. Nie trzymał jej już delikatnie, jak w drodze do lekarza. Teraz jego ramiona ścisnęły ją jak pasy skórzane, coraz mocniej i mocniej, tak że obawiała się, iż niedługo nie będzie mogła złapać tchu. Nie miała pojęcia, co zrobi z nią, kiedy znajdą się z powrotem na statku, ale wolała o tym nie myśleć. Nie odzywał się ani słowem. Nie musiał.

10 Chociaż przysięgła sobie, że będzie z nim walczyć, nie mogła nic zrobić. Wygrał jeszcze jedną bitwę, ale wojna będzie trwała dalej, tym razem w mieście. Obiecowała sobie, że spróbuje uciec, zanim zaciągnie ją na "Morskiego Śmiałka".

11 - Ciekawe, jakie fortele lęgną się teraz w tej głowie? powiedział i chwycił ją zębami za ucho. Mógłby to być żart, gdyby Vashon nie był taki zły. Zabolalo ją solidnie. Zesztywniała, ale po plecach przebiegł jej zdradziecki dreszcz.

12 - Jak zamierzasz dotrzeć do statku, żeby nikt cię nie zauważył? - Powiedziała tak chłodnym głosem, na jaki tylko mogła się zdobyć. Spojrzała przed siebie i zobaczyła płonąca trzcinę cukrową. Neville i jego rewolucjoniści nie próżnowali tej nocy. Przypomniała sobie, jak czytała kiedyś o powstaniach niewolników na wyspach karaibskich. Była pewna, że gdyby gubernator nie był ostrożny, na Grand Talimen wybuchłoby powstanie, jak na Haiti, a głowę gubernatora obnoszono by na tyczce po całym New Providence.

Nagle Vashon ściągnął konia. Zastygł w bezruchu i patrzył na drogę przed nimi. Od strony miasta błyskały światelka. Widziała je już przedtem, ale myślała, że to świeceki palące się w domach, teraz jednak spostrzegła, że poruszają się, tworząc cienką, długą linię, jak gdyby niosły Je mrówki.

- Co to jest? - spytała szeptem.

13 - Pochodnie. Może szukają niewolników, którzy podpalili trzcinę, ale ... - Cofnął konia o parę kroków. - Wolę nie ryzykować. - Zeskoczył z siodła i zdjął ją. Potem klepnął mocno konia, który popędził galopem w przeciwnym kierunku.

- I co teraz zrobimy? - spytała, patrząc na niego tak, jakby myślała, że postradał zmysły.

14 - Chodź - powiedział krótko, złapał ją za rękę i puścił się pędem w kierunku zarośli. Wydawało się jej, że biegli wiele mil. Trzcina cięła jej suknię i biła po rękach i twarzy. Vashon nie zwalniał. Kierował się w stronę miasta, jakby prowadził go instynkt psa gończego.

Kiedy dotarli do pierwszych zabudowań, zatrzymali się.

Wszędzie pełno było żołnierzy, ich bogato zdobione mundury lśniły w blasku księżyca. Stało się jasne, że szukają Vashona. Z ich rozmów zorientowali się, że szuka go nawet sam gubernator.

Vashon prowadził ją przez gąszcz chattek i szałasów niewolników, które ciągnęły się wzdłuż drogi do miasta. W pewnym momencie potknęła się i zatrzymała na jakichś drzwiach. Był do nich przybity kawałek papieru. Papier był pożółkły ze starości i postrzępiony, ale mimo to zobaczyła wyraźnie, że naszkicowana jest na nim twarz Vashona, a pod spodem widnieją słowa *El Draque*. Prawie nie знаła hiszpańskiego, ale zorientowała się, że jest to list gończy, grożący Vashonowi śmiercią. Znowu ogarnęła ją trwoga.

15 - Statek na pewno będzie otoczony - powiedział Vashon i pchnął ją nagle za chatę. Obok nich przejechało konno czterech żołnierzy. Wyrzwał na drogę z napiętą twarzą.

16 - Będziemy musieli się gdzieś schować i przeczekać do czasu, aż uda nam się dostać z powrotem na pokład.

W jej głowie zaczął się rodzić nowy plan. Kie chciała, b jej ucieczka pociągnęła za sobą egzekucję, ale odezwała się, zanim pomyślała o szczegółach:

- Vashon, może ja sama udałabym się na statek. Chętnie powiem kapitanowi, gdzie jesteś ... Powiedz mi tylko, jak nazywa się to miejsce.

Przycisnął ją do siebie.

- Jakie to szlachetne z twojej strony! Spuszczę cię tylko z oka, a zaraz popędzisz do pałacu gubernatora. Nie skorzystam z twojej propozycji, kochana.

- Przecież ja ... nie chciałam twojej krzywdy - miała zamiar powiedzieć, ale słowa te utknęły jej w gardle. Zdawały się zbyt intymne, za bardzo przypominały wyznanie. Popatrzyła na niego, a potem szybko odwróciła wzrok.

- Gdzie się ukryjemy? - spytała.

Spoważniał. Przyglądał się jej przez chwilę, a potem uśmiechnął się.

- Może jednak spróbujemy spełnić twoje marzenie powiedział. - Ignatio przetrząśnie całą tę przeklętą wyspę w poszukiwaniu mnie, ale nie przyjdzie mu do głowy, żeby sprawdzić własny pałac. - Wskazał na wzgórze.

- Chcesz, żebyśmy się ukryli w pałacu gubernatora? To szalony pomysł! - Przestraszył ją błysk w jego oczach.

- Ach, słodkie szaleństwo! - Roześmiał się i wziął ją za rękę. Zaczęli się przemykać w stronę rezydencji.

- Tak, ona to wszystko zmyśliła. Przypuszczam, że miała zamiar uciec, gdy tylko znajdą się na lądzie. Och, jak żałuję, że jej nie powstrzymałam! - Flossie obtarła łzę w kąciku oka. Stała z Izaakiem na pokładzie "Morskiego Śmiałka", patrząc na światła New Providence. Gdzieś tam Vashon i Aurora walczyli o życie.

- Wysłałem tylu ludzi, ilu mogłem. Wiemy przynajmniej, że ich nie złapano. - Izaak zerknął na Flossie. Był wyraźnie zmieszany widokiem jej łez.

- To wszystko moja wina. Powinnam była przewidzieć, że do tego dojdzie. To zupełnie logiczne, że skoro Vashonowi grozi takie niebezpieczeństwo, Aurora też wpadnie w tarapaty. Teraz oboje ich po ... po ... - znowu wybuchnęła płaczem. Izaak miał nieszczęśliwą minę.

- Flossie - zaczął bezradnie. - Vashon już nieraz był w takich kłopotach.

- I towarzyszyła mu młoda dama? Szczerze ... w to ... wątpię! - Złapała ją czkawka.

- To oczywiście pogarsza sprawę, ale on da sobie radę. Gdyby najego miejscu był kto inny, to też bym się martwił, ale ...

- Martwisz się nie mniej niż ja! - Flossie wytarła oczy chusteczką. Spojrzała na Izaaka i spostrzegła jego ponurą minę. - Jest dla ciebie jak syn, co? Choć to bandyta, nie chciałbyś, żeby zginął. Kochasz go jak syna.

Izaak westchnął głęboko. Objął Flossie i dał się jej wyplakać na swoim ramieniu. Rzeka cicho:

- Jak marnotrawnego syna.

\*\*\*

Znajdowali się w rezydencji gubernatora.

Serce waliło Aurorze jak szalone, gdy weszli tylnym wejściem do pustej kuchni i zaczęli przemykać do położonych dalej pomieszczeń. Gdzieś w głębi pałacu zegar wybił północ. Vashon prowadził ją przez opustoszałe korytarze, od czasu do czasu chowając się na widok jakiegoś służącego.

Wnętrze pałacu było niczym Pekin z koszmaru sennego.

Ściany wyklejone były chińskimi tapetami, meble były w stylu chińskim, nawet ptaki śpiewające znajdowały się w klatkach mających kształt pagód. Aurora była przekonana, że nawet noc spędzona w palami opium nie wytworzyłaby dziwniejszego wrażenia. Ale choć otoczenie było niesamowite. okoliczności, które ich tam przywiodły, były jeszcze bardziej niesamowite. Świadomość tego, że w każdej chwili mogą ich złapać i zabić, potęgowała-jeszcze wrażenie koszmaru.

Vashon wepchnął ją do jakiegoś pokoju akurat, kiedy w korytarzu pojawiła się niewolnica z kandelabrem w dłoni. Przycisnął Aurorę do piersi i czekali, aż dziewczyna przejdzie. Kryształowe wisiorzyki kandelabra dzwoniły jak dzwonki.

Aurora drżała. Vashon objął ją mocniej. Spojrzała na jego dłonie zaciśnięte na jej brzuchu. Był niesamowicie silny. Zauważyła to już dawno, widząc, jak musi się powściągać za każdym razem, kiedy jej dotyka. W porównaniu z nim była krucha jak porcelanowa filiżanka. Ale czy to, że był tak silny, miało jakieś znaczenie. skoro porywał się na tak ryzykowne przedsięwzięcia? Czy w końcu nie potknie się? Wydawał się jej niezwyciężony, ale czy naprawdę był taki?

- Vashon, przecież nie możemy tu zostać. - Zaciśnęła dłonie. - Odkryją nas. Mogłabym wrócić na statek ...

- A dlaczego chciałabyś mi ocalić życie? - rzekł szeptem, muskając oddechem jej kark. Miała wrażenie, jakby laskotał ją piórkiem.

- Dlatego ... że ... - zająknęła się. Właściwie nie wiedziała, co odpowiedzieć. - Dlatego, że Izaak opowiadał mi tę historię z niewolnikami. Wiem, że w tym przypadku jesteś niewinny, a nie mogłabym przyglądać się spokojnie, jak gubernator skazuje na śmierć niewinnego człowieka ... nawet jeśli tym człowiekiem jesteś ty. Mam swój honor.

- Honor! - roześmiał się cynicznie. - Honor w obliczu śmierci jest wart akurat tyle, co rozum naszego pocziwego króla Jerzego ... wtedy, kiedy rozwiązują tego bełkocącego idiotę.

- Jak możesz tak bluźnić?

- Jak możesz być taka piękna?

Spojrzała na niego. Uśmiechnął się ponuro. Puścił jej : talię i ujął za brodę. Przechylił jej głowę do tyłu i przysięgł, że chce ją pocałować.

- Jesteś tak samo szalony, jak król Jerzy - powiedziała, odsuwając się.

- Nikt jeszcze nie był tak szalony, kochana. - Znowu ją chwycił.

- Niel - szepnęła ochryplym głosem. Nie zwracał żadnej uwagi na jej protesty. Gładził ręką jej włosy i zdawało się to sprawiać !pu przyjemność. Jego twarz przybrała dziwny wyraz.

- Może z ciebie jeszcze być niezła kusicielka - powiedział cicho.

- A więc taki jest ten twój honor pirata? Chcesz mnie zniszczyć? - Odsunęła się, tym razem z wściekłością.

- Jeśli w ogóle mam honor. - Roześmiał się i znowu chciał ją objąć, ale tym razem miała się na baczności. Uchyliła się i rzuciła do stromych, krętych schodów. Było ciemno, ale nawet w mdłym świetle lampy widziała, że rzuca się w pogoń. Przebiegła kilkanaście stopni, skręciła w wąskie, obramowane kamieniami drzwi i nagle usłyszała przed sobą jakieś głosy. Zaledwie zdążyła się zatrzymać, kiedy na końcu korytarza pojawiło się dwóch umundurowanych strażników. Zatrzymali się zaskoczeni.

- Co tu robisz, dziewczyno? - krzyknął jeden z nich głosem ochryplym od rumu. Podniósł lampę, aby lepiej się jej przyjrzeć. - Gubernator przyjmuje dziewczuchy w nocy z wtorku na środę. Popieprzyło ci się.

Aurora zamarła z przerażenia. Powoli, kątem oka, spojrzała w bok. W cieniu, w drzwiach, przez które przed chwilą wbiegła, czaił się Vashon z pistoletem w ręku i nienawiścią w oczach.

- Ta cholerna dziwka nie przysłała do gubernatora. To złodziejka! - Drugi ze strażników zaczął się zbliżać z nastawionym przeciw niej bagnetem.

- Mylisz się! - krzyknęła. Ze strachu zaschło jej w ustach. - Nie jestem złodziejką!

- No to co tutaj robisz? - Podejrzliwy strażnik podszedł do niej i szturchnął ją bagnetem, rozdierając sukienkę. Cofnęła się i straciła Vashona z pola widzenia. Ze strachu skrzyżowała ręce na piersi, jakby mogła

się obronić w ten sposób. Strażnik sprawiał wrażenie, jak gdyby podobało mu się to, że się go boi.

- Nigdy cię jeszcze nie widziałem. Skąd jesteś? - zapytał.

- Z Mor ... - zaczęła i przerwała. Tego nie mogła im powiedzieć. Usiłowała dojrzeć w mroku Vashona. Kiedy go dostrzegła, jego twarz przypominała kamienną rzeźbę, tak była spokojna i twarda. Wiedziała, że patrzy na nią, czekając kiedy go wyda, czekając jak skazaniec na kata. Jednak nie mogła go wydać. Wbrew temu, co myślał, byli jeszcze na świecie ludzie honorowi, a ona uważała się za kobietę honoru.

- Z "Cecylii" - powiedziała. - Przyplłynęłam na statku "Cecylia".

- Pierwszy raz słyszę, żeby przyplłynął tu taki statek. Kłamiesz, dziewczucho.

- Zgubiłam się - patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. - Znalazłam się tu niechcący. Nawet nie wiem, gdzie jestem.

Drugi strażnik, równie pijany jak pierwszy, roześmiał się.

- Dobrze trafiłaś! - Podniósł lampę i oczom Aurory ukazały się rzędy zardzewiałych, przymocowanych do ścian kajdan.

- Co to jest? - spytała drżącym głosem.

- Loch, dziewczyno. Tak to się tu nazywa. - Strażnik odchylił głowę i zaczął się śmiać.

- Jeśli mnie puścicie, to obiecuję, że nie powiem o tym nikomu.

- Niech se idzie. Mick - rzekł drugi strażnik. Pociągnął ze srebrnej flaszki. - W końcu, to całkiem niezła dziewczucha. Jak się gubernator nią znudzi, może sobie przypomni, że zrobiliśmy jej przysługę.

- Przecież nawet nie wiemy, czy to któraś z dziewczuch gubernatora. - Mick znowu szturchnął ją bagnetem. Kątem oka zobaczyła, że Vashon sprężył się jak do skoku.

- Błagam - powiedziała, czując, że lada moment nastąpi wybuch - pozwólcie mi odejść i idźcie swoją drogą. Na pewno macie poważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się mną.

- Taa ... - Mick pociągnął tęgi łyk ze swej flaszki. Widziała, że ma coraz więcej w czubie. - Mamy ważniejsze sprawy. Dziś wieczorem kręci się tu gdzieś *El Draque*. Wiesz kto to?

Przełknęła ślinę. Ręce tak się jej trzęsły, że musiała je schować za plecy ... Vashon po prostu rzucał jej wyzwanie. Wiedziała, że oczekuje, iż wyda go i nie może się doczekać jak go stracą. Nie miał żadnych szans z tymi strażnikami. Miał co prawda pistolet, ale w najlepszym wypadku mógł zastrzelić jednego z nich, a ich było dwóch. Ale choć roz sądek mówił jej, że jest to jedyny sposób na odzyskanie wolności, nie mogła tego zrobić. Czowała, że wydałaby niewinnego człowieka, a nie chciała mieć go na sumieniu nawet jeśli był bandytą. Milczenie mogła przypłacić 2 ciem, ale nie widziała żadnego honorowego wyjścia z sytuacji. Powiedziała już kiedyś Vashonowi, że nie brak jej odwagi. Teraz, jak na ironię, miała to udowodnić.

- Nie wiem, kto to jest - powiedziała cicho. Mick zł2 ją za ramię, jakby chciał wydusić z niej prawdę. Skrzył się z bólu, ale wtedy jej wzrok padł na ukrytego w cieniu Vashona.

Patrzył na nią ze zdziwieniem. Widać było, że nie J zrozumieć, dlaczego go chroni. Wiedziała jednak, że t się to stąd, że jest piratem, człowiekiem, któremu obce są takie uczucia, jak poświęcenie, współczucie i litość. Dla niego wszystko było czarne albo białe. Bez względu na to, gdzie leżała przyczyna - z braku odpowiedniego wychowania czy po prostu z niezdolności do wyższych uczuć - nie rozróżniał tych odcieni szarości, które ona dostrzegała zupełnie wyraźnie.

Kiedy jednak tak mu się przypatrywała, coś się w nim przebudziło, coś, co spoczywało w uśpieniu przez bardzo wiele lat. Było to coś, co można by określić jako iskrę altruizmu, która błysnęła w popiele zapomnienia i niewiary' że coś takiego może w ogóle istnieć. Widziała po jego spojrzeniu, że był tym zaskoczony i że naj chętniej zwalczyłby to uczucie, czyniło go ono bowiem wrażliwym na ciosy. Wiedziała też, że taki człowiek, jak on, będzie walczył z tym uczuciem na śmierć i życie.

- No, w każdym razie dziś w nocy zginie. Gubernator już go dłużej nie zniesie. My się mamy tym zająć.

Z trudem przeniosła wzrok na strażników. Starła się zachować obojętną minę i nie patrzeć na Vashona. Od tego zależało jego życie.

- A więc nie zatrzymuję was, panowie - powiedziała, myśląc, że w ten sposób wreszcie pozbędzie się ich i



Vashona.

- Ale my cię zatrzymamy - powiedział Mick i złapał ją za ramię. - Mówią, że *El Draque* ma ze sobą dziewczynę, zabieramy cię do gubernatora i zobaczymy, czy to ty czy nie.

Aurora zdreptała.

- A jeśli gubernator mnie nie rozpozna, to co wtedy? spytała, z trudem panując nad głosem.

- Wtedy postaraj się być miła dla Micka albo źle się to dla ciebie skończy. - Mick oblizał usta i zachichotał, widząc jej przerażoną minę.

Aurora szarpnęła się do tyłu. Nie chciała z nimi iść, ale co mogła zrobić? Vashon nie był w stanie jej pomóc. Byłoby to równoznaczne z samobójstwem i oboje wiedzieli o tym. Mick przycisnął ją do siebie. Czując zapach przetrawionego rumu.

- Gubernator cię nie pozna, co? - spytał.

- Nie - powiedziała cicho, czując jak wokół jej szyi zaciska się pętla .

- Chodź, Mick. Wystraszyłeś już tę dziewczynę - powiedział drugi strażnik.

- Zabawimy się, Davey! - powiedział Mick, chwycił Aurorę w pól i podniósł z ziemi. Krzyczała i wrywała się, ale była bezradna. Vashon nie mógł jej pomóc, a nawet gdyby mógł, to wątpiła, czy ta iskra, którą zauważyła w jego oczach, przerodzi się w płomień zdolny poderwać go do czynu. Na pewno nie przedstawiała dla niego aż takiej wartości, żeby ryzykował dla niej życie. Nawet gdyby miała doprowadzić go aż do owej upragnionej Gwiazdy Aranu.

- Puść ją, głupcze, albo zginiesz!

Słowa te zaskoczyły wszystkich. Strażnicy aż podskoczyli z wrażenia. Aurora nie wierzyła własnym oczom, widząc że Vashon wychodzi z ukrycia z jednym jedynym pistoletem w dłoni.

Wyglądał przerażająco. Oczy mu płonęły, usta miał zacięte. Wyglądał jak uosobienie wściekłości. Davey, ten bardziej strachliwy, z miejsca rzucił karabin.

- On ma tylko jedną kulę, Davey! - krzyknął, trzeźwiejąc nagle, Mick. - Podnieś ten cholerny karabin! Davey schylił się, żeby podnieść broń. Vashon spojrział na niego ze wstrętem.

- Wy, duntie, myślicie, że możecie mnie pokonać? - . spytał, podchodząc do *Aurory*.

- A więc to twoja dziewczyna, *El Draque*. - Mick cofnął się i stanął za Aurorą, cały czas trzymając ją za ramię.

- Moja. I nie pozwolę, żeby ją źle traktowano. - Vashon zrobił krok w ich stronę. Mick, mimo że był lepiej uzbrojony, znowu cofnął się.

- Vashon, nie przeżyjesz tej nocy - powiedział. - Wszyscy na wyspie cię szukają. Dostanę grubą sakiewkę, kiedy cię przyprowadzę.

- Ale mnie nie przyprowadzisz.

Strażnik chwycił ją za szyję. Aurora czuła, że się dusi. Ale nie rozumiała, co się dzieje, tak zaskoczyła ją szaleńcza brawura Vashona. Nie mógł pokonać dwóch strażników, a jednak stawiał im czoło, aby jej pomóc. Czy chodziło mu tylko o Gwiazdę? Czy tylko dlatego ryzykował własne życie? Nie chciała w to uwierzyć. Chciała wierzyć, że kryło się za tym coś więcej, coś czystego i dobrego, dla czego warto było ryzykować życie. Ale to na pewno nie pasowało do tego; ponurego bandyty. Wiedziała z całą pewnością tylko tyle, że postąpił idiotycznie, ujawniając się. O świcie powieszają go.

- Davey - powiedział rozkazującym tonem Mick - zastrzel go, jak będzie trzeba, ale teraz zaprowadź tego sukinsyna do więzienia. Kiedy gubernator dowie się, że go złapaliśmy, na pewno będzie chciał z nim pogadać, zanim każe go powiesić.

Davey popatrzył na "jeńca". Był wyraźnie przestraszony i gdyby nie był w mundurze, można by pomyśleć, że to Vashon jest strażnikiem.

- Mick, chyba ty powinieneś go wziąć. Ja ...

- Psiakrew, nie dyskutuj! - Mick jeszcze bardziej zacieśnił chwyt na szyi *Aurory*. Zacharczała. A Vashon ruszył ku nim. Davey nie miał wyboru - musiał wykazać się odwagą. - No, no - krzyknął, wyciągając bagnet w stronę Vashona. - Stój! - zatoczył się lekko i czknął. Vashon omal nie uśmiechnął się.

- Dajcie spokój, panowie. Chyba widzicie, że nic z tego. - Vashon lekko machnął pistoletem. - za dużo wypiliście. Nigdzie mnie nie weźmiecie.

- Nie? - Mick prawie dusił Aurorę. Vashon rzucił się, żeby ją uwolnić, ale w tym momencie Davey nie wytrzymał nerwowo i wypalił.

Aurora krzyknęła widząc, że Vashon zatoczył się pod ścianę. Na jego rękawie pokazała się czerWona plama i runął na podłogę.

- Nie! - krzyknęła i zaczęła się wyrwać. Nie mogła znieść myśli, że Vashon nie żyje. Nie mogła znieść myśli, że zginął, broniąc jej.

Davey patrzył na Vashona ze zdumieniem, jak myśliwy, któremu przez przypadek udało się ustrzelić rzadkie i niebezpieczne zwierzę. Chwył Micka osłabił i Aurorze udało się wyrwać. Dostkoczyła do Vashona. Ukłękła i chciała go opatrzeć, ale zanim zdołała sprawdzić, czy jeszcze żyje, Mick znowu ją złapał.

- Zabiłem go, Mick - wymamrotał ze zdumieniem Davey. - Gubernator się ucieszy. Powiedz mu tylko, że nie chciał się poddać.

- Zabiłem "Smoka".

- Tak, Davey. A teraz zabierz ten cholerny pistolet. Na wypadek, gdyby jeszcze żył.

Aurora patrzyła przez łzy, jak Davey podchodzi do nieruchomo leżącego Vashona. Bojaźliwie wyciągnął rękę po pistolet, który leżał zaledwie parę cali od ręki Vashona. Wydawało się, że wstrzymał oddech, odciągając broń. Kiedy pistolet znalazł się w jego dłoni, odetchnął z ulgą.

- Ty, Mick, zobacz. Jest ze złota - powiedział Davey, ale w tym momencie poczuł, jak na jego gardle zaciska się czyjaś dłoń. Wrzasnął i w tym momencie druga dłoń chwyciła jego rękę trzymającą pistolet. Vashon otworzył oczy i zanim Davey zdążył cokolwiek zrobić, zbił go z nóg i rąbnął w głowę, pozbawiając z miejsca przytomności.

- Puść ją. - Vashon podniósł się, trzymając na powrót pistolet w dłoni. Ramię nadal mu krwawiło, ale nie zwracał na to uwagi. Aurora przyjrzała się ranie lepiej i stwierdziła, że kula tylko drasnęła ciało. Było to obrażenie niewiele groźniejsze niż to, które zadała mu Flossie swoją parasolką. Strażnik puścił ją i odciągnął kurek karabinu. Miał już wystrzelić, gdy Vashon zbił lufę w bok i wytrącił mu broń z ręki. Przerażony Mick chciał znowu chwycić Aurorę, aby użyć jej jako tarczy, ale Vashon ją też odtrącił. Stał bezbronny naprzeciw "Smoka".

- Vashon! Zróbmy interes! - krzyknął Mick i odsunął się. - Nic nie powiem gubernatorowi. Zostaw mnie W spokoju. Nigdy nie dowie się, że cię tu spotkałem.

- zaczniesz się drzeć, jak tylko zniknę ci z oczu - powiedział Vashon i podniósł z ziemi karabin. Sprawdził palcem koniec ostrza bagnetu. zadowolony, że jest taki ostry, zdjął go z lufy.

- Vashon! - błagał Mick, zupełnie wytrzęźwiawszy ze strachu. - Nie musisz tego robić!

Vashon uśmiechnął się tylko. Aurora nie chciała już widzieć więcej krwi, ale nie mogła oderwać wzroku.

- Daruj mi życie, Vashon! Oszczędź mnie! - Mick cofał się, aż oparł się plecami o ścianę. Aurora nie widziała dokładnie, co się dalej działo, bo Vashon zasłonił jej widok. Serce prawie przestało jej bić, kiedy Mick zaczął zawodzić. Vashon chwycił go, pchnął bagnetem i nastąpiła cisza.

Cofnął się i dopiero wtedy Aurora zobaczyła, co się stało.

Spodziewała się zobaczyć trupa, ale ku swemu zaskoczeniu nie widziała ani kropli krwi. Mick żył nadal, ale bał się poruszyć. Prawie roześmiała się, kiedy zorientowała się, dlaczego się tak zachowuje. Mick był przyszpilony bagnetem do ściany jak motyl. Ostrze tkwiło tuż pod jego narządami, tak że każdy ruch groził ich uszkodzeniem. Nie mógł nawet głęboko oddychać.

- Jeśli chcesz teraz krzyczeć, to krzycz. Nie ruszę się nawet - powiedział Vashon z rozbawieniem. Mick tylko spojrział na niego. W jego oczach widać było i strach, i zdziwienie.

- Vashon. Ty gnido - powiedział strażnik tak spokojnie, jak mógł. Najmniejszy odruch złości dużo by go kosztował.

Nawet Aurora zdawała sobie sprawę, że gdyby spróbował się uwolnić, musiałby pożegnać się z myślą o

kobietach.

Vashon uśmiechnął się i podszedł do Aurory. Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Przyjemnego odpoczynku - powiedział do Micka.

- Musimy znaleźć wyjście stąd - powiedziała Aurora, opatrując ramię Vashona. Z plamami krwi na łuskach smok na jego plecach wyglądał jeszcze groźniej niż przedtem. Dotknęła smoka i przyjrzała się swemu dziełu. Ramię prawie przestało krwawić. Rana była powierzchowna, niewiele więcej niż draśnięcie. Wystarczył opatrunek.

Spojrzała w ciemność. Stali na balkonie wychodzącym na wspaniałe ogrody gubernatora. Łagodny wiatr szeleścił liśćmi palm. Na dole widać było tańczące po całej wyspie światła - pochodnie szukających ich żołnierzy.

- Mamy czas - Vashon objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, nie zważając na jej słabe protesty. - Chcę się czegoś dowiedzieć, zanim stąd wyjdziemy. I nie wyjdziemy, dopóki się tego nie dowiem.

- Znowu zaczynasz krwawić. Muszę znaleźć jakieś opatrunki. - Usiłowała uwolnić się z jego objęć. Nie puszczał jej.

- Dlaczego nie wydałaś mnie tym strażnikom? Nic nie odpowiedziała.

- Auroro, chcę to wiedzieć. Ich spojrzenia spotkały się.

- Mnie groziło mniejsze niebezpieczeństwo niż tobie powiedziała w końcu.

- Niezupełnie. - Po chwili dodał: - Najprawdopodobniej chcieliby, żebyś się im oddała w zamian za zostawienie cię. - Nie bałam się ...

- Kiedy by już zrobili swoje, i tak zawlekliby cię do gubernatora. Powieszono by cię jako złodziejkę. Wiedziałaś o tym?

Pogłaskał ją po policzku. Pieszczota ta była dla niej nie do zniesienia. Spojrzała na postrzępione liście palm kokosowych w dole.

- Nie rozumiem, Auroro, dlaczego to zrobiłaś. Mogłaś zginąć. Za mnie. - Mówił cicho i spokojnie.

- Nie, nie za ciebie - zaprzeczyła, nadal nie chcąc spojrzeć na niego. Nie chciała powiedzieć tego, co chciał usłyszeć. Nie wiedziała, co skłoniło ją, by ocalić go przed strażnikami. Była pewna, że jest niewinny, ale nie chodziło tu tylko o winę czy niewinność. Krył się za tym ten sam powód, który nie pozwolił jej wypowiedzieć głośno słów: "Nie chciałabym twojej krzywdy". Słowa te wyrażały zbyt jasno to, co zaczynała czuć do tego strasznego człowieka.

- Oślaniałaś mnie, może nie?

- Muszę poszukać bandaży.

- Odpowiedz mi.

- Vashon, nie ... - głos jej nagle się załamał.

Co "nie", Auroro? "Nie pytaj, dlaczego ocaliłam ci życie?" "Nie zastanawiaj się, dlaczego to zrobiłam?"

- Dlaczego to zrobiłam? - powtórzyła. Jego pytania zirykowały ją. - Powiem ci. Z tego samego powodu, dla którego ty ocaliłeś mnie przed tymi ludźmi. Nie można było postąpić inaczej. To był szlachetny uczynek. Wiem, jak pogardzasz takim postępowaniem. - Zaśmiała się gorzko. Szlachetny uczynek w zestawieniu z twoim imieniem - to brzmi jak szyderstwo.

-Ujął jej twarz w dłonie i zmusił, by na niego spojrzała.

- Mówisz tak, jakbym cię rozczarował, Auroro. Prawie, jak odtrącona kochanka.

- To ty jesteś odtrącony, Vashon. Nie chcę cię i nigdy nie będę chciała. - zaczęła się szarpać, chcąc oswobodzić twarz z jego dłoni.

- Nie możesz mnie odtrącić, dopóki się nie oświadczę. A więc pozwól, że to zrobię. - Przyciągnął ją szorstko do siebie i napał na nią z dwóch stron udami. - Chcesz się trochę pociupciać?

Zdrętwiała. Jego chamstwo nie miało granic. Dobrze wiedziała, co znaczy .. po ciupciać, słyszała to z ust starszych chłopców, których przyjmowali do sierocińca. Nie mogła sobie wyobrazić tego szczegółowo, ale i tak obraz był . wystarczająco jasny. To było ohydne.

- Puść ... mnie - powiedziała, mierząc go pogardliwym spojrzeniem .

- Daj spokój, Auroro. Trochę tego - zrobił parę ruchów zgiętą ręką w przód i w tył - dobrze by ci zrobiło. Może nawet udałoby się nam trochę cię rozruszać ...

- Ty niegodziwcze! Nikczemniku! Ty wstrętny łajdaku! krzyknęła, próbując wyrwać się spomiędzy jego ud.

Nie miał zamiaru jej puścić.

- Czy to znaczy, że mnie odtrącasz? - spytał drwiąco .

. Krzyknęła rozwścieczona, ale roześmiał się tylko. Podniosła rękę, by go uderzyć, lecz złapał ją, zanim zdążyła się dobrze zamachnąć i przycisnął do swojej piersi. Nagle spowaźniał.

- Nie próbuj zrobić ze mnie szlachetnego człowieka - powiedział. - Nawet nie myśl o tym.

- Dlaczego? Dlaczego, nie możesz być inny, niż jesteś? - Oczy zaszyły jej łzami. Na pewno miała poważniejsze zmartwienia - wyspę przeczesywali żołnierze, Vashon beczelnie postanowił ukryć się w sypialni gubernatora i wyglądało na to, że nie mają żadnej szansy, by dostać się niepostrzeżenie na statek. Ajednak, choć było to czystym szaleństwem, najważniejszą rzeczą na świecie wydawało się jej skłonienie Vashona, by przyznał, że nie myliła się, widząc w jego oczach ten błysk, kiedy powiedziała strażnikom, że nic nie wie o *El Draque*.

Zapomniała jednak jak zimno potrafią patrzeć te zielone oczy.

## L

- Zapamiętaj dobrze, co ci powiem. Auroro. Jeślibym kiedyś postanowił zmienić się i zostać szlachetnym człowiekiem. to na pewno zginąłbym jeszcze tego samego dnia.

- Nie - powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

- Jeśli zmięknę. jeśli doprowadzisz do tego. że zmięknę. To moi wrogowie z miejsca załatwią mnie ... Tak - dodał, szturchając ją palcem w plecy.

Po ciele przebiegł jej dreszcz trwogi.

- Ten Peterborough nie jest Bogiem. Vashon.

- Nie musi nim być. Człowiek okrutny zawsze ma przyjaciół. Samotnie umiera tylko człowiek szlachetny.

- To nieprawda - szepnęła. - Gdybyś się zmienił, to przysięgam ci. że nie umarłbyś samotnie.

- Nie zmienię się. Auroro. Nie ma we mnie dobroci.

- Jest. Widziałam. Dlatego uratowałeś mnie dzisiaj. Kiedy wyszedłeś z ukrycia. w ogóle nie myślałeś o Gwieździe. Nie zaprzeczaj temu! Zrobiłeś to tylko po to, żeby mnie uratować.

- Niech cię szlag! - Jego ręce brutalnie zacisnęły się na jej talii.

- Przyznaj to, Vashon! Przyznaj, że możesz stać się porządnym człowiekiem! Zmień się! - mówiła szlochając.

Był tak wściekły, że prawie ryczał.

- Jestem taki. jak widzisz! I udowodnię ci raz na zawsze. że nigdy nie będę porządnym człowiekiem! - Ponownie ujął jej twarz w dłonie i przycisnął swe usta do jej ust. Łkała, ale zdusił nawet ten odruch protestu, wbijając język między jej wargi.

Pocałunek był jednocześnie ognisty i beznamiętny. Obliczony był na jej poniżenie. Do oczu napłynęły jej łzy wściekłości. bo czuła, że budzi się w niej pożądanie. Nienawidziła go w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek przedtem, ale jednocześnie wiedziała, że nigdy żaden mężczyzna nie będzie jej tak pociągał, jak ten.

Oderwał się od niej.

- Dalej masz o mnie takie dobre mniemanie? - spytał, uśmiechając się cierpko. Chwycił jej rękę w stalowy uchwyt.

- Nie rób tego, Vashon! Uratowałam ci życie!

- Trzymaj usta zamknięte, kiedy cię nie całuję - powiedział szorstko.

Wciągnął ją do urządzonej z egzotycznym przepychem sypialni gubernatora .

- Nie! - krzyczała. - Puść! - Jej błagania utwierdzały go tylko w raz powziętym zamiarze .

. Rzucił ją na łóżko i przywalił swym ciałem. Przesunął dłoń po jej brodzie, a potem po ramionach i wyjął szpilki przytrzymujące wstawkę. zadrżała, kiedy wstawka zsunęła się i została tylko w cienkim, lnianym staniku.

- No i co, dalej masz mnie za świętego? - Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej twarzy, jakby rozkoszował się jej urodą i oporem. Potem pochylił się nad jej piersiami sterczącymi pod cienką tkaniną.

:Odrzuciła głowę do tyłu i jęknęła zrozpaczona, że nie może go powstrzymać. zaczął całować jej ciało, zostawiając gorący, wilgotny ślad na jej skórze. Powoli rozwiązywał tasiemki. Wpiła się paznokciami w jego rękę, ale nic nie mogło go powstrzymać. Zerwał stanik i przyglądał się jej dorodnym piersiom o brzoskwiniowych sutkach. Patrzyła na niego z nienawiścią i bólem.

- Vashon, masz szlachetną duszę -- powiedziała urywanym głosem - ale ukryłeś ją głęboko, żeby nikt nigdy już jej nie zobaczył.

- Ty też nie powinnaś była jej zobaczyć - powiedział i przylgnął ustami do jej sutka. Złapała go za włosy i usiłowała odciągnąć, ale zdawało się, że drwi sobie z bólu. Przerzucił się na drugą pierś i drażnił ją tak długo, aż straciła kontrolę nad sobą.

- Aha, w końcu okazało się, że jesteś jednak kobietą powiedział ochryple. Szarpnęła się, przyrzekając sobie, że pozostanie zimna i sztywna, ale uśmiechnął się tylko i zaczął ją całować między piersiami.

Drżała. Nie wiedziała, ile jeszcze będzie mogła znieść. Chciała wołać pomocy, ale było to niemożliwe. Aby uciec przed ludźmi gubernatora, z własnej woli ukryła się w jego sypialni z tym piratem. Gdyby zwabiła krzykiem służbę, obydwoje zostaliby straceni. Znalazła się w pułapce i wiedziała, że Vashon doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Podniósł się i obnażył ją aż do bioder. Biła go, ale równie dobrze mogłaby walić pięściami w mur.

- Kto by pomyślał, że będę cię miał? - szepnął, pieszcząc jej pierś. Chciała go odepchnąć, ale jej dłonie ześliznęły się po jego szerokim pasie. Ciepły i gładki, wydawał się przedłużeniem jego skóry. Szybko cofnęła rękę.

- Nie lubisz mnie dotykać, co? - Złapał ją za dłoń. - Dlaczego? W sierocińcu nikt cię nie pieścił? Czy ten wzór wszystkich cnót, Phipps, nigdy nie wziął cię w ramiona? Dorastałaś w takim zimnym miejscu? - Włożył jej dłoń za swoją koszulę. Jego pierś była twarda jak deska.

- Do ... dobrze mnie traktowano. - Łzy płynęły jej ciurkiem po twarzy. - Nikt nigdy nie potraktowałby mnie tam tak podle.

Na jego twarzy ponownie pojawił się wyraz napięcia.

- Ach, tak. Dobrze cię traktowano. Ale czy cię kochano? Mnie kiedyś kochano ... dopóki tych, którzy mnie kochali, nie wydarto z mej duszy.

- Vashon! - krzyknęła, kiedy wstał. Złapała szkarłatną kołdrę, aby ukryć swą nagość i patrzyła z przerażeniem, jak się rozbiera.

Nie odwróciła oczu. Nie było potrzeby. Pozory przestały się liczyć. Uświadomiła sobie, że na jej niewinność już dawno temu zapadł wyrok. Patrzyła w milczeniu, jak rzuca na podłogę koszulę, buty, a potem spodnie.

Wydawał się zrodzony z jej mrocznych snów. Stał przed nią potężny, z czarnymi, opadającym na plecy włosami, ze wzrokiem twardym i błyszczącym jak szmaragdy. Oddychał ciężko, jego pierś wznosiła się i opadała niczym fala. Wyciągnął do niej rękę. Odsunęła się, aż poczuła za plecami tył łóżka. Patrzył na nią jak drapieżnik na swoją ofiarę.

Stał nieruchomo jak śmierć, z ręką opartą o złoconą kolumnienkę podtrzymującą baldachim nad łóżem. Tym razem opuściła wzrok i zobaczyła jego męskość. zadrżała z trwogi, ale jeszcze bardziej przerażał ją smok. Choć nie widziała jego pleców, zobaczyła wreszcie ogon. Schodził z biodra na mocarne udo, owijał się wokół niego dwukrotnie i znikał w kroczu. Panował nad nim, miał go w swoim władaniu, a teraz miał posiąść również ją.

Zerwała się z łóżka i pobiegła w stronę drzwi, zasłaniając dłońmi gołe piersi. Sukienka ciągnęła się za nią, nadal przylegając do bioder. Myślała, że będzie próbował ją złapać, ale nie musiał się aż tak wysilać. Przycisnął stopą skraj sukni i zatrzymana nagle od tyłu, straciła równowagę i padła prosto w jego ramiona. Roześmiał się wyjmując ją z sukni jak z futerału. Wrzeszczała, gryzła i drapała, ale , bez skutku. Rzucił ją na łóżko i położył się na niej.

- Vashon, błagam cię! - wykrztusiła.
- Dość gadania - powiedział, gładząc jej pierś.
- Błagam cię! "Jestem dziewicą!
- To tak, jak z bandażem przysychającym do rany - najlepiej zerwać go jednym, szybkim ruchem.
- Nie! - krzyknęła.
- Tak - powiedział cicho.

Biła go pięściami po plecach, ale nie zdało się to na nic. Wsunął rękę między jej uda i zaczął pieścić skórę między nimi, trąc kciukiem miękkie, brązowe włosy na jej wzgórku łonowym.

O mało nie umarła, czując to dotknięcie, ale dodało jej ono bodźca do dalszej walki. Zebrała wszystkie siły i chciała uderzyć go w twarz, kiedy w migotliwym świetle świecy błysnął jego kolczyk. Ledwie go dostrzegła, wsunęła palec w srebrne kółko. Natychmiast znieruchomiał, uniósłszy się nad nią na rękach.

- Przestań! Zejdź ze mnie! - powiedziała, ciężko dysząc.
- No dalej, pociągnij, Auroro. Już raz mi go wyrwano.

Spojrzała na niego z wściekłością, ale i z wahaniem. Był . potworem. Nie mogła pozwolić, by ciągnął to dalej. Ale czy mogła rozerwać mu ucho?

Wtedy spostrzegła grubą szramę. Już raz mu rozerwano ucho. Znowu napłynęły jej łzy do oczu. Mogła sobie wyobrazić, w jakiej się to zdarzyło sytuacji, skoro ktoś znalazł się tak blisko niego.

- To też była kobieta? - wybuchnęła. - Aż tak ją rozwścieczyłeś? - Głos jej zadrżał. - Tak samo nie chciała tego, co ja?

- To był żebrak z Kazby. Miałem dopiero piętnaście lat. Spodobał mu się srebrny kolczyk i napadł na mnie po ciemku.

Przez dłuższą chwilę milczała, patrząc na palec położony przez otwór w kolczyku.

- Co mu zrobiłeś? - spytała w końcu.
- Powiedzmy, że okazało się, że kolczyk jest mu już niepotrzebny.

Spojrzała mu w oczy. Nie chciała dowiedzieć się więcej. - No dalej, pociągnij, żebyśmy mogli spokojnie kontynuować.

Te słowa przeraziły ją bardziej niż wszystko, co było przedtem. Uspokoila drzenie ręki i pociągnęła lekko, co nie mogło mu wyrządzić żadnej krzywdy. zauważyła, że twarz mu stężała, że przygotował się na ból. Ból fizyczny był normalnym składnikiem jego czarno-białego świata. Zniesie ból po to, by później uzyskać należną mu przyjemność. Było to proste. Kiedy jednak spojrzała mu głębiej w oczy, zorientowała się, jaki wpływ miał ból na ukształtowanie się jego osobowości. Miał zaledwie piętnaście lat i był sam we wrogim świecie, w którym ktoś chciał go zranić za kawałek srebra. Zaczęła sobie uświadamiać. jak ciężko musiał walczyć. aby przetrwać i czego nauczył go ten okrutny świat. Teraz ona powinna dać mu naukę.

Zranienie go było jej jedyną szansą ucieczki. Wiedziała - jednak, że tego nie robi, a to, co zabraniało jej tego, było bardziej bolesne niż to, co miała uczynić.

Łkając puściła kolczyk. Zaskoczony takim obrotem sprawy; chwycił ją mocno. ale odwróciła wzrok. Po policzkach ciekły jej strumieniem łzy. Wtuliła usta w koldrę i płakała

- Auroro!
- Nie potrafisz cię zranić! - wyznała. - Nie potrafisz!
- Powtarzała jak zaklęcie.
- Auroro! Spójrz na mnie! - rzekł rozkazującym tonem.

Nie chciała tego zrobić. Łzy płynęły jej nadal, a pierś falowała pod wpływem wzburzenia.

- Auroro! - W jego głosie brzmiała już nie wściekłość, ale prawie panika. - Słuchaj! Ja nie będę się nad tobą litował, ty sztywna dziwko! Słyszysz mnie? Nie będę się nad tobą litował! - Trząsnął ją brutalnie, ale nie przestawała płakać. Ścisnęła dłońmi brzeg kołdry i czekała na jego atak. Nieomal przestała dbać o to, że straci dziewictwo. Tej nocy zawałił się cały jej świat. W porównaniu z tym okropnym uczuciem, które ją owładnęło, do którego nie przyznałaby się nawet, gdyby zależało od tego jej życie, nawet fakt porwania jej był niczym.

- Auroro - powtórzył cicho, oddychając prawie tak samo ciężko, jak ona.

Kręciła głową, nie chcąc spojrzeć mu w oczy, bojąc się tego, co jej własne oczy mogłyby mu wyznać. W końcu chwycił jej głowę w dłonie i zmusił, by spojrzała na niego. Kiedy to zrobiła, wydało się jej, że cała wyspa zamarła.

Patrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy. Nie mogła odwrócić wzroku, bo choć nie trzymał jej mocno, zniewoliły ją jego oczy. Usta jej drżały, nie wiedziała, co się za chwilę stanie. Powoli, z wahaniem, wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy.

- Vashon, nie ... - szepnęła, kiedy przesunął palcem po jej ustach, posiniaczonych jego pocałunkami. Potem dotknął jej brwi, a wreszcie przesunął palcami po policzkach, tam, gdzie płynęły łzy. Wydawało się, jakby chciał się upewnić, że istnieje ona rzeczywiście. Wreszcie odsunął się i popatrzył na ślady łez na koniuszkach palców. Wtedy zobaczyła mężczyznę, którego tak bardzo chciała zobaczyć. Dojrzała w jego oczach coś, co przywodziło na myśl wyrzuty sumienia.

- A jednak jest w tobie inny człowiek - powiedziała zbolalym, cichym głosem.

Przycisnął ją ze złością. Chciała pogłodzić go po policzkach, ale trzymał jej dłonie tak mocno, że nie mogła nimi nawet ruszyć.

- Możesz zaprzeczać, ale on istnieje - powiedziała miękko, patrząc na niego roziskrzonym wzrokiem.

- Nie - warknął i złapał ją za kark, aby wycisnąć na jej ustach kolejny brutalny pocałunek.

Kiedy zobaczyła, jak bardzo jest wściekły, pomyślała, że może ją w końcu zranić, ale zamiast pocałować ją, opuścił głowę na jej ramię i leżał zupełnie nieruchomo.

Pragnęła go dotknąć, ale ręce miała nadal przyciśnięte do kołdry. Zaczęła się więc pod nim i w końcu podniósł głowę i spojrzał na nią. Choć byli nadzy, choć leżał na niej, czuła, że teraz coś go od niej odpycha. Wiedziała już, że nie może jej zrobić krzywdy, ale myśl o tym, że może wstać, była nie do zniesienia. Posunęli się za daleko.

Uniósł się, chcąc zejść z łóżka, ale zanim to zrobił, pocałował ją w policzek. Pragnąc, by pozostał, uciekła się do wybiegu, o którym wcześniej wstydziłyby się nawet pomyśleć. Czekala, aż oderwie usta od jej policzka, a kiedy to zrobił, odwróciła głowę i jej usta zetknęły się z jego ustami.

Ten pocałunek był subtelny jak muśnięcie. W najpiękniejszych marzeniach nie przypuszczała, że pocałunek może być taki, że serce i dusza człowieka może zlać się w jedno poruszenie ust. zapagnęła go. Było to coś więcej niż tylko pożądanie cielesne i stale potęgowało się. Myślała, że-oszaleje. Tracąc kontrolę nad tym, co robi, wsunęła dłoń między ich ciała i gładziła po jego umięśnionym brzuchu. Drugą dłonią głaskała pokryty lekkim zarostem policzek. Pocałował ją mocniej.

Instynktownie rozsunęła usta. Smakował je językiem, zachęcając, by zrobiła to samo. Opierała się trochę, ale w końcu uległa i dotknęła swym językiem jego języka.

Było to wspaniałe uczucie, ale spotęgowało się jeszcze, gdy uświadomiła sobie, że ona także go poruszyła. Nie mogła uwierzyć, że posiada taką moc. Jęknął i położył dłoń na jej piersi, jakby posiadał wszystkie skarby świata. Przebiegł ją dreszcz rozkoszy. Pod jego muśnięciem sutek naprężył się i stwardniał.

Kiedy się tak zmienił? Kiedy jego dotyk stał się łagodny, a pieszczota czuła? Pytania te przemknęły jej przez głowę, ale nie była w stanie zastanawiać się nad nimi. Oderwał usta od jej warg i powoli przesunął wzdłuż

szyi. Aksamitnym koniuszkiem języka odszukał jej brzoskwiniową, twardą brodawkę. Czarny warkocz leżał na jej policzku, ostro kontrastując z bielą jej skóry. Kiedy ponownie podźwignął się i oparł na łokciach, w nozdrza uderzył ją jego zapach, przypominający morze - słony, rześki, pierwotny. Patrzył na nią, oddychając szybko. Czują jego nagie uda, rozpalonymi zmysłami ledwie rejestrowała to, co się działo.

- Auroro - jęknął. - Phipps może być tym, który mnie zabije ...

Potem wszystko potoczyło się szybko. Włożył rękę pod jej biodra i uniósł do góry, rozbudzając instynkty, o których istnieniu nie miała pojęcia. Kiedy zaczęła bezwiednie pojękiwać, wydawało się, że Vashon dłużej już tego nie zniesie. Rozsunął kolanem jej alabastrowe uda i wśliznął się między nie, biorąc ją w posiadanie jednym, szybkim ruchem.

Przeszył ją ból, ale szok był o wiele większy. Szeroko otworzyła usta, łapiąc powietrze i patrząc na niego szeroko rozwartymi z niedowierzania oczami. Odpowiedział jej nieubłagany i chciwym spojrzeniem. Ogarnęła ją panika. Odwróciła głowę i zaczęła się wić i rzucać, chcąc wymknąć się spod niego, ale było to niemożliwe.

- Przestań... przestań - mówiła przerywanym głosem, a w jej oczach malował się strach.

Nie przerwał ani na chwilę. Całował ją, przekonując, uwodząc i zniewalając swymi ustami. Poddała się. Jej ciało uniosło się ku niemu, jakby go pragnęło. Przyjęła jego gwałtowne ruchy, łagodnie otwierając się przed nim i poczuła, że wbrew jej woli lędźwie stapiają się w jedno z jego ciałem. Wbiła paznokcie w jego plecy, chcąc się utrzymać na powierzchni rzeczywistości, ale nie pozwalał jej na to ten dziki galop. Nagle oczami wyobraźni ujrzała smoka na jego plecach, wznoszącego się i opadającego za każdym pchnięciem i zaczęła zapadać w głębokie, słodkie zapomnienie.

Ostatnim wspomnieniem rzeczywistości był Widok jego twarzy. Patrzył na nią i nawet nie mrugnął okiem. W jego wzroku błyszczała żądza, ale widać też było inne pragnienie. Płonęło nawet jaśniej. Było to pragnienie duszy. Pomyślała, czy kiedykolwiek je zaspokoi, jeśli nie zabije smoka. Teraz zrozumiała. Smok posiadał go i zawsze będzie miał go we władaniu. Mogła jedynie mieć nadzieję, że smok da się ujarzmić, gdyż ciemna strona natury Vashona nigdy nie zginie zupełnie.

Poddała się i wtedy zrozumiała jeszcze jedną prawdę, prawdę równie okrutną jak pierwsza, naga jak obraz jej palców wpijających się w jego plecy, szarpiących w dzikiej ekstazie smoka. Krzyknęła i potrząsnęła głową, ale nie mogła już dłużej temu zaprzeczać. Vashon udowodnił to środkami bardziej wymownymi niż słowa.

Ona też miała ciemną stronę .

\*\*\*

Ostry promień słońca padł na dwa ciała. Kiedy Peterborough wszedł do sypialni i odsunął ciężkie zasłony łoża, jedno z nich poruszyło się, mnąc pościel. Młody mężczyzna otworzył powoli oczy i zamrugał powiekami, osłepiony światłem poranka.

- Wicehrabia - powiedział zaspanym głosem.

- Mój kochany lord Worthington - odparł Peterborough słodkim głosem. - Czy książę, twój znakomity ojciec, wie, gdzie jesteś?

- Nie ... nie.

- A więc wyobraź sobie, jak się ucieszy, kiedy odkryje, że twoje upodobania raczej nie przyczynią się do przedłużenia rodu - powiedział drwiącym głosem Peterborough i zerwawszy brokatową koldrę, chwycił go za włosy, wyciągnął z łóżka i zawłókł do kąta.

- Co ma znaczyć to ... - zaczął Asher, siadając w pościeli, ale urwał, gdy zobaczył Peterborougha.

- Wstawaj. Płyniemy na Mirage.

Asher spojrział na swego kochankę. Worthington stał przy oknie, zasłaniając wstydliwie biodra.

- Nie rozumiem - powiedział Asher. - Sam rozmawiałem z Azedynem. Miał się zająć Vashonem.



IPeterborough spochmurniał. Rzucił okiem na Worthingtona .

. - Nie mam zamiaru wyjaśniać wszystkiego w obecności twojego kochanka.

Asher potarł ze zdenerwowania brodę.

- Będzie pan łaskaw zostawić nas samych? - spytał Peterborough uprzejmym tonem, zwracając się do młodego earla.

Worthington spojrział na Ashera. Asher skinął głową.

- Gdzie mogę znaleźć szlafrok? - spytał earl.

- Nie ma na to czasu - odparł Peterborough.

Młodzieniec miał już ostro zareagować na te słowa, gdy zobaczył pistolet wymierzony w swoją głowę. Oczy rozszerzyły mu się z przerażenia. Asher nie zdążył nawet otworzyć ust, kiedy padł strzał i lord osunął się na podłogę.

- Dlaczego to zrobiłeś? - krzyknął Asher, rzucając się w stronę zakrwawionego ciała.

Peterborough zatrzymał go.

- Chcę z tobą pomówić. Mamy interes.

- Zostawiłby nas samych! - krzyknął Asher, wstrząśnięty widokiem trupa. - Nie było czasu.

- Chyba zwariowałeś! Powieszają mnie za to! Co mam powiedzieć jego ojcu? Jak to wyjaśnię?

- Nie będziesz musiał. Zaraz wypływamy. Statek już czeka na nas w porcie. - Peterborough popatrzył szyderczo na Ashera. Jego nagie, białe ciało wyglądało tak, jakby miał rozpląnąć się w promieniach słońca .

. - Ubierz się - powiedział.

Asher spoglądał na niego ze wstrętem... i czymś, co przypominało pożądanie.

- Szkoda, że go zabiłeś - powiedział. - To był dobry chłopak, choć trochę ... kapryśny.

- Nie masz co go żałować. Nie był w twoim typie. Lubisz władczych mężczyzn, Asher. I to nie tylko w takich sprawach. - Peterborough roześmiał się lubieżnie.

Asher zrobił kwaśną minę.

- Ubieraj się. Mówię po raz ostatni.

Asher ostrożnie przekroczył trupa i podszedł do szafy. Wicehrabia usiadł całkiem obojętnie w fotelu tuż obok zakrwawionego ciała. Jak gdyby nigdy nic, podjął na nowo rozmowę. Rzekł z rozdrażnieniem:

- Dziś rano otrzymałem wiadomość, że "Krwawiące Serce" udało się na dłuższą wyprawę do Johanny. Ten sukinyYn Azedyn zawiódł na całej linii.

Asher wytknął głowę zza drzwi szafy. -. Nie możemy wysłać kogoś innego?

- Zamknij się głupcze. Pożegnaj się z tym pedałem na

podłodze i przygotuj do podróży. - Peterborough rzucił na niego wściekłe spojrzenie i walnął pięścią w parapet. -Tym razem dostanę go, Asher. Zapamiętaj moje słowa. Nie będę się przejmował tym, że Vashon jest moim bratem. Zabiję go i dostanę szmaragd. I zrobię to w taki sposób, że ci ludzie pożąłują, że nie są znowu na "Lewiatanie".

- Któregoś dnia powiniene ci się noga - powiedział Asher złowróbnym głosem.

Peterborough roześmiał się i kopnął trupa. Zakrwawiona ręka earla osunęła się na podłogę niczym w

szyderczym błaganu o litość.

- Ale jeszcze się nie powinięła, co? - odparł sarkastycznie wicehrabia.

Asher odwrócił się i zacisnął powieki. Miał taką minę, jakby chciał stawić opór, przynajmniej biernie. Nic jednak nie powiedział. Zawsze czuł respekt przed silniejszymi. Od kiedy poznał tego przystojnego, lecz przerażającego wicehrabiego, wiedział, że z nim nie wygra. Niechętnie zapiął koszulę.

Vashon przyciskał ją do siebie chyba przez godzinę. Był spokojny, ale trzymał ją tak mocno, jak gdyby obawiał się, by mu jej ktoś nie odebrał.

Aurora patrzyła na jego twarz, chłonąc wszystkie szczegóły. Jego normalnie mocno zacisnięte usta, miały teraz miękki zarys. Oczy miał półprzymknięte, a wzrok senny. W pewnej chwili usłyszała zegar wybijający godzinę czwartą i zapragnęła zatrzymać go. Miała ochotę zniszczyć wszystkie zegary w pałacu. Czas musi się zatrzymać! Nie chciała by wypuścić ją z objęć.

Jednak czas płynął nieubłaganie. Kiedy Vashon wkońpu, wstał z łóżka, był zimny jak gład. Noc była gorąca, czuła .. że pot pokrywa jej skórę, ale ciałem jej wstrząsał dresz~, gdy spojrzała na Vashona. Stał w drzwiach prowadzących na balkon z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Smok nawet nie drgnął. Zdawszy sobie nagle sprawę ze sw~j nagości, podciągnęła kołdrę aż po brodę.

- Vashon - szepnęła.

Odwrócił głowę, jak gdyby zaczął już żałować tego, co musi powiedzieć.

- Vashon - powtórzyła, z trudem opanowując drżenie w głosie.

- Ubierz się. Już i tak jesteśmy tu zbyt długo. Gubernator może zakończyć poszukiwania i wrócić w każdej chwili.

- Ale musimy porozmawiać ...

- Ubieraj się.

Jego ton spowodował, że po policzku spłynęła jej ogromna łza. Powinna była jednak zniszczyć wszystkie zegary. Wiedziała, że w chwili, kiedy wstanie, będzie dla niej stracony. Teraz odpychał ją i po tym, co mu dała, wolałaby umrzeć.

Zwrócił ku niej twarz, więc szybko otarła łzę, ale zdążył ją zobaczyć.

- To się nie powinno było nigdy zdarzyć - powiedział.

- Ale ... się ... zdarzyło - odparła łamiącym się głosem.

- Nigdy więcej. Nigdy więcej.

Po policzku stoczyła się jej jeszcze jedna łza. Trzęsącymi się rękami sięgnęła po sukienkę. Wydawało się niemożliwe, by zaledwie przed kilkoma minutami trzymał ją w ramionach, pieścił i kochał. Ten czuły mężczyzna zdawał się teraz postacią ze snu.

- Auroro.

Podniosła wzrok. Stał przed nią potężny, nagi i piękny.

. - Auroro - zaczął - to ... - prześliznął się zmieszonym spojrzeniem po zmiętej pościeli. Widok jej krwi na prześciera, dle dźgnął go niczym nóż. - To stało się wbrew mojej woli. Straciłem kontrolę nad sobą. Nigdy nie zamierzałem ... -- Napotkał jej wzrok. Szybko odwrócił głowę.

- Czego nigdy nie zamierzałeś? - spytała cicho.

Stał nieruchomo i nie odpowiadał. Jego twarz mówiła wszystko. Nie musiał odpowiadać.

Zamknęła oczy. Jej ciało, mózg, duszę - wszystko ogarnęło odrętwienie. Ocierając łzy wierzchem dłoni, pozbierała się i wciągnęła przez głowę wygniecioną sukienkę. Zawiązała tasiemki pod biustem i zaczęła szukać szpilek.

- Proszę.

Podniosła głowę. Wziął szpilki z kołdry i wyciągnął ku niej rękę. Nie wzięła ich. Otworzyła dłoń i czekała. Chcąc nie chcąc, musiał je podać. Patrząc najego obojętną minę, czuła w środku rosnący chłód, aż w końcu wypełnił ją całą zimny gniew. To, co jej zrobił, było niewybaczalne. W żadnej sytuacji nie mogłaby się czuć gorzej niż w tym momencie. Nie mogła sobie wyobrazić straszniejszych mąk ani większego cierpienia.

Drżącymi rękami przypięła wstawkę, patrząc ze zdumieniem, jak zniszczona i wymięta jest jej piękna sukienka. Tak samo zniszczona i sponiewierana jak jej uczucia.

- Jeśli nie zjawimy się w porcie, Izaak będzie czekał na nas w zatoce Dieppe. Przez pola trzciny cukrowej możemy się tam dostać w godzinę. - W jego głosie brzmiał spokój i opanowanie. Nic więcej. Zerknęła na niego. Był już ubrany. Popatrzył na jej białe stopy, a potem rozejrzał się po sypialni. Zniknął na chwilę w przedpokoju i wrócił z jedwabnymi pantoflami rannymi gubernatora. Były prawie dobre. Gubernator musiał być drobnym mężczyzną.

- Oczywiście on zorientuje się, że tu byliśmy - powiedział lodowatym tonem.

- Kto?

- Gubernator.

Na jego ustach pojawił się zły uśmiech. Podszedł w milczeniu do dwóch postumentów umieszczonych po obu stronach drzwi, na których stały chińskie wazy. Wziął jedną z nich i rzucił na łóżko. Wymalowany na niej zielony smok patrzył groźnie na szkarłatny baldachim nad łóżkiem.

- Teraz będzie wiedział, że tu byliśmy - rzekł. Potem wziął ją za rękę i wymknęli się z pałacu.

Zatoka Dieppe była płytka i otoczona rafami koralowymi.

Za rafami widać było światła .. Morskiego Śmiałka". Statek zdawał się być tak daleko, że zwątpiła, by udało się jej wykrzesać z siebie tyle energii, żeby do niego dotrzeć. Była wyczerpana. Piasek, który dostał się jej do pantofli, ranił stopy, ramiona miała pocięte przez trzcinę. Była pewna, że jeśli potknie się jeszcze raz na orzechu kokosowym, to nie podniesie się więcej.

Vashon stał w wodzie, rozglądając się po zalanej światłem księżycą zatoce i wypatrując czegoś. Oparła się plecami o pień palmy. W dalszym ciągu nie mogła się pogodzić z tym, co zdarzyło się w pałacu gubernatoda.. Czy wydarzenia potoczyłyby się inaczej, gdyby się bardziej opierała? Ogarnęło ją przygnębienie. Zamknęła oczy. Chciała jak najszybciej zapomnieć o tej nocy. Nie, opór nic by nie dał. Był świetnym uwodzicielem. Gdyby nie wskórał nic siłą, po prostu spróbowałby bardziej subtelnych środków. Przekonałby ją, że nie udaje, że naprawdę jest łagodny i troskliwy. Teraz jednak, widząc jego wyprostowane sztywne plecy, Wiedziała, że to wszystko było oszustwem. Coś w sercu krzychało jej, że to nieprawda, ale nie chciała tego słuchać.

Tej nocy nic by go nie powstrzymało. Pamiętała swój sen, ten wstrętny, pożerający duszę sen, i wiedziała, że nigdy nie będzie mogła go zapomnieć. Dostała nauczkę, i to niezłą. Pani Bluefield nazwała kiedyś takie kobiety jak ona "zbrukanyimi gołębicami". Aurora przypominała sobie z głębokim bólem, jak te kobiety zostawiały swoje nieślubne dzieci w sierocińcu.

Widziała, jak Vashon powoli podchodzi do niej. Nie mogła dostrzec jego twarzy.

- Wysłano szalupę - powiedział. - "Morski Śmiałek" odpłynie, gdy tylko znajdziemy się na pokładzie.

Milczała. Stała oparta o pień palmy i patrzyła na ocean.

Wydawało się jej, że jest w niej akurat tyle ciepła i życia, co w kamiennym posagu.

- Auroro!- Wyciągnął rękę, chcąc jej dotknąć. Odsunęła się szybko.

- Spójrz na mnie - powiedział, ale dalej wpatrywała się w połyskujący w blasku księżycą ocean .

. - Rozczarowujesz mnie, kochanie - rzekł z irytacją. Miałem nadzieję, że przez dłuższy czas nie będę oglądał tej sztywnej nauczycielki .

. Te cierpkie słowa zabolowały ją. Odwróciła głowę.

- Zapewniam cię, że już nigdy nie zobaczysz - powiedziała zimno.

- Nic dziwnego, że stary Phi pps pozwolił ci odejść. Zachnęła się i próbowała dostrzec w mroku jego twarz.

Na pewno uśmiechał się drwiąco.

- A co ty wiesz o Johnie Phippsie? - wybuchnęła z irracjonalną złością. - Nic! Nawet się do niego nie umywałeś! - A więc jest taki doskonały?

- Tak! Doskonały! - syknęła, nienawidząc go w tym

momencie bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Każdy mógł stwierdzić, że John jest lepszym człowiekiem. Skąd się więc brało to, że pożądała Vashona i tylko Vashona?

- Tak doskonały, że uciekłaś nie zostawiając nawet wiadomości, gdzie wyjeżdżasz? Albo do k o g o wyjeżdżasz? - powiedział znacząco.

- Gdybym wiedziała, że czeka mnie taka noc, to nigdy bym nie wyjechała!

Chwycił ją za ramiona.

- A może właśnie dlatego uciekłaś? Może chciałaś tej nocy tak samo jakja? Może Phipps wcale nie jest taki, jak mówisz ...

Wyrwała rękę, a potem z całej siły uderzyła go w twarz.

Był bliższy prawdy, niż przypuszczał, ale prędzej by umarła, niż przyznała to.

- On jest dżentelmenem, a nie gw a ł c i c i e l e m!

Znowu chwycił ją za ramiona, tym razem brutalnie.

- I pod tym właśnie gwałcicielem jęczałaś z rozkoszy dziś w nocy? A te ślady paznokci na moich plecach zostawiła kobieta, która chciała uciec ode mnie ... czy może do mnie?

Z jej ust wydobyło się zduszone łkanie. Nie śmiała spojrzeć mu w oczy. Wszystkie składane samej sobie przysięgi, że nie będzie więcej płakać, okazały się nic niewarte.

Puścił ją, dając jej na razie spokój i odszedł; po chwili powiedział:

- Oczywiście nigdy nie doszłoby do tego pożałowania godnego zdarzenia, gdybyś nie udawała tej głupiej choroby.

- Albo gdybyś mnie nie porwał... albo gdyby za twoją głowę nie wyznaczono nagrody! - krzyknęła.

- Sprawiałaś mi zawód, kochana. Okłamałaś mnie i naraziłaś swoje i moje życie na niebezpieczeństwo. Chyba nie spodziewałaś się, że wyjdiesz z tego bez szwanku?

- To nie była moja wina - szepnęła, przeklinając w duszy swój głos, który miał być zimny i pewny, i twarz, która miała pozostać nieporuszona. Odwróciła głowę, ale za późno, by nie zorientował się, że ją zranił.

- Owszem, to nie była twoja wina - powiedział łagodnie.

- Ja jestem odpowiedzialny za to, co się stało w pałacu gubernatora. Ale chcę tylko ten szmaragd i nic więcej. Pomóż mi go znaleźć i zapomnimy o tej nocy. zapomnimy, że coś takiego w ogóle się zdarzyło.

- Co takiego? - spytała niemal histerycznie. - Nie zapomnę tego tak łatwo jak ty. To moja krew została na prześcieradle, nie twoja.

I nagle rzuciła się na niego. Biła go po ramionach, dopóki nie poczuła na palcach czegoś ciepłego i kleistego. Wtedy zdała sobie sprawę, że na nowo rozkrwawiła mu rękę.

- Śmiało, wyładuj swój gniew - powiedział stłumionym głosem. - A potem zapomnij o tym. Przysięgam ci, że ta noc była. pomyłką. To się już nigdy nie powtórzy.

Zaczęła płakać na dobre, ale nie wiedziała, czy płacze dlatego, że rozkrwawiła mu ramię, czy też dlatego, że jego słowa ranią ją niczym nóż.

Kiedy szalupa dopłynęła do plaży, wyskoczył z niej Izaak, nie kryjąc ulgi, że widzi ich oboje całych i zdrowych. Najpierw podszedł do Vashona, ale kiedy jego wzrok spoczął na milczącej, stojącej w wymiętej sukni Aurorze, natychmiast wyczuł, że stało się coś bardzo niedobrego. Jego radość ulotniła się. Prawie nie przywitawszy się, wsiedli do szalupy i w zupełnym milczeniu popłynęli na "Morskiego Śmiałka".

- Auroro! Kochanie, prawie odchodziłam od zmysłów ze zmartwienia. Dzięki Bogu jesteś ... - Flossie nagle urwała, kiedy weszli na pokład. Spojrzała tylko raz na twarz Aurory, zobaczyła w migotliwym świetle latarni

jej splątane włosy, błyszczące oczy i zdawało się, że od razu wszystko zrozumiała. Obrzuciła Vashona spojrzeniem, od którego powinien był paść na miejscu trupem.

Vashon zignorował jej minę i przywołał skinięciem ręki Benny'ego, który stał na rufie.

- Panna Dayne potrzebuje odpoczynku - powiedział stłumionym głosem. - Dopilnuj, żeby znalazła się w swojej starej kabinie.

- Tak jest.

- Izaak - zwrócił się do kapitana. - Czy ludzie Neville'a napełnili zbiornik?

- Tak.

- Bez przeszkód?

- Przed północą wrócili do siebie.

- Wobec tego płyniemy na Mirage.

- Dobrze - odparł Izaak.

Potem Vashon odwrócił się do Aurory.

- Panna Dayne - powiedział ze sztucznym spokojem proponując, żeby wróciła pani do swojej kabiny. Potrzebuje pani odpoczynku. Kiedy znajdziemy się na Mirage, nie spocznię, nim nie znajdę szmaragdu.

- Dobrze - powiedziała, parodiując Izaaka. Udał, że nie dostrzega drwiny.

- Odprowadzi panią Benny.

- Nie - wtrąciła się Flossie. - Ja ją odprowadzę. I tym razem nikt mnie od niej nie oddzieli.

- Jak pani sobie życzy - powiedział głosem zimnym jak lód.

Aurora popatrzyła na niego. Ich spojrzenia skrzyżowały się jak błyskawice. Kiedy w końcu Flossie wzięła ją za ramię i odprowadziła, Aurora przysięgłaby, że ujrzała w jego oczach coś w rodzaju żalu. Zanim jednak uczucie to zdołało nad nim zapanować, pojawił się smok i spalił je.

\*\*\*

Kiedy Flossie i Aurora znalazły się w kabinie, Aurora padła na koję i w milczeniu zaczęła się wpatrywać w sufit. Nie miała nic do powiedzenia. Słowa nie mogły oddać uczuć, które kłębiły się w niej. Zdawało się, że Flossie to rozumie.-Trzymałają po prostu za rękę, dopóki Henny nie przyniósł jej rzeczy z kajuty Vashona.

Kiedy Benny wyszedł, Flossie ujęła Aurorę pod brodę i przyjrzała się jej z troską. Oczy Aurory wydawały się za duże w stosunku do jej bladej, delikatnej twarzy. Zaciśnięte, wykrzywione bólem usta przypominały cienki sierp księżycy. Flossie wyglądała tak, jakby sama miała się za chwilę rozplakać.

- Auroro - powiedziała rozsądnie - musimy się poddać i odnaleźć ten głupi szmaragd, o którym opowiadał mi Izaak. Niech Vashon go sobie weźmie. To jedyne wyjście. A potem możesz zamieszkać ze mną na St. George, gdzie zapomnimy o tej strasznej podróży i. ..

- Nie! - Aurora wstała i zaczęła przemierzać kabinę tam i z powrotem. Podniosła dłoń do medalionu i zaczęła obracać go w palcach, jak gdyby był talizmanem. - Nigdy mu się nie poddam. Nie teraz.

- Posłuchaj mnie, kochanie - Flossie wyciągnęła rękę. Nie chcą nas zabić, obie zdajemy sobie z tego sprawę. Ale w świetle ... incydentów tego wieczoru myślę, że najlepszym rozwiązaniem jest kapitulacja. Powiedz Vashonowi, co wiesz, a wtedy będziemy mogły mieć pewność, że nie zdarzą się już więcej żadne ... incydenty.

- Absolutnie nie! Nie pomogę temu ... temu ... piratowi w znalezieniu łupu! Nawet jeśli moje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie!

- Jeśli ta podróż będzie dalej trwała, to cały czas będziesz w niebezpieczeństwie. Pomyślałaś o tym?

- W jakim niebezpieczeństwie? - roześmiała się drwiąco. - Oczywiście martwię się o ciebie, ale Vashon nic ci

nie zrobi. Ma o tobie dobre zdanie. Izaak chyba też nic by ci nie zrobił. Prawdę mówiąc, nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że cię polubił.

~ A jeśli zajdziesz w ciążę, to co? Pomyślałaś o tym?

Na twarzy Aurory pojawił się wyraz zgrozy. W końcu Flossie powiedziała to, co wydawało się nie do wypowiedzenia.

Widząc jej przerażenie, Flossie poderwała się na nogi i ujęła ją za dłoń.

- Nie obawiaj się, kochanie. Jest nieprawdopodobne, żebyś dzisiejszej nocy ... liczymy na to, że nie zaszłaś w ciążę. Ale jeśli ta podróż będzie dalej trwała ...

- Jeśli nie zaszłam w ciążę dziś w nocy, to już nie zajdę - powiedziała Aurora pewnym głosem.

- A skąd możesz o tym wiedzieć? Widzę, jak pociągasz Vashona. Trudno powstrzymać mężczyznę, kiedy już raz ... - Flossie zaczerwieńnięła się. Spojrzała na Aurorę przeprasząco.

- Nigdy więcej - powiedziała Aurora, potrząsając głową. Wystarczy, że pozwoliła mu zajrzeć w swoje wnętrze i zobaczyć uczucia, których nigdy nie powinna ujawnić. Teraz na pewno przypomina to sobie i śmieje się z jej niewinności, niezgrabności i naiwności. Nie, to się już nie powtórzy. Gdyby nawet miała doryć do stu lat, już żaden mężczyzna nie ujrzy tych uczuć. Jeśli okaże się, że miała tyle szczęścia, by nie zajść w ciążę tej nocy, to zapomni, że kiedykolwiek była z nim w łóżku, że czuła jego dłonie na swoim ciele, że czuła bicie jego serca.

- To się już nigdy więcej nie powtórzy - rzekła jeszcze raz.

- Nie wszystkie z moich pociech przeżyły, ale doczekałam się z mężem czternaściorga, cały czas mówiąc to co ty.

Aurora przyłożyła drżącą dłoń do skroni. Wczoraj nie pragnęła niczego więcej, tylko uciec. Teraz, z powodu próby ucieczki, wszystko WYmykało się jej spod kontroli.

- Och, dajmy już temu spokój - Flossie ścisnęła jej dłoń i starała się dodać otuchy uśmiechem. - Widzę, że jesteś wyczerpana. Spij, kochanie. O tym, co robić, zdecydujemy, kiedy wypoczniesz.

- Nie poddam się, Flossie. Nie po tym wszystkim. Flossie przyjrzała się jej badawczo. Nie znajdując tego, czego szukała, spytała łagodnie:

- A więc wziął cię przemocą, Auroro? Czy o to chodzi? Czy był tak okrutny, że chcesz teraz walczyć do ostatka i nie dopuścić do tego, by znalazł to, czego pragnie?

Aurora odwróciła wzrok, ale jej oczy powiedziały Flossie więcej, niż chciałyby wyznać. Vashon wcale nie wziął jej siłą, był nazbyt sprytny. Omal nie załamała się, gdy sobie przypominała, jak chętnie mu się poddała.

Po policzkach płynęły jej łzy. Już nigdy więcej mu się nie podda. Teraz chodzi o jej serce. I dlatego będzie walczyć do ostatka.

Przez następne dni chodziła po dziobie jak duch Neptuna, jak dziki, wściekły, szukający zemsty morski duch. Wiatr przyciskał jej cienką, niebieską suknię do ciała, uwydatniając ponętne kształty, lecz jej wściekły wzrok trzymał wszystkich z daleka. Słońce nadało! jej włosom bardziej pastelowy kolor, a wiatr zdmuchiwał je z czoła, piękne niebieskozielone oczy utkwiała w horyzont, ale ich wyraz przypominał ocean w czasie sztormu. Stała samotnie mściwa i niedostępna.

Załoga przyglądała się jej z pokładu i z rei, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Wyglądała pośród nich jak odmieniec, jak dziecko podrzucone przez wrótkę, które przemieniło się z niepozornej, szarej myszki w dziką, niesioną wiatrem mewę. Choć przykuwała ich spojrzenia, nikt nie ośmielił się do niej odezwać, bojąc się, że spojrzy na niego równie złym wzrokiem, jak na tego, który stał na mostku, pożerając ją oczami.

- To nie ta sama dziewczyna, która wsiadła na statek, co? Vashon natychmiast oderwał wzrok od Aurory. Obok niego stał kapitan, równie zafascynowany jej urodą.

- A będzie jeszcze inną dziewczyną, kiedy znajdziemy się na Mirage. Sam o to zadbam. - Rozeźlony Vashon zadzwonił na Benny'ego. Kiedy chłopiec przyszedł, warknął:

- Odprowadź pannę Dayne do jej kabiny. Załoga musi z powrotem zająć się statkiem.

- Tak jest!

Tak szybko jak mógł, Benny pokuśtykał na forkaasztel. Vashon przyglądał się, jak podchodzi do Aurory, ale im był bliżej, tym stapał bardziej niepewnie. Wreszcie zatrzymał się o parę kroków za nią, jakby obawiał się, jak go powita. Kiedy jednak Aurora się odwróciła i zobaczyła kto to, uśmiechnęła się. Vashon zacisnął usta, jakby zazdrościł Benny'emu takiego powitania.

Ośmielony jej uśmiechem, Senny zaczął mówić. Widać było, że jego słowa rozłościły ją, ale jej gniew nie obrócił się przeciwko niemu. Popatrzyła wprost na tego, kto go wysłał. Odpowiedział jej równie wściekłym spojrzeniem.

- Powiedz Vashonowi, że nie mam zamiaru siedzieć cały dzień w kabinie - rzekła Aurora. - To go wystarczająco . wzburzy. - Kończąc zdanie, rzuciła Vashonowi wyzywające . spojrzenie. Uśmiechnęła się, kiedy dostrzegła irytację na jego twarzy.

- Nie wiem, czy powinna pani to robić - powiedział ostrzegawczym tonem Benny. - On jest dziś w złym humorze. Jesteśmy tylko o dwa dni od Mirage i chciałbym znaleźć się już w domu.

- No i co mi zrobi, Benny? Przeciągnie mnie pod kilem?

- Nie chcę zastanawiać się nad tym, co może zrobić, proszę pani?

Miała już coś odpowiedzieć, kiedy nagle zorientowała się, że czegoś brakuje.

- Co się stało, Benny? - wykrzyknęła. - Gdzie jest Koonga?

Benny westchnął smutno.

- Jest chora, proszę pani. Musiałem ją zostawić w kajucie.

- - Na Boga, co jej jest?

- Nie wiem, proszę pani. - Na jego twarzy widać było zmartwienie. - Wczoraj nie chciała nic jeść, a dzisiaj rano zwinęła się w kłębek i leży bez ruchu.

- Och, Benny. - Pod wpływem nagłego impulsu, Aurora wzięła go w ramiona. Benny zrobił zakłopotaną minę, ale widocznie potrzeba pociechy wzięła górę nad zażenowaniem.

- zaprowadzisz mnie do niej? - spytała Aurora, puszczając go. - Może będę mogła coś pomóc.

- Ale Vashon powiedział, że ma pani...

. - Niech diabli porwą Vashona! - powiedziała gwałtownie. - Przede wszystkim musimy zobaczyć, jak można pomóc naszej małej przyjaciółce.

- Nie, proszę pani. Vashonowi się to nie spodoba.

- Nie pójdę z własnej woli do swojej kabiny. Chcesz mnie tam zaciągnąć siłą?

- Nie, proszę pani. - Benny spojrzał z obawą na mostek.

- A więc zaprowadź mnie do swojej kajuty. Obejrzymy Koongę, a jeśli nie spodoba się to Vashonowi, to z prawdziwą przyjemnością zmiere się z nim.

- Dobrze, proszę pani - poddał się Benny. - Będę bardzo zobowiązany, jeśli pani pomoże Koondze. Martwię się o nią - głos mu zadrżał.

- Zrobię, co będę mogła. - Aurora ujęła go za ramię.

Pomógł jej zejść z pokładu i zniknęli w budce, nie zwracając uwagi na gniewne spojrzenie, którym odprowadzał ich mężczyzna stojący na mostku.

- Gdzie oni idą? - warknął Vashon.

- Może ona chce się napić herbaty u Flossie.

- Widziałeś, jak go obejmowała? Co tam zaszło między nimi?

Izaak zachichotał i skończył wytyczać kurs.

- Czyżbym słyszał zazdrość w twoim głosie, Vashon? A może słuch mnie myli?
- Nie gadaj bzdur. Benny ma dopiero siedemnaście lat. W oczach Izaaka pojawił się figlarny błysk.
- Oczywiście, przecież Aurora ma już dziewiętnaście powiedział. - Jest dla niego za stara. Może się po prostu zaprzyjaźnili. Wiesz ...

Vashon walnął pięścią w poręcz.

- Nie posłuchała mnie! Kazałem jej iść do siebie, a nie do Flossie.
- No, może poszła nie do niej.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nic, Vashon, nic. - Izaak omal nie zakrztusił się, powstrzymując śmiech. - Może przespacerowała się z Bennym na pokład działowy. Ona lubi tego chłopaka. Zupełnie możliwe, że chciała z nim być przez parę chwil sam na sam.
- .Ja jej powiem, czyje towarzystwo ma lubić!
- Nie możesz jej siłą zmusić, żeby cię polubiła.

Vashon zeszywniał. Powiedział zimno:

- Jeśli o to chodzi, to jest mi obojętne, kogo lubi albo kogo nienawidzi. Chcę tylko, żeby była posłuszna.
- W ten sposób nie skłonisz jej do posłuszeństwa. Trafiła kosa na kamień.
- Wobec tego niech uważa, żeby od tego zderzenia nie poleciały iskry - powiedział Vashon, zbiegł z mostku i poszedł szybko w stronę budki.
- Och, biedactwo - rozczuliła się Aurora, patrząc na Koongę, trzęsącą się na kupie brudnych szmat. Małpka spojrzała na nią tak smutnym wzrokiem, że dziewczyna z trudem powstrzymała łzy. Czuliła się tak, jakby z powrotem znalazła się w sierocińcu i doglądała chorego dziecka.
- Przynieś trochę ciepłej herbaty, Benny - powiedziała. I kawałek suchara. Zobaczymy, czy uda nam się ją skłonić do przełknięcia czegoś.

Benny skinął głową, a Aurora podniosła Koongę, odrzucając szmaty.

- Teraz potrzebujemy tylko koca - powiedziała, głaszcząc małpkę.

Vashon przechodził akurat koło drzwi do kajuty Benny'ego. Kiedy usłyszał dziwne słowa Aurory, stanął jak wryty.

- Ten będzie dobry? .

Vashon spojrział na drzwi. Znowu usłyszał głos Aurory.

- Tak, znakomity. Prawda, kochanie?
- Nie potrzebujemy nic więcej? - dobiegł głos Benny'ego. - Słyszałem, że czasami krwawienie ...
- O, nie myśl nawet o tym. Przystąpmy do rzeczy. Na razie nie musimy się tym przejmować. - Jej głos zmiekkł. To naprawdę bardzo proste, Benny. Nie bój się. Coś takiego może się zawsze zdarzyć. Nie panujesz nad tym. Po prostu mów łagodnie i delikatnie pieść, a na pewno zostaniesz wynagrodzony.

Vashon otworzył szeroko oczy. Miał taką minę, jakby dostał pięścią w nos.

- Nie bój się - przemawiała pieszczotliwie Aurora. - Dobrze mnie nauczono. O tak, o to chodzi. Tak, tak, właśnie tak. ..

Vashon wpadł do kajuty jak szaleniec. Aurora i Benny podnieśli głowy. Benny trzymał owiniętą w koc Koongę z taką dumą, jak ojciec nowo narodzone dziecko.

- zawsze robisz z siebie takie widowisko, Vashon? spytała chłodno Aurora.
- Co tu się dzieje? Słyszałem, jak. .. - Vashon urwał, zdając sobie nagle sprawę, jakie głupie myśli przysły mu do głowy.
- Koonga zachorowała, proszę pana - powiedział Benny. - Panna Dayne powiedziała, że może się nią zająć.



Przepraszam, że nie wykonałem rozkazu - dodał bezradnie.

Vashon popatrzył na małą drzącą w ramionach Benny'ego. Zamknął oczy. Było widać, że ma się za ostatniego idiotę .

- Zaprowadź pannę Dayne do jej kajuty, niech tam się zajmie małą. To ... nie wypada, żeby przebywała w twojej kajucie, Benny .

- Ach, cóż za hipokryzja! - zaczęła Aurora, o mało nie uderzywszy go w twarz w obecności Benny'ego. Patrzyła Vashonowi prosto w oczy. Mężczyzna o słabszym charakterze uciekłby, podwinąwszy ogon pod siebie.

- Zabierz ją do jej kajuty, Benny - rozkazał niecierpliwie Vashon.

- Tak jest. - Benny dał Koongę Aurorze i otworzył drzwi.

Przez cały ten czas dziewczyna przesywała Vashona wzrokiem ostrym jak sztylet.

Benny zostawił Aurorę z Koongą w jej kabine i poszedł po herbatę i suchara. Kiedy wrócił, Aurorze udało się namówić Koongę, by wypła łyżeczkę herbaty. Nawet nie zauważyła, kiedy Benny podwinął rękawy i dopiero gdy podniosła głowę, zobaczyła że ma guzy na łokciach.

Oczywiście, zaskoczył ją widok czarnych guzów, jednak nie dlatego, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała. Przeciwnie, w sierocińcu wielu chłopców miało sadze wżarte w skórę na łokciach, kolanach i stopach. Trafiało tam wielu wyrzuconych przez swych mistrzów kominiarzy. Zdziwiło ją jednak to, że zobaczyła coś takiego na "Morskim Śmiałku".

- Byłeś chłopakiem od czyszczenia kominów, co, Benny? - spytała łagodnie.

Benny popatrzył na swoje łokcie i pospiesznie opuścił rękawy koszuli. Zaczerwienił się i Aurora dopiero wtedy zauważyła, że jest ładnym chłopcem.

- Pracowałeś w Spitalfields? - spytała.

- Nie, proszę pani. W Bristolu. Tam znalazł mnie Vashon. -

- Ile miałeś lat?

- Dziesięć, proszę pani. Umarła mi mama, kiedy miałem tr.zy lata. Dlatego zacząłem pracować u kominiarza.

- Rozumiem. - Szybko odwróciła wzrok, aby Benny nie zobaczył w jej oczach współczucia.

Praca kominiarzy była najgorszym ze wszystkich możliwych zajęć. Musieli się oni wciskać do wnętrza wąskich kominów - oczywiście nago, bo ubranie mogłoby się zapalić od unoszących się w górę płonących sadzy - by znaleźć się w czarnym labiryncie ciasnych, groźących uduszeniem tuneli. Jeśli kominiarz robił, co mu kazano, to wychodził na pół żywy z braku powietrza, jeśli natomiast przestraszył się i chciał zawrócić. to stojący na dole kominiarz zmuszał go do ponownego wspięcia się na górę, kłując szpilkami w podeszwy stóp. Jeśli w dodatku wziąć pod uwagę fakt, że przeciętny wiek kominiarzy wynosił około sześciu lat - im byli mniejsi, tym lepiej, kominiarze poszukiwali na ogół pomocników za pomocą ogłoszeń w rodzaju: "Potrzebny mały chłopiec do małych przewodów kominowych" - to trudno było wyobrazić sobie wstrętniejszą instytucję. Serce krajało się Aurorze, gdy pomyślała, że ten miły Benny przeszedł przez coś takiego.

- Nie było tak źle, proszę pani - powiedział Benny. Vashon wziął mnie na statek. Pływam już sześć lat.

Nie chciała myśleć dobrze o Vashonie. ale wbrew samej sobie poczuła do niego pewną sympatię za to, co zrobił dla Benny'ego. żeby jednak nie zastanawiać się nad tym zbyt długo, powiedziała szybko:

- To zrozumiałe, że ktoś cię stamtąd wyrwał. Benny. Tak się przykładasz do pracy, że Vashon nie mógłby sobie wymarzyć kogoś lepszego.

Benny ponownie zaczerwienił się. Był zachwycony.

- Mam nadzieję, że Vashon nie będzie się na mnie wściekał z powodu Koongi - powiedział w końcu.

- Nie, nie! Jeśli chcesz, to wstawię się za tobą.

- Dziękuję pani. - Zrobił nagle zawstydzoną minę i pokuśtykał do drzwi.

Aurora nie mogła jednak zapanować nad swą ciekawością i zanim wyszedł, zapytała wprost:

- Czy to wtedy straciłeś nogę? Kiedy byłeś kominiarczykiem? - Zaraz potem zrobiła się zła na siebie, że zadaje takie kłopotliwe pytania.

- Nie, proszę pani. - Wyglądało na to, że wcale nie czuje się skrępowany jej wścibskością. - Odcięto mi ją, kiedy miałem dwanaście lat.

- .Aha - rzekła, nie chcąc dociekać szczegółów.

- To Vashon kazał ją odciąć.

Zaniemówiła. Nie spodziewała się takiego wyjaśnienia.

- Dlaczego ... dlaczego to zro ... ? Nie mogę sobie nawet wyobrazić ... - zająknęła się. Przejęła ją jeszcze większa groza, kiedy spostrzegła, że teraz Benny jest wyraźnie zażenowany. - Ale, oczywiście, to nie mój interes - powiedziała, chcąc wybrnąć z niezręcznej sytuacji. - Nie powinnam była o to pytać, Benny. Przepraszam cię. Chciałam tylko ...

Nagle przysła jej do głowy straszna myśl. Była tak okropna, że chciała ją od siebie odpędzić, ale nie mogła. Pytanie to dręczyło ją niczym koszmar, aż w końcu wypowiedziała je:

- Chyba nie była to kara za coś, Benny? To znaczy nie mogę uwierzyć, żeby Vashon zrobił coś takiego, szczególnie dziecku, ale z drugiej strony jest piratem, a wiadomo, że piraci robią straszne rzeczy ...

- Och nie, proszę pani. Miałem na nodze raka smołowego.

Spojrzała na niego. Ból w jej oczach ustąpił ręką niedowierzaniu. Nigdy jeszcze nie słyszała, żeby jakieś dziecko wyszło z tej choroby. Rak smołowy był częstą dolegliwością kominiarzy, a kiedy przytrafił się dziecku, nie było szans na jego wyleczenie.

- To cud, że żyjesz - szepnęła.

- Tak, proszę pani. Doktor Sovens powiedział dokładnie to samo. Nie chciał odcinać tej nogi. Postawił już na mnie krzyżyk, ale Vashon kazał mu to zrobić.

- Musiałeś się bardzo bać. Miałeś dopiero dwanaście lat, tak? Tak mocno wierzyłeś w Vashona? - Łzy napłynęły jej do oczu.

- Tak, proszę pani - powiedział spokojnie. - W niego łatwo wierzyć.

- Naprawdę? - Starła się, by nie zabrzmiało to szyderczo.

- Tak. Kiedy przyszedł do mnie rano w dzień operacji, to przyniósł butelkę rumu. Nalał mi szklanek, zupełnie jakbym był jego kumplem. Wypiliśmy całą butelkę i potem nic już nie pamiętam. Doktor Sovens nawet mówił, że Vashon musiał zanieść mnie na stół. Ale ja nic nie pamiętam. Za dużo rumu. I wie pani, co myślę, że on to zrobił specjalnie. Upił mnie, żebym nie czuł bólu.

- Słusznie postąpił - powiedziała głosem drżącym ze współczucia.

- Właśnie dlatego tak łatwo w niego uwierzyć. On zawsze robi to, co trzeba.

Nie zawsze, chciała krzyknąć, myśląc o jej porwaniu i uwiedzeniu, ale kiedy spojrzała w niebieskie oczy Benny'ego, zrozumiała, że jego nigdy o tym nie przekona. Rozmowa ta wykazała przynajmniej jedno - że Benny niezłomnie ufał Vashonowi. Za nic by jej nie uwierzył.

- Dziękuję ci, Benny, za szczerość - powiedziała. - To nieładnie z mojej strony, że cię tak wypytywałam. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Znowu się zaczerwienił, a potem skinął głową.

- Jeśli zajmie się pani Koongą, to będę bardzo wdzięczny.

Popatrzyła na Koongę. Małpka przestała się trząść i spała teraz w jej ramionach jak niemowlę przy piersi matki.

Uśmiechnęła się. Bardzo niewybredne niemowlę, pomyślała.

- Będzie zdrowa - powiedziała pewnym głosem. - Potrzebuje tylko opieki ...
- Dziękuję pani. - Benny uśmiechnął się nieśmiało, a potem skinął głową.

Patrzyła, jak wychodzi, cały czas mając w głowie obraz Vashona pojącego Benny'ego rumem po to, żeby biedny, zaledwie dwunastoletni chłopiec. nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nim będzie działo przez resztę tego straszego dnia. Był to zupełnie odmienny obraz od tego. który dotąd znała. Widziała Vashona jak walczył i zabijał i... znowu powróciło, z przyprawiającą ją o wzmożone bicie serca jasnością, wspomnienie nocy w pałacu gubernatora ... tak, i widziała, jak się kochał. Ale to wszystko spowodowało tylko, że jeszcze bardziej umocniła się w postanowieniu walki. Chciała, by „stosunki między nimi były równie przyjemne jak uderzenie pięścią w mur. Nienawidziła go.

Jednak obraz Vashona upijającego Benny'ego do nieprzytomności dotknął struny, której nie chciała poruszać. Pogardzała tym uczuciem jeszcze bardziej niż Vashonem. Lecz choć tak bardzo nienawidziła tego człowieka, który mordował i gwałcił, nie mogła jakoś pogodzić tego obrazu z obrazem człowieka siedzącego przy Bennym. Takiego człowieka mogłaby pokochać.

## MIRAGE

.... *miejsce niewypowiedziane piękne.*

*Bryan Edwards. Historia kolonii brytyjskich w Indiach Zachodnich (1793)*

- Za dwa tygodnie będziemy na Bermudach - w słowach Ashera brzmiało zdenerwowanie.

Peterborough obejrzał się i zobaczył Ashera stojącego na pokładzie "Marii Magdaleny". Odwrócił wzrok i ponownie zaczął przypatrywać się bezkresnemu morzu.

- Już tam powinniśmy być - warknął.

- Jesteś niezadowolony, że wybraliśmy ten statek? Myślałem, że ci się podoba. - Asher podszedł i stanął obok niego. - W końcu - powiedział, gładząc dłonią wypolerowane drewno nadburcia - "Magdalena" jest szybka i ma dobrego kapitana. A co więcej załoga czeka na Mirage jak sęp na padlinę.

- Ten głupi kapitan jest pewien, że potrafi znaleźć wyspę - rzekł ponuro Peterborough. Przeczesał wzrokiem horyzont. jak gdyby od intensywności jego spojrzenia zależało, czy Mirage pojawi się na nim czy nie.

- Znajdziemy ją. Dobrze posmarowaliśmy mu złotem ... za bardzo mu na tym zależy.

Peterborough zdawał się nie słuchać. Wpatrywał się w horyzont, jakby stało się to jego obsesją.

- On tam jest - powiedział sam do siebie. - Czuję, jak zbliża się do Gwiazdy. Czuję, jak wokół mojej szyi zaciska się pętla.

- Przecież *Kronika* może się mylić. Nawet jeśli Vashon znajdzie szmaragd, to klątwa może nie zadziałać. Nie warto być przesadnym.

- Co ty o tym wiesz, idioto? - warknął Peterborough. Asher, WYrażnie urażony, wydał usta:

- Obawiam się, że niewiele. Jestem na jakimś przeklętym statku pirackim pośrodku Atlantyku i od wielu dni nie jem nic oprócz słoniny i sucharów!

- Sądząc po odgłosach dochodzących wczoraj w nocy z twojej kajuty, posiliłeś się, i to dobrze, czym innym - rzekł Peterborough, mrużąc oczy.

- Być może, ale choć jestem idiotą, cały czas myślę o zupełnie innym posiłku.

Wicehrabia spojrział na wąską dłoń spoczywającą najego ramieniu. Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech.

- Twoje namiętności, Asher, zaczynają mi przeszkadzać w pościgu. Wiesz, to co spotkało Worthingtona, można powtórzyć, i to w bardziej twórczy sposób. Noc spędzona ze mną i ręczę ci, że cieszyłbyś się, gdybym cię zastrzelił. Spojrział wymownie na Ashera. Ten zbladł i cofnął dłoń. Odszedł, zanim Peterborough zdążył coś jeszcze powiedzieć .

Stojąc samotnie na dziobie, Aurora patrzyła na błękitną, kryształowo czystą wodę. Prosto przed nimi widać było górzyste wyspy St. Kitts i Nevis, i choć wydawało się, że wyspy są tylko dwie, wiedziała, że jest też jeszcze trzecia. To, co wyglądało na okryty mgłą szczyt na St. Kitts, było w rzeczywistości ową sławną Mirage.

Nie miała czasu do stracenia. Kiedy wylądują na Mirage, Vashon zabierze się za nią bez litości i w końcu zdobędzie cały wierszyk, tak jak zdobył ją. Wygra po prostu dlatego, że jest bardziej zawzięty.

Musi działać już teraz. Musi mieć pewność, że on nie wygra. Nie spała całą noc, myśląc o ofierze, którą będzie musiała ponieść. Nie widziała innego wyjścia. Musiała się zabezpieczyć.

Dotknęła medalionu. Dopóki będzie go miała, dopóty będzie groziło niebezpieczeństwo, że znajdzie się on w rękach Vashona. I tak już podejrzewał, że ukryła gdzieś ten wierszyk. Było tylko kwestią czasu, kiedy uświadomi sobie, że wisior jest w rzeczywistości medalionem i zawiera drugą zwrotkę. A kiedy zdobędzie medalion, będzie to oznaczało, że zabrał jej wszystko - ciało, honor i przeszłość.

Przełożyła łańcuszek przez głowę i pociągnęła, bo zaplątał się we włosy. Ściskając medalion w dłoni, zamknęła oczy i pomyślała, jak bardzo będzie go jej brakować. Był ostatnią więzią łączącą ją z ojcem. Kiedy była dzieckiem, stanowił jedyną rzecz należącą naprawdę do niej, nie będącą darem od obcych osób. Teraz straci go na zawsze, topiąc w błękitnej toni. Musi to zrobić. Jeśli zostało jej choć trochę szacunku dla samej siebie, to musi to zrobić.

Wyciągnęła rękę z medalionem za burtę. W szmaragdach zalśniło słońce. zamknęła oczy. Nie mogła na to patrzeć. Serce się jej krajało, ale nie miała innego wyboru. Raczej odda go morzu niż Vashonowi.

Puściła go. W tej samej chwili na jej dłoni zacisnęła się inna dłoń, a ktoś przycisnął się do niej, wychylając się za burtę. Otworzyła oczy i usłyszała słaby brzęk złotych ogniw łańcuszka, który próbował uchwycić Vashon. Przechyliła się, modląc, by nie udało mu się go dosięgnąć. ale wtedy wyprostował się, a w dłoni trzymał łańcuszek z dyndającym na końcu medalionem.

Patrzył na nią gniewnym wzrokiem, ale nic nie powiedział. Potem przeniósł spojrzenie na medalion i przez dłuższą chwilę oglądał go uważnie, jak gdyby nie był pewien, czy rzeczywiście przedstawia on taką wartość. Szybko jednak odnalazł przycisk, nacisnął kciukiem i medalion otworzył się, ukazując wygrawerowaną w środku drugą zwrotkę.

- Nienawidzę cię - wyszeptła, kiedy wziął ją za ramię.

- To oczywiście - odparł, prowadząc ją z powrotem do jej kabiny.

Aurora była pewna, że nigdy nie zapomni barw Mirage. Były to zwykłe kolory - zielony, niebieski, żółty i czarny - ale na Mirage zapierały oddech. Zielone były palmy porastające zbocza góry i niknące wysoko w oparach mgły. Niebieskie było Morze Karaibskie, które otaczało wyspę, mieniając się tyłoma odcieniami, ilu było aniołów w niebie. Żółte było słońce, oblewające wszystko wokół potokami światła. I na koniec, czarny był wulkaniczny, błyszczący niczym klejnot, piasek plaż tego raj.

Vashon doskonale do tego pasował. Mirage zdawała się wpływać na niego relaksująco, łagodzić jego trudny charakter. Na wyspie wydawał się jeszcze bardziej dziki, ale bardziej rozluźniony. Na statku przynajmniej próbował wyglądać jak człowiek cywilizowany, tu nawet nie starał się stwarzać takiego wrażenia. Nosił tylko luźne, białe spodnie i nie przejmował się tym, że wszyscy widzą smoka na jego plecach. Jego służący byli lepiej ubrani. Ale w miarę jak jego ciało nabierało opalenizny pod gorącym słońcem Mirage, częściej słyszeć było jego śmiech.

Rzadko go widywała. zaraz po przybyciu na wyspę zabrano ją do jego domu, zwanego siedliskiem "Smoka" i zamknięto, z dala od Flossie, a nawet od Benny'ego. Troszczyła się o nią grupka anonimowych służących, a jedyną przyjazną istotą stała się Koonga, którą pozwolono jej

zatrzymać do czasu wyzdrowienia.

Siedlisko "Smoka" było dużym, położonym na górującym nad czarną plażą wzgórzem, budynkiem. Zbudowano je na planie krzyża, którego ramiona zakończone były ośmiokątnymi pokojami. zamknięto ją właśnie w takiej, ośmiokątnej sypialni. a któregoś wieczora zauważyła, że Vashon zajął następną. Pokój, jak cały dom, był piękny. Meble, poczynając od łóżka o czterech kolumnkach i owalnym zagłówku, a na

stylowej sofie pod oknem kończą. wykonane były z ciemnego mahoni z Santo Domingo. Tapicerka była z białego płótna, a zasłony łoża z nie farbowanego muślinu. Źródłem jedyne go żywego koloru było pięć. sięgających od podłogi do sufitu. okien i choć żaluzje były cały czas zaciągnięte. widziała ognisty hibiskus kwitnący tuż za domem, zielone drzewa bananowe poruszane nigdy nie ustającym wietrzykiem i morze zabarwiające wszystko, nawet odległą Nevis, na turkusowo.

Jednak żaden więzień nie lubi swego więzienia, choćby było najbardziej nawet luksusowe. więc Aurora chodziła tam i z powrotem po kamiennej posadzce, zdenerwowana tak samo. jak Koonga. Ten ranek nie różnił się od innych. Na zewnątrz był wspaniały dzień. a ona nie miała żadnej możliwości. żeby wyjść. Odkąd Vashon zabrał jej medalion. trzymał ją pod ścisłą kontrolą. Wściekała się i domagała uwolnienia. ale udawał. że tego nie słyszy. Nie mogła zrozumieć. dlaczego nie pozwoli jej i Flossie odpłynąć. ale podejrzewała. że ma kłopoty z rozszyfrowaniem wierszyka. Znała go na pamięć, ale dla niej był zupełnie bez sensu. Z każdym dniem nabierała coraz bardziej pewności, że nie wypuści ich. dopóki Gwiazda Aranu nie znajdzie się w jego rękach.

Nie mogła pogodzić się z losem i rozpaczliwie próbowała znaleźć jakiś sposób ucieczki. Jednak z Mirage nie było wcale łatwiej uciec niż z "Morskiego Śmiałka". St. Kitts i Nevis leżały blisko. ale żeby się tam dostać, trzeba było mieć statek, a tymczasem Mirage była królestwem Vashona. Nie było na wyspie żadnych domów, oprócz siedziby Vashona i domków jego służby. Nie było żadnego miasta, nikogo, do kogo można by się zwrócić o pomoc. Tak jak na "Morskim Śmiałku", mogła tylko czekać.

Koonga, choć była już prawie zupełnie zdrowa, psociła bez przerwy i choć Aurora musiała na nią uważać, była zadowolona, że ma przynajmniej taką rozrywkę. Koonga siedziała właśnie na baldachimie nad łóżkiem, zafascynowana jego sprężystością.

Aurora przypinała wstawkę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Myślała, że przyniesiono jej śniadanie, ale gdy weszli służący niosąc całe naręcza sukien, aż ją zatkało ze zdziwienia. Nawet Koonga przestała podskakiwać na baldachimie.

- Co to jest, Tsing? - spytała starego Chińczyka, który prowadził dom Vashona. Tsingtsin uklonił się i zaczął wyjaśniać.

- Pani, sukienka dla twoja.
- Dla mnie? - wykrzyknęła. - Jak to?
- Vashon bierze ze statek. Dawno.
- A więc zrabował te suknie?

Tsingtsin skłonił się.

- Tak, pani.
- Nie chcę ich!
- Pani, pani! - Tsingtsin ruszył za nią do okna. - Ty potrzebować sukienka, pani!
- Powiedz mu, że ich nie chcę! - prychnęła. Koonga wyczuwając zmianę nastroju swej pani, zaczęła wrzeszczeć i znowu wskoczyła na baldachim.
- Pani ... - zaczął Tsingtsin, ale przerwała mu.
- Nie chcę jego łupów. Zabierz je - powiedziała stanowczo.
- Upów ... - powtórzył Tsingtsin, jakby po raz pierwszy usłyszał to słowo.
- Tak łupów. Nie wezmę ani jednej rzeczy. - Podeszła do innego okna. Tsingtsin za nią.
- Ale pani. Vashon nie chce ty chodzić nago!
- Na pewno chce! - Posłała mu zjadliwe spojrzenie.
- To problem! - wykrzyknął.

- Tak. zgadza się. To wielki problem - powtórzyła spoglądając na Nevis, doskonale widoczną w rześkim powietrzu poranka.

- Ja mówić do Vashona. On mi powiedziec, co zrobić z sukienka.

Aurora odwróciła się.

- Tak, ale powiedz mu, co j a powiedzialam, zeby z nimi zrobili

- Ja powiedziec ty mu powiedziec ... ? - Tsingtsin potrząsnęła głową. - Tak. pani. Ja powiedziec. - Ukłonił się i wyszedł, zostawiając suknie i zabierając całą armię służących.

Nie chciała nawet spojrzeć na ubrania.' Przez prawie godzinę układała włosy. ale kiedy skończyła toaletę i włożyła Koondze do miski ostatniego banana. stanął przed nią problem, co zrobić z resztą dnia. Wydawało się jej, że stos sukienek rośnie i rośnie, aż w końcu nie mogła dłużej ich ignorować.

Wzięła ze wstrętem jedną z nich. Oczywiście, była wytwoma. Piraci nie rabują sukienek z prostego płótna, takich jakie nosi się w sierocińcu. Ta była uszyta z niebieskiego jedwabiu i oblamowana złotą nicią na szwach i wzdłuż rękawów. Wyglądała na strój jakiejś damy dworu, bo była nienagannie skrojona. miała mały tren i ozdobne frędzle przy krótkich. bufiastych rękawach.

Podeszła do dużego lustra w ramie zwieńczonej złotym wieńcem laurowym otaczającym literę ,które - jak podejrzewała - należało kiedyś do cesarzowej Józefiny, i przymierzyła suknię. podnosząc ją do ramion.

Jeśli lustro nie kłamało suknia wyglądałaby na niej cudownie. Złote lamówki podkreślały brzoskwiniowy kolor jej *skóry*. a błękitny jedwab doskonale pasował do jej niebieskich oczu.

Wyciągnęła ręce przed siebie i tęsknym wzrokiem przyjrzała się sukni. Nie mogła jej włożyć. Byłoby to sprzeczne z jej zasadami. Mimo to nie mogła się oprzeć. by nie pogładzić ręką luksusowej tkaniny. Miała na sobie swoją najlepszą sukienkę. która wyglądała jak łachman przy tej wytwomej toalecie.

Nie. choćby nie zostało jej nic. to zostaną przynajmniej zasady. Odłożyła więc suknię na łóżko i czekała. aż przyjdzie Tsingtsin i zabierze ją.

- Vashon! Vashon! - krzyknął z kuchni Tsingtsin do Vashona. który zajechał galopem przed stajnię. osadził konia i zsiadł. Gniady ogier lśnił. lecz nie od potu. a od wody. gdyż Vashon każdego ranka urządzał sobie przejażdżkę wzdłuż plaży.

- Vashon! - krzyknął ponownie Tsingtsin. biegnąc w jego stronę. z powiewającą na wietrze długą. siwą brodą. - Pani nie brać sukienka~ Pani nie brać sukienka! Duży problem!

- Nie chce. tak? - powiedział. dając wodze czarnemu stajennemu.

- Mówi ja brać z powrotem sukienka! Vashon omal się nie roześmiał.

- Duży problem! Ja nie brać z powrotem sukienka bez ty powiedziec ja brać!

- zajmę się tym. - Vashon wziął lniany ręcznik. który przyniósł mu inny służący. Wytrzeł z twarzy i z piersi krople wody.

- Ty mówić z pani? - spytał Tsingtsin.

- Pomówię z nią - odparł.

- Ona mówić jedna rzecz.

- Co takiego?

Tsingtsin zastanawiał się chwilę, jak gdyby było to coś skomplikowanego i musiał się skupić, by przekazać to dobrze.

- Ona mówić ja mówić ona mówić, gdzie ty dostać ta sukienka. - Uśmiechnął się i ukłonił, zadowolony, że udało mu się powiedziec wszystko dokładnie.

Vashon wybuchnął śmiechem. Popatrzył na koniec skrzydła domu, w którym znajdował się pokój Aurory. Przez żaluzje widział, że stoi tam i przygląda się mu.

- Ty chcieć, żeby ja teraz zabrać sukienka?

Vashon zachichotał.

- Dziękuję ci, Tsing, ale myślę, że lepiej będzie, jeśli sama mi to powie. - Rzucił ręcznik służącemu i skierował się w stronę domu.

Aurora aż podskoczyła, kiedy nagle otworzyły się drzwi do jej pokoju. Na progu stał pólnagi Vashon, w białych, obsypanych piaskiem spodniach, które podkreślały jego opaleniznę. Choć widywała go codziennie przez okno, od chwili przybycia na wyspę nie rozmawiała z nim ani razu.

- Czego chcesz? - spytała wyzywająco.

- To tylko krótka wizyta - powiedział z drwiną w głosie. - Tsing mówi, że nie podobają ci się sukienki.

- zastanawiam się, kogo zabiłeś, żeby je zdobyć - powiedziała, doskonale wiedząc, że go prowokuje.

- Nie zrobiłem nic takiego. - Uśmiechnął się niewesoło. - Statek płynął z Włoch. Zabrałem te sukienki na wyraźny rozkaz regenta.

- Nie wierzę.

- Taka jest prawda. Regent sądził, że na tym statku jest księżniczka Karolina i w tajemnicy polecił go zatopić. Oczywiście wiedziałem, że Karolina nadal przebywa w Villa d'Este, ale będąc tym, kim jestem, zrobiłem to, za co mi regent zapłacił. Pozwoliłem jednak załodze wyskoczyć za burtę i pewnie ucieszy cię wiadomość, że nie polara się ani kropla krwi.

- Nie wierzę ci nic a nic. - Zaśmiał się. - Sam sobie zaprzeczasz. Czy regent chce cię powiesić czy nobilitować? Brzmi to tak, jak gdyby księżę jedną ręką karał cię, a drugą nagradzał. A poza tym, kto by uwierzył, że regent chciał zgładzić księżną Walii.

Stał w milczeniu, przykładając jedną rękę do piersi, jakby zdumiony, że podaje jego słowa w wątpliwość.

- No cóż - powiedział w końcu - myślę, że uwierzyłyby w to regent. Następny razem, kiedy będę z nim grał w Hotelu Neron w faraona czy jen d'enfer, postaram się, żeby dał mi to na piśmie. Jestem pewien, że to zrobi, kiedy powiem mu, że to dla ciebie.

- Świetnie - rzekła sarkastycznie. - Teraz pewnie powiesz mi, że te suknie należały do księżnej?

- Niezupełnie. Najwidoczniej po pojawieniu się naszej drogiej Karoliny w Genui, księżę zamówił dla niej te suknie i kazał je wysłać nad jezioro Como. ale odmówiła ich przyjęcia. Jestem pewien, że domyślasz się, dlaczego.

- Przykro mi, ale nie - odparła, zniecierpliwiona słuchaniem tej absurdalnej historii.

- Nie są w jej guście, nie sądzisz? A poza tym mógłbym dodać, że są ciut za wąskie.

Popatrzyła na niego. Słyszała, że księżna jest ... otyła. I że jej gust bardziej przypomina gust jarmarcznej baby niż przyszej królowej, ale ta historia była absurdalna. To niemożliwe! Nabiera ją, a kiedy mu uwierzy, będzie się z niej śmiała.

- Przykro mi, ale ci nie wierzę. - Patrzyła zdenerwowana, jak podchodzi do niej.

- Znaczy to, że twoim zdaniem zabrałem je raczej z jakiegoś płonącego statku. - Powoli zbliżył się do niej. Odsunęła się. - Ze statku, który złupiłem, zgwałciwszy przedtem damę, do której należały. - Szedł za nią krok w krok. Podeszła do sekretarzyka, on za nią. Podeszła do łóżka, on za nią. Rzuciła się do drzwi złapał ją.

Roześmiał się.

- Myślisz, że wszystko. co mam. pochodzi z rabunków morderstw i grabieży. - Pociągnął ją w stronę łóżka. Walczyła jak dzika kotka. - Myślisz. że taki właśnie jestem. co? - Złapał ją w pasie i podniósł, aby mogła spojrzeć mu prosto w oczy. - Myślisz. że jestem jakimś potworem. Piratem, który morduje, gwałci, rabuje i nurza się we krwi.

Ciężko dysząc z wysiłku, popatrzyła mu w oczy. Choć przyrzekła sobie niezłomnie, że wyrzuci to na zawsze z pamięci. wspomnienie nocy na Grand Talimenie powróciło z całą ostrością. Pamiętała, jak trzymał ją

blisko siebie, jak ją do siebie przyciskał. Pamiętała też dotyk jego rąk rozpalający w niej pożądanie. Kiedy sobie przypomniała, jak bardzo go wtedy pragnęła, wybuchnęła gniewem.

- Bo taki właśnie jesteś! - krzyknęła.

Rzucił ją nagle na stos sukien. Utonęła w jedwabiach i satynach, ale zaraz wydostała się. Chwycił ją za rękę i wepchnął na powrót w stertę ubrań. Na ustach miał ponury uśmiech.

- No to zabawmy się w piratów, co? - rzekł szeptem, zaczęła się wyrывać, ale nagle pochylił głowę i spróbował ją pocałować.

- Przysięgałeś, że nigdy mnie już nie dotkniesz - powiedziała mierząc go gniewnym wzrokiem.

- Ależ, kochanie, trzeba wyciągnąć wnioski. Piraci przecież kłamią.

Zaparło jej dech.

- Robisz to, żeby mnie przestraszyć! - wykrztusiła.

- I odnosi to skutek. - Uśmiechnął się i na nowo zaczął szukać jej ust. Rzuciła głowę na boki, a on cały czas śmiał się jak wariat. Szarpnęła się w bok i z wściekłością zatopiła zęby w jego nadgarstku.

Wyrwał rękę i wtedy mogła usiąść. Odepchnęła go, zła, że zmusił ją, by zachowała się jak dzikuska.

- zasłużyłeś na to! - warknęła.

- Być może. - Wstał i podał jej rękę, by mogła się podnieść.

Patrzyła na niego, nie wiedząc, czy nie szykuje nowego podstępu, ale wyraz jego oczu przekonał ją, że tym razem chce zabawić się w dżentelmena.

Ujęła jego dłoń i zsunęła się z łóżka. Stojąc, wygładzała pomiętą sukienkę i sprawdzała nerwowo, czy nie odpięła się jej wstawka. Kiedy podniosła głowę, stwierdziła z ulgą, że przygląda się jej poważnym i trzeźwym wzrokiem. Widać było, że ma zamiar dotrzymać przyrzeczenia i zostawić ją w spokoju. Ucieszyła się. Nie chciała się więcej z nim szamotać. Zdumiało ją jednak, że poczuła w środku dziwną pustkę.

- zaczekaj. - Wziął ją za ramię. Odwróciła się.

- Masz ... potargane ... włosy. - Wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy z twarzy. Nie cofnął jednak zaraz dłoni, poprawiając jakiś pukiel i zanim zdołała sobie sprawę z tego, co robi, podniosła rękę i dotknęła jego palców.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Widziała w jego oczach wewnętrzną walkę. Wiedziała, że chce ją pocałować i że walczy z tym pragnieniem tak samo, jak ona.

Otworzyła usta, ale zanim zdążyła powiedzieć choć słowo, pocałował ją namiętnie.

Chciała się cofnąć. Nie trzymał jej, dotykał tylko ustami, lecz dotknięcie to wystarczyło, by opuściły ją siły. Serce tłukło się jej w piersi jak oszalałe, gdy powoli przechylił ją i przewrócił na łóżko. Jęknęła, nienawidząc go i jednocześnie pragnąc, ale całował ją coraz mocniej, głośząc w ten sposób swoje zwycięstwo nad nią i własną przegraną.

Nie wiedziała, jak się bronić. Jego palący pocałunek sprawił, że się poddała. Gardząc sobą rozchylił usta. Wsunął język i poczuła na jego wargach sól, która została tam po porannej kąpieli w morzu. Westchnął i przesunął dłońmi po jej ciele, szukając piersi. Głos wewnętrzny mówił jej, że powinna uciekać i zapomnieć o tym, co czuje, lecz inny głos, głos szokująco bezczelny mówił coś dokładnie przeciwnego. Szlochając cicho, czekała na jego dotyk, dotyk, którego pragnęła, ale którego się bała. Zesztywniała od tej wewnętrznej walki i to chyba go otrzeźwiło. Poderwał głowę i popatrzył na nią, leżącą na bezładnej stercie sukienek. Zamknął na chwilę oczy, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się z nim dzieje, a potem gwałtownie wstał.

Usiadła i zobaczyła, że poprawia spodnie w kroku. Kiedy uświadomiła sobie, dlaczego to robi, szybko odwróciła głowę i poczuła, że się czerwieni.

- Nie rób tego nigdy więcej - wykrztusiła nie śmiejąc oderwać wzroku od kręconej kolumnienki łóżka. - Nigdy więcej słyszysz?

Usiadł sztywno na sofie i wyciągnął nogi.

- Nie pochlebiaj sobie.

- Nie pochlebiam sobie - Spojrzała na niego a kiedy zobaczyła, że się uśmiecha, w jej oczach błysnęła



wściekłość. - Czego chcesz? - warknęła. - Po co tu przyszedłeś? Mogę się założyć że nie z powodu sukienek.

Nie odpowiedział.

Zrobiła zadowoloną minę.

- Nie potrafisz rozszyfrować wierszyka co?

- Tak.

To że przyznał się do niepowodzenia sprawiło jej niemalą satysfakcję.

- I chcesz, żebym ci w tym pomogła. tak? Myślisz, że być może mnie udałoby się rozgryźć ten szyfr?

Nie rzekł nic. Była zachwycona.

- A więc, żebyś wiedział, że przysięgam zatrzymać wszystkie informacje dotyczące Gwiazdy dla siebie. Jednakże mogę cię pocieszyć, że mnie też nie udało się odszyfrować tajemnicy wierszyka. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Ale jeśli mi się uda, to zapewniam cię, że będziesz ostatnią osobą, która się tego dowie.

Uśmiechnął się krzywo:

- Touche.

Nagle Koonga wytknęła łepkę zza baldachimu. Aurora spojrzała na nią i małpka skoczyła jej w ramiona.

- Widzę, że już z nią lepiej - zauważył.

- Tak. Po prostu potrzebowała trochę matczynej opieki.

- Lepiej powiedz mi wszystko, co wiesz o tym wierszyku bo inaczej zatrzymam cię tu tak długo, że ta małpka będzie jedynym stworzeniem, które zazna z twojej strony matczynej opieki.

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

- Co ty powiesz? Aż tak długo? - rzekła ironicznie.

- Przynajmniej na sto lat.

A co z Flossie?

- Flossie popłynie do domu pod koniec tego tygodnia. Mam tu jeszcze jeden statek. "Odważnego". Odpłynie na st. George, gdy tylko będzie gotowy do rejsu.

Aurora zagryzła wargi. Od razu zaczęła zastanawiać się, jak się dostać na "Odważnego" i uciec. Musiała uciec, żeby nie oszaleć jak on.

- Aha, myślimy o ucieczce, co? - przyglądał się jej leniwie. - No więc, myszko, zapewniam cię, że tu zostaniesz. Potrzebuję kogoś, kto mi powie, jak znaleźć Gwiazdę.

- Powinieneś pozwolić mi odpłynąć na "Odważnym". Vashon. Po tym, co się stało, nigdy niczego się ode mnie nie dowiesz. I nie wydusisz ze mnie nic siłą. Najgorsze ... już mi zrobiłeś.

Uśmiechnął się.

- Są inne sposoby, niektóre nie tak łagodne. Mamy wypróbować je na tobie?

Szybko odwróciła wzrok. Jego gruboskómość nie przestała jej szokować.

Westchnął głęboko.

- Widzę, że dalej masz zamiar walczyć ze mną, Auroro, i oddam ci sprawiedliwość - walczysz dobrze. Ale - rzekł z naciskiem - n i e d a m ci wygrać. Znajdę Gwiazdę. A ty mi w tym pomożesz. Dlaczego więc nie powiesz mi od razu, co wiesz? Jeśli to zrobisz, przed zimą będziesz w przytulnym domku na St. George.

- Nie pomagam piratom - powiedziała, nie patrząc na niego.

- Świetnie. - Wstał i podszedł do drzwi. Przed wyjściem zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał. - Aha, postanowiłem wypuścić cię stąd dzisiaj na kolację. Nie zdecydowałem jeszcze, jakiej metody użyć, żeby skłonić cię do mówienia, więc tymczasem zjemy razem kolację. Muszę jakoś zabić nudę. Włóż ... - Popatrzył na stertę sukienek na łóżku. - Włóż tę - powiedział, wskazując na leżącą na wierzchu suknię z niebieskiego jedwabiu, którą wcześniej oglądała.

- Nie włożę - powiedziała, najeżywszy się. - Te wszystkie suknie mają nie przyzwoicie głęboko wycięte dekolty. Nie będę ich nosiła.

Jego spojrzenie ześliznęło się najej biust, a potem powędrowało ku twarzy.

- - Hmm, skoro udowodniłaś mi niezłomie, że nie potrzebujesz żadnych sztucznych środków do powiększania piersi, czas już, żebyś udowodniła to całemu światu. Bądź gotowa o ósmej. Jeśli nie będziesz gotowa, kiedy przyjdę po ciebie, to nie tylko nie wezmę pod uwagę możliwości twego odpłynięcia na "Odważnym", ale sam cię ubiorę. Zapewniam cię, że zrobię to z prawdziwą przyjemnością.

Uśmiechnął się i raz jeszcze spojrzął na jej falującą ze wzburzenia pierś. Kiedy wyszedł, wzięła pierwszą z brzegu rzecz, a był to kosztowny francuski dzwonek, i cisnęła nią w zamknięte drzwi.

\*\*\*

Mieszkańcy Hamilton patrzyli z drżeniem serc, jak "Maria Magdalena" wpływa do portu. Pirat Fontien był dobrze znany kupcom z Bermudów, gdyż wielu z nich straciło cenny ładunek, kiedy zatrzymał ich gdzieś pośrodku Atlantyki. Stojąc na dziobie, Peterborough patrzył z zadowoleniem na przestraszone miny robotników portowych, rzucających ukradkowe spojrzenia na statek dobijający do nabrzeża. Lubił, kiedy ludzie się bali. Wtedy najlepiej było załatwiać interesy.

- No i jak podobają ci się Bermudy? - spytał Asher, stając obok niego. - Mnie się podobają - ciągnął tonem towarzyskiej rozmowy. - Chciałbym znaleźć jakąś miłą plażę i leżeć tam, dopóki moje kości nie rozsypią się w proch. Jakies spokojne miejsce w którym nie rzuca człowieka w przeciwną stronę, niż chce iść.

Peterborough przymknął oczy.

- Jeśli dostaniemy Gwiazdę, możesz się tu gdzieś osiedlić. Kiedy dopłyniemy do Mirage?

- Kapitan mówi, że za parę tygodni. Czyżbyś miał już dosyć tej szaleńczej wyprawy?

- Mam nadzieję, że zachowasz swój cięty dowcip, kiedy spotkamy się z Vashonem.

Niezadowolony Asher odwrócił głowę. Powoli przyzwyczajał się do uszczypliwych uwag. Popatrzył na ruchliwe nabrzeże, ale wicehrabia zdawał się nieodparcie przyciągać jego uwagę, bo znowu przeniósł wzrok na niego.

Peterborough wyglądał na zmęczonego. Oczy nie błyszczały mu już tak, jak przedtem, a policzki i brodę pokrywał jednodniowy zarost, jak gdyby był zbyt zajęty, aby się ogolić. Nadal jednak tkwił w szponach obsesji, która czyniła go tak przerażającym. Patrząc na jego rozwiane włosy i twarz wykrzywioną złością, Asher zastanawiał się, czy kiedykolwiek przedtem widać to było tak wyraziście.

Wicehrabia odwrócił głowę i przyłapał Ashera na tym, że mu się przygląda. Asher szybko odwrócił wzrok.

- Spytałbym, Asher, czego chcesz, ale masz to aż nazbyt wyraźnie wypisane na twarzy.

Asher zmieszał się.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że zanim wypłynęliśmy, przysłał ci to Azedyn, ale zapomniałem to przekazać. - Nerwowo wyciągnął sakiewkę i sięgnął do niej ręką. Wyjął pukiel ciemnych, ze złotawym odcieniem, włosów. - Myślisz, że to jej włosy? - spytał, podając je wicehrabiemu.

Peterborough - wziął je ostrożnie, jakby naprawdę były utkane ze złota.

- Taki niespotykany odcień miał Michael Dayne - szepnął. - Na Boga, Vashon ją ma. Przysięgam, że jeśli dopłyniemy na Mirage, nigdy już jej nie zobaczy.

Asher popatrzył na niego, a potem wzruszył ramionami, jakby miał do czynienia z wariatem.

Za pięć ósma ktoś zapukał do drzwi. Aurora otworzyła, spodziewając się ujrzeć Vashona, ale zamiast niego stał tam Tsingtsin, trzymając w ręku kilka skórzanych pudełek.

- Pani, Vashon dać to ciebie. - Wręczył jej pudełka. Skłonił się nisko i wyszedł, ale nie zapomniał zamknąć drzwi na klucz.

Wściekła, że tego wieczoru nie ma końca irytującym zdarzeniom, rzuciła pudełka na łóżko i zajęła się końcowymi przygotowaniem swej toalety.

Miała na sobie tę niebiesko-złotą suknię. Nie włożyła jej bynajmniej bez wahania. Przeciwnie, całe

popołudnie chodziła tam i z powrotem po chłodnej posadzce, zastanawiając się, co robić. W końcu jednak postanowiła nie drażnić go tego wieczoru. zawsze była przecież, niewielka co prawda. szansa, że pozwoli jej odpląnąć z Flossie na "Odważnym", a poza tym była przekonana, że spełni swą groźbę i sam ją ubierze. Nie miała zamiaru sprawiać mu tej przyjemności.

Popatrzyła w lustro i spróbowała podciągnąć nieco w górę głęboko wyciętą suknię. Nigdy w życiu nie myślała, że pokaże się publicznie w takim stroju. Na długość suknia pasowała idealnie, ale stanowczo za mało zakrywała z przodu.

Zagryzając usta. przyglądała się uważnie swemu odbiciu w lustrze. Ta suknia była majstersztykiem. Nigdy jeszcze nie widziała równie wspaniałego stroju. Absurdalne opowiadanie Vashona, że uszyto ją dla księżnej Walii było oczywiście kłamstwem. ale musiała przyznać, że suknia istotnie nadawałaby się dla damy z królewskiego rodu.

Usiadła na sofie i włożyła białe, satynowe pantofelki. Dokończyła toalety, zakładając miękkie, sięgające do łokci, rękawiczki z kozłowej skóry i wtedy jej wzrok padł na przyniesione przez Tsingtsina pudełka. które czerniły się na białym pokryciu łóżka jak plamy atramentu.

Zupełnie o nich zapomniała.

Podeszła do łóżka i otworzyła je. Były w nich prawdziwe skarby: złote diademy, naszyjniki z rubinów i długie łańcuszki z zawieszonymi na końcach malutkimi. złotymi flaszeczkami perfum. Skonstemowana, otwierająca wykonane na zamówienie szkatułki, wysadzone drogimi kamieniami, brylantami. szmaragdami, perłami. Były w nich gamitury kunsztownie wykonanej biżuterii. niektóre w stylu greckim, inne w egipskim, jeszcze inne w etruskim, a nawet *ferroniere*, wisiorok z dużą perłą do zawieszania na czole, przypinany do złotego łańcuszka okalającego głowę.

Gdyby mogła uciec z Mirage z jedną dziesiątą tych klejnotów to stałaby się bogatsza, niż wyobrażała sobie w najśmielszych marzeniach.

Z rozmyślań wyrwało ją energiczne pukanie do drzwi.

Usłyszała, że w zamku przekręca się klucz i w progu stanął Vashon. Nie można go było opisać inaczej niż jako

- oszałamiająco przystojnego. Jak zawsze, ubrany był skromnie. Miał czarne spodnie, nie nagannie wyczyszczone buty, białą kamizelkę i modny, wysoko zawiązany krawat. Włosy miał zebrane w warkocz i gdyby nie srebrny kolczyk w lewym uchu, nikt nie wziąłby go za pirata.

Był wyraźnie zadowolony, że widzi ją w sukni, którą wybrał. Spodziewała się, że zrobi triumfującą minę, jak gdyby wygrał jeszcze jedną bitwę, toteż zaskoczył ją wyraz oszołomienia w jego oczach. Kiedy podeszła do niego, wydawało się, że nie może się jej napatrzeć.

- Ta suknia jest naprawdę godna ciebie, kochanie powiedział cicho.

Po raz pierwszy zdarzyło się, że się zarumieniła, mimo że jej nie obraził. Nie mogła też zareagować obojętnie na słowo "kochanie". To zdawkowe słówko brzmiało w jego ustach zbyt uwodzicielsko i wypełniło ją dziwnym, choć niezupełnie niemiłym, uczuciem.

- Idziemy? Miałam nadzieję, że po kolacji pozwolisz mi złożyć wizytę Flossie - powiedziała.

- Tak szybko chciałabyś się pozbyć mego towarzystwa? Przeszyła go spojrzaniem ostrym jak szpada. Wybuchnął śmiechem.

- - Dobrze, zabiorę cię do Flossie. P o kolacji. Ale gdzie masz klejnoty, księżniczko? Nie spodobało ci się nic z tego, co przysłałem?

Wziął ją za rękę i podprowadził do łóżka. Pogrzebał w pudełkach, wyjął kilka klejnotów i wcisnął jej w rękę.

- Nie, Vashon, naprawdę. Nie mogę tego włożyć ... zaczęła bezradnie. Nałożył jej złotą bransoletkę wysadzaną różowymi kameami.

- A co powiesz o tym? - Wziął dwa kolczyki z brylantowymi wisiorkami niezwyklej długości.

- Nie, nie. Nie mogę ich założyć.

Popatrzył na jej nieprzekłute uszy i rzucił kolczyki na łóżko.

- Vashon, ja naprawdę nie chcę nosić tej biżuterii.

- Nie zamordowałem dla nich nikogo, jeśli to cię gnębi - powiedział takim tonem, jakby się bronił przed bezpodstawnymi zarzutami.

- Wierzę ci - odparła - ale to nie są rzeczy dla mnie. Mogę nosić medalion, *który* dostałam od ojca, ale nie to. W tych klejnotach wyglądałabym głupio. Jeszcze głupiej niż w tej sukni. - Wstyd jej było spojrzeć mu w oczy po tym wyznaniu, ale taka była prawda. Nie była księżną Walii, lecz dziewczyną, która została wychowana w sierocińcu i krępowalają ją sama myśl o tym, że miałyby założyć te bezcenne klejnoty.

Przyglądał się jej badawczo. Potem obrócił wzrok na łóżko. Wziął garść klejnotów i powiedział:

- Te błyskotki muszą ci się wydawać wulgame.

Nie odpowiedziała. Myślała, że jest zły, ale wtedy zrobił coś, czego absolutnie by się po nim nie spodziewała. Poglądził ją po policzku i powoli wyjął spinki z jej włosów. Była zbyt zaskoczona, aby go powstrzymać, więc po chwili jej włosy opadły na plecy lśniąca czerwonożółtą kaskadą.

- Bo mnie wydały się nagle bardzo wulgame - szepnął i pocałował ją delikatnie w usta. Wyraz jego twarzy zmienił się. Popatrzył na jej suknię i uśmiechnął się kwaśno. - Ale widzę, że będziesz nosiła przynajmniej te suknie, Auroro. Wyglądasz tak ślicznie.

Myślała, że znowu ją pocałuje, ale zaskoczył ją jeszcze raz. Znienacka odsunął się i wskazał ręką drzwi.

Jedli na marmurowym tarasie, z którego roztaczał się wspaniały widok na czarną plażę. Słońce chowało się powoli w mgłach otaczających szczyt Soufriere. Po obu stronach tarasu rosły strzeliste drzewa, obsypane ognistymi czerwonymi kwieciami. Powoli całą okolicę ogarnął ciemnoturkusowy półmrok. Zaczął wiać lekki wietrzyk, który przynosił skądś zapach pomarańczy.

Podmuch wiatru łagodnie odgarnął Aurorze włosy z czoła. Patrzyła na Vashona siedzącego po drugiej stronie stołu. Kolacja była oczywiście wystawna - sałatka z owoców drzewa chlebowego i papai, perliczki kupiorie na targu w Basseterre i na koniec ananas, smakołyk, którego Auroro nigdy nie miała dosyć.

Vashon nabił plasterek na widelec. Patrzyła, jak podnosi go do ust, a potem odgryza kawałek. Nie wiadomo dlaczego, wydało się to jej dziwnie podniecające, więc spojrzała ponownie, tym razem uważniej - śledząc ruchy jego sił-

nych szczęk, przyglądając się, jak wargi zaciskają się na widelcu i myśląc o smaku ananasa.

- Dobrze się bawisz?

Przyjrzała się wreszcie jego twarzy. Uśmiechał się, jak gdyby czytał w jej myślach.

Zmieszana, zajęła się swoim talerzem, ale obraz Vashona jedzącego ananasa tkwił jej stale przed oczami, zamknęła powieki, ale nic to nie pomogło. Nadal widziała, jak próbuje owoc językiem, jak miażdży go zębami.

Wzdrygnęła się. Co się z nią dzieje, że nie może pozbyć się tej perwersyjnej fascynacji?

Zaniepokojona ugryzła kawałek plasterka ze swego talerza. Żuła go z roztargnieniem, dopóki nie spojrzała przypadkiem na Vashona i nie zauważyła, że tym razem on przerwał jedzenie i przyglądał się jej tak samo intensywnie, jak przed chwilą ona jemu.

Przełknęła szybko i omal się nie zakrztusiła. Miała wrażenie, że w żołądku utkwił jej kawał drewna.

- Czemu się tak przypatrujesz? - wydusiła z siebie. Położył łokcie na stole i oparł brodę na dłoniach. Nie uśmiechał się, ale w oczach miał wesołe iskierki.

-- Temu samemu, co ty.

- Nie patrzyłam na ciebie w ten sposób! - Próbowała zachować obojętność, ale te iskierki w jego oczach sprawiały, że czuła się nieswojo.

- Ależ zapewniam cię, że patrzyłaś dokładnie w taki sposób.

- Na ... naprawdę nie wiem, o czym mówisz - powiedziała z jeszcze większym zmieszaniem.

- Aha, rozumiem. Pozwól więc, że to WJ. jaśnię. - Wyciągnął do niej widelec, z kawałkiem ananasa na końcu, a potem, co wydało się jej obsceniczne, zdjął owoc końcem języka i wessał. - Czy to na to patrzyłaś z takimi zachwytem?

Mimo iż się zaczerwieniła, starała się zrobić oburzoną minę ..

- Nie bądź śmieszny! Czy można zachwycać się patrząc na kogoś, kto je?

Uśmiechnął się złośliwie.

- Wierz mi, znam różne rodzaje ekstazy. - Wziął z tacy owoc i położył przed nią jak pistolet pojedynkowy. -  
Może. zaczniemy od tego, że zjesz banana?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

- Tym lepiej.

Patrzyła na niego podejrzliwie, jak gdyby myślała, że zwariował. Nie rozumiała, o co mu chodzi i niepokoiło ją to.

Uśmiechnął się i włożył do ust jeszcze jeden kawałek ananasa. Kiedy zauważył, że obserwuje go, wysunął język i patrząc na nią, oblizwał powoli usta.

Oburzona jego lubieżnym zachowaniem, odwróciła wzrok i zajęła się na powrót kolacją. To, co mówił, było zupełnie pozbawione sensu, nie miała więc zamiaru zastanawiać się nad tym. Najlepiej będzie, jeśli go zignoruje.

Niestety, nie było to takie proste, tym bardziej, że śledził każdy jej ruch, od podniesienia widelca poczynając, a na przełykaniu kończąc. Wydawało się jej, że trwa to już wiele godzin. W końcu nie mogła już dłużej tego znieść. Odłożyła widelec i podniosła się.

- Flossie na pewno zachodzi w głowę, gdzie się podziewam. Muszę już iść - oznajmiła.

- Flossie nie wie o tym, że masz do niej przyjść. Usiądź. - Zmusił ją wzrokiem, by wróciła na krzesło. Usłuchała go, choć niechętnie i z ociąganiem.

- Jeszcze nie skończyłaś. - Popatrzył na jej w połowie zaledwie opróżniony talerz.

Odsunęła nakrycie. - Skończyłam.

- W porządku. A więc siedź i czekaj, aż ja skończę. - Zajął się jedzeniem, cały czas sprawiając wrażenie jakby się wyśmienicie bawił, i to jej kosztem.

Nie miała zamiaru dawać mu tej satysfakcji. Ignorując go, patrzyła na morze, które teraz wyglądało jak granatowa wstążka.

Kiedy skończył, Tsing podał mu brandy, a jej herbatę.

Zastanawiała się, kiedy wreszcie ten ciągnący się niemiłosiernie posiłek dobiegnie końca. Wtedy niespodziewanie wyjął coś z kieszonki kamizelki i rzucił jej.

Spojrzała na obrus. Leżał tam jej medalion. Powoli wzięła go do ręki i podniosła.

- Oddajesz mi to? - spytała.

- Nie powinienem. W końcu prawnie należy do mnie.

- Tak usprawiedliwiasz każdy rabunek? - Uśmiechnął się i upił brandy.

- Wiesz, Auroro, nie przypuszczałem, że jesteś tak zawzięta.

- To moja jedyna przyjemność.

- Jestem w kłopotcie. Musisz mi rozszyfrować ten wierszyk. Mam cię do tego skusić słodyczą czy -  
popatrzył na bursztynowy płyn w kieliszku - zmiażdżyć jak kwiatek pod butem?

Spojrzała na niego z pochmurną miną.

- Duży problem - rzekł cicho, naśladowując Tsingtsina.

Oderwała od niego wzrok. Choć noc była ciepła, a suknia zbyt bogata jak na ten klimat, poczuła nagle dreszcz. Jak mogła czuć się tak swobodnie w obecności tego przestępcy? Chwilami zapominała, kim on jest i na czym mu zależy. Potem robił czy mówił coś, co przypominało jej jaką siłą dysponuje.

- A w jaki sposób chcesz mnie zmiażdżyć? - spytała.

- Nie będzie to dla mnie miłe - rzekł i tym razem uwierzyła mu. Jednak fakt, że nie sprawi mu to przyjemności nie znaczył bynajmniej, że tego nie zrobi.

- Jeśli myślisz, że uda ci się powtórzyć taką noc, jak na Wielkim Talimencie, to jesteś w błędzie - powiedziała wyzywająco.

- Jeśli ta noc zepsuła ci humor, to mógłbym się postarać, żeby następna przypominała przechadzkę w ogrodach Kensington.

Wierzyła, że nie udaje.

- Grozisz mi gwałtem? - spytała.

- W ogóle nie chcę ci grozić. Chcę tylko odnaleźć ten szmaragd i potrzebny mi jest klucz do miejsca jego ukrycia. Niestety, ty jesteś tym kluczem.

Milczała.

Odsunął się na oparcie krzesła i skrzyżował ramiona na szerokiej piersi.

- Oczym myślisz, Auroro? O zgodzie? Ustalasz warunki w tej swojej główce?

Spojrzała na niego ze złością.

- Oczywiście, że nie - powiedziała 'wyniośle'. - Nawet półgłówki wie, że nie można wchodzić w żadne układy z diabłem.

Roześmiał się.

- O tak, już widzę tę pruderyjną pannę Dayne, jak podpisuje pakt z szatanem. - Pociągnął łyk brandy i zachichotał. Wyraźnie poprawił mu się humor. - Wiesz co, Auroro, nie mówiłem ci o tym, ale kogoś mi przypominasz. Kogoś, kogo bardzo poważałem.

- A kto to był? - spytała szybko. Nie mogła sobie wyobrazić żadnej uczciwej osoby, którą darzyłby poważaniem.

- Panna Prendergast. Stara Prinny, jak ją nazywaliśmy. Była moją guwernantką i zwolenniczką surowej dyscypliny. Sprawiałem jej dużo kłopotu ... - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Ale mimo tych wszystkich ropuch pod łóżkiem i pajaków w biurku, próbowała do samego końca zmienić mnie. Prawdę mówiąc, przyjaźniliśmy się. Myślę, że w głębi duszy musiała mi zazdrościć tej dzikości, a ja zazdrościłem jej pobłażliwości, której wydawała się mieć nieskończone zasoby. - Umilkł na chwilę. Zdawało się, że myślami jest daleko od Mirage i przypomina sobie wszystko ze szczegółami. Potem jednak spojrzał na nią i powiedział: - Tak, przypominasz mi ją, Auroro. Była taką samą sztywną, pruderyjną starą panną jak ty. Nawet moja matka tak myślała. Pamiętam, jak kiedyś powiedziała naszemu kucharzowi, że pewnie trzeba by ponownego Zmartwychwstania Pańskiego, żeby z twarzy panny Prinny znikła ta kwaśna mina. - Roześmiał się.

Aurorze odebrało z wrażenia mowę. Ze wszystkich szokujących rzeczy, które jej powiedział, ta była najbardziej szokująca. Tak ją to zaskoczyło, że nawet nie zwróciła uwagi na fakt, iż porównał ją do zgorzkniałej starej panny.

Guwernantka? Ten dzikus siedzący naprzeciw niej miał kiedyś 'guwernantkę'? Zupełnie tego nie pojmowała.

- Nie rozumiem - powiedziała w końcu - Jak to ... możliwe ... że miałeś ...

- Że miałem inne życie niż teraz? - dokończył za nią.

Skinęła głową. Jego rysy stwardniały, oczy patrzyły zimno.

- No więc miałem. Prowadziłem bardzo kulturalne życie. Do trzynastego roku życia.

- A co się zdarzyło potem? - spytała szeptem. Na jego ustach pojawił się ponury uśmiech.

- Słyszałaś kiedy o białym niewolnictwie?

Z trudem udało się jej sformułować następne logiczne pytanie:

- A co to ma wspólnego z tobą?

Przeszył ją ostrym spojrzeniem. Widać było, że nie chce odpowiadać, jak gdyby to, co musiałby powiedzieć, było zbyt wstrętne, by wyrazić słowami.

- Byłem, kochana, bardzo poszukiwanym towarem rzekł w końcu.

Spuściła wzrok. Czowała się gorzej niż wtedy, kiedy opowiadał jej o człowieku, *który* napadł na niego w Kabie. Mimo wysiłków pani Bluefield, która starała się stworzyć w sierocińcu klimat dobroci i łagodności, co i rusz wdzierало się tam zło tego świata. Prowadząc sierociniec, z konieczności stykali się z różnymi niegodziwościami, które wyrządzano dzieciom. Wiedziała, o czym mówi Vashon.

Mimo woli do oczu napłynęły jej łzy. Czy poszukiwanie Gwiazdy było swego rodzaju zemstą za to, co przydarzyło mu się w dzieciństwie? Czy odpowiedzialny za to był Peterborough?

Nie знаła odpowiedzi na żadne z tych pytań, ale uważała, że teraz zrozumiała przynajmniej jedną stronę jego charakteru. Trzynastoletni, wychuchany chłopiec, który miał matkę, guwernantkę, a nawet kucharza, znalazł się nagle sam w Algierze i musiał walczyć nie tylko o życie, ale nawet o honor. Mogła sobie wyobrazić, jak to wszystko zahartowało go, jak znieczuliło na okrucieństwo i jak uformowało człowieka, który teraz siedział naprzeciw niej.

Podniosła wzrok i ich spojrzenia się spały. Chociaż rozsądek mówił jej, by się nie rozczulała, nie mogła ukryć współczucia, które czuła dla niego. Gdy ujrzał jej minę, jego twarz przybrała lodowaty wyraz, a to zabolowało ją jeszcze mocniej.

- Poruszyło cię moje opowiadanie, co? - spytał, patrząc z obojętnym zainteresowaniem na jej łzy.

- Musiałabym być pozbawiona ludzkich uczuć, gdyby mnie to nie poruszyło - odparła.

- Masz łagodną duszę, Auroro - rzekł. - To się rzadko spotyka. Przeraza mnie, jak bardzo bezbronną cię to czyni.

- Bezbronną?

Odwrócił wzrok.

- Chcę mieć ten szmaragd - powiedział wolno. - Ja ... przerwał. - Naprawdę sędzę, że nie cofnę się przed niczym, żeby go zdobyć. Proszę cię, nie opieraj się. Powiedz mi wszystko, co może mi pomóc go znaleźć. Pomóż mi. Nie ... wystawiaj mnie na próbę.

Po krzyżu przebiegł jej dreszcz. Bez względu na to, jak było jej żal tego trzynastolatka, musiała pamiętać, że on już nie istnieje, że jego miejsce zajął smok.

Otarła łzy chusteczką.

- Sam sobie wyrządzasz szkodę, grożąc mi w ten sposób. - powiedziała.

- Ja nie chcę ci grozić. Chcę tylko ten szmaragd.

- żeby zemścić się na tym Peterboroughu? Czy to on posłał cię do Kazby?

Nie odpowiedział.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Wbrew temu, co ludzie mówią, Vashon, zemsta nie daje zadowolenia.

Powinien się rzucić na nią, ale ukrył wściekłość z podziwu godną zrećnością. Siedział i patrzył na kieliszek brandy.

- W porządku, Auroro. Zapamiętam twoją opinię. - Podniósł wzrok, a jego głos przybrał groźną barwę. - Zemsta daje dużo zadowolenia, kiedy nie ma się nic poza nią. I zemszczę się na Peterboroughu.

- Wobec tego współczuję ci.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem Vashon wstał. W milczeniu podał jej rękę i poszli do Flossie.

Spotkanie z Flossie dodało Aurorze ducha. Wdowa wyglądała nawet lepiej niż poprzednio. Miała zarumienione policzki i po raz pierwszy ożywiła swój monotony, żałobny strój białym kołnierzykiem. Prawdę mówiąc, Aurora pomyślała, że Flossie wygląda wspaniale i zaczęła podejrzewać, że ma to jakiś związek z Izaakiem.

Wizyta trwała krótko. Aurorę krępowało, że musi rozmawiać z Flossie w obecności Vashona, a z niepewnych spojrzeń, które wdowa rzucała na Vashona siedzącego w milczeniu w fotelu, wywnioskowała, że ona też czuje się skrępowana. Kiedy powiedziały już sobie wszystko, co mogły w tej sytuacji powiedzieć, Flossie uściskała ją i szepnęła jej na ucho, że za nic nie odpłynie z Mirage bez niej. Aurora pokiwała tylko bezradnie głową, myśląc w duchu, że Flossie prawdopodobnie nie będzie miała żadnego wyboru.

Kiedy wyszli, myśli Aurory skierowały się ku „Odważnemu”. Statek zakotwiczony był niedaleko od Mirage, ale nie mogła obmyślić żadnego sposobu, aby dostać się na jego pokład. Była tak zatopiona w myślach, że nie usłyszała, kiedy odezwał się do niej Vashon. Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Co cię tak pochłonęło, że nawet nie spojrzysz, kiedy do ciebie mówię? - spytał drwiącym tonem. Ujął kosmyk jej włosów i zaczął rozcierać w palcach.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że kiedy Flossie znajdzie się na St. George, pójdzie prosto do władz i opowie im o tobie.

Pociągnął ją lekko za włosy.

- Owszem, podejrzewam, że to zrobi.

- I nie boisz się?

- A myślisz, że jej uwierzą?

- Cieszy się tam poważaniem. Dlaczego nie mieliby jej uwierzyć?

Uśmiechnął się.

- To dość fantastyczna historia, nie sądzisz? Kobieta w jej wieku porwana przez piratów i uprowadzona na wyspę, której nie ma na większości map. Nawet gdyby byli skłonni uwierzyć jej, to czy chciałoby im się płył setki mil po to tylko, by stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który był tak uprzejmy, że odstawił ją bezpiecznie do domu, gdy tylko zorientował się, że się pomylił?

- Opowie im o mnie. Będzie im się chciało płynąć po to, żeby mnie ocalić.

- Naprawdę? - uniósł w górę brew.

- A dlaczego nie? Jestem niewinną ofiarą.

- No, już nie tak niewinną.

Spojrzała na niego, ale zaraz odwróciła oczy, nie chcąc mu sprawiać satysfakcji odpowiedzią.

Dalej gładził jej włosy.

- Pozwól, że powiem ci, jak to będzie. Flossie powiadomi władze St. George, że zostałaś porwana. Zanim w ogóle pomyślą o tym, żeby płynąć na Mirage, skontaktują się najpierw z władzami w Londynie i sprawdzą, czy ktoś zgłosił zaginięcie panny Aurory Dayne. I czego się dowiedzą? Czy John Phipps zgłosił twoje zaginięcie?

- Zmartwiła się. Machinalnie odsunęła jego rękę od swych włosów. Niestety, nikt jej nie szuka. To właśnie zapewniało cały czas powodzenie jego planom.

- Chcesz, żebym pokazał ci jutro Mirage? - spytał łagodnie.

- Jeśli pokażesz mi swoją wyspę, to potem mogę uciec.

- Tak, ale lubię emocje pogoni.

Znowu chciał wziąć w dłoń pukiel jej włosów. Dotknięta, odsunęła się. Wtedy zobaczyła, że stoją pod drzwiami do jej pokoju.

- Chcę, żebyś zjadła ze mną śniadanie. Przyślę po ciebie Tsinga.



- Dziękuję, zjem śniadanie w swojej celi. - Otworzyła podwójne drzwi. Natychmiast podbiegła Koonga i skoczyła jej w ramiona.

- Auroro.

Odwróciła się.

- Zjesz śniadanie ze swoim strażnikiem. Bądź gotowa, kiedy przyjdzie Tsing. Ku jej zdziwieniu, rzucił jej klucz od drzwi. Przyjemnie było poczuć ciężki brąz w dłoni. Spojrzała na niego pytającym wzrokiem. Odpowiedział sarkastycznym uśmiechem.

- Możesz iść, gdzie chcesz. Wszystkie drogi prowadzą z powrotem tutaj. Zresztą chciałbym cię widzieć po nocy spędzonej w mangrowcach. W tym rajku mamy stworzenia, o których może nie słyszał nawet sam diabeł.

- Zobaczymy - odparła cierpko, czując się teraz, kiedy miała klucz od pokoju, o wiele silniejsza. Nie da mu się zastraszyć. Obmyślała już plan ucieczki. Mogłaby pójść do portu i zakraść się na statek. Albo uprosić kogoś ze służby, żeby jej pomógł. Mając klucz, miała wiele różnych możliwości.

- A więc śpij dobrze, kochana. - Uśmiechnął się, a potem patrzył jak znika w pokoju. Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Koonga skrzeczała jakby się stęskniła, ale Aurora nie zwracała na nią uwagi. Miała ważniejsze sprawy na głowie. Posadziła małąkę na łóżku, a sama usiadła na brzegu. Koonga zaczęła piszczeć, więc wzięła ją na ręce i wtedy zobaczyła czerwone, długie na stopę stworzenie, które wylazło spod poduszki i pełzło w jej stronę.

Zaczęła wrzeszczeć, jakby obdzierano ją ze skóry i mocno ścisnęła Koongę. Stała wciśnięta w kąt, kiedy do pokoju wpadł Vashon z morderczym spojrzeniem.

- Tam! - wykrztusiła, pokazując na puste już łóżko. Rozejrzał się. Było jasne, że niczego nie widzi.

- O Boże, zrób coś! To było straszne!

- T o? - spytał, uspokajając się nagle.

- To było okropnie... wyglądające... stworzenie. - Czknęła i przycisnęła Koongę do piersi.

- No a jak to wyglądało? - spytał.

- To był duży, czerwony wąż! Z nogami!

Roześmiał się.

- Co w tym śmiesznego? - spytała. - O mało mnie nie zabił!

- Ale pociesz się, że jednak nie zabił. U gryzł cię?

- Chy ... chyba nie - wybąkała. - Dobry Boże, co to było?

- Krocionóg. Dość jadowity, ale jedno ukąszenie nie zabiłoby cię. Co innego gdybyś weszła na całe gniazdo ... - Na całe gniazdo! Chcesz powiedzieć, że mają gniazdo w tym pokoju?

- Chyba nie. Włazą z dworu. Czy nie zapomniałem dać ci klucza od po15oju? Nie chcę cię tu trzymać, jeśli masz ochotę trochę się powłóczyć.

Wybuchnęła płaczem. Zachowywała się głupio, ale ten okropny krocionóg rozstroił ją. Jeszcze się trzęsła.

- No, dobrze już - powiedział, podchodząc do niej. - Nie jest aż tak źle. Gdybyś chodziła w nocy po wyspie, to na pewno nie spotkałabyś więcej niż kilka krocionogów. Trzeba się tylko trzymać z dala od trzciny.

- Ty łajdaku! Na pewno sam włożyłeś mi go do łóżka. To dlatego dałeś mi klucz!

Roześmiał się.

- Ja go tu nie wpuściłem. Musiałś w końcu jakiegoś zobaczyć, ale to, że spotkałaś go tutaj, to czysty przypadek. - Wziął Koongę z jej ramion i posadził na stole. Potem . objął Aurorę. - Jeśli tak się boisz spać tutaj, to możesz przyjść do mnie. - Wycisnął gorący pocałunek na jej szyi.

Wyrwała się i krzyknęła:

- Tylko ktoś taki, jak ty, mógłby wykorzystać tę sytuację! Nie masz w ogóle honoru! Chcesz mnie uwieść, kiedy o mało co ... - Głos zamarł jej w gardle. Krocionóg wyłonił się nagle spod łóżka i znowu skierował w jej stronę. Wrzasnęła i skoczyła Vashonowi na szyję, prawie włączając na niego. zachichotał i podniósł ją do góry. Krocionóg rzucił się do okna i w mgnieniu oka zniknął za otwartymi żaluzjami.

Wziął ją na ręce i położył delikatnie na sofie. Odgarnął jej włosy z czoła.

- Nie bój się - szepnął, patrząc na jej pobladłą twarz. Miał taką minę, jakby zastanawiał się, czy nie przenieść jej do siebie, ale kiedy popatrzyła mu błagalnie w oczy, zmienił zamiar.

- Muszę cię zabrać z tej wyspy, kochanie.

- A więc zabierz - poprosiła.

Pociągnął dłonią po jej policzku, lecz nic nie odpowiedział.

- zabierz mnie stąd - szepnęła.

- Do mojego pokoju?

- A nie ma tam tych stworzeń?

W kąciку ust pojawił się uśmiech.

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie.

Patrzyła na niego, nie mogąc się uspokoić.

- Dziękuję, że przyszedłeś - wyjąkała. - Tak się bałam.

- Daj spokój, byłeś w gorszych opałach. Robert na pewno cię przestraszył. - Roześmiał się. - Ale może nie aż tak, jak to stworzenie.

- Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś takiego.

- I chyba szybko nie zobaczysz.

Mimo ciepłego wieczoru wzdrygnęła się.

Z wahaniem przycisnęła jej głowę do swej piersi. Od razu poczuła się pewniej. Trwała tak przez dłuższą chwilę, trzymając się kurczowo jego koszuli. Może oderwałyby głowę wcześniej, ale jego silne ramię dawało jej takie poczucie bezpieczeństwa, że nie chciała tego zrobić.

W końcu odsunęła się niechętnie i spojrzała mu w oczy. Patrzyli na siebie tak, jakby oboje odkryli coś, do czego żadne z nich nie chciało się przyznać.

- A więc pójdziesz do mego pokoju? - spytał cicho, z twarzą ściągniętą nie wypowiedzianą emocją.

Zamknęła oczy, wstrząśnięta dzikim pragnieniem, które nagle poczuła.

- A jeśli pójde? - spytała żałośnie. - Czy wyniknie z tego coś dobrego?

Patrzył na nią, niezdolny nic powiedzieć. Nie było na to dobrej odpowiedzi i oboje wiedzieli o tym.

Puścił ją i sztywno podniósł się z sofy. Było to szaleństwo, ale chciała pociągnąć go i poprosić, żeby został. Wbiła paznokcie w dłonie, aby powstrzymać się przed chwyceniem go.

- Rano przyjdzie po ciebie Tsing. Dojdiesz do tej pory do siebie? - spytał chłodno.

Kiwnęła głową, ale teraz czuła, że bardziej boi się biec w środku nocy do jego pokoju niż spotkać się z krocionogiem.

- Zobaczymy się o ósmej.

Wyszedł, a Aurora zaczęła się zastanawiać, jak mogło dojść do tego, że zakochała się w piracie .

\*\*\*

Wychodząc rano na taras, Aurora zabrała ze sobą Koongę.

Małpka z pewnością nie pasowała do nowej, uszytej z wzorzystego muślinu sukni, ale po tym, co zdarzyło się poprzedniej nocy, Aurora obawiała się zostawić ją w pokoju.

Vashon nie był zachwycony. Był w swym zwykłym stroju, to znaczy jedynie w białych, obszernych spodniach, a włosy miał tym razem rozpuszczone. Powiewając na wietrze, nadawały mu jeszcze dzikszyny wygląd niż zazwyczaj. Siadając do stołu, zauważyła, że wzrok ma ciężki jak kajdany, ale zignorowała to i posadziła Koongę na żelaznym, stojącym obok niej krześle.

- To stworzenie wyzdrowiało już na tyle, że może wrócić do właściciela - powiedział zimno.
- Owszem, ale nie widziałam Benny'ego. - Zatknęła serwetkę za kołnierzyk liberii Koongi, aby się nie zabrudziła, a potem podała jej srebrną miskę z pokrojonymi na plasterki owocami mango.
- Kiedy widzę, jak się o nią troszczysz, zastanawiam się, czy będziesz chciała ją oddać.

Udała, że nie słyszy jego ostrego tonu.

- Koonga jest dla mnie dobrą towarzyszką. Jest więc zupełnie naturalne, że przywiązałam się do niej.
- Jest marną namiastką dziecka, ot co. Nigdy jeszcze nie widziałem kobiety, która by tak pragnęła mieć dziecko.

Wzburzyło ją to. Spojrzała na niego zjadliwie i powiedziała:

- Mówisz tak, że zaczynam się zastanawiać, czy nie jesteś zazdrosny.

- Chyba żartujesz - odparł.

Wzięła głęboki oddech i postanowiła, że nie da mu się rozżłościć. Wydawało się, że szuka zaczepki. Rzadko widywała go w takim nastroju. Pomyślała, że być może ma to związek z niezręczną sytuacją, w jakiej znaleźli się poprzedniego wieczoru.

Zdecydowawszy, że najlepiej zrobi, jeśli nie będzie zwracała uwagi na jego zły humor, podniosła się, by wziąć serwetkę, ale zamarła w pół ruchu. Na serwetce leżał nie obrany banan. Poczwała, że się czerwieni.

- Głodna? - spytał, krzywiąc usta w pozornie niewinnym uśmiechu.

Odłożyła banana na bok i zajęła się plasterkami mango, jak gdyby banan w ogóle nie istniał. Oczywiście postąpił bardzo nieładnie, pamiętając w jaki sposób patrzyła na ten owoc poprzedniego wieczoru, ale nie mogła się po nim spodziewać niczego innego. Najgorsze jednak w tym wszystkim było to, że nie mogła zrozumieć, dlaczego tak ją dręczy tym bananem i podejrzewała, że kiedy wreszcie to zrozumie, będzie jeszcze bardziej zakłopotana niż teraz.

Koonga szybko znudziła się mango, zaczęła skrzeczeć i usiadła na oparciu krzesła. Aurora usiłowała nakłonić ją, by siedziała spokojnie, ale bez rezultatu. Małpka dokładnie przyjrzała się serwetce pod swą brodą, spróbowała jak smakuje i szybko odrzuciła. Potem wskoczyła na stół i zanim Aurora zdążyła ją złapać, wspięła się na ramię Vashona i zaczęła go iskać.

Vashon zrobił taką minę, że Aurora nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

- Czego, do diabła, ona szuka? - warknął, nie spuszczając oka z małpki.

- Podejrzewam, że gnid.

- Gnid! - Vashon wstał i Koonga byłaby spadła, ale chwyciła się oparcia krzesła. - Jeśli mam gnidy, to od tej przeklętej małpy!

Aurora znowu zaśmiała się, ale nie miała zamiaru mówić mu, że Koonga nie ma insektów. Wzięła jeszcze kawałek mango, czując, że małpka odpłaciła Vashonowi za banana.

Kiedy Koonga zajęła się zrywaniem szkarłatnych kwiatów z rosnącego obok tarasu drzewa, Vashon powiedział oschle:

- Skoro już się ubawiłaś, to może pokażę ci *souJriere*. Na szczyt wiedzie dobra ścieżka. - Przeniósł wzrok na spowity mgłą szmaragdowy szczyt.
- Wolałabym, żebyś pokazał mi port - powiedziała przesadnie słodkim głosem.
- I może jeszcze zaproponował rejs na "Odważnym"? .
- To byłoby fascynujące.

- Od zobaczenia statku do odpłynięcia na nim daleka droga.
- Nigdy nie wiadomo. - Łyknęła herbaty.
- Jutro moglibyśmy pójść na plażę - mówił dalej. - Jeśli nie będziesz się bała, to możemy nawet popłynąć w głąb zatoki, żebyś zobaczyła ryby. Są tak samo piękne, jak kwiaty na wyspie.
- Powiedziałam ci już, że nie umiem pływać.
- Jeśli stwierdzisz, że się topisz, możesz się mnie ucześcić.

Spojrzała na niego ostro. Uśmiechnął się i znowu zabrał za jedzenie. Wiedziała, że czeka ją ciężki dzień.

- Jeśli jesteś uczciwym człowiekiem, Izaaku Corbeil, to znajdziesz sposób, by Aurora mogła odpłynąć ze mną na "Odważnym" - powiedziała Flossie i zaczęła chodzić tam i z powrotem po jutowym dywanie.
- Nie zdradzę Vashona nawet dla kobiety - odparł Izaak z niewyraźną miną ze swego miejsca na delikatnej kozetce w pokoju Flossie.
- Nie rozumiem, skąd ta ślepa lojalność wobec Vashona ... przecież chciałeś sprzedać go na Grand Talimienie.
- Przecież wiesz, że to był tylko wybieg. Mówiłem to już milion razy. - Przesunął się. - Słuchaj, może byś usiadła koło mnie. Jeden czy dwa pocałunki na pewno by cię uspokoiły.

Flossie stanęła jak wryta. Melodramatycznym gestem wyciągnęła ręce.

- O nie! żadnych pocałunków! Poprosiłam cię tutaj, aby porozmawiać o Aurorze, a nie żeby się całować. Od czasu tej kolacji u gubernatora pocałowałeś mnie już pięć razy i d. osyć tego.

- Wydawało mi się, że to lubisz ...
- Dobry Boże, co znm.vu! - wysapała. - To najbardziej nieprzyzwoity ...
- Daj spokój, Flossie. Myślałem, że spodobało ci się, jak goniłem cię wokół stołu parę dni temu. - Izaak wyszczerzył zęby.
- Nic podobnego! Gdybym miała swą parasolkę, połamałabym ją na twojej głowie. żadna szanująca się dama nie pozwoliłaby na coś takiego.
- No, może szanująca się dama nie. Ale ty pozwoliłaś. I \_podało ci się to. Słyszałem, jak chichotałaś, uciekając przede mną.
- Co to za insynuacje? Nie jestem damą? - Podniosła głos o parę tonów.
- Według mnie, Flossie, wyglądasz na damę, ale skąd mogę wiedzieć, jak jest naprawdę? Nie znałem zbyt wielu dam - wzruszył ramionami.
- No więc zapewniam cię, że jestem damą! I nie podobają mi się te twoje chamskie zaloty! - Znowu zaczęła chodzić tam i z powrotem. - No, a skoro już to załatwiliśmy, to proszę, żebyś się zastanowił, jak pomóc biednej Aurorze. Ten człowiek pożre ją żywcem! Chyba sam to widzisz! Aż mi się zimno robi, kiedy pomyślę, co się jej może zdarzyć, jeśli nie zostanie w porę wyrwana z jego szponów.
- Zdaje mi się, że trzyma się zupełnie nieźle. Jeśli ktoś tu przegrywa, to raczej Vashon. Nigdy bym nie pomyślał, że może się zakochać. Gdybyś powiedziała mi rok temu, że zadurzy się w jakiejś przypominającej zachowaniem starą pannę nauczycielce, to powiedziałbym, że zwariowałaś. Ale teraz, kiedy słyszę w jaki sposób o niej mówi, widzę, że tak się sprawy mają.

- A jak on o niej mówi? - spytała Flossie z niedowierzaniem.

- Z największą pogardą.

Flossie zrobiła zdumioną minę. Izaak potrząsnął głową.

- Wierz mi, Flossie, nigdy jeszcze nie widziałem go w takim stanie. Miał kupę kobiet, a pewnego lata w Paryżu związał się z jedną podupadłą arystokratką - wiesz, taką lalką o kręconych włosach i buzi jak aniołek - tak silnie, że myślałem, iż wpadł na amen. Ale nic z tego nie wyszło.

Szybko mu się znudziła i wyjechał. Jego związki z kobietami zawsze zaczynają się od pożądania, a kończą znudzeniem. Ale Aurora jakoś nie wywołała u niego takiej reakcji. Muszę przyznać, że po tym, jak ją posiadał na Grand Talimienie, myślałem, że się zmieni, ale pomyliłem się. Mówi o niej z taką pogardą, że aż się pieni.

- O tym nie będziemy rozmawiali - powiedziała, rumieniąc się.

Popatrzył na nią, a potem nagle złapał ją w pasie i pociągnął na kozetkę.

- To wspaniały pomysł, Flo. Przeszanmy gadać.

- Niech pan mnie natychmiast puści! - zaczęła się tak szarpać, że aż kozetka jęczała pod ich ciężarem.

- Daj spokój - próbował ją pocałować, a ona starała się go spoliczkować. - Bardzo dobrze - powiedział wesoło, zasłaniając się przed jej razami. - Lubię ogniste dziewczyny.

- Dość tego, kapitanie! - wysapała, kiedy znalazł jej usta i pocałował. - Nie jesteśmy zakochanymi dziećmiakami! Proszę zachowywać się przyzwoicie!

- Flo, posłuchaj. Nikt się nie dowie - powiedział, gdy w końcu udało się jej go odepchnąć.

- Ale ja będę o tym wiedziała - odparła, wstając bez jego pomocy. - A ja jestem wdową. Jeśli będziesz się trzymał ode mnie z daleka, to może zobaczysz, że noszę żalobę.

- Twój mąż nie żyje już od wielu lat, Flossie. Nigdy nie czujesz się samotna?

Otarła twarz obrębianą czarną nitką chusteczką.

- Oczywiście, że czuję się samotna. Ale przypominam ci, że nie jestem młodą dziewczyną. Nie jestem jakąś panienką, która tylko czeka, żeby pofiglować z kimś na sianie.

- Wiem o tym, Flo. Ale ... hmm ... żeby powiedzieć prawdę, brakuje mi tylko trzech lat do sześćdziesiątki i czułbym się jak idiota, tarzając się z jakąś dziewczką czy dżierlatką na sianie.

- Dobry Boże, co za język! - zaczęła się wachlować chusteczką.

- Daj spokój. Stary Lindstrom na pewno by to zrozumiał.

- Nie będę rozmawiała o takich rzeczach z mężczyzną, który nie jest moim mężem.

- No cóż, jestem kapitanem statku i zgodnie z prawem ogłaszam, że oto zawarliśmy małżeństwo - powiedział i wstał.

Flossie cofnęła się, oparła o duży stół stojący pośrodku pokoju i zaczęła się gwałtownie wachlować.

- Zwariowałeś, Izaak. Co ci przychodzi do głowy? Izaak powędrował spojrzeniem do przyległego pokoju, w którym stało łóżko Flossie.

- Muszę powiedzieć, że to, co najgorsze - przyznał.

- O nieba ... chyba nie mówisz poważnie.

Podszedł do niej i powoli rozwiązał koszulę, ukazując pierś owłosioną jak u niedźwiedzia.

- No, Flossie, dalej. Wiesz, że obojgu nam brakuje tego od dawna. Mówiłaś, że ile urodziłaś dzieci? Trzynaścioro czy czternaścioro? To wymownie świadczy, że cholemie to lubiłaś.

- Dobry Boże! - Flossie podniosła dłoń do czoła i zachwiała się.

Izaak złapał ją w pasie. Dotknął białego kołnierzyka i powiedział:

- Wiesz, już od pewnego czasu chciałem ci powiedzieć, że wyglądasz z tym zupełnie pociągająco. To bardzo o~ywia ten żalobny ubiór. - Przeniósł wzrok niżej. - A jak zdejmuje się tę suknię? Są tu jakieś tasiemki czy ...

- Nie, nie, nie! - Odskoczyła do tyłu, czerwieniąc się.

- Chyba nie masz zamiaru zostać w ubraniu, co?

Flossie nic nie odpowiedziała, tylko patrzyła rozszerzonymi oczami.

- No dobrze, najpierw ja się rozbiore, a kiedy zobaczysz, że się nie wstydzę, namówię cię jakoś, żebyś ty też pozbyła się ubrania.

- Jesteś niewyobrażalnie bezczelny, Izaaku Corbeil. Już twoje pocałunki były zuchwałością, a co dopiero to, t o! powiedziała zduszonym głosem.

- Przepraszam. Po prostu nie wiem, jak to zrobić w inny sposób.

- Ja nie mogę!

- Ależ możesz. Może buziak cię rozluźni? - Wyciągnął rękę, ale odbiegła.

- Izaak, dość już tego szaleństwa. Jesteśmy na to za starzy.

- Ja na pewno nie jestem za stary, Jeśli pozwolisz mi, przepraszam za wyrażenie, zająć się tobą po mojemu, to przekonasz się, że ty też nie.

Flossie aż dech zaparło.

- Jak śmiesz! Co za zuchwałość! Gdzie są te sole trzeźwiące?

- Nie potrzebujesz żadnych soli trzeźwiących i nie zemdlejesz. - Złapał ją, tym razem mocno. Całował ją długo i namiętnie, a kiedy przestał, Flossie wyglądała jak pijana.

- Jesteś gotowa? - spytał szeptem.

Zaprotestowała słabo. Wziął ją za rękę i wepchnął do pokoju.

Zamknął drzwi. Przez chwilę panowała cisza, a potem Flossie krzyknęła:

- Nie, nie! Nie możesz mnie do tego zmusić! I załóż z powrotem koszulę!

Rozległy się dwa głuche uderzenia, jakby coś padało na ziemię, a po nich głos Flossie:

- Dlaczego zdejmujesz buty?

Izaak zachichotał, a potem Flossie krzyknęła: .

- Nie rozpinaj pasa!

Z sypialni dochodziło jeszcze wiele krzyków, aż w końcu ostatnia część ubioru Izaaka opadła na ziemię. Wtedy Flossie wykrztusiła:

- Na Boga, Izaak! Jesteś Żydem!

A potem zapanowała cisza. Co najmniej na godzinę.

\*\*\*

Aurora leżała w łóżku nie mogąc zasnąć, a przed oczami przesuwały się jej obrazy Mirage. Ten dzień był cudowny. Vashon obwioził ją po całej wyspie pokazując jej pracujących tam ludzi - wysokich, muskularnych 'nurków, którzy ofiarowali jej całe naręcza muszli i homarów. Widziała starców wyplatających koszyki z gałęzi drzew mangowych i śliczne, ciemnoskóre dziewczyny przystrojone w szkarłatne i czarne paciorki. Aurora im zazdrościła swobodnego paradowania w koszulach.

Potem Vashon pokazał jej Małpie Wzgórze, miejsce, gdzie Benny znalazł Koongę. Zwierzęta te sprowadzono przed wiekiem na St. Kitts dla rozrywki zamożnych plantatorów. Opowiedział jej, że czasami organizowano na nie polowania. Kiedy myśliwi za bardzo dali im się we znaki, małpy pojawiały się niespodziewanie na Mirage, co dało podstawę do podejrzeń, że obie wyspy łączy podziemny tunel.

Następnie zabrał ją na szczyt góry, gdzie w kraterze wrzała lava. To właśnie w wyniku wybuchu tego wulkanu powstały na Mirage owe niezwykle czarne plaże. Droga na szczyt wiodła przez porastającą zbocza góry dżunglę. Aurora pomyślała, że nawet jeśli w przyszłości zapomni o Mirage, to w pamięci pozostanie jej widok orchidei o bladożółtych, różowych i lawendowych płatkach, rosnących na potężnych pniach koni szalów.

Na koniec, w powrotnej drodze do Siedliska Smoka, Vashon zatrzymał się przy niewielkim drzewie i zerwał garść owoców, które przypominały limonę, ale były zupełnie czym innym. Siadł z nią na piasku pod drzewem i pokazał, jak należy je jeść. Wyłuskawszy owoc z łupiny, włożył go jej do ust, jakby był to cukierek. Owoc był nadzwyczaj smaczny. Kiedy siedzieli tak, zając się nimi, Aurora przyglądała się Vashonowi i w pewnej chwili pomyślała, że musi on bardzo kochać Mirage, wyspę, która była równie dzika i wzbudzająca strach jak on.

Teraz jednak, przewracając się w łóżku, pomyślała o czymś innym, o czymś, co nie miało nic wspólnego ani z Mirage, ani z wulkanem. O czymś, co drażniło ją jak swędzenie w miejscu, gdzie nie można się podrapać. Pomyślała o bananach.

Zła na siebie, odrzuciła kołdrę i wstała, mając nadzieję, że spacer ją uspokoi. Chodziła tam i z powrotem po

pokoju, ale nic to nie dało. Wiedziała, że jeśli nie odkryje, co miał znaczyć ten żart Vashona, nie będzie mogła zasnąć.

Tego wieczoru znowu jedli kolację na marmurowym tarasie. Kiedy przyszła, na jej serwetce tak jak przy śniadaniu leżał banan. Udawała, że go nie dostrzega, ale to jeszcze bardziej rozbawiło Vashona. Epizod ten zirytował ją i przysięgła sobie, że dopóki nie zorientuje się, do czego ma to być aluzja, nie wyjdzie więcej na taras.

Wróciła do łóżka, ale przedtem obejrzała pościel, aby upewnić się, czy nie wśliznął się tam żaden krocionóg. Leżała ze wzrokiem utkwionym w baldachim i myślała o bananach.

Pamiętała, kiedy pierwszy raz zobaczyła banany na St. George. Wzięli całą wiązkę i początkowo nie mogła sobie z nimi poradzić. Próbowała je jeść widelcem, ale okazało się, że mają zbyt twardą skórkę. Potem pokroiła jednego banana ostrym nożem i zjadła miąższ łyżeczką. Przynękała jednak sobie, że nigdy już nie tknie tych owoców, bowiem choć jej smakowały, jedzenie ich sprawiało kłopot.

Któregoś dnia wszakże, kiedy Benny przygotowywał w kuchni herbatę, zobaczyła, że Koonga bierze -z półki banana. Małpka obrała owoc łapkami, a poszło jej to tak gładko, jakby kroić nożem masło. Było to zdumiewająco proste, więc naśladowała potem Koongę i jadła te owoce bez problemów. Trwało to, dopóki Vashon nie zaczął tych eksperymentów.

Przewróciła się na brzuch, odgarniając włosy do tyłu.

W świetle księżycy, wpadającym przez szpary w żaluzjach, wypatrzyła srebrną misę z owocami, stojącą na stole. Były tam też banany. Zirytowana, usiadła na łóżku i przyjrzała się badawczo jednemu z nich.,

Banan jest'żadziwiająco niezgrabnym owocem. Brakuje mu symetrii pomarańczy czy gruszki. Odarła go do połowy ze skórki iomal nie zarumieniła się, widząc jak osobliwie wygląda. Prawdę rzekłszy, czuła się niesamowicie zakłopotana, gdyż przyszło jej do głowy, że wygląda zupełnie jak. ...

W tym momencie zapało jej dech.

Nie, to niemożliwe. Przecież Vashon nie mógł traktować go jako symbolu ... Zapiekły ją policzki. Dobry Boże, co miał na myśli, mówiąc jej, żeby ... W naj gorszych snach nie wyobrażała sobie, by kobieta mogła ...

Tak, to na pewno dlatego tak się jej przyglądał. Popatrzyła na banana i nagle opanowała ją wściekłość.

Dość tych wulgarnych, sprośnych żartów! Twarz jej płonęła, ale nie wiedziała, czy z wściekłości, z poniżenia, czy ze wstydu, czy może z wszystkich tych powodów naraz. Jedno wszakże wiedziała na pewno - jutro mu się odpłaci. Pokaże mu, co myśli o jego żartach. Pokaże mu, jakim jest zwierzem. Myśląc o tym, ugryzła ze złością kawałek banana. Smakował wybornie.

Do śniadania Aurora włożyła suknię z tak przezroczystej gazy, że gdyby nie koszulka pod nią, można by dojrzeć kolor jej skóry. Dekolt był b?-rdzo - może nawet jak na współczesną modę - za bardzo - wycięty i uwodzicielsko podkreślał wypukłość jej biustu. Być może w innej sytuacji nie IIIIałaby odwagi włożyć tak nieskromnej sukni.

Ten ranek był jednak szczególny.

Podeszła pewnym krokiem do stołu, przy którym siedział już Vashon. Nie patrzył na morze. Ku swemu wielkiemu zadowoleniu spostrzegła, że przywarł wzrokiem do jej ciała i przygląda się jej prawie z osłu pieniem.

Pomyślała, że gdyby naprawdę była odważna, pochyliłaby się nad nim i jednym palcem zamknęła mu te rozdziawione usta. Tego jednak ranka miał on jeszcze zobaczyć niejedno, usiadła więc i obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Piękny dzień. prawda? Szczęściarz z ciebie, że masz Mirage. - Pochyliła się nad stołem. Jego wzrok powędrował tam, gdzie się spodziewała. Z trudem powstrzymała się, by nie zakryć dekoltu rękami i nie uciec do siebie, ale była zbyt zła, aby się teraz wycofać.

Spojrzała na stół i udała, że dopiero teraz dostrzegła banana. Przeciągnęła po nim palcem, patrząc spod oka na Vashona.

Szczęka opadła mu jeszcze niżej. Gdyby pocałowała owoc, pewnie umarłby z wrażenia.

Najchętniej wepchnęłaby mu go prosto w nos.

Zamknął usta i podniósł wzrok. Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Jesteś dziś w zaskakująco dobrym humorze - powiedział.

- A dlaczego miałabym być w złym? - spytała, kładąc ostentacyjnie serwetkę na kolanach.

- Nic takiego nie powiedziałem - odparł z wahaniem.

- Jestem głodna jak wilk. - Ponownie powoli przeciągnęła palcem po bananie. - A ty?

- Co ja?

- Nie jesteś głodny?

Spojrzał jej wyzywająco w oczy i skinął głową.

Wzięła banana do ręki. Powoli, jak gdyby nie jadła co najmniej od paru dni, zdjęła skórkę, delektując się wyłaniającym się spod niej widokiem mięszu. Zerknęła na niego i ucieszyła się, widząc jego pełną oczekiwania minę. Nie wiedział, że ona czeka na to, co się stanie, z jeszcze większym napięciem. Nerwowo oblizła wargi, nie zdając sobie sprawy z tego, jak to musi wyglądać.

Uśmiechnęła się lekko i odszukała ręką tasiemkę przywiązaną do paska sukni. Namacała zawieszony na niej nożyczki i nie spuszczać z niego oka, szybko wyjęła je i przecięła banana na pół. *t*

Omal nie zerwał się z krzesła. Choć nie widziała, co się dzieje pod stołem, była pewna, że instynktownie ścisnął nogi. Zadowolona z siebie, odłożyła rozcięty owoc i wstała.

- Ty łajdaku - powiedziała, ledwie panując nad sobą.

Popatrzyła na niego z najwyższym wstrętem i odwróciła się, by odejść, ale zamiast wybuchnąć gniewem, czego się spodziewała, roześmiał się nagle i śmiał się tak, że o mało nie spadł z krzesła. Zatrzymała się więc, nie wiedząc, co go tak rozbawiło.

- Masz czelność się śmiać? - krzyknęła, biorąc się pod boki. - Powinieneś zmykać jak kundel, podkuliwszy pod siebie ogon!

- Jak ci się udało zabrać z powrotem te nożyczki? - spytał, krztusząc się ze śmiechu.

- Są moje. Któregoś dnia, kiedy byłeś na pokładzie z Izaakiem, wzięłam je z twojego biurka.

- No dobrze, oddaj je. - Zanim się zorientowała, złapał ją w pasie i pociągnął na kolana.



- W tej chwili mnie puść! - powiedziała, drapiąc jego nagą pierś.
- A więc domyśliłaś się, o co chodzi. zaskoczyłaś mnie. Nie spodziewałem się, że wpadniesz na to tak szybko. Zepsułem cię, Auroro. . Zaczerwieniła się i przeszła go wściekłym spojrzeniem.
- Nie będziemy o tym rozmawiali.
- Pewnie, po co rozmawiać, skoro można to zrobić ...  
Jęknęła, a on roześmiał się.
- Jesteś świnią - powiedziała.
- To było nieładnie z mojej strony, ale przecież nie udaję, że jestem dżentelmenem. - Uśmiechnął się. - Naprawdę nie sądziłem, że się kiedykolwiek domyślisz, o co chodzi w tej zabawie.
- Ale się domyśliłam, więc mnie puść. Chcę zjeść śniadanie. - Zaczęła się szarpać\ ale trzymał mocno.
- Tutaj?
- Z tobą? Za nic w świecie! - Znowu szarpnęła się, ale nie na wiele się to zdało. Przyciskał ją do swej nagiej piersi i choć wstyd jej było przed samą sobą przyznać się do tego, sprawiało jej to przyjemność.
- Zmieniłaś zdanie? - spytał, czując, że przestała się wyrywać.
- Oczywiście, że nie!
- Może zawrzemy rozejm? - popatrzył na sponiewieranego banana. - Przecież już się zemściłaś.

Poszła za jego spojrzeniem. Z pewnością wyrównała rachunki. Kiedy przypomniała sobie, jaką miał minę, o mało się nie uśmiechnęła.

- No, daj już spokój, zjedz ze mną - powiedział.
- Chyba mogłabym zostać ... jeśli pozwolisz mi na chwilę odejść - powiedziała.
- Puścił ją.
- Gdzie idziesz? - spytał.
- Chcę zmienić tę koszmarną suknię.
- Nie zmienisz. - Wstał i wziął ją za ramię. - Podoba mi się. Chciałbym częściej cię w niej widywać.
- Coś takiego! Pomyślałabym raczej, że wolałbyś mnie częściej widywać .bez niej.
- Znowu się roześmiał.
- Naprawdę jesteś dziś w świetnej formie, kochanie. Od kiedy masz taki cięty język?
- Od dawna. Od kiedy porwał mnie jeden pirat.
- To straszne ... - Nagle złapał za tasiemkę, na której były przywiązane nożyczki i zerwał ją jednym szarpnięciem.
- Co robisz? - krzyknęła, kiedy podszedł do brzegu tarasu.
- Zamachnął się i rzucił nożyczki.
- Po tym, co zrobiłaś z tym bananem, nie spodziewasz się chyba, że ci je zostawię? Może przysłoby ci do głowy, żeby wypróbować je na mnie. Wolę nie ryzykować.
- Ale teraz nic mi już nie zostało - rzekła cicho.
- Jedna rzecz ci została. - Pstryknął w medalion, wracając na miejsce .. - Ironia losu, gdyż stanowi on własność wicehrabiego Blackwella.
- Peterborougha?

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

Opanowała ją ciekawość. Chciała go zapytać o wicehrabiego, ale widać było po jego minie, że teraz nie chce o tym rozmawiać. Wskazał ręką, aby usiadła, jakby chciał odwrócić jej myśli od tego tematu. Spojrzała w dół i znowu przypomniała sobie o sukni. Stłumiła odruch, by podciągnąć dekolt.

- Muszę się przebrać - powiedziała z naciskiem. Prześliznął się spojrzeniem po jej ubiorze, zatrzymując trochę dłużej wzrok na tasie mce ściągniętej sukni pod biustem i odparł:

- Nie, zostań w tej sukni.

Chciała zaprotestować, ale powiedział:

- Nawet nie wiesz, jak ślicznie w niej wyglądasz, Auroro.

Naprawdę ślicznie. A więc ... proszę cię, żebyś jej nie zmieniała.

Zaskoczył ją ton jego głosu. Brzmiała w nim powaga, prawie szacunek.

- Usiądź, proszę, i zjedz ze mną śniadanie. - Wstał i podsunął jej krzesło. Była tak zdumiona nagłą zmianą w jego zachowaniu, że zanim się spostrzegła, co robi, już usiadła.

Kiedy Tsingsin podał potrawy, Vashon powiedział:

- Mam dzisiaj dla ciebie niespodziankę.

Spojrzała nie niego podejrzliwie.

- Co to będzie tym razem? Uprowadzenie mnie przez Charona? Wycieczka do Hadesu? Powiem ci szczerze, Vashon, że chyba nie przetrzymam jeszcze jednej niespodzianki zgotowanej przez ciebie.

Roześmiał się.

- Tak, zdaje się, że sprawiłem ci ich trochę za dużo. Ale ta chyba ci się spodoba. - Podsunął jej małą, inkrustowaną szkatułkę. Była tak kunsztownej roboty, że Aurora zdumiała się, iż nie zauważyła jej wcześniej.

- Trochę za mała, żeby można w niej było zmieścić krocionogi... a może są też mniejsze? - Podniosła w górę jedną brew, przedrzeźniając go.

- Daję ci słowo honoru, że w środku nie ma krocionogów - rzekł z uśmiechem. - Otwórz ją.

- Znając cię, wolę tego nie robić.

Roześmiał się.

- Otwórz. To prezent dla ciebie.

- Z jakiej okazji?

- Z okazji urodzin.

Na policzki wypełził jej rumieniec.

- To niemożliwe. Wiesz, że nie znam daty swoich urodzin.

- Teraz już znasz. Oświadczam, że dzisiaj są twoje urodziny. Otwórz ją.

Patrzyła na szkatułkę, ale nie mogła się zmusić, żeby ją otworzyć. Powiedziała:

- Gdyby to było takie proste, to już dawno sama wybrać. Łąbym sobie dzień urodzin.

- Sama nie możesz wybrać sobie urodzin. Musi to zrobić ktoś inny. A zaczyna się od prezentu. - Podsunął szkatułkę jeszcze bliżej, tak że o mało nie spadła jej na kolana. Nie wiedziała, co powiedzieć. Czyżby był to z jego strony okrutny żart? A może naprawdę zrobiło mu się jej żal i chciał jej sprawić przyjemność? Zagryzła usta i patrzyła uważnie, próbując się zorientować po jego minie, czy z niej nie drwi. Kiedy upewniła się, że w jego oczach widać tylko rozbawienie jej zakłopotaniem, zebrała się na odwagę i postanowiła otworzyć szkatułkę.

Drżącymi rękoma podniosła wieczko. Spodziewała się ujrzeć Bóg wie jakie potwory wypełzające z wnętrza, toteż była bardzo zaskoczona, gdy zobaczyła wysadzany rubinami ciężki złoty łańcuch, leżący na

szkarłatnej, satynowej wyściółce. Kiedy go wyjęła, ukazał się wiszący na nim ozdobny, brązowy klucz.

- Wybacz, Auroro, że ten prezent jest tak prosty - szepnęła Vashon - ale co można dać kobiecie zbyt pięknej, by nosiła klejnoty?

Spojrzała na niego, trzymając łańcuch w trzęsących się dłoniach. Nikt nigdy nie zrobił dla niej czegoś takiego. Łańcuch był naprawdę śliczny, był najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek jej ofiarowano. A przy tym był to prezent od Vashona, od tego, który ją porwał, zabił człowieka w jej obronie, zniewolił ją i uwiódł. Nie mogła powstrzymać wzbierających w jej sercu uczuć. Znowu przypomniała sobie człowieka, który pomógł Benny'emu, człowieka, którego mogłaby pokochać. Teraz, patrząc na niego, pogodziła się nagle z myślą, że go kocha.

Łzy napłynęły jej do oczu, a ponieważ nie chciała, aby je zobaczył, podniosła się i ruszyła w stronę domu. Była w połowie tarasu, kiedy dogonił ją.

- Co się stało? - spytał, chwytając ją. - Tak bardzo cię obraziłem, że aż musisz uciekać? Czujesz się rozczarowana? Uważasz, że to lichy prezent?

- Nie, nie, łańcuch jest piękny! - zawołała.

- No to skąd te łzy?

Spojrzała na niego, mając nadzieję, że nie widzi rozpaczającej twarzy. Uczynił jej wszystko, co można było uczynić najgorszego - porwał ją, uwiódł, upokorzył, a mimo to wiedziała, że ten ostatni uczynek sprawił, iż nagle i nieodwracalnie zakochała się w nim. Wiedziała też, że czyni ją to jeszcze bardziej bezbronną.

- Vashon, dlaczego to dla mnie zrobiłeś? - wykrztusiła.

- Nie zrobiłbym, gdybym przypuszczał, że tak się to skończy - uśmiechnął się krzywo i dotknął łzy spływającej jej po policzku. - Bardzo łatwo cię wzruszyć kochanie. Czasami jesteś jak dziecko.

- A zatem doskonale się uzupełniamy, bo ciebie w ogóle nic nigdy nie wzrusza - powiedziała gorzko. Wiedziała, że nie spodobała mu się jej dalsze słowa: A mimo to przypominam sobie, że raz się jednak wzru-

szyłeś.

Tak, jak się spodziewała, stał się od razu sztywny i zimny.

- To, co się zdarzyło na Wielkim Talimencie - odparł - nie ma z tym nic wspólnego. Oboje zgadzamy się, że nigdy nie powinno było dojść do tego.

Obracała w palcach naszyjnik, a serce przepełniała jej gorycz. Powiedziała szlochając:

- Choć było to okropne, nie mogę tego tak łatwo zapomnieć. ale tobie pewnie przyszło to bez trudu.

- Owszem - odparł krótko.

Spojrzała na niego, ale umknął wzrokiem. Wyjął łańcuch z jej zdrtwiałych rąk i zawiesił jej na szyi.

- Myślę, że powinniśmy pójść na plażę. Skończyłaś jeść? Dotknięcie jego palców było szorstkie, lecz mimo to pragnęła go. Co takiego zrobiła w swym nieszczęsnym życiu, by zasłużyć na takie pogardy godne i wstrętne pragnienie? Czy to jest kara za ucieczkę od Johna Phippsa? Czyżby Bóg rzucił ją w chłodne objęcia Vashona za to, że odrzuciła oświadczenia Johna? Spojrzała na brązowy klucz kołyszący się ciężko między jej piersiami. Zaciekawiała ją, ale nie była teraz w nastroju, aby o to pytać.

- Czy mam ci pokazać plażę? - spytał łagodnie. Wziął ją w ramiona.

- Zapomnijmy o tym i chodźmy tam. Chcę ci coś pokazać.

- Ja naprawdę ...

- Proszę.

Ich spojrzenia spotkały się. Westchnęła i zamknęła oczy.

Doskonale pasował do roli szelmy - choć wiedziała, że nie powinna z nim iść, nie mogła się oprzeć jego prośbie.

- Dobrze - odparła, wiedząc, że robi z siebie idiotkę. Uniósł kącik ust w uśmiechu.
- Doskonale. - Odprowadził ją z powrotem do stołu .

\*\*\*

Czy naprawdę istniało miejsce tak piękne jak Mirage, czy może tylko śniła o tym? Czyżby była to wyspa zrodzona z jej tęsknot i marzeń? Zaczynała rozumieć, dlaczego Vashon tak ją lubi. Im lepiej poznawała wyspę, tym wyraźniej widziała jej piękno. W chwilach takich jak teraz, kiedy siedziała obserwując Vashona chodzącego po czarnej plaży, zastanawiała się, czy wyspa nie jest rzeczywiście złudzeniem. Czy gdyby objęła ją mocno, nie zostałaby jej w dłoni tylko garść piasku?

Vashon wyszedł z wody i skierował się do miejsca, gdzie Sledziła. Jego mokre ciało lśniło w słońcu, a czarne włosy w połączeniu z opalonymi na brąz szerokimi ramionami, nadawały mu egzotyczny wygląd. Mokre spodnie były prawie przezroczyste, a kiedy podszedł bliżej, mogła dojrzeć każdy włos najego udach, a nawet więcej, gdyby spojrzała wyżej. Pewne szczegóły anatomii Vashona poznała zbyt blisko. Nikt nigdy nie mógłby podać w wątpliwość męskich cech, którymi obdarzyła go natura.

- Chodź ze mną do wody - powiedział, wyciągając rękę.
- Potrzęsnęła głową. - Nie mogę.
- Dlaczego? Obawiasz się o suknię?
- Częściowo. - Starła się odpowiedzieć obojętnie.
- Niech diabli wezmą suknię! Jeśli naprawdę tak się o nią troszczysz, to zdejmij ją.

Zaparlo jej dech w piersiach. Nigdy nie przestawał jej szokować.

- Na pewno nie zdejmę!
- Mam ją z ciebie zedrzeć? To śliczną suknią, ale ...

Skrzyżowała w obronnym geście ręce na piersiach i spojrzała wyzywająco, ale tylko się roześmiała.

- Chodź ze mną do wody, Auroro.
- Wiesz, że nie umiem pływać. Czy to dlatego zwabiłeś mnie tutaj? żeby mnie utopić?
- Nie myśl, że nie czułem takiej pokusy - uśmiechnął się krzywo. - Ale nie dzisiaj. Chodź, zobaczysz tam odmienny świat. Chcę ci go pokazać. - podniósł ją na nogi.
- Vashon - zaprotestowała - nie przystoi damie kąpać się publicznie ...
- Ach tak, to kolejny policzek wymierzony przyzwoitości. - Pociągnął ją za sobą. - Musisz uważać, bo następnym razem, kiedy będziesz chciała objąć protektorat nad jakąś uroczystością, mogą ci pokazać drzwi.

Nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Nie sądzę, żebym znalazła się w takiej sytuacji - powiedziała.

Zaciągnął ją na sam brzeg, ale dalej nie chciała iść, żeby nie zniszczyć kosztownej sukni. W końcu wziął ją na ręce i wszedł do wody, uważając, aby suknia się nie zamoczyła. - To szaleństwo! - powiedziała, trzymając go mocno za masywną szyję.

- Spójrz w dół. Widzisz je? - szepnął. Przechyliła głowę. W sięgającej mu do bioder, kryształowo czystej wodzie pływały duże ryby o tęczy kolorach, niektóre przepływały między jego nogami. Nigdy jeszcze nie widziała takich. - Są cudowne. Wyglądają zupełnie jak anioły - szepnęła z podziwem. - Tak. ... , jak anioły.

Włożyła rękę do wody. Jaskrawobłękitna ryba śmignęła w górę i otarła się o jej dłoń. Przestraszona, cofnęła szybko rękę, a potem zachichotała. Obróciła się do Vashona, ale zaskoczył ją wyraz jego twarzy. Patrzył na nią tak, jakby prawie pożerał ją wzrokiem. Zaparlo jej dech w piersiach.

- Vashon ... - zaczęła, ale nie pozwolił jej skończyć.

Opuścił ją powoli, aż dotknęła stopami piaszczystego dna. Mokra suknia oblepiła jej biodra. Potem

przyciągnął ją do siebie i zaczął całować jak grzesznik szukający zbawienia, jak potępieniec czekający na odkupienie grzechów. Przemknęło jej przez myśl, że powinna się wyrwać, ale trzymał ją tak mocno, że nie było o tym mowy.

Nie poddała się jednak. Za bardzo się go bała. Bała się go z tych samych powodów, z których bała się Mirage. Przez całe życie lękała się, by nie zostać z niczym. Ojciec zostawił ją w sierocińcu bez niczego. A John, mimo swych oświadczeń ... wiedziała, że po pewnym czasie odebrałby jej tych kilka rzeczy, które posiadała - wiersze, *Bajki Perraulta*, medalion - że otoczyłby ją murem jej rzekomej cnoty, a wtedy byłaby jeszcze bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem .

A teraz był z nią Vashon i kiedy jego usta domagały się od niej coraz więcej, zastanawiała się, czy gdyby przytuliła się do niego, to ochroniłby ją przed tą przeraźliwą samotnością. Wiedziała, że nie może na to liczyć. Nie obiecywał jej ani rodziny, ani małego przytulnego domku, ani małżeństwa, ani nawet miłości. Ale właściwie, co wiedziała o tych rzeczach? Prawie wszystko; co wiedziała o miłości, usłyszała od pani Bluefield, a choć była to cudowna kobieta, to jednak zawsze znacznie hojniej szafowała naukami i wskazówkami niż uczuciami. Prawdę mówiąc, chciała czegoś. o czym absolutnie nie miała pojęcia. Dlaczego więc pragnęła tego. i to tak bardzo?

Kiedy odlewał usta od jej warg. przylgnęła do niego mocno, przerażona myślą, że go straci. gorzej - że nigdy nie będzie go miała. Zdawało się, że uległ jej pragnieniom. bo też ją objął i trzymał tak mocno. aż w końcu nie czuła i nie widziała nic prócz niego. Chcąc przedłużyć te chwile. zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła policzek do jego piersi. Powinna jednak była wiedzieć. że minie to

szybko.

- Co się stało? - spytał. wyraźnie zaskoczony jej zachowaniem.

- Przytul mnie Vashon - szepnęła.

- Od kiedy tak pragniesz. żebym cię przytulał? - powiedział. pociągnawszy żartobliwie za medalion.

- Miałaś rację. w sierocińcu nikt mnie nigdy nie przytulał.

Ugryzła się w język, ale było już za późno. Nie śmiała spojrzeć na niego. Woląла nic już nie mówić. by nie widzieć chłodu w jego oczach. Wiedziała jednak, że mogłaby się załamać. gdyby ją teraz zostawił. więc postanowiła szybko działać. Wpiła się namiętnie w jego usta. chwytając go za ramiona tak rozpaczliwie, jak gdyby tonęła.

Brutalnie zakończył pocałunek. odsuwając się. jakby znalazł się w sytuacji. w której nie chciał się znaleźć.

Aurora spojrzała z rozpaczą na zimny błękit morza. jak gdyby mógł ukoić jej ból.

- Co się z tobą dzieje? - rzekł ochryplym szeptem. Kiedy jestem z tobą. czuję się. jakbym był szalony.

- A więc to jest szaleństwo? - Do oczu napłynęły jej łzy. Oczywiście była to jego wina. Nie powinien był nigdy jej całować. A teraz zostawiał ją i nie mogła się nawet czuć uwiedziona. tym bardziej, że tak wymownie pokazała. jak bardzo chce. by ją tulił i całował.

- Tak. to musi być szaleństwo - szepnęła. - Jest w tobie coś co napełnia mnie nieodpartą ochotą całowania cię. choć przysięgałem sobie. że zostawię cię w spokoju.

- A więc ty możesz złamać swoją przysięgę i pocałować mnie. ale mnie nie wolno oddać ci pocałunku? - Otarła łzę z policzka.

- Chcę, żebyś oddawała mi pocałunki. ale nie chcę widzieć tego spojrzenia.

- A co to za spojrzenie? - spytała i znowu zaczęła płakać.

- Spojrzenie. które mówi: .. Kochaj mnie". - Odwrócił się i ze złością plasnął dłonią w wodę. - Zrozum, Auroro. nigdy cię nie pokocham. W moim życiu nie ma miejsca na miłość.

- A więc twoje życie nie jest nic warte - szepnęła. - Ale. oczywiście. dowodzisz każdym swoim słowem i czynem. że sam o tym wiesz. - Chciała odejść. ale złapał ją za rękę.

Obrócił ją twarzą do siebie i powiedział:

- Słuchaj, widać wyraźnie. że nie wiesz. co ze mną zrobić. a ja na pewno nie wiem. co zrobić z tobą. A zatem

dajmy temu spokój. Dobry Boże. nie wiem nawet. dlaczego cię pożądam! Jesteś piękna. przyznaję. ale miałem już wiele pięknych kobiet. a żadna nie doprowadziła mnie do takiego szaleństwa.

- Jest zupełnie oczywiste, dlaczego mnie pożądasz Vashon. Jestem dla ciebie wyzwaniem. Czymś. co trzeba zdobyć i pokonać. Nigdy nie miałeś takiej kobiety jak ja. więc kiedy przestanę być wyzwaniem ...

- Nie jesteś już wyzwaniem. -Jego spojrzenie przywołało na nowo tamtą noc na Grand Talimenie. - Miałem cię, ale choć powinno mnie to wyleczyć. spowodowało tylko to. że pragnę cię jeszcze bardziej.

- Mógłbyś mnie pokochać?

Patrzył na nią. jak gdyby wypowiedziała zaklęcie. którego za nic nie można wymówić.

- Nie pytam o to. czy mnie kochasz - rzekła drżącym głosem - ani o to. czy mnie pokochasz. Postawiłeś to zupełnie jasno. - Spojrzała na niego i po policzkach znowu popłynęły jej łzy. - Ale czy mógłbyś? - Głos się jej załamał. Potem. jak gdyby sama zrozumiała niedorzeczność tych słów. powiedziała gorzko: - Ale po co cię o to pytam? Udowodniłeś aż zanadto. że nie potrafisz nikogo

pokochać.

- Nie jestem odpowiednim mężczyzną dla ciebie. - Potrząsnął nią. - Nie mogę. Nie rozumiesz tego?

- Nie mam złudzeń, jeśli chodzi o twój charakter.

- To zaczyna wymykać się spod kontroli. - Wziął ją pod brodę i kciukiem wytarł łzę. - Jedyńm wyjściem jest skończyć z tym tutaj. i to zaraz. Powiedz mi - zmusił ją, by spojrzała mu w oczy - wiesz coś o Gwieździe? Auroro. jeśli powiesz mi. że nie. uwierzę ci na słowo i będziesz mogła odpłynąć z Flossie na .. Odważnym".

Patrzyła na niego, tocząc wewnętrzną walkę. Jeśli mu pomoże, nigdy go już nie zobaczy, jeśli nie, ta męczarnia będzie trwała, dopóki nie zniszczy jej zupełnie. Poczula się nagle tak. jakby miała do wyboru szybką lub powolną śmierć.

Odwróciła wzrok. Czula zbyt wielki ból, aby odpowiedzieć.

- Powiedz mi Auroro. Powiedz mi. co wiesz i jeszcze w tym tygodniu odpłyniesz na SL George.

- Nie ... nie jestem pewna - odparła.

Co to znaczy. że nie jesteś pewna?

- Nie wiem, czego chcesz. Nie wiem. czy coś wiem.

- A więc wróćmy do domu i porozmawiajmy. Jeśli będziesz ze mną szczerą. to zorientuję się, czy coś wiesz. Wtedy będziesz mogła odpłynąć z Flossie. - Wzięła ją za rękę z tak poważną miną jak rzadko.

Poszła za nim zupełnie odrętwiała. W tym wszystkim znowu zapomniała zapytać go o ten klucz z brązu.

\*\*\*

Spłynął anioł z nieba Rzekł:

Do Aranu iść mi trzeba".

Tam jest ma gwiazda utracona.  
Czy możesz wskazać mi do niej drogę?

Bo sam znaleźć jej nie mogę.

Siedzi jaszczurka uśmiechnięta

I patrzy na morze.

"Znam tam drogę.

lecz mówić nie mogę  
choćby prosili mnie."

Znalazła się w końcu w jaskini .. Smoka".

Apartament Vashona utrzymany był w trzech kolorach: zielonym, czarnym i złotym - i urządzone z takim przepychem, że nawet regent czułby się tam jak u siebie w domu. W przedpokoju znajdował się kominek, jedyny w całym budynku, a ponieważ nie był prawie nigdy używany, zasłaniał go bogato zdobiony ekran.

Vashon wskazał jej ręką groźnie wyglądający fotel, o poręczach rzeźbionych w kształcie chimer. Zapominając, że jest w mokrej sukni, usiadła na kosztownej, pokrytej czarnym jedwabiem, poduszce. Patrzyła, jak podchodzi do hebanowego, pokrytego złoceniami biurka i rozwija dokładną mapę świata. Widać było, że chce, żeby pokazała mu, gdzie jest szmaragd, jak gdyby mogła po prostu wstać, podejść i pokazać palcem odpowiedni punkt. Uświadomiła sobie nagle, że nawet gdyby mogła to zrobić, to nie wie, czy chciałaby.

- Tu są te dwie zwrotki. - Wręczył jej zeszyt oprawny w wenecki papier o łososiowo-złotym kolorze. Spojrzała i zobaczyła zapisany jego ręką, tak dobrze znany jej wierszyk.

- Powiedz mi, co wiesz - rzekł. Zamknęła książkę.

- Wiem niewiele. Naprawdę.

- Wiesz, że twój ojciec nazywał się Michael Dayne. Skąd

to wiesz?

- Pamiętam pewne rzeczy.

- Jakie rzeczy?

- Różne głupstwa. Zupełnie nie związane z Gwiazdą. Na przykład, że ojciec zabrał mnie na bal w Carlton House. \_ Potrzaśnęła głową. - Oczywiście nie byliśmy na n'a'Właściwym balu, ale pamiętam, że mnie tam zabrał. Staliśmy na ulicy i przyglądaliśmy się, jak zajeżdża powóz za powozem. Damy były tak piękne i wytwornie ubrane, a ojciec był wprost urzeczony widokiem klejnotów. - Zawstydzona, zniżyła głos. - Właśnie wtedy nauczył mnie tego wierszyka.

Wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

- Co ja mogę pamiętać Vashon? Byłam dzieckiem. Te rzeczy nie miały dla mnie żadnego znaczenia.

- Jeśli porozmawiamy dłużej, to może okazać się, że coś jednak ma znaczenie. Spójrz na tę mapę. - Wziął ją za rękę i podprowadził do biurka.

Rzuciła okiem na mapę i odwróciła się.

- Nic tu nie widzę. Ten wierszyk jest bez sensu. Nie znaczy zupełnie nic.

- Przyjrzyj się. - Zmusił ją, by spojrzała jeszcze raz. Wydała westchnienie rozpaczy.

Odwrócił jej głowę. Jego oczy lśniły jak szmaragd, którego szukał.

- Coś mi się wydaje Auroro, że nie bardzo się do tego palisz. Nie chcesz odpłynąć na "Odważnym"?

- Oczywiście, że chcę - odparła pośpiesznie. Obróciła się do mapy, ale jej wzrok powędrował w bok.

- Popatrz na mapę Auroro.

- Mówię ci, że nie mogę tego znaleźć! - wybuchnęła nagle. Odeszła od biurka i spojrzała na górę. Po raz pierwszy odkąd była na wyspie, szczytu nie otaczała zasłona mgły. Bez niej, skalisty wierzchołek wyglądał jak szkieleł.

- Wydawało mi się, że doszliśmy oboje do wniosku, iż tak będzie najlepiej. Powiesz mi wszystko, co wiesz, a ja przyjmę to w dobrej wierze i poszukam Gwiazdy bez ciebie. - Stał za nią. - Dlaczego ni z tego, ni z owego wycofujesz się? .

Zamknęła oczy. Dlaczego się wycofuje? "Odważny" był dla niej ostatnią szansą powrotu do normalności. Gdyby dbała o swoje dobro, to powinna zrobić wszystko. co w jej mocy, aby ugłaskać tego człowieka i znaleźć się na statku, gdy będzie odpływał. Dlaczego nadal uważała, że postąpiłaby niemoralnie pomagając Vashonowi? Przecież robiła już gorsze rzeczy. Noc na Wielkim Talimencie dowiodła, że John nie mylił się, że może ulec pokusie i zejść z drogi cnoty. Jednak ta noc sprawiła, że osłabło w niej pragnienie zemsty, a za to zaczęła gorąco pragnąć Vashona.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i odwróciła się do niego. - To daremny trud Vashon. Nie potrafię ci pomóc. Za mało pamiętam: Porwałeś i trzymałeś mnie tyle czasu na próżno.

- Nie sądzę. - Zmrużył oczy. - Prawdę mówiąc, jestem pewien, że wiesz dużo więcej, ale z jakiegoś powodu nie chcesz mi powiedzieć.

- Dlaczego miałabym nie chcieć? - Próbowała roześmiać się, ale nawet w jej uszach zabrzmiało to nieszczerze.

- Nie wiem, tym bardziej że sama wiesz, iż nie lubię, jak się mnie zwodzi. - Złapał ją za ramię. W złości trzymał ją tak mocno, że aż ją zabolowało. - Co się stało Auroro? Dlaczego nagle umilkłaś?

- Nie umilkłam! - Próbowała się wyrwać.

- No to opowiedz mi o swoim dzieciństwie. Powiedz mi wszystko.

- Nie mam nic do opowiedzenia!

Przyciągnął ją do siebie.

- Spójrz mi w oczy - powiedział, a kiedy to zrobiła, rzekł: - A teraz powiedz mi, że mówisz prawdę. Przysięgnij na wszystko, co jest ci drogie, że nie wiesz nic więcej.

- Ja ... ja ... - patrzyła na niego, a potem odwróciła wzrok, nie mogąc zebrać słów.

Spodziewała się, że dostanie napadu wściekłości, ale jak zwykle - Vashon był najbardziej niebezpieczny, gdy był spokojny.

Puścił jej ramię. Założył ręce na piersi i przyglądał się jej uważnie. Nie musiała patrzeć na jego twarz, by wiedzieć, jak twarde i zimne jest jego spojrzenie.

- Skończyliśmy już? - szepnęła, chcąc jak najszybciej uciec do swego pokoju. Powinna wiedzieć, że jej nie puści. - Nie wyjdiesz stąd, dopóki się nie dowiem, dokąd Michael Dayne zabrał Gwiazdę Aranu - powiedział, wolno cedząc słowa.

Podszedł do masywnych, mahoniowych drzwi i przekręcił klucz w zamku. Odwrócił się i stanął plecami do drzwi. - A jeśli nie ma na to odpowiedzi Vashon? - spytała niemal błagalnym tonem.

- Czy kiedykolwiek opowiadałem ci historię "Lewiatana"? - spytał.

Potrząsnęła głową. Stał po drugiej stronie pokoju, ale była w takim nastroju, że czuła, jakby leżał na niej.

- "Lewiatan" był statkiem Izaaka. - Podszedł bliżej. Pięknym statkiem. Pływał z Southampton do Algieru. Izaak był jednym z najlepszych kapitanów, jakich znam. Troszczył się o statek jak o swoją żonę.

- Co ma wspólnego "Lewiatan" ze mną? Nie pozwolił jej mówić dalej.

- Pewnego dnia statek płynący pod banderą angielską oddał do niego salwę całą burtą. Izaak nie wierzył własnym oczom. Nawet piraci mają swój honor i wywieszają prawdziwą flagę, kiedy atakują.



- To był statek Peterborougha?

Uśmiechnął się.

- Zapomniałem, jaka jesteś bystra. Tak, to był statek Peterborougha.

- A więc Peterborough napadł na "Lewiatana" i Izaak nigdy mu tego nie zapomniał.

- Tak.

- A ty i Izaak nigdy nie wzięliście żadnego statku? - spytała sarkastycznie. - Chyba nie powinieneś pierwszy rzucać kamieniem.

- To jeszcze nie wszystko .

Podszedł krok bliżej.

- W młodości Peterborough studiował w Niemczech chirurgię. Kiedy załoga "Lewiatana" nie chciała się poddać, wziął Izaaka i odcinał mu, jeden po drugim palce, dopóki Izaak nie skapitulował. Może się wydawać, że Izaak stchórzył poddając statek, ale zrobił to dopiero wtedy, kiedy stracił trzeci palec. Pomyśl o tym Auroro. Stracić, po kawałku, staw po stawie, trzy palce ...

Zadrżała i zamknęła oczy. Nie mogła uwierzyć, że biedny Izaak musiał znosić takie męki. To było przerażające.

Wydawał się zadowolony z jej reakcji:

- Mam poprosić tu ludzi, żeby opowiedzieli ci po kolei, co z nimi robiono? Weźmy, na przykład, kucharza. Ma ci opowiedzieć, w jaki sposób stracił oko?

- Nie - wykrztusiła.

- Aha. widzę, że robi ci się niedobrze.

- Każdemu porządному człowiekowi zrobiłoby się niedobrze, gdyby usłyszał coś takiego.

- A więc na pewno rozumiesz, że chcę się zemścić na Peterboroughu.

Milczała.

- Na "Lewiatanie" żyło dwustu ludzi Auroro. Ocalało tylko dwudziestu sześciu.

Zdusiła szloch.

Patrzył na nią z tryumfalną miną.

- Tu cię mam. Nie możesz zlekceważyć tych dusz, co? Tej setki mężczyzn, którzy wołają o pomstę zza grobu.

Trzęsąc się, usiadła z powrotem na fotelu. Teraz nie mogła już niczego ukryć. Nawet gdyby zależało od tego jej całe szczęście.

Kiedy doszła do siebie, spytała:

- A co Peterborough zrobił tobie? Ciebie nie było na "Lewiatanie". Chcę wiedzieć, co zrobił tobie.

Wziął ją pod brodę.

- Jeśli powiem, co mi zrobił, to czy zdopinguje cię to do działania? Myślę, że nie. Lubisz pomagać niewinnym Auroro. A wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że moja niewinność należy od dawna do przeszłości.

- Powiedz mi, co zrobił ...

- Pomóż tym nieszczęśnikom, którzy poszli na dno ze swoim statkiem! Oni potrzebują twojej pomocy!

Patrzyła na niego, podziwiając jego spryt. Podejrzewał, że jej uczucia do niego mogą skłonić ją do zatajenia informacji, które pozwoliłyby mu zemścić się na Peterboroughu, więc wzbudził w niej współczucie dla marynarzy z "Lewiatana", ofiar wicehrabiego. I odniosło to skutek. Nie mogła uwolnić się od obrazu cierpiących męki, tonących ludzi.

- Pomóż mi Auroro. Tylko w tobie nadzieja, że nie okaże się, iż zginęli na próżno.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła monotonicznie mówić:

- Ojciec miał na imię Michael. Pochodził z okolic Hugh Town na wyspie SL Mary, ale ja wychowywałam się w Londynie. Pamiętam nasze mieszkanie. Zdaje się, że było to na West Endzie. Codziennie przejeżdżała tamtędy Policja Konna, pilnując, by nie doszło do nowych zamieszek.

- Pamiętasz coś jeszcze o ojcu?

- Ciężko mi przypomnieć sobie ojca. Pamiętam po prostu tyle, że tam mieszkałam.

- Mów dalej.

Czuła się coraz gorzej, bo z każdym słowem rozluźniała się łącząca ją z nim nić.

- Naprawdę niewiele pamiętam. Przypominam sobie taki obrazek - blask słońca padający na mój wyszczerbiony kieliszek do jajek ... boję się ciemności kryjących się pod moim łóżkiem. - Jej głos zniżył się do szeptu. - Ojciec recytuje wierszyk.

- Właśnie, porozmawiajmy o tym wierszyku. - Przysunął swój fotel. - Powiedz mi wszystko, co o nim wiesz.

- Powtarzaliśmy go każdego wieczoru, jak modlitwę przed snem. Chciał mieć pewność, że nigdy go nie zapomnę.

- Chciał, żebyś miała ten szmaragd.

- Tak myślę - odparła bezbarwnym głosem.

Żle zrozumiałwszy przyczynę jej kiepskiego nastroju, wziął jej dłonie w swoje i powiedział:

- Nie mam zamiaru pozbawiać cię tego, co ci się należy Auroro. Chcę, żebyś to wiedziała. Jeśli o mnie chodzi, to jak tylko znajdę ten szmaragd, będzie twój. Będziesz mogła go sobie wziąć.

Roześmiała się gorzko.

- Tak, to jest to, o czym zawsze marzyłam - szmaragd duży jak moja pięść! Ogrzeje mnie podczas zimnych londyńskich nocy.

Popatrzył na nią. Powoli cofnął ręce.

- Co mówisz?

- Mówię, że nie dbam o tę przeklętą Gwiazdę Aranu. Kiedy znajdę się na powrót w Londynie, wrócę do sierocińca i poproszę, żeby mnie znowu przyjęli do pracy. Nie potrzebuję nieuczciwie zdobytych bogactw.

- Będziesz potrzebowała pieniędzy, żeby mieć za co żyć. Nie możesz wrócić do sierocińca.

- Ach tak, nie mogę?

- Nie możesz. Peterborough wie o sierocińcu, więc nie byłabyś tam bezpieczna.

- Nie mam innego miejsca, gdzie mogłabym iść.

Wziął w dłoń jej rubinowy naszyjnik i pociągnął ją do siebie.

- Posłuchaj, moja ślicznotko, nie masz szans z tym człowiekiem. On wie, że Gwiazdę ukradł twój ojciec i nawet jeśli z powrotem dostanie szmaragd w swoje ręce, to i tak, dla zwykłej przyjemności, odnajdzie cię, żebyś zapłaciła za zbrodnię swego ojca, rozumiesz? Nie wrócisz do sierocińca. Flossie zabierze cię ze sobą na St. George i zostaniesz tam, dopóki nie postanowię inaczej.

- Kiedy wreszcie znajdziesz ten swój przeklęty szmaragd! nie będziesz miał do mnie nic. Zrobię, co będę chciała. - Zabrała rękę, wstała i podeszła do okna. Mirage jakoś straciła dla niej cały swój urok.

Potań białą brodę i spojrzał na nią.

- Ten sierociniec nie miał znów tak dużo zalet. - zawahał się. - Nadal tęsknisz do swojego Phippsa?

Nic nie odpowiedziała.

- Auroro. - Wstał. - Wybierz sobie z głowy pomysł, żeby teraz wracać do Londynu. Jeśli tęsknisz za Phippsem, to możesz napisać do niego, żeby przyjechał, ale nie możesz wracać do sierocińca, bo to zbyt niebezpieczne.

- To twoja wojna Vashon, nie moja. Pogodziłam się już w duszy z ojcem. Wybaczyłam mu jego uczynki. To, co dzieje się teraz, dotyczy nie mnie, lecz ciebie.

- Nie pozwolę ci tego zrobić.

- Dlaczego? - spytała drżącym głosem. Wściekła na siebie, obróciła się z powrotem do okna. Nie powinna była zadawać tego pytania. Jakiej odpowiedzi mogła się spodziewać? Vashon był ostatnim mężczyzną, który wyznałby miłość, żeby ją zatrzymać przy sobie. Skąd więc brało się to pragnienie, by usłyszeć coś takiego?

- Peterborough skrzywdzi cię, jeśli cię znajdzie. Nie rozumiesz?

Spojrzała na niego chmurnym wzrokiem.

- Skąd tak dobrze znasz tego człowieka? Chcę wiedzieć, co było między wami, że tak pragniesz zemsty?

- On jest moim bratem.

Odwróciła się, jak smagnięta biczem? Brat przeciw bratu? To niemożliwe! Kiedy jednak zobaczyła minę Vashona, wiedziała, że mówi prawdę. Jego twarz była tak samo nie przenikniona jak zawsze, ale w oczach widziała wściekłość i nienawiść, gorzej nawet - ranę tak rozległą i głęboką, że trzeba by się cofnąć, żeby ujrzeć ją w całości.

- Co on ci zrobił? - spytała urywanym głosem.

- Mieliśmy jedną matkę. Ale moim ojcem był wicehrabia Blackwell.

Zamknęła oczy. Teraz wszystko stało się jasne. Zrozumiała, dlaczego Vashon miał tak piękne dzieciństwo i dlaczego potem stał się taki twardy i brutalny. Jego własny brat sprzedał go do Algieru.

- Dlaczego on to zrobił Vashon? Po to, żeby uzyskać tytuł wicehrabiego? - Pytania te z trudem przeszły jej przez usta.

Vashon nie odpowiedział. Było jasne, że więcej z niego nie wydobędzie.

Ujęła klucz dyndający między jej piersiami i dopiero teraz zobaczyła wryty na nim herb Blackwellów. Wszystko ułożyło się w całość, gdy spostrzegła dwa smoki podtrzymujące tarczę herbową. Zrozumiała, że jej medalion nie przedstawia bynajmniej jaszczurki, lecz stylizowanego smoka i że został bez wątpienia zrobiony dla wicehrabiny Blackweu. Uświadomiła sobie też, że gdyby smoka wytatuowanego na plecach Vashona pozbawić chińskich ozdób, to byłby on dokładnie taki, jak smoki na tym herbie.

- Chińczycy uważają smoki za dobre stworzenia, prawda? - spytała nieswoim głosem.

- Tak.

- Ale w Anglii smok nie uchodził za dobre stworzenie? A ten na twoich plecach wcale nie jest chińskim smokiem. To smok z twojego herbu.

Powoli skinął głową.

- A ten klucz ... Skąd go masz?

- Był w mojej kieszeni, kiedy zabrali mnie z Londynu.

- Dlaczego mi go dałeś?

- Dlatego, że symbolizuje wszystko to, co było dobre - powiedział ochrypłym szeptem. - I wszystko to, co nie może trwać. I, \_

Podniosła dłoń do ust. Teraz dopiś ogarnęła ją depresja. Być może cały czas miała ukrytą gdzieś głęboko nadzieję, że uda się jej okiełznać Vashona, zabić w nim gniew i pragnienie krwi i pomóc znaleźć szczęście. Teraz widziała, że to prawie niemożliwe. Był zbyt silny i zbyt zły. Tę wściekłość mogłaby powstrzymać tylko miłość, ale on nie zaakceptuje jej miłości, już na pewno nie odpłaci jej tym samym uczuciem. Miał rację, że dał jej ten klucz. Nic nie trwa długo. Nic, oprócz nieodwzajemnionej miłości.

- Teraz już wiesz, dlaczego Gwiazda jest taka ważna ~ powiedział.

Nagle zaatakowała. Nie mogła pozwolić mu wymknąć się bez walki.

- Nie, nie wiem. Wiem tylko jedno, że zemsta nie popłaca. Sam sobie wyrządzisz krzywdę Vashon. Nie zyskasz szczęścia, szukając zemsty na Peterboroughu. Twoja nienawiść uczyni z ciebie potwora, prawie takiego potwora, jakim stał się twój brat.

- Może już jestem takim potworem? Nigdy nie przyszło ci to do głowy? W moich żyłach płynie przecież w połowie ta sama krew, co w jego. - Twarz miał zimną jak głaz.

- A więc musisz z tym walczyć! Nie musisz być taki jak on! Przecież nie jesteś na to skazany! Masz też dobrą stronę! Widziałam ją!

- Ach, co za świetlane perspektywy! Ale to nie jest takie proste Auroro. Może ja nie chcę z tym walczyć?

- Ale musisz - nie poddawała się. - Teraz widzę, że nie chodzi ci o tytuł ani o bogactwa, bo masz pewnie trzy razy tyle co Peterborough. Ta zemsta wcale cię nie uszczęśliwi. Nie niszczy wszystkiego, co spotkasz na swojej drodze, tylko po to, żeby go dosięgnąć. Kiedy go wreszcie dopadniesz, nic ci nie zostanie.

- A co ty o tym wiesz? - warknął z błyskiem w oku. - Ty, ze swoim bezpiecznym, żalonym życiem ... Co ty możesz wiedzieć o tych sprawach?

Próbował ją zranić, ale zbyła te okrutne słowa wzruszeniem ramion i powiedziała:

- Wiem, o czym mówię Vashon. Widziałam w sierocińcu, dzieci, które miały przeszłość bardzo podobną do twojej.

Te, które o tym zapomniały, przetrwały. Te, które nie mogły zapomnieć i pielęgnowały gniew, tak jak ty, nie przetrwały.

- Nie jestem znajdą Auroro .

- Na zewnątrz - nie.

Ich spojrzenia spotkały się i przez chwilę myślała, że się jej udało, ale potem, bez ostrzeżenia, złapał ją tak mocno, że omal nie zdusił jej.

- Powiedziałem ci już, że nie mam zamiaru się zmieniać. Skąd ci przyszło do głowy, że jakiś bękart złodzieja może mnie do tego skłonić?

Te słowa zmiażdżyły ją. Czowała się tak, jakby uszła z niej krew.

- Czy twoje okrucieństwo nie ma granic?

- Nie, zapewniam cię, że mogę posunąć się jeszcze dalej. - Objął ją w pasie i podniósł do góry, tak że jej twarz znalazła się na wysokości jego twarzy. - Dlaczego ciągle zmuszasz mnie, żebym udowadniał, jak potrafię być okrutny?

Poczuła strach, ale nie pokazała nic po sobie.

- To nie ja cię zmuszam - rzekła. - To ten potwór na twoich plecach. Jest odbiciem bestii, którą masz w sercu.

\_ I za każdym razem, kiedy o tym zapominasz, narażasz się na niebezpieczeństwo. - Uśmiechnął się, jak gdyby straszenie jej sprawiało mu przyjemność, a potem pocałował ją brutalnie.

Jęknęła, czując nienawiść do niego i do siebie za to, że kochała go. Ale kiedy całował ją, wydawało się jej, jakby w jego ciele tkwiło dwóch różnych mężczyzn - jeden, który potrafił być czuły i łagodny, i drugi, który ścisnął ją boleśnie za brodę i nie pozwalał uciec przed oblesnym pocałunkiem.

Kiedy wcisnął jej język w usta, zaczęła WalcZyć. Podniosła rękę i uderzyła go w twarz, ale była zbyt słaba, by uczynić mu jakąś krzywdę. Roześmiał się tylko i pocałował ją jeszcze mocniej. Chciała uderzyć go jeszcze raz, ale był już na to przygotowany. Złapał jej rękę i wykręcił do tyłu, aż jęknęła z bólu.

pociągnął ją w stronę łóżka. Wydawało się jej, że odgrywają po raz drugi jakąś ponurą pantomimę. Nie odrywając ust od jej warg, położył ją na kołdrze i przesunął dłoń ku jej piersiom. Usiłowała się wyrwać, ale jednym szybkim ruchem znalazł się na niej i przycisnął ją swym ciężarem. Starła się pochwycić jego spojrzenie, lecz przyciskał policzek do jej szyi.

Poczuła, że jego palce zaciskają się na muślinowym wykończeniu dekolту sukni. Domyśliła się, że chce

rozerwać tkaninę. W końcu spojrzał jej w oczy i z szyderczym błyskiem szarpnął. Materiał pękł.

\_ Jak wolisz Auroro? - spytał. - Brutalnie czy łagodnie?

Wytrzymała jego wzrok.

\_ Wiesz, jak wolę - powiedziała.

\_ Odwróć oczy - rzekł ochryplym szeptem, jak gdyby jej spojrzenie zaczęło go w końcu deprymować.

\_ Nie mogę - odparła, z trudem opanowując drżenie głosu.

\_ Dlaczego? - spytał z irytacją, co zapowiadało jeszcze większą brutalność.

- Dlatego, że ... - Po policzku spłynęła jej łza. Otarła ją i pomyślała, że nie ma powodu dłużej tego ukrywać. Dlatego, że mogę nie zauważyć człowieka, którego kocham. A widuję go tak rzadko.

Odskoczył od niej jak dźgnięty nożem. Twarz wykrzywiła mu taka wściekłość, że myślała, iż uderzy ją, ale wyprostował się tylko i wskazał drzwi.

- Wynoś się! I nie pokazuj mi się więcej. Słyszysz?

Szlochając i przytrzymując jedną ręką rozdartą suknię, zeszła z łóżka.

- Vashon - wykrztusiła.

- Wynoś się Rankiem odpływasz na " Odważnym" .

- Nie, proszę cię - zaczęła, ale powstrzymał ją gniewnym spojrzeniem. Widząc jego wściekłą minę, zacisnęła powieki, by powstrzymać łzy i potykając się, ruszyła do drzwi. Myślała, że Bóg jest rzeczywiście tak okrutny, jak przedstawiał to John Phipps.

\*\*\*

W nocy zaczął padać deszcz. Aurora siedziała ze śpiącą Koongą w ramionach i patrzyła na lejące się z nieba strumienie. Na Wyspach Karaibskich jeśli deszcz pada w dzień, nie trwa długo i zazwyczaj nie jest zbyt ulewny, za to przynosi miły chłód, a roślinność rozwija się potem jeszcze bujniej. Natomiast nocne deszcze są witane z niepokojem, gdyż często zwiastują huragany, które mogą spustoszyć wyspę nawet większą od Mirage. Jednak Aurora chciała, by deszcz był jeszcze większy, by wiatr wiał jeszcze silniej. Modliła się, by nadszedł huragan, a jeśli rano znów miało zaświecić słońce, by nie musiała go oglądać.

Wiatr łomotał żaluzjami, ale nie zwracała na to uwagi. Naj silniej szy powiew, najzimniejszy deszcz nie był w stanie ukoić jej smutku. Nie zauważyła nawet, kiedy przez otwarte okno wiatr chlusnął do pokoju strumieniem wody. Cofnęła się dopiero wtedy, gdy Koonga zaczęła się wiercić.

Gwiazda Aranu stała się teraz dla niej przekleństwem, które zastąpiło najbardziej wulgarne wyrazy. Myśląc o klejnocie, roześmiała się gorzko i wytarła krople deszczu z policzków. Już dwukrotnie została odrzucona z powodu tego wstrętnego szmaragdu. Kamień ten dwukrotnie zniszczył jej nadzieje na miłość. Nagle zapragnęła dostać go w swoje ręce. Chciała ścisnąć go w dłoni i zobaczyć, czy naprawdę wart jest tego, co przez niego wycierpiała. A potem cisnęłaby go w głębiny oceanu, głębiny tak bezdenne, zielone i okrutne, jak oczy Vashona.

Na razie jednak nie miała niczego, co mogłoby ją pocieszyć. Zresztą nawet zniszczenie kamienia nie ukojonej bólu.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i przycisnęła małpkę do piersi. Rankiem pewnie przyjdzie po nią Benny. Wątpiła, by popłynął z nimi na "Odważnym" Vashon na pewno nie zapewni im w powrotnej drodze lepszych warunków niż miały podczas rejsu na wyspę. Jeszcze bardziej przygnębiona, położyła małpkę na poduszce na sofie. Bez Koongi dni będą jeszcze bardziej puste.

Pukanie do drzwi wytrąciło ją z melancholijnych rozważań. Na myśl, że może to być Vashon, serce podskoczyło jej do gardła, wiedziała jednak, że to nie on.

- Tak? - rzekła cicho w stronę drzwi.

- Pani! Pani! Przyjść szybko! Duży problem!

Otworzyła drzwi. za którym stał Tsing ze wspaniałym świecznikiem w ręku. Widać było, że jest bardzo zdenerwowany.

- Co się stało? - spytała z niepokojem.
  - Vashon zwariować! On zwariować! Iść szybko! Duży problem!
  - A co zrobił?
  - Spalić mapę i kazać przynieść dużo brandy! Mapa taka droga, pani!
  - Stać go na drugą ... a więc upił się. tak? - spytała rozdrażniona.
  - Tak, pani I Iść szybko! zatrzymać go! - Tsing ciągnął ją za rękę, ale cofnęła się.
    - Skąd ci przyszło do głowy, że ja mogę coś na to
  - poradzić? Dlaczego przyszedłeś po mnie? On cię przysłał?
    - Nie, pani. Ale ty go zatrzymać I Ja wierni
    - Vashon jest dorosły i jeśli chce się upić, nie mogę nic na to poradzić.
  - Pani! Pani! Patrz! - Ujął ręką swą siwąwą, przypominającą ogonek, brodę. Jej koniec był równo odcięty. - On rzucił we mnie nóż! On powiedzieć: "Dawaj brandy i wynoś się!", a kiedy zobaczyć, że ja stać, on rzucić nóż I
    - Co za lotr! - krzyknęła, dotykając końca brody Tsinga. - Powinieneś rzucić pracę u niego!
    - Nie, pani, on tego nigdy przedtem nie robić! Duży problem. Ty go zatrzymać, pani I - Wyciągnął ją na korytarz.
  - Naprawdę nie rozumiem, co mogę tu zrobić, Tsing powiedziała, ale on dalej popychał ją w stronę pokoi Vashona. - Nie mam z tym nic wspólnego.
    - Nie; pani nie! Kiedy Vashon rzucić nóż, on powiedzieć, że ty chcesz go zabić, a on nie pozwolić! Stanęła.
    - że ja chcę go zabić? To nonsens! Naprawdę zwariował!
    - Wziąć to, pani! - Wziął ze stojącej obok komody tacę z karafkami i wcisnął jej w ręce. - Ty to wziąć, pani. Ja trzymać się daleko.
- Zanim się zorientowała, Tsing zapukał do drzwi. Kiedy z wewnątrz odpowiedział gniewny pomruk, kucharz otworzył drzwi i wepchnął ją do środka, a potem uciekł.
- Zostaw to i wynoś się - ryknął Vashon.

Aurora rozejrzała się i zobaczyła tylko jedną, dającą słaby blask, świecę na biurku. Obok świecy leżała sponiewierana mapa.

- Powiedziałem ...
  - Nie rzucaj znowu nożem. To nie Tsing - rzekła szybko.
- Zobaczyła w ciemności postać wstającą z kozetki.
- Zdaje się, że powiedziałem ci. ..
  - Owszem - przerwała mu - ale tak wystraszyłeś Tsinga, że nie chciał tu wejść i przyprowadził mnie.
- Ty też powinnaś okazać rozsądek i nie przychodzić tutaj, żebym ciebie z kolei nie wystraszył. Patrzyła na niego. Nie mogła dostrzec twarzy, ale widziała ostry sztylet w ręku. Wyglądał przerażająco, ale wolała zginąć niż znowu uciec przed nim.
- Nie brak mi rozsądku - powiedziała wolno - ale w przeciwieństwie do Tsinga, wierzę, że mnie nie zranisz. - Zaczęła po omacku szukać ręką stołu. Kiedy go znalazła, postawiła tacę z karafkami i wtedy poczuła ostrze na piersi. Stał za nią.
  - Widzę, że nie udało mi się przekonać cię, że naprawdę jestem zły.

Jego oddech przesycony był brandy. Drugą ręką objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Zamknęła oczy. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Sama widziała, jak w popłochu uciekali przed nim jego ludzie, kiedy był w takim humorze, ale robiła, co mogła, żeby nie okazać strachu.

Gdy wzięła głębszy oddech, poczuła jak ostrze sztyletu wbija się w jej skórę. Zmusiła się do spokoju. Oblizawszy wargi, powiedziała:

- To naprawdę dziwne Vashon, że chcesz mnie ugodzić. Parę minut temu Tsing powiedział, że to ja chcę cię zabić. - Próbujesz mnie zabić - powiedział takim tonem, jakby był zupełnie trzeźwy.

- A w jaki sposób? Nie mam przecież broni.

- Masz. Masz najbardziej niebezpieczną broń. Tutaj.

Mówiąc to, dotknął ręką miejsca, gdzie tłuło się jak oszalałe jej serce.

Przestraszona, ale jednocześnie dziwnie uradowana jego słowami, odparła:

- Wiesz przecież, że tą bronią mogę zwyciężyć tylko wtedy, kiedy ty mi na to pozwolisz.

Opuścił sztylet, a potem wcisnął go w jej dłoń.

- A więc wbij mi go w plecy i skończmy tę mękę. A może czekasz, żeby zrobił to za ciebie Josiah Peterborough?

Otworzyła dłoń i sztylet upadł na podłogę.

- Jesteś pijany - powiedziała. - Gadasz od rzeczy. Nie będę ciebie słuchała.

- Nie jestem tak pijany, żeby nie wiedzieć, co się stanie.

- A co się stanie? - spytała spokojnie.

- Po pierwsze - ujął ją pod brodę - pocałujesz mnie.

- Doprawdy? Nigdy więcej. Przysięgam ...

Odwrócił ją tak szybko, że omal nie odpadła jej głowa.

- O nie, pocałujesz mnie - szepnął - a potem pójdziemy do łóżka i zostaniemy tam długo.

Wyrwała się i cofnęła pod drzwi.

- Tsing miał rację. Ty naprawdę oszalałeś.

- Są gorsze rzeczy niż szaleństwo. - Wyciągnął rękę i znowu ją złapał. - Na przykład czystość.

- Nie Vashon. Nie przyszłam tu po to, żebyś mnie znowu obrażał.

Chwycił ją w ramiona. Ujął w dłonie jej delikatną twarz i patrzył na nią tak łakomym spojrzeniem, że z wrażeń zaparło jej dech.

- Wiem, po co tu przyszłaś Auroro - powiedział. - Przysłaś po to, żeby zniszczyć mnie tą swoją miłością. Przysłaś, aby uwodzić mnie swoimi sztuczkami, aż w końcu nie będę się mógł obronić.

- Miłość nie zabijał - krzyknęła.

- Chcesz, żebym popełnił samobójstwo, żebym zabił się dla ciebie!

- Nie! Pragnę dla ciebie jak najlepiej! Ale chcę, żebyś prowadził godne życie! Jeśli nie potrafisz kochać, to cóż jest warte twoje życie? - zaczęła płakać.

- zapomniałem. co to za uczucie - mruknął. - Już nigdy nie zdołam wykrzesać go z siebie.

- Mógłbyś sobie przypomnieć. Wiem to - szepnęła.

- Mówisz z taką pewnością. jakbyś była autorytetem w tych sprawach - rzekł cynicznie.

- Mówię to, co czuję Vashon.

Spojrzeni na siebie, mierząc się wzrokiem. Akurat kiedy pomyślała, że raczej rzuci się z pokładu "Morskiego

Śmiałka" niż przegra ten cichy pojedynek. Vashon rzekł ochryple:

- No to pokaż mi.

Patrzyła bez słowa. nie wiedząc, o co mu chodzi.

- Pokaż mi - powtórzył, tym razem łagodnie.

Przyjrzała mu się badawczo i dostrzegła w jego oczach wielkie oczekiwanie.

- Jak? Jak mam ci to pokazać? - rzekła ledwie słyszalnym szeptem.

- zacznij od pocałunku.

Drżąc na całym ciele. spuściła wzrok. Nie była pewna. czy potrafi to zrobić. Jednak tak bardzo pragnęła jego szczęścia. że podjęła rozpaczliwą próbę, odchyliła głowę do tyłu i wycisnęła pocałunek na jego twardych ustach.

Zrobiła to tak niezgrabnie. że kiedy skończyła. obawiała się. czy Vashon nie roześmieje się. Milczał jednak. Poglaskała go niezręcznie po nie ogolonym policzku.

Cały czas nie spuszczał z niej wzroku.

- Powiedz to - szepnął. - Powiedz. Tym razem cię nie wygonię.

Czuła się jak największa idiotka. To nie był mężczyzna dla niej. Nigdy nie będą mogli ułożyć sobie wspólnie życia. Było to równie niemożliwe jak małżeństwo owieczki z wilkiem. Taki związek. zamiast dać jej szczęście, zniszczyłby ją, a mimo to nie mogła postąpić inaczej. Uczucia. które do niego żywiła. porwały ją i niosły jak wezbrana woda przelewająca się przez dziurawą tamę. Nie można powstrzymać takiego żywiołu. zatykając dziurę palcem.

- Kocham cię - powiedziała. - Moja tragedia polega na tym, że nie mogę nad sobą zapanować.

Ostatnie słowa wymówiła prawie niedosłyszalnie, ale zdawało się, że jednak dotarły do jego uszu. Złapał ją w ramiona jak konający czepiający się życia. Wpił się w jej usta i podniósł ją. Podeszedł do łóżka i padł na nie, nie wypuszczając jej z objęć. Wydało się jej nagle, że wszystko, czego pragnęła, wszystko, o czym marzyła, znalazło się w zasięgu ręki.

Całował ją, spragniony jej ust, spragniony jej dotyku. Chciała się unieść, żeby złapać dech, ale nie pozwolił na to. Jego język palił jej usta, ręce parzyły ciało. Pieścił jej plecy, pośladki, wąską talię pod cienkim materiałem.

Patrzyła zdumiona, jak ją rozbiera i delikatnie rozpina haftki jej sukni, by odsłonić piersi o brzoskwiniowych sutkach. Spoglądając w jego spragnione, zielone oczy, wiedziała, czego chce i tym razem sama pragnęła mu to dać.

Powoli dotknęła jego nagiej piersi. Zatopiła palce w gęstych, czarnych włosach i muskała twarde ciało. Kiedy jednak on zrobił to samo, ujmując jej pełne piersi w swe dłonie, drgnęła, jakby chciała odskoczyć. Nie pozwolił jej na to.

- Chcę zapomnieć o wszystkim Auroro - szepnął. Zanim zdążyła coś odrzec, objął ją w pasie i pociągnął na siebie. Poczowała pod swymi piersiami jego pierś twardą jak kamień. Znowu przyssał się do jej ust, rozczesując palcami jej złocistorude loki, a potem przycisnął jej biodra do swoich.

Szeptala niczym słowa modlitwy:

- Kocham cię.

Odpowiedział jeszcze jednym, długim pocałunkiem i przekręciwszy się, znalazł się na niej. Na moment zastygł w bezruchu, wpatrując się w jej oczy.

Musiał znaleźć w nich to, czego szukał. Posiadł ją, a zanim pocałował ją po raz ostatni, jęknął z rozkoszy, gdy \_ znowu szepnęła:

- Kocham cię, kocham.

Potem nie mogła już nic mówić.



Czas biegł szybko. Deszcz przeszedł w mżawkę, a potem zupełnie ustał, ale nie zwracali na to uwagi, pochłonięci tylko sobą. Szeptom, wzdychaniom, pocałunkom i pieścizotom nie było końca. Dwukrotnie usnęła w jego ramionach i dwukrotnie obudził ją jego dotyk, a namiętność rozgorzała na nowo, jak podsycany płomień. Każde zespolenie było wspanialsze od poprzedniego.

Kiedy wreszcie knot jedynej świecy zaskwierczał w reszcie roztopionego wosku i zgasł, a pierwszy promień słońca przebił się przez mgły otulające Soufriere, spłynął na nich spokój i znużenie. Vashon leżał z policzkiem na brzuchu opartej na poduszkach Aurory, a ona wodziła palcem po tatuażu na jego plecach.

Tego ranka nie niepokoił jej nawet . smok. Peterborough skradł mu tytuł szlachecki, rozumiała więc teraz wściekłość, która kazała Vashonowi potraktować w taki sposób własne ciało.

- Chyba powinnam wrócić do siebie - szepnęła bez przekonania, czując się źle na samą myśl o opuszczeniu go.

- Nie, Śpiąca Królowno, zostań - powiedział, kładąc dłoń na jej biodrze.

Uśmiechnęła się, słysząc nowy epitet, którym ją ochrzcił, a na sercu zrobiło się jej cieplej, gdy przypomniała sobie, co robił, kiedy obudził ją tymi słowami.

- Ale czy służba nie będzie się denerwować, kiedy od-, kryje, że mnie nie ma?

- Tsing domyśli się, że jesteś tutaj.

Umilkła zaniepokojona, że służba dowie się, iż spędziła całą noc z Vashonem. Klóciło się to z jej poczuciem przyzwoitości.

Uniósł się na łokciach i podniósł medalion leżący na pościeli. Zaczerwieniła się, nie mogąc sobie przypomnieć, kiedy pękł łańcuszek.

Machając medalionem, powiedział:

- Nie zdołałem rozszyfrować wierszyka.

- Domyśliłam się, kiedy zobaczyłam, co zrobiłeś z mapą. - Zawahała się. - Ale przecież wiesz, że Gwiazda nie jest ci potrzebna. Twój majątek przechodzi wyobrażenie większości ludzi. Możesz dać spokój Peterboroughowi.

Skinął głową.

- Tak, ale nawet jeśli ja wycofam się z tej walki, to Peterborough tego nie zrobi. Tym bardziej teraz, kiedy mam ciebie.

- Daj mu więc ten medalion.

- To nie jest takie proste.

Poctuła, że jego ciało stężało. Powiedziała łagodnie:

- Kochany, on nie znajdzie Mirage. Nigdy nas nie znajdzie. Zostaniemy tu, założymy rodzinę ...

Odsunął się, przekręcił na plecy i wpatrzył ponuro w baldachim nad łóżkiem.

- Jeśli się postara, to może znaleźć wyspę. Niemądrze byłoby go nie doceniać. A poza tym są pewne sprawy, których nic nie wiesz Auroro. Na przykład przekleństwo.

- Jakie przekleństwo? - szepnęła.

- Nie wierzę w to, ale ludzie utrzymują, że Gwiazda ma magiczną moc. "Ktokolwiek będzie ją posiadał, ujrzy śmierć swoich wrogów". Tak jest napisane w *Kronice Crom Dubh*, której stary rękopis znajduje się w zamku Inishmore ... skąd pochodzi Gwiazda.

- Ale skoro nie wierzysz w to przekleństwo, to dlaczego w ogóle myślisz o tym?

- Dlatego, że wierzy w nie Peterborough. Chciał mnie zgładzić, ale bał się zrobić to sam, bo przesąd zabraniał mu zabić własnego brata. Kiedy jednak zdobędzie szmaragd, jeden przesąd zastąpi drugim i będzie dążył do mojej śmierci, nawet gdyby miał zamordować mnie własnoręcznie.

Popatrzył na nią i odgarnął jej włosy z oczu.

- Jednak bardziej niż o siebie, obawiam się o ciebie Auroro. Musisz więc przysiąc mi na wszystko, co jest ci drogie, że zrobisz, co ci powiem. Bez względu na wszelkie trudności, zapewnię ci bezpieczeństwo.

- Tylko nie każ mnie odesłać. Nigdy się na to nie zgodzę.

- Dopóki jesteś ze mną, zagraża ci Peterborough.

- O czym mówisz? - Ton jego głosu zaniepokoił ją.

- Mówię o tym - rzekł wolno, unikając jej wzroku - że musisz zrobić, co ci powiem. Bez względu na to, co to będzie.

Potrząsnęła głową, czując wzbierający w sercu niepokój.

- Nie prosz mnie, żebym cię opuściła. Nie możesz naj-, pierw brać mnie do łóżka, a potem odtrącać.

Ścisnął zęby, jak gdyby podjął już decyzję, i to taką, która się jej nie spodoba.

- Musisz, Auroro, wrócić do swego dawnego życia. Źle zrobiłem, wrywając cię z twego otoczenia. Teraz to widzę. Muszę zapewnić ci bezpieczny powrót do Londynu.

- Widzisz, jak bardzo cię kocham!

Spojrzał jej w oczy.

- Nie, Auroro. Widzę kobietę, która zasługuje na więcej, niż ja mogę jej dać. Szlachetną i piękną kobietę, której się wydaje, że jestem dla niej odpowiednim mężczyzną. I mężczyznę, który z jakiegoś powodu tak zyskał w jej oczach, że wydaje się jej, iż zasługuje on na jej miłość ... Czy wiesz, jakie było moje życie? - rzekł cicho. - Wiesz, ilu ludzi zabiłem?

Odepchnęła go i zatkała uszy.

- Nie obchodzi mnie, ilu ludzi zginęło przez ciebie. Do końca życia będę wierzyć, że miałeś ku temu powody ...

- Posłuchaj mnie! - Przyciągnął ją szorstko do siebie. Czasami zdawało mi się, że mam powody, ale przecież moim bratem jest Peterborough, a w moich żyłach płynie po części ta sama krew. Zastanawiam się, czy nie ma to wpływu na moje widzenie świata.

- Nie ma! W niczym nie jesteś podobny do brata!

- Może jednak jestem. Może jestem bardzo do niego podobny. Izaak powiedział kiedyś, że dlatego nie odebrałem Peterboroughowi tytułu, iż większą przyjemność sprawia mi psychiczne znęcanie się nad nim, niż zasiadanie w gronie arystokracji. I miał rację Auroro. Miał rację.

- Nie będę tego słuchała! Możesz mówić, co chcesz, ale nigdy nie uwierzę, że jesteś innym człowiekiem niż myślę! Kocham cię! Nie mogłabym kochać złego człowieka!

Potrząsnął nią. Na jego twarzy malowała się złość i ból.

- Pierwszego człowieka zabiłem, kiedy miałem trzynaście lat!

- Miałeś ku temu powód!

- Skąd wiesz?

Z oczu trysnęły jej łzy. Powiedziała, z trudem wydobywając z siebie słowa:

- Ten człowiek chciał cię zgwałcić, prawda?

Vashon siedział nieruchomo, ze stężałą twarzą.

- Peterborough chciał mojej śmierci, żeby odziedziczyć tytuł. Myślał, że nie żyję, dopóki parę lat temu nie wróciłem do Londynu i nie złożyłem mu wizyty. Chciałem go nastraszyć. Opowiedziałem mu o człowieku, którego zabiłem, kiedy byłem jeszcze chłopcem. Opisałem mu to szczegółowo. - W głosie Vashona brzmiała nienawiść. - Chcesz wiedzieć, co mi potem powiedział?

Potrząsnęła głową.

- Powiedział: "Dobra robota. Teraz widzę, że jesteśmy braćmi."

Puścił ją i odwrócił się tyłem. Serce o mało jej nie pękło. Instynktownie przytuliła się do niego, przycisnęła nagie piersi do smoka na jego plecach i objęła jego muskularny tułów.

- To niczego nie zmienia - szepnęła.

- Źle zrobiłem, zwodząc cię, Auroro - powiedział bezbarwnym głosem. - Jesteś warta najlepszego, a nie najgorszego z mężczyzn. Powinnaś wyjść za swojego Phippsa. Powinnaś mieć tyle różnych rzeczy.

- Powiedziałeś, że mnie nie odeślesz - wyszeptwała, chwytając się każdej możliwości. - Powiedziałeś, że powrót do Londynu jest zbyt niebezpieczny.

- Teraz tak - odparł spokojnie. - Ale zadbam o to, żebyś dotarła tam bezpiecznie. Popłyniesz z Flossie na Sto George, a ja do Anglii poszukać Peterborougha.

- Nie rób tego Vashon! Błagam cię!

- Musisz mieć takie życie, jakie chciałaś mieć.

- Skłamałam! Skłamałam o Phippsie! Chciałam wyjechać z Londynu. Nie mam do czego wracać. - Po tym bolesnym wyznaniu zdusiła łkanie.

- Niewiele zrobiłem dobrego w swoim życiu Auroro, ale teraz zrobię. Powinnaś mieć mały domek. Powinnaś mieć zwykłe, spokojne życie u boku zwykłego, spokojnego mężczyzny. - Odsunął ją od siebie. - Nie ze mną. Z tego związku nie wynikłoby nic dobrego.

Ale przecież możemy mieć dziecko! Nasze dziecko! - chciała krzyknąć, lecz zaczęła się już poddawać. Kiedy spojrzała w jego surowe, szmaragdowe oczy, wiedziała, że nie zmieni już zdania.

- Jeśli to zrobisz, znienawidzę cię na zawsze! - krzyknęła.

- Wolę, żebyś mnie znienawidziła. I mogła jeszcze długo żyć, żeby to powiedzieć. Za jakiś czas przekonasz się, że miałem rację. Będiesz dziękowała Bogu, że tak się stało. - Będzie cię przeklinała, dopóki starczy mi w piersiach tchu - powiedziała, nie patrząc na niego, aby nie zobaczył, jak mocno ją zranił.

Roześmiał się gorzko.

- założę się, że nie będziesz tego robiła samotnie.

Odwrócił się nagle i pocałował ją, przewracając na poduszki zaczęła się szarpać.

- Jeśli mam cię zostawić Vashon, to zrobię to teraz - powiedziała z wściekłością.

- Nie. - Uśmiechnął się ponuro. - Skoro masz mnie zostawić, to musimy dobrze wykorzystać czas, który nam został. - Położył dłoń na jej piersi. Próbowala go zrzucić, ale jego usta znalazły się na jej wargach.

Zamknęła oczy, myśląc gorączkowo o tym, jak się wyrwać. Ale kiedy poczuła, że znowu zapada w słodkie zapomnienie, wyszeptała to, co chciała od niej usłyszeć od chwili, kiedy po raz pierwszy posiadał ją:

- Jesteś łajdakiem i zawsze będę cię za to nienawidzić. Słyszysz? zawsze ...

Jak się spodziewała, odpowiedział śmiechem. Ona zaś, tak jak się obawiała, stwierdziła, że wbrew swej woli głaszcze jego czarne włosy i otwiera usta do pocałunku.

-Minęło trochę czasu, zanim znowu odsunęli się od siebie. Nie zauważyli nawet, kiedy weszło słońce. A tymczasem złowieszczy statek, który opłynął Zatokę Komarów na południowy wschód od SL Kitts, zmierzał szybko ku Mirage.

\*\*\*

Gwałtowne pukanie do drzwi wyrwało Aurorę z głębokiego snu.

Otworzyła oczy i stwierdziła, że leży w objęciach Vashona, z ręką spoczywającą w nieświadomym geście poddania się na jego piersi. Między jej udami znajdowała się noga Vashona. On sam musiał obudzić się już wcześniej, bo na odgłos pukania zdjął z piersi jej rękę, wstał z łóżka i podszedł do drzwi, nie zastanawiając się nad tym, że jest nagi.

- Izaak - usłyszała jego głos, kiedy zniknął w przedpokoju. Potem dobiegły ją dźwięki prowadzonej po cichu rozmowy i jej napięcie wzrosło. Bardziej jeszcze niż tego, by nie zorientowano się, że spędziła noc z Vashonem, obawiała się złych wieści.

Kiedy wreszcie ujrzała Vashona, wszystko stało się jasne. W trakcie rozmowy z Izaakiem włożył białe spodnie i kiedy wrócił do sypialni, minęła go tak poważną, jak nigdy jeszcze.

- Co się stało? - krzyknęła, zakrywając biust prześcieradłem.

- Koło Rum Gut przybił jakiś statek. Izaak mówi, że nazywa się "Maria Magdalena".

- Znasz ten statek?

- Należy do niejakiego Fontiena. Nie przypuszczałem, że uda mu się znaleźć Mirage. Jestem pewien, że przywiózł tu mojego brata. Peterborough jest już na wyspie. zamknęła oczy, lękając się o Vashona, o nich oboje.

- Ubierz się - powiedział, myśląc o czymś innym. Podszedł do biurka i zebrał leżące na nim papiery i mapy. -

Izaak przygotowuje "Morskiego Śmiałka" do wyjścia w morze. Wypływamy natychmiast.

Patrzyła na niego, zdjeta lękiem przed jego utratą. Przez cały czas lekceważyła Peterborougha, ale teraz, kiedy znalazł się na Mirage, przeraziła się tak, że aż zaczęła się trząść.

Podniósł wzrok. Przyglądał się uważnie jej bladej twarzy, splątanym włosom i dłoniom ściskającym prześcieradło. Rzekł nieco cieplej:

- Ubierz się, kochanie. Przyznaję, że to niemiłe przebudzenie po najwspanialszej ze wszystkich nocy, ale nie na to nie mogę poradzić.

Podniosła się bez słowa i odszukała sukienkę.

- Boję się, że wszystko przybiera dokładnie taki obrót, jak przewidziałeś - powiedziała, szamocąc się z suknią. Gdybyśmy nie ... - Wzięła głęboki oddech i wyjrzała przez okno na morze. - Odwróciłam twoją uwagę od tych spraw i teraz możesz za to zapłacić życiem.

- Ja sam pozwoliłem sobie na odwrócenie od tego uwagi.

Były to jedyne słowa pocieszenia.

- Kochanie, pośpiesz się. - Wskazał na suknię, nadal nie dopiętą i ukazującą prawie całą pierś.

Pospiesznie dokończyła toalety, a on tymczasem odwrócił się w stronę biurka. Związała włosy w luźny węzeł i skierowała się w stronę wyjścia.

Zatrzymał ją w przedpokoju.

- Co ty wyprawiasz? - warknął. Obróciła się szybko.

- Muszę zabrać Koongę. Nie mogę jej tu zostawić. Benny nigdy by mi tego nie wybaczył.

- Gdzie ona jest?

- W moim pokoju.

- Niech tam zostanie. Peterborough może już tu jest. Choć dom jest duży, znalezienie moich pokoi nie zajmie dużo czasu.

- Vashon ...

- Nie pójdziesz po nią.

- Czy ona jest już gotowa?

Podskoczywszy na dźwięk głosu trzeciej osoby, Aurora odwróciła się i zobaczyła, że tuż za nią stoi Izaak. Była święcie przekonana, że traci rozum, bo przecież cały czas patrzyła na drzwi, a nie zauważyła, by wchodził.

- Gdzie Benny? - spytał Vashon, bynajmniej nie zdziwiony nagłym pojawieniem się Izaaka.

- On i Flossie są już na St. Kitts. "Morski Śmiałek" czeka w porcie w Basseterre.

- A jak dostaniemy się na St. Kitts, żeby nikt tego nie zauważył? - spytała.

Vashon uśmiechnął się cierpko.

- To najmniejszy problem. - Zwrócił się do Izaaka: - Czy polecono służbie zniknąć? Tsing też odszedł?

- Ewakuowali się - odparł Izaak i zawahał się. - Jednak nie obyło się bez ofiar. Zastrzelono dwóch marynarzy na "Odważnym". Blackwell na pewno myślał, że będziemy chcieli odpłynąć na tym statku.

Na tę wieść Aurorze zrobiło się słabo. Zginęło już dwóch ludzi. Spojrzała na Vashona. Wydawało się jej, że zwariuje z rozpacz. Myśl o tym, że znalazł się w takim niebezpieczeństwie, doprowadzała ją do hysterii.

Vashon skinął głową, a potem wręczył Izaakowi mapy i wenecki notes. Następnie wsunął za pas pistolet.

- Wsadź wszystkich na "Morskiego Śmiałka". Niedługo tam będę.

- Gdzie, do diabła, chcesz iść? - wyrzucił z siebie Izaak, patrząc na niego jak na wariata.

- Po małąkę Benny'ego - odparł zjadliwie Vashon. Zdaje się, że to zwierzę ma zbyt wielu miłośników, żeby można je tu było samo zostawić.

- Vashon, nie!- krzyknęła Aurora.

- Ja też uważam, że to zły pomysł, przyjacielu - rzekł ponuro kapitan. - I tak już nas zaskoczono.

- Nie możesz po nią iść Vashon. Sam powiedziałeś, że Peterborough może być już w domu - zawołała, nie chcąc, by się narażał na niebezpieczeństwo. - Błagam cię, zostaw ją. To ja muszę ją zabrać.

- Zabierz ją, Izaak. Za chwilę dołączę do was. - Vashon wskazał na nią, jakby była psem, którego można odprowa dzić na smyczy.

Izaak potrząsnął głową, wyraźnie niezadowolony z takiego obrotu spraw, ale nic już nie powiedział. Wziął Aurorę za ramię i rzekł:

- Flossie cały czas pyta o ciebie dziewczyno. Chodź. Mamy przed sobą kawałek drogi.

Aurora cofnęła się, Żądali od niej rzeczy niemożliwych.

Czy mogłaby spokojnie żyć dalej, gdyby Vashonowi coś się przyaarzyło?

- Nie, Vashon, nie pójdę, dopóki nie wrócisz.

Vashon wziął ją pod brodę jak uparte dziecko.

- Posłuchaj Auroro. Nie czas teraz na dyskusję. Obiecałaś, że zrobisz to, co ci powiem. Teraz właśnie nadeszła chwila, żebyś dotrzymała tej obietnicy.

- O Boże, nie zmuszaj mnie do tego! - jęknęła.

- Musisz. - Vashon puścił ją. - za chwilę będę z wami- powiedział do Izaaka.

- Vashon! - krzyknęła, usiłując wyrwać się Izaakowi. Pozwól mi iść ze sobą! Błagam cię! Nie mogę cię utracić! <

- Miałeś mnie na zawsze znienawidzić, pamiętasz? Uśmiechnął się ponuro i gestem nakazał Izaakowi, by ją zabrał. Aurora nie przestawała się wyrывać, ale Izaak zaciągnął ją przed potężny ekran z inkrustowanego złotem mahoni, zasłaniający kominek. Kiedy go odsunął, okazało się, że jest za nim nie palenisko, ale schody prowadzące w głąb ziemi.

- Nie rób tego Vashon!- krzyknęła raz jeszcze, ale zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, kapitan pociągnął ją w dół schodów. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Vashona, zobaczyła, że szykuje się do walki, patrząc z wściekłością na drzwi do przedpokoju.

Lata biegania po ulicach Kazby dały Vashonowi wyraźną przewagę nad przeciwnikiem. Znał dom i wiedział, jak się kryć. Skradając się cichymi korytarzami, słyszał wszystko - wiatr poruszający gałęziami palm kokosowych nad przesmykiem na północnym zachodzie, uderzenia okiennicy o framugę w położonym dalej pokoju, dziwny odgłos jakiegoś płynu, ściekającego gdzieś na wyfroterowaną mahoniową podłogę.

Szedł bosy, cały spięty. Kapanie działało mu na nerwy.

Kiedy skręcił za załom korytarza, jego twarz steżała. Był wstrząśnięty, ale nie zaskoczony tym, co ujrzał. Z belki zwisało jak nietoperz jakieś ciało. Nie było widać żadnych śladów zbrodni, oprócz niewielkiego cięcia na szyi. Jak zwykle, Peterborough wykazał się świetną znajomością chirurgii.

Vashon odciął zwłoki i dopiero wtedy rozpoznał młodego czamego nurka z Nevis. Człowiek ten pracował dla niego od dnia, w którym poślubił jego służącą. Teraz był martwy, gdyż miał nieszczęście znaleźć się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Vashon z obrzydzeniem położył ciało w kącie, ale potem zreflektował się.

- Przepraszam cię, chłopcze - szepnął, zanim przeciągnął ciało na drugą stronę korytarza, zostawiając na podłodze kałużę krwi. Z szacunkiem przeszedł nad trupem i skierował się w stronę pokoju Aurory.

Cicho otworzył drzwi. Z sypialni dochodziło skrzeczenie Koongi. Znajdujący się tuż obok salonik był pusty.

Skradając się jak kot, wszedł do sypialni. Małpka siedziała na baldachimie, szczerząc zęby na coś w rogu łóżka. Vashon spojrział tam i znalazł się twarzą w twarz z bratem. - A więc w końcu spotkaliśmy się tak, jak chciałem powiedział Peterborough, wychodząc z ukrycia z pistoletu mi w obu rękach.

Patrzyli na siebie, tak podobni, a jednocześnie tak różni od siebie.

- Cieszę się, że cię znów widzę - rzekł Vashon spokojnym, ale przesyconym pogardą głosem.  
- Ja też. Nie wiedziałem, gdzie cię szukać w tym wspaniałym pałacu - Peterborough zatoczył ruch ręką - który tu sobie zbudowałeś. Cieszę się, że sam mnie znalazłeś. Przyjrzał się skąpemu strojowi Vashona, jaskrawo odróżniającemu się od jego bladożółtej kamizelki i spodni z kozłowej skóry. - Widzę, że nie ubraliśmy się stosownie do tej okazji.

- A cóż to za okazja?

- Twój pogrzeb. - Peterborough nagle roześmiał się.

- Ale ja mam tę dziewczynę. A więc niby dlaczego mam umrzeć? Ja widzę to zupełnie inaczej - gdy tylko znajdę szmaragd przekleństwo spadnie na ciebie i to ty zginiesz.

Wicehrabia opanował się.

- Gdzie ona jest? Służący powiedział nam, że to są jej pokoje.

- Nam? - spytał Vashon.

!Peterborough wskazał ruchem brody drzwi. Wyszedł zza nich ubrany z przesadną elegancją młody blondyn. trzymający w trzęsącej się dłoni pistolet.

Zlekceważywszy go, Vashon odwrócił się z powrotem do Peterborougha.

- Przypuszczam, że ten chłopak, którego zabiłeś w korytarzu, powiedział ci, że Aurora jest tutaj?

- Nie zeznawał tak szybko, jak chciałem.

- Nikt nie może cię w tym względzie zadowolić. - Vashon spojrzał na baldachim i wyciągnął rękę do Koongi. Małpka zeskoczyła na nią i przywarła do jego szyi.

Peterborough uśmiechnął się.

- Wredne stworzenie. Szczyrzyło na mnie zęby.

Koonga jakby go zrozumiała, bo znowu wyszczerzyła zęby.

- Masz zły zapach - powiedział Vashon. - Zwierzęta tego nie cierpią.

Wicehrabia nie krył irytacji.

- A więc gdzie ona jest Vashon? Azedyn doniósł mi, że Aurora Dayne jest prawdziwą pięknoscią. Sypiasz z nią?

Vashon nic nie odpowiedział.

- Jest aż tak dobra? Odebrało ci mowę. Cudownie. Peterborough roześmiał się. - Potrzebuję dobrej kobiety na podróż powrotną. zapomniałem, ile czasu trwa podróż przez Atlantyk i jak człowiek jest zmuszony ... obywać się byle czym. - Spojrzał z pogardą na młodego blondyna.

- Skąd ci przyszło do głowy, że ją oddam? - spytał Vashon.

Peterborough znowu spojrzał mu w oczy.

- Stąd, że położę cię trupem, jeśli będę miał odpłynąć bez niej.

- Wobec tego musisz mnie zabić od razu.

- Jeśli to zrobię, to nigdy nie dowiem się, gdzie on jest. Vashon uśmiechnął się.

- Właśnie.

- A więc gdzie ona jest?

- Tu już jej nie ma. Jest w drodze po szmaragd.

- A zatem ona wie, gdzie on jest? - Peterborough zbłądł.

- Odkryła mi wiele rzeczy - odparł Vashon.

- Szmaragd jest mój! Zdobę go za wszelką cenę! - wicehrabia podszedł bliżej.

Vashon roześmiał się tylko. Ostentacyjnie odwrócił się i pokazał mu plecy.

- Zastrzel mnie, bracie! Proszę cię! Zrób to, co chciałeś zrobić wiele lat temu!

Peterborough otworzył usta i cofnął się. Wzrok miał utkwiony w herbowego smoka Blackwellów, wytatuowanego na plecach Vashona. Było jasne, że widzi go po raz pierwszy. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie i przerażenie.

- Naciśnij spust. A może się boisz? - Vashon znowu odwrócił się do niego twarzą. - Przeraża cię ten smok? Myślałeś, że nie dbam o tytuł, co? Musisz być nieźle przerażony, przekonawszy się, że byłeś w błędzie. - Vashon zaczął powoli zbliżać się do niego. - No, dalej, strzelaj. Dlaczego się wahasz? Dlatego, że bez tego szmaragdu nie masz odwagi, ty cholerny bękarcie?

- Trzymaj się na dystans. - Peterborough machnął pistoletem. - Jak sam powiedziałeś, nie dostanę w swoje ręce Aurory Dayne, jeśli cię zabiję.

- Nigdy jej nie dostaniesz - Vashon uśmiechnął się.

- Nie bądź tego taki pewien, braciszku. - Peterborough podniósł pistolety. - Jeśli cię zabiję, szmaragd nie będzie mi potrzebny.

Vashon zatrzymał się. Wywiczonym ruchem, jak gdyby wyreżyserował tę całą scenę, sięgnął ręką do tyłu, wyrwał pistolet Asherowi i złapawszy go za kołnierz, zasłonił się jego ciałem.

- No dalej, wicehrabio, strzelaj! - powiedział.

- Nieee! - zawył Asher, wyciągając błagalnym gestem ręce przed siebie.

Peterborough wycelował broń.

- Mam dwa pistolety Vashon. Kiedy go zabiję, stracisz swoją tarczę.

- Nieee! - Asher kwiczał jak zarzynana świnia.

- Módl się, żebyś nie spudłował - Vashon spokojnie trzymał przed sobą Ashera.

- Błagam cię! Błagam cię, Josiah! - skamlał żałośnie Asher.

Kiedy zdawało się, że Peterborough ma już nacisnąć spust, Asher ukrył twarz w dłoniach i rozpląkał się. Vashon z obrzydzeniem podniósł go i cisnął w stronę Peterborougha. Asher poleciał na wicehrabiego i to wystarczyło Vashonowi, by umknąć.

Wprawiony w ucieszkach przed oprawcami Vashon wypadł jak strzała na korytarz. Peterborough starał się złapać równowagę. Za zakrętem Vashon przeskoczył jednym susem kałużę krwi, która wyciekła z ofiary wicehrabiego. Biegąc po wyfroterowanej podłodze, usłyszał to, czego oczekiwał. Peterborough skreślił za załom korytarza, nie spodziewając się znaleźć kałuży krwi na drodze. Pośliznął się i przejechał parę kroków, upadł. Przy upadku wypaliły oba pistolety.

Na odgłos strzałów Koonga zapiszczała i przywarła jeszcze mocniej do szyi Vashona. Vashon potrzebował paru sekund, by przesunąć ekran z powrotem na miejsce. Zniknął, jakby nigdy go tam nie było.

Peterborough wbiegł do przedpokoju pokryty prochem i umazany krwią zabitego chłopca. zatrzymał się dopiero w sypialni. Okręcił się i spojrzął na pięć otwartych okien. Nie mógł się zdecydować, przez które ma gonić Vashona. Wtedy jego wzrok padł na jakiś znajomy przedmiot na łóżku. Podszedł bliżej i w zmiętej pościeli ujrzał medalion.

Podniósł go zdumiony. Dotykał go palcami, jakby starał się coś sobie przypomnieć. Kiedy znalazł ukryty zamek, otworzył medalion, najwyraźniej nie wiedząc, co może znajdować się w jego wnętrzu. Przeczytawszy wyryty w środku napis, odchylił głowę do tyłu i roześmiał się. Znalazł więcej, niż się spodziewał. Jego nieprzyjemny śmiech niósł się echem przez puste pokoje Siedliska Smoka .

\*\*\*

Tajemnica Małego Wzgórza wyjaśniła się. Po wyjściu podziemnym przejściem z pokoju Vashona Izaak wciągnął Aurorę do przepięknej jaskini koralowej o niemożliwej do opisanego barwie

i uciekli z Mirage przez nikogo nie widziani. Przeszedłszy kawałek drogi, wyłonili się, z innej jaskini, na Sto Kitts. W Basseterre wsiadli na pokład "Morskiego Śmiałka" i czekali. Była to prawdziwa męka, więc Aurora westchnęła z ulgą, kiedy na nabrzeżu pojawił się Vashon z Koongą na ramieniu. Nie było czasu nawet na najkrótsze powitanie, więc wymienili tylko spojrzenia, a potem Vashon oddał Koongę Benny'emu i poszedł na mostek. Załoga uwijała się żwawo, przygotowując statek do wyjścia

w morze. Flossie wzięła Aurorę za rękę i zaprowadziła do swojej kabiny. Usiadły przy herbacie, czekając na odpłynięcie.

- Jesteś strasznie milcząca, kochanie. Czy coś się stało? - spytała Flossie po dłuższej chwili.

Aurora podniosła głowę znad filiżanki. Była tak zamyślona, że zapomniała, iż nie jest sama.

- Wybacz mi - powiedziała - myślami byłam gdzie indziej ...

- Vashon? - spytała Flossie.

Aurora westchnęła głęboko i kiwnęła głową.

- Domyśliłam się od razu. - Flossie spokojnie mieszała herbatę.

Nie mogąc opanować zdenerwowania, Aurora wstała zaczęła chodzić po kajucie.

- Obawiam się, że stało się najgorsze - rzekła. - Zakochałam się w nim.

- To jeszcze nie jest najgorsze, co mogłoby ci się przytrafić.

Aurora spojrzała na nią, a potem szybko odwróciła wzrok. Doskonale wiedziała, co Flossie ma na myśli.

- Chyba nie doszło do najgorszego, co? - spytała Flossie, marszcząc czoło.

- Zupełnie nie wiem, o czym mówisz - odparła wymijająco Aurora.

- Mówię - Flossie zniżyła głos - o dziecku. Nie miałaś miesiączki?

- Nie ... nie wiem. Nie mogę teraz o tym myśleć. Flossie nie wyglądała na pocieszoną.

- O tym nigdy nie jest za wcześnie myśleć, kochanie. Szczerze mówiąc, lepiej pomyśleć o tym zawczasu

...

Aurora odwróciła się i zagryzła wargi.

- Myślisz, że jestem okropna, prawda? Okryłam się hańbą, a potem zakochałam się w mężczyźnie, który pozabawił mnie czci.

- Nie, nie, broń Boże! - Flossie objęła ją. - Zawsze, bez względu na to, co się stanie, będę cię uważała za damę. - Ucisnęła ją jeszcze raz, ale Aurora już się opanowała.

- Nic mi nie będzie Flossie. Muszę po prostu wrócić do domu i zapomnieć o tej okropnej podróży. Nie przepuszczałam, że może mi się coś takiego przydarzyć. Chyba byłam głupia, że w ogóle wyjeżdżałam z sierocińca.

- Ale przecież płyniesz ze mną na SL George, prawda? Chyba nie masz zamiaru wracać do tego wstrętnego przytułku? Och, jaka to cholernie kłopotliwa sytuacja! - wykrzyknęła swoim zwyczajem Flossie. - Wybacz mi mój język, kochanie. Jeśli kiedykolwiek znajdziemy się na St. George, to przysięgam na swój grób, że nigdy nie powiem nikomu ani słowa o tej podróży, ale teraz, kiedy doprowadzono mnie do takiego stanu, że zachowuję się tak, jakbym nie miała żadnych manier, nie mam zamiaru milczeć. Ten człowiek musi cię poślubić! Nie może cię po tym wszystkim tak zostawić! Przecież to skończony łajdak! Jeśli Izaak kładzie się do łóżka z kobietą, to ... - Flossie nagle urwała, zorientowawszy się, że się wygadała. zakryła usta ręką i zaczerwieniła się po czubki włosów. Po dłuższym, bolesnym milczeniu wykrztusiła:

- Co ty sobie teraz o mnie pomyślisz! Aurora energicznie potrząsnęła głową.

- Nie martw się. W czasie tego rejsu nas obie doprowadzono do takiego stanu, że robiłyśmy rzeczy, których w innej sytuacji żadna z nas nigdy by nie zrobiła. - Popatrzyła na nią. - Czy ... czy on się z tobą ożeni?

- O Boże, nie wiem. Ale na pewno nie zostawi mnie z dzieckiem! - Flossie zaczęła wachlować się chusteczką, najwyraźniej mając dość tej nieprzyjemnej rozmowy. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Nie przyznaję się do tego, ale od czasu, jak umarł mój mąż, czuję się samotna. Był wspaniałym człowiekiem i



pamięć o nim była dla mnie zawsze pocieszeniem, dopóki Izaak nie ... odwrócił mojej uwagi swoimi... zalotami. - Prawie zakrztusiła się przy ostatnim słowie.

- Nie usprawiedliwiał się - szepnęła Aurora, pragnąc ją pocieszyć.

Flossie machnęła ręką.

- Nie mówię o tym, żeby uspokoić swoje sumienie. Postąpiłam źle i wiem o tym. Chodzi o to, że poczucie winy jest jedyną przykrą konsekwencją tego, co zrobiłam. Ale ty masz większe zmartwienie.

- Nie będę miała dziecka - powiedziała Aurora. - Jestem tego pewna.

- Choć chciałabyś, żeby tak było, jest tylko jeden sposób, żeby temu zapobiec. Vashon musi dać ci spokój. Od tej chwili zostajesz ze mną.

- Nie sądzę, żeby mu się to spodobało, Flossie.

- Phi! Będę z nim walczyć zębami i pazurami! Musi zostawić cię w spokoju! Albo ożenić się z tobą!

- Takiego człowieka jak Vashon nie można zmusić, żeby zrobił to, czego nie chce - powiedziała Aurora. - Tak samo nie powstrzymasz go przed wzięciem tego, co jego zdaniem, musi mieć. Wiem o tym aż za dobrze.

- Ja go powstrzymam, łajdaka.

Nagle rozległ się za nimi głośny, dudniący śmiech. Odwróciły się i zobaczyły Vashona stojącego w drzwiach, z ramionami założonymi na piersiach. Flossie natychmiast zasłoniła swym ciałem Aurorę.

- Jak śmiesz wchodzić bez pukania do mojej kajuty! krzyknęła. - Od jak dawna już tu stoisz?

- Od niedawna - odparł ze złośliwym uśmiechem.

- Ale i tak słyszałeś dosyć, żeby wiedzieć, co myślę o twoim zachowaniu w stosunku do tej dziewczyny. Ty szubrawcze!

- Mówisz tak, jakbym ją siłą zmusił do uległości.

- Była naiwna i niedoświadczona, a ty to wykorzystałeś.

Spojrzał na Aurorę, zatrzymując spojrzenie na jej gołej szyi.

- Ty też tak myślisz? - spytał.

Aurora nie odpowiedziała. Jeszcze nie doszła do siebie po emocjach tego ranka. Była wściekła z powodu szamotaniny w łóżku, przestraszona tym, że o włos uniknęła spotkania z Peterboroughem i zmęczona obawą o Vashona, kiedy poszedł po Koongę. Na pewno jednak nie miała zamiaru pójść z nim do łóżka podczas rejsu na Bermudy i pozwolić, żeby zostawił ją potem nie mówiąc nawet: "Do widzenia!"

- Uwiodłeś ją - odparła za nią Flossie.

- Ja ją czy ona mnie? - rzekł, patrząc znacząco na Aurorę.

Odparowała jego spojrzenie, a potem lekceważąco odwróciła głowę.

- Chodź, ptaszyno - powiedział zniecierpliwiony - muszę z tobą pomówić. Musimy pójść do mojej kajuty.

- Ona nigdzie z tobą nie pójdzie. Zostanie tutaj. Jeśli musisz z nią porozmawiać, to tylko w mojej obecności.

Vashon spojrzał na nią, jakby mówiła od rzeczy.

- Mówiłam poważnie Vashon. Będę walczyła zębami i pazurami - powiedziała Flossie, biorąc się pod boki.

- Przykro mi panią rozczarować, ale jest pani za słaba," żeby mnie powstrzymać. - Wyglądał na ubawionego tą sytuacją.

- Będę walczyła o to, co słuszne - powiedziała Flossie, przysuwając się bliżej Aurory i zasłaniając ją swym potężnym ciałem.

- Słuszne jest to - odparł, przybierając bardziej groźny wygląd - co mówię. Aurora będzie ze mną. I nikt - dał krok do przodu - nie zabroni mi tego. - Popatrzył z góry na Flossie. - Czy mam panią odsunąć, czy zejdziesz mi pani z drogi z własnej woli?

Flossie zbladła.

- Vashon - powiedziała, ciężko dysząc z oburzenia - nie masz za grosz wychowania.

- Owszem, nie mam.

Podniósł do góry brew, jakby dawał jej ostatnią szansę wycofania się. Kiedy nie ruszyła się z miejsca, złapał ją pod pachami, uniósł w górę i postawił parę stóp dalej. Oczy Flossie omal nie wyszły z orbit.

Odsunąwszy Flossie, Vashon wyciągnął rękę po Aurorę, ale cofnęła się.

- Flossie nie jest jedyną osobą, która nie chce, żebym z tobą poszła Vashon. - Spojrzała na niego wyzywająco.

- Brawo, Auroro!- zawołała Flossie z kąta.

Vashon odchylił głowę do tyłu i przyglądał się jej spod zmrużonych powiek.

- Pójdź. Ieś ze mną Auroro. Będziesz mieszkała w mojej kajucie, dopóki nie dopłyniemy do st. George. To moje ostatnie słowo. A teraz możesz stąd wyjść sama albo cię wyniosę. Co wybierasz?

- Pogardzam twoim towarzystwem. Nie pójdę z własnej woli.

- Trudno. - Wyciągnął rękę i Flossie krzyknęła z oburzenia. Aurora kopała i drapała, ale jak przystało na pirata, zarzucił ją sobie na ramię i wyszedł, nie raczywszy nawet zamknąć za sobą drzwi.

Kiedy postawił ją na podłodze w swojej kajucie, zapanowała cisza zwiastująca burzę. Aurora była tak wściekła, że nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Skrzyżowawszy ręce na piersi, mierzyła go pałającym gniewem wzrokiem.

- Usiądź! - powiedział. Nie posłuchała, więc pchnął ją i upadła na kanapę.

- To tu chcesz wykonać na mnie wyrok *El Draque*?

- Nie, tu chcę zapytać, gdzie jest twój medalion.

Spostrzegła, że ma zmartwioną minę. Podniosła rękę do szyi. Nie znalazła medalionu i nagle przypomniała sobie, gdzie on jest.

- Zo... zostawiłam go na łóżku. Tam widziałam go po raz ostatni ... - Do głowy przysła jej straszna myśl. - Znalazł go Peterborough?

Vashon nie odpowiedział. Potem spojrzał na biurko i rzekł:

- To moja wina. Powinienem być pomyśleć o tym i wrócić po niego. Nie mam zwyczaju zapominać o takich rzeczach. Obawiam się, że staję się roztargniony.

Podszedł do biurka i wziął mapę. Patrzył na nią.

- Czy on może rozszyfrować wierszyk? - spytała cicho podchodząc do niego.

- Wątpię by mógł to zrobić bez twojej pomocy.

Vashon przyglądał się mapom. Kontynenty wyglądały masywnie. Gwiazda mogła się znajdować na każdym z nich. Aurora nigdy nie spotkała się z równie beznadziejnym zadaniem.

- zastanówmy się nad tym, co wiemy. - Wskazał jej miejsce n.a kanapie. Tym razem usiadła bez sprzeciwu.

- Dajmy temu spokój Vashon. Możemy popłynąć gdziekolwiek, tam gdzie nie znajdzie nas Peterborough ...

- Opowiedz mi jeszcze raz, co wiesz o ojcu - rzekł Vashon, nie odrywając wzroku od mapy.

Przygnębiona, przebiegła myślami wszystko jeszcze raz. I jeszcze raz." I tak aż do północy.

- Zdaje się, że mieszkaliśmy na West Endzie. Ojciec urodził się na SL Mary. Pamiętam, jak kiedyś staliśmy przed Carlton House. Pamiętam suknie pań. Pamiętam jak uczył mnie wierszyka ...

Aurora otworzywszy oczy i wbaczyła, że Vashon nadal studiuje mapy. Spojrzała w świetlik i stwierdziła, że prawie świta. Nie wiedziała jak długo spała, ale na pewno dłużej niż Vashon.

- W ten sposób nie znajdziesz tego.

Podniósł głowę i spojrzał na nią.

- W jaki sposób? - spytał.
- Bez jedzenia, bez spania. Stracisz siły.
- Znajdę szmaragd.

Przeciągnęła się i wstała z łóżka.

- Jeśli ktoś może go znaleźć, to tylko ty. O, widzę że Benny zostawił nam kawę. Napij się, a ja przyniosę z kuchni coś do jedzenia.

- Dlaczego nagle zrobiłaś się taka troskliwa?
- Dlatego, że wyglądasz okropnie. - Uśmiechnęła się na widok jego rozwichrzonych włosów i zmęczonej twarzy, po czym napełniła filiżanki kawą.

zaniósł mu kawę, i miała właśnie wyjść do kuchni, kiedy objął ją w pasie. Przyciągnął ją do siebie i powiedział:

- Nie odchodź. Nie jestem głodny.
- Musisz być - zawołała.
- Nie jedzenie jest mi potrzebne. - Wstał i wziął ją za rękę. Zaparła się piętami, kiedy zorientowała się, że prowadzi ją do łóżka.
- Stracisz resztę sił Vashon.
- Aczy mogę je stracić w lepszy sposób?
- Nie chcę - szepnęła.

Zignorował jej protest i rozpiął pasek.

- Powiedziałam: Nie. Tracisz słuch?

Zamiast odpowiedzi, pocałował ją. Zareagowała namiętnie, ale kiedy oderwał usta, starała się to ukryć.

- On może mnie zabić. - Powiedział to tak, jakby była w drugim pomieszczeniu, a nie w jego ramionach.

Przybrała obojętny wyraz twarzy i rzekła:

- W końcu zaczęło cię obchodzić, czy zginiesz czy będziesz żyć?
- Teraz, kiedy mam po co żyć, tak. - Zaparło jej dech. Patrzył na nią, jak gdyby była bezcennym klejnotem.
- Vashon - szepnęła. - Nie wystawiaj się na niebezpieczeństwo. Ucieknijmy przed Peterboroughem ...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Przekonywanie go, żeby zmienił zamiar, było bezcelowe. Wiedziała o tym. Wiedziała też, że nie przeżyłaby jego utraty.

Chciała jeszcze raz spróbować perswazji, ale po jednym pocałunku następował drugi. Wkrótce jej suknia opadła na podłogę i na pewien czas rzeczywiście uciekli. Uciekli do tego miejsca gdzieś między ziemią a niebem.

## POJEDNANIE

*... byśmy w śnie i miłości mogli  
nauczyć się ufać sobie wzajemnie.*

*Homer, Odyseja*

Płynęli na północ. Aurora spędzała popołudnie z Flossie, a nocę z Vashonem. On prawie w ogóle nie sypiał, tylko nad ranem, kiedy był wyczerpany miłością, zapadał w krótki, niespokojny sen. Patrzyła, jak coraz bardziej mamieje, nie odrywając się od swych map. W końcu nie mogła już tego znieść.

Zbliżał się właśnie trzeci tydzień, odkąd wypłynęli z Mirage. Później tego samego wieczoru - dużo później - Aurora patrzyła, jak Vashon wstaje z łóżka, wkłada białe spodnie i podchodzi do biurka. Siedziała na łóżku, przyciskając do piersi prześcieradło. Patrzyła na niego myśląc o tym, że St. George odległa jest zaledwie o parę dni drogi, wiedząc, że nie będzie w stanie go zostawić. Podniosła rękę i dotknęła czulego miejsca na

szy. Przymknęła powieki i przypomniała sobie, jak kąsa zębami jej skórę w jednym z niezliczonych momentów, kiedy się jej poddawał. Nie ulegał łatwo, co czyniło jego poddanie się słodszy. Nie mogła pogodzić się z myślą, że za kilka dni rozstaną się, być może na zawsze. Kiedy tak spoglądała na niego wpatzonego w mapy, ogarniało ją z wątpienie. Szczególnie teraz, kiedy był tak zmęczony, tak zły i tak się nie oszczędzał.

- Mam powiedzieć Benny'emu, żeby przyniósł kolację? - spytała cicho, wyrwając go z rozmyślań.

- Dobrze. - Odsunął się z odrazą od biurka, podszedł do szafki i nalał sobie potężną porcję brandy, a potem stanął przy otwartym iluminatorze. Silny wiatr wydymał żagle i statek ciał wodę z zadziwiającą prędkością. To przygnębiało ją najbardziej.

- Jest gdzieś tam - powiedział ponuro, jakby chciał utwierdzić się w tym przekonaniu.

- Musi gdzieś być - odparła drżącymi ustami. Nie wyobrażała sobie, jak będzie mogła żyć bez niego.

- Może jeśli on znajdzie to miejsce pierwszy, będziesz w końcu bezpieczna.

- Nawet nie myśl o tym.

Opuścił głowę. Po raz pierwszy od czasu, kiedy go poznała, sprawiał wrażenie pokonanego.

- Vashon, zostawmy Gwiazdę.

Odwrocił się. Przestraszył ją dziki wyraz jego oczu.

- Nigdy z niej nie zrezygnuję! Za to, co mi zrobił ...

- Zrobił potworną rzecz - szepnęła.

- Myślisz, że można zgwałcić tylko kobiety?

- Wiem, że nie - powiedziała, zdusiwszy szloch. - Ale obroniłeś się. Najpierw przed tymi, których Jozajasz opłacił, aby cię zamordowali, a potem, w Kazbie, przed tymi, którym cię sprzedano. Uratowałeś się wtedy, więc uratujesz się i teraz. Peterborough nie wygra, jeśli zrezygnujesz z poszukiwań.

Odwrocił się z powrotem do iluminatora. Wiatr rozwiewał jego czarne włosy. Z ramionami skrzyżowanymi na piersi wyglądał niezwykle przystojnie. Ale to nie jego wygląd tak ją pociągał, a raczej to, co początkowo sprawiało, że uciekała przed nim - jego dzikość, może nawet sam smok. Nie mogła się temu oprzeć. Teraz rozumiała, że musiało tak być, gdyż bez tego smoka nie zachowałyby życia i nigdy by go nie spotkała i nie pokochała. A kochała go tak bardzo, że na myśl o rozstaniu łzy cisnęły się jej do oczu.

- Vashon - szepnęła. - Zrobiłabym wszystko, aby ci pomóc. Powiedz mi tylko, co mam uczynić, bo tracę cię, a jeśli stracę, to ... - Głos się jej załamał i z trudem powstrzymała się. "by nie paść mu do nóg i nie błagać, żeby zmienił plany.

- Powiedz Benny'emu, żeby przyniósł kolację - rzekł, nie zwracając uwagi na jej wybuch.

Widząc jego obojętność, powiedziała szorstko:

- Oczywiście. Zrobisz swoje, choćby nie wiem jak wszyscy cię prosili. Już idę.

Skinął głową. Miał już wstać z łóżka, kiedy nagle odwrócił się.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że już idę.

- Nie, przedtem.

Odwrociła wzrok. Jakże okrutne było z jego strony naigrzanie się z jej uczuć.

- Powiedziałam: "Choćby cię nie wiem jak prosili".

- "Choćby prosili mnie" - mruknął i szybko podszedł do biurka zarzuconego mapami. Zgarnął wszystkie na bok, zostawiając tylko mapę Wysp Brytyjskich.

- Gdzie urodził się twój ojciec?

- W Hugh Town.
- Na Wyspie St. Mary?
- Tak - odparła. owijając się prześcieradłem i podchodząc do biurka.
- Na Sto Mary. w grupie Wysp Scilly, tak?

- Tak - szepnęła. otwierając szeroko oczy ze zdumienia. W głowie dźwięczały jej wersy wierszyka.  
"Choćby prosił mnie" - powtórzyła z niedowierzaniem.

\* *Scilly* wymawia się Jak "sili". bez zmiękczenia "s". W oryginale gra słów trudna do oddania w Języku polskim (przyp. tłum.).

- Chryste, to właśnie to. Ale byłem głupi.

Spojrzała na mapę. Vashon położył palec na Krańcu Ziemi na południowo-zachodnim skraju Anglii. Stamtąd przesunął go na Jaszczurczy Cypel. Kiedy później przesunął go na zachód, trafił na SL Mary w archipelagu Scilly. Tuż przed Hugh Town, na wschodnim wybrzeżu wyspy, znajdował się przylądek St. Michael's Bluft.

- Dobry Boże, to imię mojego ojca - rzekła zduszonym głosem Aurora. Spojrzała na Vashona. - A więc tam to zostawił? o Jezu, czy myślisz, że on tam może być? Czy to możliwe, żebym go odnalazła?

Odciągnął ją od mapy.

- Na pewno już nie żyje Auroro. Nie spodziewaj się cudu. Przecież gdyby żył, to przyjechałby do sierocińca po ciebie. - Może jednak żyje! - wykrzyknęła z nadzieją w głosie. Może po prostu zapomniał o mnie.

Objął ją uspokajającym gestem. Przemawiał do niej jak do dziecka.

- On umarł Auroro. Uwierz mi, kochanie. Nie zapomnieliby o tobie.

Zaczęła płakać. Powiedziała ze złością w głosie:

- Nie płyn na St. George. Popłyn od razu na St. Mary i zabierz mnie ze sobą! Muszę się sama przekonać, czy nie żyje!

Po jego minie widać było, że nie ma zamiaru pozwolić jej na to.

- Nie możesz teraz płynąć na Bermudy! Nie masz czasu, żeby zawieźć tam mnie i Flossie. Jeśli popłyniesz od razu na SL Mary, to znajdziesz Gwiazdę, zanim zorientuje się Peterborough.

Jego niechęć do takiego rozwiązania była prawie namacalna.

\* Nazwa ta znaczy "Urwisko św. Michała". ale - co w kontekście powieści ma istotne znaczenie - może być również rozumiana Jako "Błaga (podstęp) św. Michała" (przyp. tłum.).

- Musisz to zrobić! - Chwyciła go za ręce. - Musisz pozwolić mi, żebym się sama przekonała, że mój ojciec nie żyje! Jeśli się nie zgodzisz, to i tak popłynę za tobą. Nic mnie przed tym nie powstrzyma!

- On nie żyje Auroro. Twój ojciec nie żyje.

- Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę jego grobu.

Nie powiedział ani słowa.

- Muszę go odnaleźć, nie rozumiesz tego?

- Nie chcę widzieć cię ze złamanym sercem.

Więc nie każ mi zostawić cię - chciała zawołać, ale spojrzała tylko na niego oczami pełnymi łez.

- Nie znajdziesz go - powiedział.

- Ale muszę spróbować.

- Dobrze, zabiorę cię ze sobą - powiedział gorzko, z miną świadcząca, że robi to absolutnie wbrew swej woli. - Nie popłyniemy na Bermudy.

O mało nie padła przed nim na kolana. Złapawszy go za szyję, pocałowała gorąco w usta. Nie posiadała się ze szczęścia. Na myśl o tym, że może odnajdzie ojca, najchętniej podskoczyłaby w górę. Oczy błyszczały jej z podniecenia, a na policzkach wykwitł rumieniec. Owinięta prześcieradłem, wyglądała zbyt kusząco, aby mógł się oprzeć. Pogładził ją po twarzy, a potem pocałował tak namiętnie, że aż ją to zaskoczyło. Prześcieradło zsunęło się. Zostawili je na podłodze.

- Fontien mówi, że "Morski Śmiałek" zmienia kurs. Jego statki, które to odkryły, doniosły w nocy, że minęli Bermudy i kierują się w stronę Anglii, dokładnie ku Krańcowi Ziemi - powiedział Asher do Peterborougha. Stali obaj na dziobie "Marii Magdaleny".

- Musiał odkryć, gdzie jest Gwiazda. Myślałem, że płyną na Bermudy, ale teraz nie mam pojęcia, dokąd zmierzają. Peterborough wyjął medalion i patrzył na niego zmartwionym wzrokiem.

- Nie potrafisz rozszyfrować wierszyka, co? - W głosie Ashera brzmiała nuta ponurej satysfakcji.

- Mógłbym to zrobić z pomocą córki Dayne'a. - WiCehrabia popatrzył na horyzont, za którym gdzieś tam płynął przed nimi "Morski Śmiałek". - Jeśli nie uda mi się tego rozgryźć, zanim Vashon zawinie do najbliższego portu, to będę musiał się postarać, żeby pomogła mi w tym Aurora Dayne.

Szybkim ruchem chwycił dyndający na łańcuszku medalion i odszedł, zostawiając marszczącego ponuro czoło Ashera.

Po niespełna trzech tygodniach zawinęli do spowitego mgłą portu w Hugh Town. Aurora nie mogła się doczekać zejścia na ląd. Surowe piękno St. Mary działało na nią równie silnie, jak słony wiatr wiejący od morza. Patrzyła ponad plażą na dawny, urwisty brzeg wyspy, poszatkowany labiryntami druidów i celtyckimi cmentarzyskami. Czowała dreszcz emocji. Gdzieś tam był jej ojciec. Wiedziała to. Na pewno go odnajdzie.

Vashon stał na mostku, patrząc posepnie na Aurorę wychylającą się z podniecenia za burtę.

- Czy to możliwe, żeby Michael Dayne jeszcze żył? - spytał Izaak, stojący obok Vashona. Popatrzył na Aurorę, a potem na puste skały i wrzosowisko otaczające małą zatoczkę. - Pewnie mieszka tu mniej niż setka ludzi. Jeśli rzeczywiście jest gdzieś tu, to nie będzie go trudno znaleźć.

- On nie żyje.

- Skąd wiesz?

- Spójrz na nią - wskazał na Aurorę. Wiatr zaróżowił jej policzki, a po plecach kuszącą kaskadą spływały rozplecione włosy. Z nadzieją błyszczącą w oczach wyglądała równie pięknie, jak Amfitryta, wabiąca żeglarza ku skałom. - Gdybyś miał taką córkę, to czy zostawiłbyś ją w sierocińcu i nigdy nie powrócił?

Izaak zmarszczył czoło.

- Jak chcesz ją przekonać, że on nie żyje?

- Sama musi się o tym przekonać. - Vashon potarł podbródek. - Ile mamy przewagi nad Peterboroughem?

- Wiesz równie dobrze, jak ja, że może już tu być. Straciliśmy dużo czasu płynąc na St. George.

- Boże, mam nadzieję, że go nie ma. - Westchnął głęboko. - Izaak, muszę cię o coś poprosić.

- Proś, o co chcesz Vashon. Wiesz, ile zawdzięczają ci ludzie z "Lewiatana". Ilu by jeszcze zginęło, gdybyś przez wszystkie te lata nie ścigał Peterborougha?

- A więc przyrzeknij mi, że gdybym zginął, dopilnujesz, żeby Aurora wróciła do swego dawnego życia.

Izaak zrobił przestraszoną minę.

- Skąd ci przyszło do głowy, że możesz zginąć?

- Stąd, że ... - Spojrzał na Aurorę stojącą na dziobie i zamknął oczy, jak gdyby widok ten sprawiał mu ból.

- Stąd, że teraz nie chcę umrzeć.

- Nie zginiesz ...

- Niestety - przerwał mu, otwierając oczy. - Już popełniam błędy. Pozwoliłem na to, żeby sprawy wymknęły mi się z rąk. To dlatego tyle czasu zajęło mi rozszyfrowanie tego wierszyka. Dlatego nie zorientowałem się w porę, że ten przeklęty medalion został w Siedlisku Smoka.

- Wszyscy popełniamy błędy Vashon.

- Niektórzy nie. I ci uchodzą z życiem. - Odwrócił się do Izaaka. - Przrzekasz? Ona ma narzeczonego w Londynie. Mogłaby wyjść za niego L. - Przerwał, jak gdyby trudno mu było dokończyć. Po chwili dodał: - i żyć przyzwoicie.

- Przrzekam - powiedział cicho Izaak.

- Dobrze.

- Ale na pewno wygrasz. Zapamiętaj moje słowa. Jesteś lepszy. Peterborough nie ma ani tyle siły, ani sprytu. Przegra. Tacy jak on zawsze przegrywają.

Vashon roześmiał się cynicznie. Walnął Izaaka w plecy i zmienił temat:

- Ale nie powiedziałeś mi jeszcze, co masz zamiar robić potem. Czy ta wdowa będzie cię ściagać aż na koniec świata, czy w końcu weźmiesz ją w garść?

- Aż głupio mi się przyznać, ale już to zrobiłem. Vashona prawie замуrowało.

- Chcesz powiedzieć ...

Izaak zmieszał się.

- Wiesz, po śmierci Racheli nie ganiałem za kobietami.

- No więc, co się stało?

- Kiedy w końcu uciszyłem tę dziewczynę, stwierdziłem, że nie jest zła.

Vashon odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się na całe gardło. Usłyszała go nawet Aurora na dziobie. Pomachała do niego ręką. Uśmiechnął się, a potem znowu wpadł w melancholię.

Izaak wskazał ruchem głowy Aurorę.

- Ty też mógłbyś zająć się kobietą Vashon. Dobrze by ci to zrobiło.

- Owszem. - Vashon odsunął się od barierki. - Ale czy ja kiedykolwiek robiłem to, co dla mnie dobre? - Wyszczrzył zęby w uśmiechu i spytał: - Jesteśmy gotowi?

- Jak nigdy jeszcze.

Vashon popatrzył na granitowy występ skalny zwany St. Michael's Bluff.

- No to chodźmy po Gwiazdę .

\*\*\*

St. Michael's Bluff było stromym wzniesieniem sterczącym nad skalistą linią dawnego wybrzeża. Dął ostry wiatr i nawet wrzosa pochylały swe różowawe kwiaty na zawietrzną, jak gdyby błagały żywoły o litość. Jedynymi żywymi stworzeniami było kilka karłowatych owieczek skubiących rzadką trawę w zagłębieniach i krzyczące mewy. Ich wrzask pogłębiał jeszcze napięcie ludzi wspinających się na szczyt, świadomych tego, że każde potknięcie grozi upadkiem z urwiska wprost na głazy leżące na plaży.

Rozglądali się uważnie, ale nic nie przyciągało ich wzroku.

Powinien być gdzieś jakiś znak, kopiec czy stos kamieni, ale nie mogli znaleźć nic oprócz rzadkiej trawy, trzymającej się kurczowo korzonkami stromych skalnych krawędzi.

Nagle jednak wszystkich ogarnęło podniecenie. Jeden z nich wskazywał na duży głaz sterczący z boku urwiska. Między nim a skałą leżało małe blaszane pudełko nie odróżniające się barwą od przezartej soły powierzchni granitu. Dwóch ludzi zdecydowało się wspiąć na głaz i wkrótce zawiśli na jego krawędzi, macając rozpaczliwie rękami w szczelinie i próbując dosięgnąć pudełko. W końcu udało im się to i, przechodząc z rąk do rąk, dotarło ono do rąk mężczyzny o imponującej posturze, który czekał na szczycie

wzniesienia.

Ujął pudełko drżącymi rękami, zerwał haczyk i wytrząsnął zawartość na dłoń. Była to tylko mała karteczka. Widniał na niej napis:

"Znajdzie ją tylko moja córka.

Michael Seamus Dayne"

Peterborough zmiął ją w rękę. Ludzie na zboczu patrzyli na niego. Nie próbował nawet powstrzymać złości. Podniósł w górę ręce zaciśnięte w pięści i zaczął wyć z wściekłości.

- Vashon, proszę cię, weź mnie z sobą. Chcę tylko zapytać o ojca. Jeśli szmaragd był na tych skałach przez tyle lat, to co znaczy te parę godzin? - Aurora wczepiła się w jego ramię, kiedy wraz z kilkoma ze swych ludzi gotował się do zejścia na ląd.

- Kiedy upewnię się, że ci nic nie grozi, wezmę cię. Na razie musisz zaczekać.

Zasmucona jego odpowiedzią, spojrzała tęsknie na nabrzeże. Stała tam, jedyna w Hugh Town, karczma.

Vashon poszedł wzrokiem za jej spojrzeniem i potrząsnął .. głową.

- Myślisz, żeby tam wejść i zapytać o człowieka, którego prawdopodobnie nie widziano od piętnastu lat?

- Vashon, błagam cię, tak bardzo chcę go znaleźć. Gdybyś wiedział, jak bardzo ... - Znowu spojrzała zrozpaczona na karczmę.

Wziął ją za ramię i zmusił, by spojrzała na niego.

- Wiem, jak bardzo, kochanie. Widzę to na twojej twarzy. - Spochmurniał. - Ale nie mam zamiaru zostawać tu dłużej, niż muszę. Peterborough może już być na wyspie. "Maria Magdalena" mogła zakotwiczyć na redzie, i w takim razie przyplłynęliby szalupami i mogliby wysiąść w dowolnym miejscu. Dopóki nie będę miał Gwiazdy w rękę, nie powinnaś schodzić na ląd. Szukanie twojego ojca byłoby w takim razie bardzo nierozsądne.

- Rozumiem to. Ale jeśli nie znajdziesz Gwiazdy? Muszę go odszukać!

Pogłaskał ją po policzku .

- Jeśli Gwiazda jest na tym urwisku, to ją znajdę. A wtedy poszukamy twojego ojca. Przyrzekam ci.

Zrobiła niepewną minę.

- Ale ja się o ciebie obawiam. Jeśli Peterborough jest na wyspie, nie możesz tracić czasu. Pozwól mi rozejrzeć się za nim, podczas gdy ty będziesz szukał szmaragdu.

- Rozejrzemy się, kiedy znajdem Gwiazdę. - Pocałował ją .. czule w usta i razem ze starannie dobranym ludźmi zszedł na ląd.

Patrzyła w milczeniu, jak odchodzi. Serce miała rozdarte między potrzebą chronienia go a pragnieniem odnalezienia ojca.

- Kapitan prosi panią pod pokład.

Aurora odwróciła się i zobaczyła Benny-ego, kręcącego się niespokojnie z Koongą uczeponą szyi.

Uśmiechnęła się blade.

- Gdzie jest Izaak?

- Na herbacie u pani Flossie. Wdowa prosi, żeby zeszła pani do nich.

Aurora raz jeszcze rzuciła tęskne spojrzenie na karczmę. Szyld nad drzwiami, poruszany podmuchami wiatru, skrzypiał żałośnie.

- Vashon nie może zostać tu dłużej niż to konieczne - powiedziała. - Nie mogę go zatrzymać. żeby szukał mego ojca. Pójdę się rozejrzeć. dopóki go nie ma.



- Nie może pani teraz iść! Vashon urwie mi głowę!
- Muszę. Benny. Po prostu muszę.
- Nie. proszę pani - zaczął Benny. ale schodziła już po trapie.
- Benny. będę z powrotem. zanim wróci Vashon.
- Nie! - krzyknął, ale była już na molo. biegnącym prosto do karczmy. Nie miała innego wyboru. jak tylko pójść tam.

Aurora nigdy jeszcze nie była w karczmie. Onieśmielił ją panujący wewnątrz półmrok. a jeszcze bardziej grupki mężczyzn popijających przy stołach porter. Mimo to podeszła do człowieka. który - sądząc po fartuchu - był karczmarzem.

- Przepraszam pana - zaczęła - ale szukam kogoś i myślę. że może być tutaj.

Karczmarz spojrział na nią z typową dla Walijszczyka nieufnością. Otarł wierzchem dłoni kartoflowaty nos i oparł się łokciami na nie heblowane deski szynkwasy.

- Nie ma tu nic dla ciebie. złotko - powiedział. - Mamy tu tyle irlandek. że nie wiadomo. co z nimi robić. Nie potrzeba nam dziewczuch z waszego statku.

Zaskoczona nie wiedziała. co powiedzieć. ale przyszedł jej w sukurs Benny. Nawet nie zauważyła. kiedy zszedł za nią na ląd.

- Rozmawiasz z panią Aurorą Dayne, chamie. To dama, a nie jakaś dziwka. Jeśli nie będziesz się do niej właściwie zwracał, to złoży ci wizytę właściciel "Morskiego Śmiałka".

Karczmarz miał właśnie zamiar pociągnąć z kufła, ale kiedy usłyszał nazwę statku, omal nie wylał piwa na szynkwasy.

- Właściciel "Morskiego Śmiałka" T ... to znaczy ... s ... s ... "Smok"?

Aurora odwróciła się i zdumiona spojrziała na Benny'ego. Nigdy nie przypuszczała, że Benny potrafi mówić tak ostro.

- Dokładnie tak - odparł spokojnie Benny.

- N ... : no to nie musicie p ... prosić drugi raz. Kogo pani szuka, łaskawa pani? - Karczmarz aż rozpląwał się w uprzejmościach. Wyprostował się i nawet otarł ciekący nos fartuchem, a nie ręką.

- Mojego ojca - szybko odparła Aurora. - Urodził się w Hugh Town. Myślę, że wrócił tu. Słyszał pan o nim? Nazywał się Michael Dayne.

- Dayne? Nigdy nie słyszałem.

Aurora zdruzgotana, miała już podziękować i wyjść, kiedy powiedział:

- No, ale kręcił się tu taki typ ... będzie z pięć lat nazad.

- A jak się nazywał? - spytała podniecona.

- Nie wiem.

Była jeszcze bardziej rozczarowana. - No to czemu pan o nim mówi?

- Miał takie same włosy jak pani.

Aurora spojrziała na niego, jakby wręczył jej Świętego Graala.\*

\* Święty Graal - SL Graal, SL Grail, wg legend staroangielskich naczynie, w którym znajdowało się jagnię, które spożywał Chrystus z apostołami podczas ostatniej wieczerzy, przywiezione następnie na Wyspy Brytyjskie i ukryte tam przez Józefa z Arymatei. Szukali go rycerze króla Artura (przyp. tłum.).

- Proszę pani, musimy wracać na statek - rzekł 'szepcem Benny.
- Porozmawia z nim Vashon, jak wróci. Ale teraz lepiej, żeby pani stąd poszła. Tu nie jest bezpiecznie.
- Nie, Benny, zaczekaj! - Odwróciła się z powrotem do karczmarza. - Co stało się z tym człowiekiem?
- Zniknął. Będzie z pięć lat. I cieszyli się my. To był jakiś wariat. Pił. Z nikim nie gadał i był coraz bardziej ponury. Mówili my mu, żeby wracał do swojej parafii, ale się upierał, że jest stąd.
- O Boże, to on - szepnęła i chwyciła Benny'ego za rękę, żeby nie upaść. - Ale mówi pan, że wyjechał?
- Nie myślę, że wyjechał. Myślę, że umarł. Ale my tu nie chowamy biedaków. To zmartwienie parafii.
- On nie był biedakiem! - wykrzyknęła.
- Dla mnie wyglądał, że był. Się włóczył, gadał o gwiazdach. Był sam, ot co. .

Czuła ucisk w gardle. Co mu się nie powiodło? Choć zawsze sprawiała jej ból świadomość, że jest złodziejem, to przecież pewną pociechą była myśl, że przynajmniej, dzięki temu szmaragdowi, żyje mu się dobrze, choć bez niej. Gdyby nigdy go nie odnalazła, to przynajmniej myślałaby, że jest szczęśliwy i żyje w dostatku i wśród uciech. Tymczasem okazało się, że ostatnie lata swego życia spędził niczym żebrak. Na myśl o tym, że siedział w ciemnym rogu tej karczmy, pijany i nieszczęśliwy, poczuła głęboki ból.

- Gdzie mieszkał? - zapytała, czując ogarniające ją przygnębienie.

- Nie wiadomo. Przychodził z tego lasku kole Troy-fair.

Tak po prawdzie, to myślę, że mieszkał gdzieś w grobowcu kole tych ruin.

- Jakich ruin?"

- A tych tam druickich czy jak. Kole więzów, w tamte strone. - Wskazał kciukiem za siebie, w kierunku St. Michael's Bluff.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała z trudem. Odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Benny wsunął karczmarzowi w dłoń monetę i poszedł za nią.

- Bóg zapłać! - zawołał karczmarz za nimi.

- Gdzie pani idzie? Musimy wracać na statek! - krzyknął Benny.

- Muszę go odnaleźć. Nawet jeśli nie żyje, nie mogę ryzykować, żeby Peterborough złapał Vashona. Chcę tylko zobaczyć, czy to naprawdę on.

- Ale ... proszę pani. .. nie mogę iść z panią. Nie wejdę pod górę.

Aurora odwróciła się. Chłopak starał się dotrzymać jej kroku, ale' trudno utrzymywał równowagę na pochylej drodze. Koonga kurczowo trzymała się jego szyi.

- Przepraszam, Benny - powiedziała - ale muszę to zrobić, dla siebie i dla Vashona. Wracaj na statek. Jeśli nic nikomu nie powiesz, będę z powrotem, zanim zdążą się zorientować, że zesłam na ląd.

- Nie mogę tego zrobić, proszę pani! Nie mogę zostawić pani samej!

- Musisz! - powiedziała zduszonym głosem, choć przykro jej było stawiać go w takiej sytuacji. Rzuciła mu pożegnalne spojrzenie, ucinając w ten sposób dalsze protesty, ujęła skraj sukni w dłoń i pobiegła.

Na St. Michael's Bluff wspiął się marynarz z "Morskiego Śmiałka", krzyczący coś ze zdenerwowania. Na szczycie stał yashon ze zmiętą kartką woni. Peterborougha nigdzie nie było widać. Vashon szybko wymienił z marynarzem parę zdań po francusku, a potem odwrócił się do Izaaka.

- Aurora zesza ze statku, żeby szukać ojca - idę za nią.

Benny zostawił wskazówki, któredy iść. Zabierz ludzi i zorientuj się, czy ktoś tu widział Peterborougha. Z tego, co tu znaleźliśmy, wynika, że musi być na wyspie.

Izaak kiwnął głową, ale zamiast zaraz wykonać polecenie, stał i patrzył z niepokojem na Vashona.

- Nie myśl o Aurorze - powiedział w końcu. To stwierdzenie zdziwiło Vashona.

- Co mówisz?

- Mówię, żebyś oglądał się za siebie. Nie rozpraszaaj się, a wygramy. Na pozór wydaje się, że przede wszystkim powinieneś szukać Aurory, ale jeśli nie będziesz tego robił, to masz większe szanse. Uważaj na to, co się dzieje z tyłu, tak jak zawsze robiłeś. To jedyny sposób, żeby ocalić i siebie, i Aurorę. - zakłopotany swoim wybuchem Izaak spójrzył ze zmartwioną miną na widoczne w dole Hugh ToWn. - Głupio postąpiła. Tylko w Bogu nadzieja, że jeszcze żyje.

W oczach Vashona pojawił się ból i nienawiść. Głosem tak uroczystym, jak gdyby odmawiał modlitwę, powiedział:

- Jeśli Bóg ją zabrał, niech mnie też zabierze.

Odszedł bez pożegnania .

\*\*\*

To, co karczmarz określił mianem ruin, było zespołem koncentrycznych kręgów, ułożonych z głazów na szczycie wzgórza. Kiedy Aurora rozejrzała się, po prawej stronie zobaczyła ciemnoniebieskie, prawie granatowe: wody Porthcressa, a po lewej głazy Peninnis. Po drugiej stronie Sto Mary's Sound widniały zamglone kontury wysp Gugh i St. Agnes, ale nigdzie nie było widać żadnych grobów. Wspinała się wyżej, przez łączki porośnięte szkarłatną koniczyną i białym zawciągami. Kiedy rozejrzała się po raz drugi, jej uwagę przykuł jedyny ożywiający monotonię tego pustkowi element - kępa na pół uschniętych, otoczonych rozpadającym się, kamiennym murem, wiązów.

Podeszła na skraj wrzosowiska i stanęła przed murem, nie wiedząc, co robić dalej. Wiązy wyglądały niesamowicie, ponieważ w wyższych partiach, tam, gdzie nie osłaniał ich mur, były fantastycznie powyginane przez silne wiatry i do złudzenia przypominały drzewa na chińskim parawie, który widziała w pałacu gubernatora na Wielkim Talimencie. Nie mogła uwierzyć, że ojciec mieszkał w takim dziwnym miejscu, ale odsunęła na bok wątpliwości i podeszła bliżej. Choć bała się, że znajdzie tylko zwłoki ojca, wiedziała, że byłoby jeszcze gorzej, gdyby w ogóle nic nie znalazła i nadzieja na odnalezienie choćby śladów po kimś z rodziny okazała się tylko złudzeniem.

Wzięła głęboki oddech i weszła do środka. Ogród porastał zwartym, czerwobrunatnym gąszczem trędownik, zasłaniając wszystko, prócz wiązów. Tu i ówdzie wybijał się ponad to, ożywiający ponurą scenierię, złocistożółty oman, ale nie poprawiało to jej nastroju, szczególnie gdy zorientowała się, że rozrzucone po całym ogrodzie kopce są w rzeczywistości starymi celtyckimi grobowcami.

Zebrała całą odwagę i podeszła do jednego z nich. Kiedy irosunęła chwasty, przekonała się, że jest wykuty z granitu. Wyglądał tak staro, jak gdyby stał tam od początku świata. Podeszła cicho do drugiego. Drgnęła, usłyszawszy nagle szelest roztrząanych szybko badyli, :.... ale był to tylko czarny królik, którego wypłoszyła z kryjówki. Uśmiechnęła się z ulgą, uspokajając rozdygotane nerwy, ale kiedy weszła głębiej w chaszczę, zaczęło jej walić serce.

Pochyliła się i weszła pod wiąz. Pod nisko zwieszonymi, sękatymi i powykrzywianymi gałęziami panował półmrok. Przedzierała się dalej przez coraz bardziej zbity gąszcz, aż w końcu natknęła się na ukryty pośród zdziczałych krzewów ligustru, wielki, rozbity z jednej strony grobowiec. Był na tyle duży, że człowiek mógłby w nim znaleźć schronienie. Zagryzła wargi i rozsunęła gałęzie zasłaniające otwór.

Krzaki tak się rozrosły, że z trudem się przez nie przeciskała. W pewnej chwili zaczepiła o coś nogą. Spojrzała w dół i ze zgrozą zobaczyła parę butów, a także ich właściciela. z którego pozostały tylko kości przykryte strzępami ubrania. Oskoczyła przestraszona. To musiały być zwłoki jej ojca. ale czy starczy jej odwagi, by odkryć ciało i upewnić się, że tak jest istotnie? Zapragnęła nagle. by Vashon był obok niej. Postanowiła wrócić na statek, ale zanim zdążyła się obrócić. złapały ją czyjeś ręce.

- Jak śmiałaś mnie nie posłuchać!

Krzyknęła ze strachu, ale rozpoznawszy głos. omal nie roześmiała się z ulgą. Odwróciła się i zarzuciła Vashonowi ramiona na szyję. Objął ją mocno. ale tylko na chwilę. Potem puścił ją i powiedział:

- Następnym razem przykuję cię do masztu. Przysięgam, że cię zabiję. jeśli jeszcze raz będziesz chciała zrobić coś tak głupiego.

Te ostre słowa zmroziły ją. Spojrzała na niego i dopiero wtedy spostrzegła, że ma zaostrome rysy i blade policzki. Wyglądał tak, jakby dopiero co dowiedział się, że wszystko, co było mu drogie, przepadło.

- Znalazłam go. Vashon. Przynajmniej - jej wzrok powędrował w miejsce, gdzie odkryła buty - tak mi się wydaje.

Spojrzał tam, a potem podszedł do ciała leżącego wśród chaszczy i pozrywał zasłaniające je gałązki. Nachylił się i na jego twarzy pojawił się wyraz ponurej satysfakcji i tryumfu. Wyjął z palców szkieletu spłowiałą aksamitną sakiewkę. Otworzył ją, a kiedy się wyprostował, nie mogła oderwać oczu od jego dłoni. Nawet w panującYM tam półmroku widziała błysk klejnotu. Zaparło jej dech z wrażenia. Gwiazda Aranu zdawała się płonąć błękitnym ogniem, a była tak duża, że zakrywała mu prawie całą dłoń.

- To on - szepnęła.

- "Znajdzie ją tylko moja córka" - rzekł Vashon, patrząc na nią.

- Co mówisz? - spytała ze łzami w oczach.

- Wiedział, że przede wszystkim będziesz szukała jego. Liczył na ciebie. Udowodniłaś, że jesteś dobrą córką Auroro.

- Ale nie znalazłam go żywego ... - powiedziała ledwie dosłyszalnie. Opanował ją nagle wielki żal i smutek, i rozpląkała się. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnęła powrotu ojca, jak rozpaczliwie tęskniła do tego, by mieć choćby najmniejszą rodzinę. Teraz, kiedy rozwiały się jej nadzieje, wydawało się jej, że tego nie przetrzyma.

- On nie chciałby, żebyś rozpacziała, kochanie - szepnął Vashon, objąwszy ją.

- Ale skończył tak mamie, aja tak bardzo chciałam go odnaleźć. Teraz nic mi już nie zostało.

- Nieprawda. - Poglądził ją po głowie i wcisnął jej szmaragd w dłoń. Chciała się uwolnić z jego objęć, pokazać mu, że klejnot nie jest dla niej żadnym pocieszeniem w zupełnym osamotnieniu, ale nie puścił jej. Kiedy spojrzała mu w oczy, szepnął:

- Masz jeszcze mnie.

Patrzyła zdumiona, nie wierząc własnym uszom. Kiedy jednak poczuła na ustach jego wargi, wiedziała, że to prawna. Po raz pierwszy od chwili, kiedy go poznała, poczuła, że smok da się w końcu ujarzmić. Nie chciała niczego więcej.

- Auroro - szepnął, gdy oderwał usta - teraz musimy wracać na statek. - Otarł dłonią łzy z jej policzków. - Myślę, że qjciec zostawił to dla ciebie. Przeczytasz to, gdy znajdziemy się z powrotem na "Morskim Śmiałku". - Wręczył jej list, który znalazł w sakiewce.

- Zaczekaj! Muszę go od razu przeczytać - powiedziała.

Nie miał serca jej odmawiać. Czytała chciwie, a kiedy skończyła, nagle poczuła wielki spokój.

- Co ci napisał, *mon Aurore*? - spytał Vashon.

- że nie mógł po mnie wrócić, bo za bardzo bał się Peterborougha. Uważał, że będę bezpieczniejsza w sierocińcu niż z nim. Napisał, że mnie kochał. - Nagle zaczęła znówu płakać. Trzymał ją, dopóki się nie uspokoiła.

- Chodź. Musimy wracać - powiedział. Podał jej dłoń.

Ujęła ją, czując i radość, i smutek, który pogłębił się jeszcze, gdy spojrzała na zwłoki ojca.

- Jak mogę odejść, dopóki nie zapewnię mu przyzwoitego pochówku? - rzekła.

- Przyślę ludzi, żeby go zabrali na statek. Kiedy odpłyniemy, pochowamy go w morzu.

Po policzkach znówu pocięły jej łzy.

- Co się z nim działo? Dlaczego tak się męczył? Dlaczego tak nędznie skończył?

- Myślę, że doszedł do wniosku, iż nie warto było tego robić. Uciekł z Gwiazdą, ale w końcu musiał

poświęcić coś o wiele cenniejszego.

- Ale co? Ten medalion? - spytała, nie rozumiejąc, o czym mówi.

- Nie - odparł, nie odrywając oczu od jej twarzy. - Ciebie. Otarła łzy i ponownie poczuła dziwną mieszaninę radości i smutku.

- Musimy wracać. Jest tu Peterborough. Dostał się na urwisko przed nami.

Krew zastygła jej w żyłach.

- To dlaczego przyszedłeś tu za mną? To moja wina rzekł zaniepokojony. - Trafił tu dzięki medalionowi. a teraz przeze mnie znalazłeś się w niebezpieczeństwie. Mogę stracić i ciebie ...

- Nie. - Położył jej dłoń na ustach. - Nie mów tego. Nie stracisz.

Chwyliła go kurczowo.

- Och, kochany, nie możemy pozwolić, żeby wygrał.

- Ale on już wygrał - rozległ się nagle groźny głos.

Aurora poczuła, że napinają się wszystkie mięśnie Vashona. Kiedy zasłonił ją swym ciałem, spojrzała na postać stojącą u wejścia na cmentarz. Człowiek ten był tak bardzo podobny do Vashona, że wydawał się jego lustrzanym odbiciem. Jedyna różnica polegała na tym, że ten drugi wyraźnie dbał o to, by wyglądać jak dżentelmen - miał kosztowny, nie naganie skrojony frak i modnie przycięte włosy. Odrobina siwizny na skroniach wskazywała, że jest starszy od Vashona. Wyglądał dystyngowanie. Aurora nie mogła uwierzyć, że ten przystojny, kulturalnie wyglądający pan był przyczyną tylu ludzkich tragedii.

- No cóż, braciszku. w końcu nas znalazłeś. - Vashon ujął ją za drżącą dłoń i swobodnie ruszył w stronę wyjścia. Szła za nim, nie wiedząc, co chce zrobić.

- "Maria Magdalena" stoi na redzie Porthmellon. Dowiedzieliśmy się w piwiarni w Hugh Town, że Aurora tu przyszła. Oczywiście nie mogłem się doczekać, kiedy się z nią spotkam. - Peterborough spojrzał na nią i uśmiechnął się. Miał oczy dokładnie takie same jak brat - zielone i piękne, ale ich spojrzenie było tak zimne, że nawet w najgorszych chwilach nie widziała takiego u Vashona. "Jak to możliwe, by byli tak do siebie podobni, a jednocześnie tak się różnili?" - pomyślała.

- Miło mi poznać panią, panno Dayne - ciągnął dalej. Wygląda pani zupełnie jak ojciec, ale ośmielę się zauważyć, że nigdy chyba nie przypuszczał, iż jego córka wyrośnie na taką piękność. - Znowu się uśmiechnął. Można by pomyśleć, że znaleźli się w Covent Garden, a nie na wrzosowisku i że czekali na spektakl teatralny, a nie na pojedynek

na apłlerć i życie.

- Rozumiem, że znalazłeś kartkę, którą napisał Dayne powiedział Vashon, ściskając uspokajająco dłoń Aurory. - Tak, i obawiam się, że Aurora będzie musiała odpowiedzieć mi na wiele pytań. - Peterborough wskazał za siebie, gdzie stał, z pistoletami w rękach, cały batalion. Z szeregu wystąpił człowiek o wyglądzie szubrawca, a sądząc po rubinowym kolczyku w uchu, pirat Fontien we własnej osobie. Chciał sięgnąć po Aurorę, ale Vashon zasłonił ją.

- Chcesz szmaragd, Josiah? - powiedział. Kiedy Peterborough roześmiał się, Vashon otworzył dłoń. Na widok klejnotu wszyscy rozdziawili usta. - .. Ten, kto posiada Gwiazdę Aranu, ujrzy śmierć swoich wrogów". Tak rzecze *Kronika*, prawda braciszku?

Peterborough pobladł. Minęła dobra chwila, zanim doszedł do siebie.

- Nas jest więcej Vashon. Wierzę w to, co mówi *Kronika Crom Dubh*, ale w tym wypadku nie widzę dla ciebie żadnych szans.

- Być może nie mam szans, ale chcę z tobą ubić interes. Puść Aurorę wolno, a wtedy dam ci szmaragd.

- Niel - krzyknęła Aurora.

- Chyba oszalałeś, skoro chcesz mi zaufać - rzekł z uśmiechem Peterborough.

- Nie ufam ci, ale chcę, żeby Aurora wyszła z tego cało. Nie powinniśmy jej wciągać w nasze rozgrywki.

- Zdaje mi się Vashon, że panna Dayne dużo dla ciebie znaczy.

- Vashon, nie rób tego! Jak mogę odejść, wiedząc ...

- Aurora, zrobisz tak, jak mówię. - Vashon popchnął ją do przodu, wyciągając jednocześnie szmaragd do Peterborougha. - Weź go, bracie. za jej wolność możesz wziąć Gwiazdę.

- O co ci chodzi Vashon? - Josiah zmrużył oczy.

- Nie chcę, żeby stała się jej jakaś krzywda.

- Zzamieniłeś moje życie w piekło - rabowałeś moje statki, uwalniałeś moją własność ... Wiesz, ile kosztuje zdrowy niewolnik?

- Tak, ale mam pieniądze i zapłacę ci za wszystko, byleby tylko Aurora wyszła z tego cała.

- Chcę, żebyś tak samo cierpiał, jak cierpiałem ja.

- A ja nie cierpiałem? - Vashon prawie stracił panowanie nad sobą. Posunął się w jego stronę, ale potem zastanowił się i cofnął. - Pozwól jej odejść, Josiah. To sprawa między nami. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Peterborough skinął głową.

- Daj mi szmaragd, a potem rozważę twoją prośbę.

- Dopiero jak Aurora znajdzie się na "Morskim Śmiałku".

- W porządku. - Peterborough odwrócił się do drobnego mężczyzny, jedyne obok niego, który wyglądał na dżentelmena. - Asher, odprowadź pannę Dayne do Hugh Town. - Potem znowu zwrócił się do Vashona. - Czy to ci wystarczy?

- Poczekam, aż odejdzie.

Aurora stała w milczeniu. Pozwoliła Asherowi wziąć się za rękę. Chciała krzyknąć i protestować, ale знаła Vashona na nazbyt dobrze, żeby się z nim teraz spierać. Najwyraźniej miał jakiś plan. Bardzo chciała wiedzieć, co też obmyślił.

- Spotkamy się na statku, kochanie - powiedział, kiedy przechodziła koło niego. Chciała spojrzeć mu w oczy, ale patrzył w bok, jakby było to dla niego zbyt bolesne. Odeszła już parę kroków, gdy nagle zrozumiała, że ten plan polega w istocie na tym, że Vashon chce się dla niej poświęcić. Odwróciła się, ale nadal unikał jej wzroku. Prawie odchodziła od zmysłów.

- Puść mnie! - krzyknęła do trzymającego ją blondyna. Próbowała się wyrwać, ale trzymał mocno. - Puść mnie!" Vashon, nie rób tego! - zawołała, ale nie odniosło to żadnego skutku. Kiedy zaczęła drapać Ashera, Peterborough roześmiał się.

Podszedł do nich i powiedział do młodzieńca:

- Możesz ją zabić w taki sposób, jak ci się spodoba. Potem dotknął gładkiego policzka Aurory. - Jest pani czarująca, panno Dayne. Żałuję, że jestem zmuszony oddać panią temu tu Asherowi. On nie doceni pani tak, jak ja bym docenił.

- Ależ doceniam ją. Josiah - odparł zimno Asher. Doceniam ją tak bardzo, że dałem znać na "Morskiego Śmiałka", iż się tu wybierasz. Zdradziłem cię. No i jak się teraz czujesz?

- ' Zdradziłeś mnie! - Peterborough aż się zatrząsł z wściekłości.

- Tak jak ty mnie na Miragel zastrzeliłbyś mnie, żeby tylko, go dostać! - Asher ujął drżącą dłoń pistolet i wymierzył go w Peterborougha. - Mogłem cię polubić, Josiah, ale potraktowałeś mnie wstrętnie i nigdy ci tego nie zapomnę.

- Ty śmierdzący tchórze! - ryknął Peterborough. - Zginiesz za to!

- Trudno! - odparł Asher.

Peterborough skoczył nagle jak tygrys i wyrwał Asherowi pistolet. Skierował lufę w ich stronę, wyraźnie nie dbając o to, czy zastrzeli najpierw Ashera czy Aurorę. Na ten widok Vashon runął na niego jak burza.

Aurora krzyknęła ze strachu i patrzyła przerażona, jak Vashon i Peterborough, szczepieni ze sobą, turlają się po wrzosowisku w stronę St. Michael's Bluff. Bez zastanowienia podbiegła ku nim, chcąc pomóc

Vashonowi. Piraci z "Marii Magdaleny" ruszyli na odsiecz Peterboroughowi, ale kiedy wyglądało już, że Vashon zostanie pokonany, na wzgórzu pojawili się ludzie z "Morskiego Śmiałka".

Piraci zwarli się z nimi i wkrótce w niebo wzbily się jęki rannych. Aurora słyszała świst szabel i odgłosy strzałów. Aurora i Asher prawie przytulili się do siebie, a wokół wrzała zjadła walka. Nie widziała jeszcze załogi "Morskiego Śmiałka" w roli piratów i kiedy Izaak prowadził ich w bój z dzikim okrzykiem, dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Chociaż zdyscyplinowani, ludzie Vashona nie ustępowali zawziętością piratom Fontiena. Wydawało się, że walka nigdy się nie skończy, ale już po paru minutach poranieni i zakrwawieni ludzie Fontiena zaczęli się wycofywać unosząc ze sobą zabitych. Uciekali w dół do Hugh Town, a na ich karkach siedziała załoga "Morskiego Śmiałka".

Został tylko Peterborough.

Vashon i Peterborough, walcząc o pistolet, który obaj trzymali, wyglądali na tle zamglonego nieba tak, jakby wykonywali jakiś groteskowy taniec. Aurora, pragnąc pomóc Vashonowi, zostawiła Ashera i ruszyła w ich stronę. Była od nich zaledwie parę jardów, kiedy złapał ją Izaak. Spojrzała na niego oburzona, ale powiedział tylko:

- To ich walka. Nie wtrącaj się.

Aurora odwróciła się tyłem do walczących. Na ziemi, obok nich, leżał szmaragd, błyszczący symbol tego, o co się bili.

Choć zmagania trwały zaledwie parę chwil, Aurorze wydawało się, że minęła cała wieczność. W końcu Vashon wyrwał Peterboroughowi pistolet i Josiah cofnął się. Stał prawie na skraju urwiska.

- Powinienem cię zabić - rzekł Vashon, dysząc ciężko.

- No, śmiało. Zrób to. Przecież marzyłeś o tym - rzucił gniewnie Peterborough. - Zabij mnie, tak jak ja chciałem zabić ciebie.

Aurora nie mogła patrzeć na twarz Vashona. Odbijały się na niej miotające nim, sprzeczne uczucia. Wiedziała, że chce zabić Peterborougha, ale coś go powstrzymywało. Wydawało się, że szlachetniejsza strona jego natury nie pozwala mu na uśmiercenie własnego brata. Instynktownie ruszyła ku niemu, ale znowu zatrzymał ją Izaak.

- No, dalej, Vashon, pociągnij za spust. Zabij brata, jak zabiłeś wielu innych.

Vashon ciężko chwycił powietrze. Podniósł pistolet wyżej, a na jego twarzy pojawiła się wściekłość. Miał już pociągnąć za spust, kiedy kątem oka spojrzał na Aurorę.

Na jej twarzy rysowała się mieszanina miłości, przerażenia i wstydu, ale najwyraźniej widać było miłość. Zdawało się, że poruszyło to Vashona. Wyglądał tak, jak gdyby teraz co innego liczyło się dla niego bardziej, niż chęć zemsty na bracie. Aurora nie mogła w to uwierzyć, ale wydawało się, że w końcu "Smok" dał się ujarzmić.

Oddychając ciężko, Vashon opuścił pistolet. Patrząc na Peterborougha rzekł, z trudem wymawiając słowa:

- Gdyby ktoś miał kiedyś powiedzieć, że raz zdarzyło mi się postąpić szlachetnie, to niech powie, że nie zabiłem brata.

Peterborough dostrzegł oczywiście, co wpłynęło na tę zmianę w zachowaniu Vashona. Spojrzał na Aurorę, a potem rzucił się na Vashona i złapał go za rękę, w której Vashon trzymał pistolet.

- Skoro nie mogę zabić ciebie Vashon, to uderzę w twoje czułe miejsce! - Mimo iż pistolet nadal znajdował się w dłoni Vashona, Peterborough zdołał odciągnąć kurek i Wymierzyć broń w Aurorę.

Izaak szarpnął ją do tyłu, ale w tej pustce nie było gdzie się schować. Wyciągnął więc swój, lecz zanim zdążył wystrzelić, Vashon znowu stał się z Peterboroughem. Starając się wyrwać z jego dłoni pistolet, zasłonił jednocześnie swoim ciałem wylot lufy. W tym momencie Peterborough wystrzelił.

Vashon zachwiał się, a wicehrabia schylił się, żeby podnieść szmaragd. Ścisnął kamień w dłoni i zadowolony spojrzał na Vashona.

Zgarbiony Vashon odjął rękę od brzucha. Cała była poryta krwią. Aurora krzyknęła, a Izaak wymierzył pistolet w Peterborougha.

W oczach Vashona pojawił się dziki błysk. zanim Izaak zdołał wypalić, Vashon wyciągnął dłoń do Peterborougha.

- Podaj mi rękę, Josiah - powiedział. - Nie bój się. Ta krew to twoja krew.

Peterborough zbladł.

- Podaj mi rękę, Josiah - wykrztusił Vashon, ledwie stojąc na nogach z bólu. - Niech to będzie moja pokuta za wszystko, co zrobiłem.

- Nie zbliżaj się Vashon.

- Powiedziałem: "Podaj mi rękę!" - Vashon ruszył ku niemu.

Przestraszony Peterborough dał krok do tyłu. Zaraz za plecami miał strome urwisko. Zdając sobie z tego sprawę, rozejrzał się, szukając drogi ucieczki. Dał krok w kierunku krawędzi, która prowadziła do miejsca, gdzie znaleziono pudełko z kartką napisaną przez Michaela Dayne'a, ale źle obliczył odległość. Pośliznął się i poleciał w dół, zdołał jednak chwycić ręką za wystający korzeń. Izaak puścił Aurorę i podszedł do skraju urwiska.

- Pomóż mi - jęknął błagalnie Peterborough, kurczowo trzymając się korzenia.

- Wiesz, kim jestem, wicehrabio? - rzekł cicho Izaak.

- Pomóż mi, głupcze! Widzę, że jesteś dowódcą statku! Dam ci tysiąc statków, tylko mi pomóż!

Izaak nachylił się nad uWiskiem.

- Jestem kapitanem "Lewiatana", lordzie Peterborough. Mimo to podam ci rękę. - Wyciągnął dłoń. Była to dłoń, którą okaleczył mu Peterborough. Wicehrabia złapał ją, chcąc za wszelką cenę ocalić życie.

Przez chwilę Peterborough wisiał, trzymając się dłoni Izaaka.

Kapitan nie miał ochoty ratować go, ale nie chciał też zepchnąć go w przepaść. Peterborough czynił rozpaczliwe wysiłki, aby wydostać się na brzeg uWiska.

W końcu o wszystkim zadecydował los. Izaak nie wypuścił ręki wicehrabiego, ale też nie mógł jej utrzymać dwoma palcami.

- Nie dam rady! - krzyknął Peterborough i powoli ręka Izaaka zaczęła się wyslizgiwać z jego dłoni.

Kiedy spadł na groźnie wyszczerzone granitowe skały, Izaak stwierdził krótko:

- Sam jesteś sobie winien.

Patrzyli na leżące w dole ciało Peterborougha. Szmaragd leżał tuż obok jego bezwładnej ręki. Nie mogąc się powstrzymać, Vashon szepnął: "Ten, kto posiada Gwiazdę Aranu. ujrzy śmierć swoich wrogów". Potem osunął się na ziemię ..

- O mój kochany, mój kochany! - krzyknęła Aurora.

Przeżona patrzyła na krew sączącą się przez jego koszułę. Izaak zrobił ponurą minę, gdy zobaczył, w jakim stanie jest Vashon.

- Kochany, wszystko będzie dobrze - szepnęła Aurora przez łzy. - Musi być dobrze.

- Izaak - rzekł słabym głosem Vashon. Twarz miał skurczoną z bólu.

- Jestem tu Vashon. - Izaak pochylił się i ujął Aurorę za ramiona.

- Pamiętaj. co mi przyrzekłeś?

- Vashon, nie rób tego. - Głos Izaaka drżał.

- Nie, teraz nadeszła ta chwila. Przyrzekłeś mi. Chcesz się teraz wycofać?

Izaak prawie płakał.

- Nie - powiedział.

- A więc zrobisz to?



- Zrobię, jak przyrzekłem.
  - Dobrze. Auroro? - rzekł chrapliwie.
  - Jestem tu, kochany. Sprowadzimy chirurga ...
- Vashon dotknął jej twarzy. Była mokra od łez.

- Choć nigdy nie wypowiedzieliśmy tych słów, jesteś moją żoną, Auroro.

- Nie, Vashon, nie. Jeszcze je wypowiemy któregoś dnia. Przysięgam.

- To wszystko - dotknął brązowego, ozdobionego herbem klucza, który nadal miała na łańcuszku na szyi. - co ci po mnie pozostanie. Jedź tam.

- Vashon, nie mów takich rzeczy.

Odwrócił twarz i zobaczyła, że po jego policzku stoczyła się łza. Poruszyło ją to bardziej niż wszystko inne. Obawiał się, że uczyni go podatnym na ciosy i jego obawy spełniły się. W końcu pokochał ją i to miłość skłoniła go, by oddał za nią życie. zaczęła rozpaczliwie szlochać i Izaak odciągnął ją. Na urwisku pojawił się kucharz okrętowy, który pełnił na .. Morskim Śmiałku" obowiązki lekarza. i zajął się .-

opatrywaniem rany Vashona. Przybyli inni marynarze i wkrótce zapanował taki zgiełk, że zupełnie straciła głowę.

- Chodźmy Auroro - powiedział Izaak nieswoim głosem. - Muszę odstawić cię do Londynu.

- Nie, nie mogę stąd odejść - krzyknęła, patrząc jak kucharz obwiązuje ranę Vashona bandażem. Inny marynarz zdjął koszulę i włożył ją Vashonowi pod głowę.

- Muszę cię tam zabrać. Przyrzekłem mu to. Musimy już iść.

- Nie pójdę.

Izaak złapał ją brutalnie za ramię.

- Nie widzisz, że on umiera? Nie rozumiesz, że nie chce żebyś na to patrzyła?

- Muszę tu zostać. Kocham go.

Jej łzy wzruszyły go, ale trwał przy swoim postanowieniu. - On tego chce Auroro. Zrób to, czego chce. - Popchnął ją lekko w kierunku osady.

- Proszę, pozwól mi zostać. Pozwól mi trzymać go za rękę. Nie mam nikogo oprócz niego. - Płakała i opierała się. Musiał ją prawie nieść. Wszędzie wokół widać było ludzi z .. Morskiego Śmiałka". Kazał kilku przechodzącym obok nich marynarzom wrócić na statek i przygotować go do wyjścia w morze,

- Błagam cię, Izaaku, pozwól mi zostać! Możesz mnie zabić, ale nie odejdę stąd! - krzyknęła, wrywając się.

- Dałem mu słowo Auroro.

- Nie mam do czego wracać. Nie mam już po co żyć! Nie rób mi tego!

- On chciał, żebyś odpłynęła, i odpłyniesz.

- Nie! Nie mogę żyć bez niego.

\_ Moje dziecko ... - Izaak w końcu załamał się i po jego policzkach też pociekły łzy. Otarł je i przytulił Aurorę do piersi. Powiedział: - Musisz iść. - Były to najokrutniejsze słowa, jakie kiedykolwiek musiał wyrzec.

## SMOK UJARZMIONY

Aurora stała przed drzwiami dawnej rezydencji Peterborougha, Blackwell House, londyńskiej siedziby Blackwellów. Była blada i miała podpuchnięte oczy, jakby płakała przez wiele godzin. Izaakowi wydawała się tak samo pogrążona w smutku i żalobie jak owego dnia, kiedy wypłynęli z Hugh Town, zostawiając na urwisku zakrwawionego Vashona, otoczonego tłumem marynarzy z "Morskiego Śmiałka".

Jednak teraz, kiedy patrzył na nią, stojącą przed potężnymi drzwiami rezydencji, uderzyła go pewna subtelna różnica w wyrazie jej twarzy. Zniknęła gdzieś ta mina obrażonej cnoty, która tak pociągała, a jednocześnie irytowała Vashona, pękł pancierz nieprzystępnej skromności, którym tak często otaczała się na statku.

Zawsze myślał, że jest piękna, ale teraz jej uroda wprost Olsniła go. Najej twarzy malowała się łagodność, jakiej nie widział dotąd, a jednocześnie promieniowała z niej wielka siła. Izaak uważał się za twardego człowieka, którego trudy i niebezpieczeństwa znieczuliły na piękno i grację, a jednak świadomość faktu, że zarówno łagodność, jak i siła tej kobiety wzięły się z jej miłości do tak szorstkiego i niepohamowanego brutala jak Vashon, napawała go podziwem i zdumieniem.

- Skorzystaj z klucza - rzekł cicho, popychając ją lekko.

Aurora popatrzyła na niego, a potem impulsywnie chwyciła go za rękę. W ich wspólnym żalu Izaak stał się dla niej ojcem, którego na dobrą sprawę nigdy nie miała. Uśmiechnął się i ścisnął jej dłoń. W końcu zdobyła się na odwagę i spojrzała na klucz, który trzymała w ręku. Wstrzymując oddech, włożyła go w wielki zamek z brązu.

Izaak otworzył drzwi i wprowadził ją do wielkiego, wyłożonego marmurem hallu, ze schodami tak wspaniałymi, że mogłyby zdobić rzymską świątynię. Wewnątrz panował mrok, bo wszystkie okiennice były zamknięte.

Przeszła powoli przez wielki salon utrzymany w kolorach złota i czerwieni. Meble, pokryte pokrowcami, wyglądały upiornie. Przechodzili tak z pokoju do pokoju, a jeden był bardziej wytworny od drugiego i wszystkie sprawiały wrażenie zupełnego opuszczenia.

Ten dom przytłaczał ją. Nie było służby, która otworzyłaby okna i wpuściła świeże powietrze czy zapaliła świece wieczorem. Był to najwspanialszy dom, jaki kiedykolwiek widziała, ale gdy przemierzała puste korytarze i pokoje, nie mogła sobie wyobrazić siebie mieszkającej w nim. Na dywanach nie było smoków, kanapy nie miały nóg w kształcie delfinów, łoża miały brokatowe, a nie muślinowe zasłony.

Nigdzie nie było widać śladu Vashona. Nie mogła go sobie wyobrazić w żadnym z tych pomieszczeń - ani na wyściełanym fotelu w salonie, ani jedzącego śniadanie na zastawie z manufaktury Wedgewooda w pokoju porannym, ani czytającego książkę w utrzymanej w stylu egipskim bibliotece. Nigdzie nie było widać żadnego śladu jego bytności. Widziała tylko ślady Peterborougha.

Dość już zobaczyła. Poprosiła Izaaka, aby ją wyprowadził, ale akurat doszli do niewielkich drzwi prowadzących na schody na poddasze. Aby zaspokoić ciekawość, znalazła się w starym, zagraconym pokoju dziecinnym. Wszystko, począwszy od zasłonek w oknach, a skończywszy na wykładzinie podłogowej, która kiedyś była jasnoniebieska, pokryte było grubą i szarą warstwą kurzu, za tym pokojem był pokój do nauki i miała tam już wejść, kiedy zaczęła o coś suknią, zatrzymała się i spojrzała w dół.

Był to drewniany konik na biegunach. Widać było, że ktoś chętnie na nim jeździł. Starła dłonią kurz z jego grzbietu. Ukazała się wyblakła, łuszcząca się niebieska farba. Grzywa i ogon konika zrobione były z prawdziwego włosia. Chciała nim zakolysać, ale okazało się, że jeden z biegunów był złamany.

Usiłowała nie myśleć o nim, ale w wyobraźni widziała go jako małego chłopca huśtającego się na koniku. Starła się odgonić te natrętnie nasuwające się obrazy, ale kiedy przeciągnęła dłonią po siodle, zobaczyła na jego łuku złocony napis "Vashon". Nie mogła powstrzymać łez. Miała ochotę przycisnąć zabawkę do piersi, usiąść z nią w kącie i nie podnieść się więcej. O mało rzeczywiście nie zrobiła tego, ale wtedy Izaak dotknął jej ramienia.

- Jest tam jeszcze drugie pomieszczenie - powiedział. Potrząsnęła głową.

- Nie chcę oglądać nic więcej. Nie mogę go znaleźć, Izaaku. Nie ma go tu - powiedziała. Świadomość tego okrutnego faktu wbijała się jej w serce niczym sztylet.

Nie było tam Vashona. Mogła go sobie wyobrazić tylko na Mirage, biegnącego plażą albo zjadającego owoce pod drzewem i patrzącego na nią z tym groźnym, olśniewającym uśmiechem. Ze swymi długimi włosami i kolczykiem w uchu nie pasował do tej statecznej, arystokratycznej siedziby i nawet ów grzeczny chłopczyk huśtający się na koniku na biegunach, należał do zamierzchłej przeszłości, gdyż wygnano go z Vashona na ulicach Algieru.

Spojrzawszy jeszcze raz na konika, powiedziała:

- Odwiesz mnie do sierocińca, Izaaku?

- Dlaczego tam?

- Wracam do siebie - powiedziała ze stanowczością, która zdumiała ją samą. - Przecież tego właśnie chciał, prawda? żebym wróciła do swojego dawnego życia.

- Powiedział tak, ale nie bierz tego dosłownie. Myślę, że chciał, żebyś zamieszkała tutaj. - Nie mogłabym tu mieszkać.

- Jeśli chodzi ci o pieniądze ...

- Nie. W sierocińcu czeka na mnie miejsce. Będą tam dla mnie mieli pracę, a muszę się czymś zająć.

Izaak z szacunkiem pochylił głowę i nic nie odrzekł. Zaczerpnęła głęboko powietrza, żeby się uspokoić.

- Jak dziwnie układa się życie - powiedziała. Słowa z trudem przechodziły jej przez usta. - Kiedy opuszczałam sierociniec, czułam wewnątrz pustkę, bo nie udało mi się odkryć, kim była ta dziewczynka, którą dawno temu zostawił tam Michael Dayne. Teraz, kiedy to odkryłam, nadal czuję pustkę. Jedyne raz, kiedy przestałam ją odczuwać ... - Z oczu popłynęły jej łzy. Potrząsnęła głową, nie chcąc powiedzieć nic więcej.

- Popłyn z Flossie i ze mną na St. George. Nie zostawaj w Londynie. Nie masz tu żadnych przyjaciół. Spojrzała na niego i dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak troskliwie zajęli się nią po tej fatalnej przygodzie i jak bardzo stali się jej bliscy. Nie mogła jednak przyjąć ich propozycji. Mieli zamiar się pobrać. Przeszkadzałyby im tylko w nowym życiu.

- Nie, dziękuję ci, Izaaku. Czekam na mnie sierociniec. Nie staraj się odwieść mnie od tego zamiaru.

- Nie jesteś winna jego śmierci. Wiesz o tym Auroro, prawda?

Odwróciła się. Jej twarz była zupełnie bez wyrazu.

- Wierzyłam w głębi serca, że życie bez miłości i tkiwości nie jest nic warte. Zmusiłam go, by czuł to, czego nie chciał czuć. - Zniżyła głos do szeptu. - Powiedział mi, żebym go nie kochała.

- Nie jesteś winna jego śmierci.

Spojrzała na Izaaka, a potem odwróciła wzrok. Rzekła drżącym głosem:

- Błagam cię, zabierz mnie z tego miejsca. Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej.

Zbiegła po schodach do marmurowego holu, rzuciła brązowy klucz na złożoną konsolę i zanim Izaak zdążył ją zatrzymać, była już za drzwiami.

- On jest w takim złym humorze, odkąd wróciłaś. Nie śmiem go nawet prosić o pieniądze. Ale może ty byś go poprosiła Auroro? Musimy kupić więcej mleka. Nie wiem, jak dzieci przetrzymają chłodniejsze dni, jeśli nie będziemy mieli więcej mleka. - Faith złożyła błagalnie ręce i Aurora odłożyła pióro.

Od czasu kiedy wypłynęła z H ough Town minął miesiąc.

John przyjął ją z powrotem do sierocińca, ale - wbrew jej oczekiwaniom - zamiast lepiej, było gorzej. Zupełnie, jak gdyby John wiedział o wszystkim, co przytrafiło się jej w czasie rejsu. Wiedziała, że to niemożliwe, ale coś ją zdradzało. Może był to sposób, w jaki teraz odnosiła się do niego? Nie unikała już spotkań z nim, a kiedy mówił do niej, nie umykała wzrokiem, lecz chłodno patrzyła mu prosto w oczy. Nie była już taka, jak dawniej i bardzo go to złościło. Stał się trudny do wytrzymania. Przedtem był tylko stale zirytowany, teraz otwarcie nieprzyjazny.

Skinęła głową.

- Porozmawiam z nim. Masz jakieś wieści z Queenhithe?

- Dziś nie wpłynął żaden statek. Przy nabrzeżu stoją tylko "Nieustępliwy" i "Śpiąca Królowa".

Aurora "aż podskoczyła, usłyszawszy nazwę drugiego statku. Ogarnęły ją wspomnienia, ale otrząsnęła się z nich, zmuszając się do koncentracji na tym, co było do załatwienia. W ciągu dnia nie myślała o Vashonie.

Odkładała to na noc, kiedy robiło się ciemno i kiedy zostawała sama. Wtedy przypominała sobie, jak zobaczyła go po raz pierwszy, ubranego na czarno, patrzącego zimno i przenikliwie, wzrokiem wzbudzającym dreszcz. Wtedy wiedziała o nim tak niewiele, tyle tylko, że jest groźny. A jednak doszło do tego, że się w nim zakochała. Oczy zachodziły mgłą, kiedy przypominała sobie, jak patrzył na nią po raz ostatni, tuż przed opuszczeniem pistoletu wymierzonego w Peterborougha. Pielęgnowała to wspomnienie jak coś najdroższego, bo zawierała się w nim cała głębia jego miłości do niej. zdarzały się jednak noce, kiedy przejmowało ją ono takim bólem, iż zaczynała się zastanawiać, czy jej miłość do niego nie zniszczy także jej samej.

Faith, widząc ją tak pogrążoną w myślach, zasmuciła się.

- Statek na który czekasz, przyplynie pewnego dnia - szepnęła.

- Wiem o tym.

Aurora ocknęła się i próbowała się do niej uśmiechnąć. Wiedziała, że to idiotyczne czekać na powrót. "Morskiego Śmiałka", ale nie mogła się jakoś pozbyć nadziei, że któregoś dnia może jednak powrócić. Żywiła też inną nadzieję, ale była ona tak nierealna, wręcz szaleńcza, że nie śmiała jej nawet ubrać w słowa. Mimo to codziennie pytała o wieści z Queenhithe.

- zaraz porozmawiam z Johnem. Faith westchnęła smutno.

- Kiedy cię nie było, zrobił się jeszcze gorszy. Nie tylko plecie o Czarnym Łądzie, przekonany że musi nieść poganom naukę Wilberforce'a. Głupio mi, że jestem zbyt bojaźliwa, żeby sama z nim porozmawiać. Po prostu nie mam odwagi stanąć z nim dziś twarzą w twarz.

- Gdybym tylko mogła odkupić od niego ten dom! No cóż, niech idzie za swym powołaniem. Jakaż to będzie ulga dla wszystkich ... z wyjątkiem pogan, rzecz jasna. - Aurora wywróciła komicznie oczy.

Faith zachichotała.

- Och, jak się cieszę, Auroro, że wróciłaś! Okropnie tu był, o bez ciebie, po prostu okropnie.

Aurora uśmiechnęła się blado.

- Och, zupełnie zapomniałam! - krzyknęła Faith. - Kiedy byłaś z dziećmi na tym targu ze starzyzną, żeby sobie kupiły płaszczki, przyszedł tu jakiś dżentelmen i pytał o ciebie. Był ...

Aurora omal nie złapała jej za ręce.

- Miał długie, czarne włosy? Albo kolczyk w uchu? Groźne spojrzenie?

Faith była zupełnie zaskoczona tymi pytaniami. Wyjąkała tylko:

- Nie.

Aurora ciężko opadła na krzesło. Pomyślała, że przez to pragnienie ponownego ujżenia Vashona, zaczyna tracić rozum.

- Powiedział, że wróci tu o trzeciej, aby o czymś z tobą porozmawiać. Sądząc z wyglądu, to chyba jakiś wielki pan. Był doskonale ubrany i zachowywał się bardzo powściągliwie. - Zniżyła głos. - Podejrzewam, że sprowadza go tu to samo, co innych dżentelmenów. Jego przyjaciółka obdarowała go niechcący dzieckiem.

- Rozumiem - odparła drewnianym głosem Aurora, czyniąc sobie w duchu wymówki za głupie oczekiwania. Powiedz temu dżentelmenowi, kiedy znowu przyjdzie, że porozmawiam z nim w salonie.

- Dobrze. - Faith przyglądała się jej badawczo. - Nic ci nie jest, Auroro? Odkąd wróciłaś, jesteś taka smutna i wydajesz się nieobecna myślami.

Aurora podniosła się i ścisnęła dłonie Faith. I tak miała zamiar wyznać jej kiedyś, w jakim jest stanie, postanowiła więc zacząć teraz.

- Przeciwnie - powiedziała. - Czuję wielką radość. Niewiele wiesz o moich przeżyciach, więc może nie odczułabyś tego w taki sposób, jak ja. Otóż będę miała dziecko, Faith. I choć przyszłość rysuje się niepewnie, proszę, żebyś podzielała moją radość.

Faith otworzyła usta ze zdumienia. Aurora zdobyła się na niepewny uśmiech. - Wstyd ci za mnie?

- Nic podobnego! - zaprzeczyła gorąco Faith.
- Być może z tego powodu będą musiała stąd odejść. Kiedy John się dowie, będzie wściekły.
- Wiesz, że ledwie starcza mi na życie Auroro, ale tym, co mam, podzielę się z tobą i z twoim dzieckiem.
- Dziękuję ci, ale mam przyjaciół, którzy mi pomogą. Niestety, oni nie mieszkają w Londynie. Nie chciałabym ponownie opuszczać domu. Jeśli John mi na to pozwoli, wolałabym tu zostać.
- Och, aż mi skóra cierpnie, gdy pomyślę sobie, jak pan Phipps przyjmie tę wiadomość.  
Biorąc głęboki oddech, Aurora otworzyła drzwi.
- Dowie się o tym jeszcze dziś po południu. Życz mi szczęścia.  
Była zmęczona. Czowała znużenie już nawet nie fizyczne, ale psychiczne.

Weszła do swojego pokoju na poddaszu, zastanawiając się, co stanie się z nią, z domem, z Faith. Nie czuła się na siłach, żeby powiedzieć Johnowi o dziecku. Kiedy poprosiła go o pieniądze na mleko, zaczął bredzić o posłaniu zawa.rtYm w naukach Świętego Pawła. "Kobieta niechaj się uczy w cichości z całym poddaniem się!"\* - rzekł patetycznie i zorientowała się, że nie jest to odpowiednia chwila, by powiedzieć mu, że jest w ciąży.

- Po raz pierwszy jednak napomknął jej o zamiarze wyjazdu do Afryki i sprzedania sierocińca. Była wstrząśnięta, bo choć John miał swoje wady, to jednak był o wiele lepszym

\*Tłumaczenie wg *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*.

Poznań-Warszawa 1980, s. 1348.

opiekunem i zarządzającym takiej instytucji niż wielu innych. Pozwolić na to, by dom wpadł w ręce osoby do tego niepowołanej, było czymś absolutnie nie do pomyślenia, ale spodziewała się, że będzie musiała usłyszeć coś jeszcze gorszego. Była pewna, że John znowu jej się oświadczy. Zamierzał zabrać ją ze sobą do Afryki, choć nie powiedział tego jeszcze wprost. Gdyby wszakże do tego doszło, musiałyby uciekać na St. George dużo wcześniej niż planowała.

Położyła się na swoim skromnym łóżku i przykryła połatany kocem. Była zbyt wyczerpana, by zajmować się teraz tymi problemami, ale ten był naprawdę poważny. Jeśli uciekną na St. George, to co stanie się z Faith i dziećmi? Czy nowy właściciel okaże się dobrym człowiekiem? Jeśli nie, to kto stawi mu czoło?

Przekręciła się na bok i zamknęła oczy. Musi coś zrobić. Była to jej ostatnia myśl przed zapadnięciem w sen.

- Obudź się Auroro! Ten pan znowu przyszedł!

Aurora otworzyła oczy i usiadła. W drzwiach stała Faith ze zdenerwowaną miną. Aurorze :ldawało się, że dopiero przed chwilą zamknęła oczy, ale musiała spać parę godzin.

- Powiedz mu, że zaraz zejść - powiedziała, gramoląc się z łóżka i upinając włosy w nie naganne kok. Szybko przejrzała się w pękniętym lustrze, a potem zbiegła po schodach.

Strasznie trudno było rozmawiać z arystokracją. Nie cierpiała tego udawania, że ma ich za szlachetnych ludzi, a nie za potworów, którymi w rzeczywistości byli, i uprzejmego przyjmowania ich potomstwa, którego pozbywali się jak odpadków. Zawsze jednak panowała nad sobą, bo ci, którzy płacili na sierociniec, przyczyniali się przynajmniej do tego, że dzieci nie znajdowały się pod opieką parafii. Wszyscy doskonale wiedzieli, że na parafii dzieci nigdy nie dożywają nawet roku, bo są zazwyczaj niedokarmione, a kiedy chorują, otrzymują zamiast leków tani środek

przeciwbólowy.

Myśląc o tym, przywołała na twarz uśmiech i podeszła do zamkniętych drzwi salonu. Oczywiście, przyjmie dziecko tego człowieka i nawet za to podziękuje. On nigdy się nie dowie, jak bardzo nim pogardza.

- Dzień dobry panu - powiedziała, wchodząc szybko do salonu. Stał tyłem do niej, spoglądając przez pokryte sadzą okno. Był nienaganie odziany. Granatowy surdut z najprzedniejszej tkaniny leżał na nim jak rękawiczka. Był wysoki i barczysty, ale szczupły, o wiele szczuplejszy niż Vashon. I z pewnością nie miał warkoczyka, gdyż jego czarne włosy były modnie przystryżone.

- Czy ma pan dziecko, które chce pan gdzieś umieścić? - spytała, ale nie odwrócił się. zaczynała intrygować. Jego postawa, jego niechęć do ukazania swej twarzy, sprawiły, że zamilkła.

- Proszę pana ... Czym mogę panu służyć? - rzekła cicho, opanowana nagle niepohamowaną tęsknotą. Podniósł rękę i zobaczyła w jego dłoni brązowy klucz, do złudzenia przypominający ten, który zostawiła w hallu rezydencji Peterborougha.

Złapała za klamkę drzwi. Niemożliwe, żeby to był on.

Musiał się jej przywidzieć.

Wtedy odwrócił się. Nie było wątpliwości. To był on. D.rząc na całym ciele, próbowała wytłumaczyć sobie, że to złudzenie, ale choć bardzo się starała, widziała mężczyznę, którego kochała. Można było pomyśleć, że to nie on, lecz 'jego brat, gdyż teraz, podobnie jak Peterborough, wyglądał na kulturalnego, eleganckiego pana. Wiedziała jednak, że to nie Josiah. W oczach stojącego przy oknie mężczyzny widziała takie ciepło i radość, że mógł to być tylko Vashon.

To był Vashon.

Wyraz jego twarzy mówił tyle, że słowa były zbyteczne. Widziała tam tęsknotę i miłość.

Najtrudniejsze było kilka pierwszych kroków. Starła się przekonać samą siebie, że ten, który przed nią stoi, nie jest duchem. widziałem utkany z jej marzeń i snów. Im bliżej podchodziła, tym bardziej była pewna, że się nie myli. że to on. i kiedy rzuciła się mu w ramiona, nie miała żadnych wątpliwości. Poczuła, jak ją obejmuje. Był ciepły i żywy. i trzymał ją tak mocno, że nic nie mogło ich rozdzielić.

- Mój Boże. myślałam, że straciłam cię na zawsze. Zabiłam cię - powiedziała nagle szlochając i nie mogąc spojrzeć mu w twarz. - Czyżbyś był aniołem, który zstąpił na ziemię, aby zabrać mnie do nieba?

- Nie zabiłaś mnie - rzekł.

- Widziałam, jak Peterborough strzelił do ciebie. Widziałam krew.

- Ale nie wyglądam przez to gorzej?

Patrzyła na niego z nadzieją, ale i z obawą. Nie odrywała oczu od jego twarzy, jak gdyby bała się, że spojrzawszy w bok, mogłaby go utracić na zawsze. Wiedziała, że nie przetrzymałaby tego.

- Przyjrzyj mi się dobrze, kochanie. Nie jestem duchem. Rzeczywiście, wyglądał gorzej. Schudł, zniknęła też jego opalenizna. Ktoś, kto nie znał go przedtem, mógłby pomyśleć, że to typowy, blade od ciągłego przebywania w salonach, arystokrata.

- Nie znikniesz, kiedy cię dotknę?

- Sama się przekonaj.

Przesunęła dłonią po jego piersi. Była twarda i ciepła, a pod palcami czuła bicie serca. Krzyknęła radośnie:

- Czyżby los okazał się tak miłosierny?

- Musiałem przeżyć, nie rozumiesz? - Wziął jej twarz w dłonie.

Potrząsnęła głową i jej łzy potoczyły się na jego dłonie.

- W końcu mam po co żyć.

zamknęła oczy i z niewysłowioną ulgą przytuliła się do niego. Czuła pewne, uspokajające bicie jego serca. Nie chciała niczego więcej.

Kiedy wreszcie przestała płakać, odsunął ją i przyjrzał się jej tak samo uważnie, jak ona jemu, jak gdyby nie chciał uronić ani jednego szczegółu. Coś w jej wyglądzie uderzyło go. Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Z czego pan się śmieje, szanowny panie? - spytała, nie przestając się zastanawiać, czy uda się jej kiedykolwiek zasnąć, bo przecież sen oznaczałby rozdzielenie z nim.

- Kiedy Izaak wrócił do Hugh Town i opowiedział mi, jak nalegałaś, żeby cię tu odwiózł, spodziewałem się zastać cię w mizernej kondycji. Teraz jednak zaczynam się zastanawiać, czy ci w ogóle mnie brakowało. Przecież wyraźnie przytyłaś.

Spojrzała mu prosto w oczy. Jej spojrzenie mówiło samo za siebie.

Otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Nie potrzebowała właściwie nic mówić, ale rzekła:

- Obawiam się, że to nie stan mojego ducha wpłynął na to, że przytyłam.

Cofnął się i oparł o biurko Johna Phippsa. Skrzyżowawszy ramiona na piersi, przyjrzał się jej bacznie.

- A jak nazwiemy dziecko? - spytał. - Czy to będzie chłopiec czy dziewczynka?

- Tego nie wiem - uśmiechnęła się. - Ale bez względu na płeć, już wybrałam nazwisko. Myślę, że się na nie zgodzisz.

- A jakie to nazwisko? - spytał.

~ Bardzo bym chciała, żeby dziecko nazywało się Blackwell. Bo jego ojciec jest wicehrabią, wiesz?

Złapał ją w ramiona.

- Podoba mi się to nazwisko - powiedział. - W mojej rodzinie niezbyt często je noszono. - Oprzytomniał i rzekł: - Powiem ci, jak czułem się na tym wrzosowisku Auroro. Nigdy nie wypowiedzieliśmy tych słów, ale teraz je wypowiemy. głośno i wyraznie. Weźmiemy ślub w kościele. w którym będziesz chciała i zaprosimy na tę uroczystość kogo zechcesz. Flossie, Izaaka, a nawet samego regenta.

- Regenta! On przecież chce, żeby cię rozwalono!

Spojrzał na nią zaskoczony słownikiem, którego nauczyła się na "Morskim Śmiałku".

- Przeciwnie. uzyskałem całkowite wybaczenie. Za to, co dla niego zrobiłem. winien był mi przynajmniej tyle. Poza tym. uznając zbrodnie J osiaha. mianował mnie wicehrabią Blackwell. Obiecuję ci. że od tej chwili będziemy wiedli spokojne i przykładne życie w Londynie. Będę naj nudniej szym parem w całym mieście.

- Dobry Boże. nie mogę sobie tego nawet wyobrazić!

- Trudno. postaraj się. Od tej chwili wszystko się zmienia. Pirat Vashon przestaje istnieć.

- Ale smoka nie możesz się pozbyć - powiedziała. przeciągając po jego plecach dłońmi. - Od niego nigdy się nie uwolniesz. i w przyszłości. nawet kiedy będziesz po drugiej stronie zatłoczonej sali balowej. będę wiedziała. że on tam jest.

- Zostanie tylko on.

- Musimy zachować Mirage. Nie możemy oddać tej wyspy.

- Mirage też zostanie, skoro tego chcesz.

- A Izaak da nam cichy ślub na pokładzie "Morskiego Śmiałka", kiedy będziemy tam wracali. Nie mogłabym spokojnie przyglądać się. jak marniejesz w Londynie. Twoje miejsce, n a s z e m i e j s c e, jest na Mirage w Siedlisku Smoka.

- Czy pragniesz czegoś jeszcze, moja ty chciwa wicehrabino? - Roześmiał się.

- Tak. Jeszcze tylko jednej rzeczy. Proszę cię. jako ślubny prezent kup mi ten sierociniec. I pozwól, żebym zmieniła jego nazwę na "Dom Pani Blufield Dla Małych Włóczęgów".

- Będzie, jak chcesz. Ale co stało się z twoim znakomitym Phippsem, wzorem wszelkich cnót?

- Czyżbym słyszała w twoim głosie nutę zazdrości? - Uśmiechnęła się. - Podejrzewam, że teraz on będzie czekał na przygodę. Szczególnie, kiedy dowie się, że niebawem wychodzę za mąż.

On też się uśmiechnął, a potem pocałował ją tak namiętnie, że aż zaparło jej dech. Nieprędko oderwał usta od jej ust, a kiedy to zrobił, rzekł:

- Ale jedno się zmieniło. Nie ma już "Morskiego Śmiałka". Teraz jest to "Śpiąca Królowna".

Zrozumiała, dlaczego nie dowiedziała się o jego przybyciu. Roześmiała się i objęła go. Nie puściłaby go już nigdy.

Pogładził ją po głowie. Przez dłuższą chwilę stali w objęciach, nie mówiąc nic. W końcu powiedział:

- Kocham cię, *monAurore*. Kiedy weszłaś na mój statek, myślałem, że cię schwytałem. Dzisiaj wiem, że stało się dokładnie na odwrót.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Co powiedziałeś? - spytała.

- Że cię kocham. Myślisz, że zmusiłaś mnie do tego, ale to nieprawda. Na koniec nie panowałem już nad sobą. Poglądził ją po policzku. - Kiedy na tym urwisku śmierć zajrzała mi w oczy, przy życiu zachowała mnie miłość do ciebie. Wtedy dopiero przekonałem się, co naprawdę uczyniło mnie silnym.

- A co, kochany?

Objął ją mocno.

- Ty.

2008-05-23

eml